

Crichton Michael

WSCHODZĄCE SŁOŃCE

Przekład Andrzej Leszczyński i Jacek Manicki

Przesłuchanie zarejestrowane na taśmie wideo: Det. P.J.Smith 13.03-15.03

Sprawa: „Morderstwo Nakamoto”

Opis przesłuchania: Zeznający (por. Smith) przesłuchiwany był w sumie przez 22 godziny w ciągu 3 dni, od poniedziałku 13 marca do środy 15 marca. Przebieg przesłuchania zarejestrowano na taśmie wideo w systemie SVHS/SD.

Opis kadru: Zeznający (Smith) siedzi przy biurku w Sali Wideo nr 4 gmachu Departamentu Policji miasta Los Angeles. Na ścianie za zeznającym widoczny zegar. W kadrze mieści się blat biurka, filiżanka kawy i zeznający, od pasa w górę. Zeznający jest w kurtce i w krawacie (dzień 1); w koszuli z krawatem (dzień 2); i w samej koszuli (dzień 3). Data i godzina rejestracji wideo widoczna w dolnym prawym rogu kadru.

Cel przesłuchania: Wyjaśnienie roli zeznającego w sprawie „Morderstwo Nakamoto” (A8895-404). Funkcjonariuszami prowadzącymi przesłuchanie byli det. T. Conway oraz det. P. Hammond. Zeznający zrezygnował z prawa do adwokata.

Klasyfikacja sprawy: Przekazana do archiwum jako „sprawa nie rozwiązana”.

Zapis z 13 marca (1)

PRZESŁUCHUJĄCY: W porządku. Taśma już chodzi. Proszę podać swoje imiona i nazwisko dla celów archiwalnych.

ZEZNAJĄCY: Peter James Smith.

PRZESŁUCHUJĄCY: Proszę podać wiek i stopień.

ZEZNAJĄCY: Mam trzydzieści cztery lata. Jestem porucznikiem w Wydziale Służb Specjalnych. Departament Policji miasta Los Angeles.

PRZESŁUCHUJĄCY: Poruczniku Smith, jak panu zapewne wiadomo, nie występuje pan tutaj w charakterze podejrzanego.

ZEZNAJĄCY: Wiem.

PRZESŁUCHUJĄCY: Niemniej ma pan prawo być podczas tej rozmowy reprezentowany przez adwokata.

ZEZNAJĄCY: Rezygnuję z tego prawa.

PRZESŁUCHUJĄCY: Dobrze. Czy został pan w jakikolwiek sposób zmuszony do stawienia się na to przesłuchanie?

ZEZNAJĄCY: (długa chwila milczenia) Nie. Nie zmuszano mnie do tego w żaden sposób.

PRZESŁUCHUJĄCY: W porządku. Chcielibyśmy porozmawiać teraz z panem o „Morderstwie Nakamoto”. Kiedy po raz pierwszy zetknął się pan z tą sprawą?

ZEZNAJĄCY: We czwartek, 9 lutego wieczorem, około dwudziestej pierwszej.

PRZESŁUCHUJĄCY: W jakich okolicznościach do tego doszło?

ZEZNAJĄCY: Byłem w domu. Zadzwoił telefon.

PRZESŁUCHUJĄCY: A co pan robił w chwili, kiedy zadzwonił telefon?

WIECZÓR PIERWSZY

1

Jeśli chodzi o ścisłość, siedziałem właśnie na łóżku w swoim mieszkaniu w Culver City i oglądając transmisję meczu, Lakersów w telewizorze z wyłączoną fonią, usiłowałem jednocześnie studiować podręcznik kursu języka japońskiego dla początkujących.

Wieczór był spokojny; córeczkę wyprawilem spać około dwudziestej. Teraz na łóżku obok mnie leżał magnetofon kasetowy, a czarujący kobiecy głos sypał tekstami w rodzaju: „Moje uszanowanie, jestem oficerem policji. W czym mogę pomóc?” albo „Proszę o kartę dań”. Po każdym zdaniu lektorka robiła pauzę, dając mi czas na powtórzenie tego, co powiedziała, po japońsku. Dukałem najlepiej, jak potrafiłem. Potem ona zaczynała znowu: „Sklep z warzywami jest zamknięty. Jak dojdę do urzędu pocztowego?” Takie tam banały. Czasem trudno mi się było skupić, ale się starałem. „Pan Hayashi ma dwoje dzieci”.

Spróbowałem odpowiedzieć. *Hayashi-san wa kodomo ga fur... futur...* Zakląłem. Ale kobieta z taśmy ciągnęła już dalej. „Ten drink nie jest wcale schłodzony”.

Na łóżku, obok Głowy Pana Kartofla, którą usiłowałem poskładać do kupy dla swojej córeczki, leżał otwarty podręcznik. A obok niego album ze zdjęciami i luźne fotografie z przyjęcia z okazji drugich urodzin. Od przyjęcia Michelle upłynęło już cztery miesiące, a ja wciąż jeszcze nie wkleiłem tych zdjęć do albumu. Musiałem to w końcu zrobić.

„O czternastej mam ważne spotkanie”.

Fotografie rozsypane po moim łóżku nie oddawały już rzeczywistości. Od ich wykonania upłynęły cztery miesiące i Michelle wyglądała teraz zupełnie inaczej. Przede wszystkim była wyższa; wyrosła z drogiej urodzinowej sukieneczki, którą kupiła jej moja była żona: czarny aksamit z białym koronkowym kołnierzykiem.

Moja była żona gra na fotografiach pierwszoplanową rolę - trzyma tort ze świeczkami, które zdmuchuje Michelle, pomaga małej odpakowywać prezenty. Wygląda na kochającą mamusię. A prawda jest taka, że nasza córeczka mieszka ze mną, a moja była żona rzadko kiedy do niej zagląda. Nie przychodzi na połowę spotkań w weekendy i zalega z alimentami.

Ale gdybyście oglądali te fotografie, przez myśl by wam to nawet nie przeszło.

„Gdzie jest toaleta?”

„Mam samochód. Mogę pana podzucić”.

Otrząsnąłem się z tych refleksji i powróciłem do nauki. Oficjalnie tego wieczora byłem, ma się rozumieć, na służbie: siedziałem w domu pod telefonem w charakterze dyżurnego oficera łącznikowego służb specjalnych, gotów odpowiedzieć na każde wezwanie

ze śródmiejskiej siedziby wydziału. Ale czwartek dziewiątego lutego był, jak na razie, dniem spokojnym i nie spodziewałem się nawału obowiązków. Do dziewiątej wieczorem miałem tylko trzy telefony.

W skład Wydziału Służb Specjalnych wchodzi sekcja dyplomatyczna komendy policji; zajmujemy się problemami, w które uwikłani są dyplomaci i znane osobistości oraz dostarczamy tłumaczy i łączników obcokrajowcom, którzy z takiego czy innego powodu wchodzi w kontakt z policją. To urozmaicona praca, ale z pewnością nie stresująca; mając dyżur pod telefonem mogę się spodziewać najwyżej kilku wezwań o pomoc, przy czym żadne nie bywa specjalnie pilne. Rzadko kiedy muszę wychodzić z domu. To o wiele spokojniejsze zajęcie niż funkcja rzecznika prasowego policji, którą pełniłem, zanim nie przeniesiono mnie do służb specjalnych.

Tak czy inaczej, pierwszy telefon, jaki odebrałem wieczorem dziewiątego lutego, dotyczył Fernanda Conseki, chilijskiego wice-konsula. Przyłapali go chłopcy z drogowki. Ferny był zbyt pijany, by prowadzić, ale powoływał się na immunitet dyplomatyczny. Kazałem chłopakom odwieźć go do domu i zanotowałem sobie, żeby z samego rana wnieść znowu skargę do konsulatu.

Godzinę później zadzwonili wywiadowcy z Gardena. Interweniując podczas strzelaniny w restauracji aresztowali podejrzanego, który mówił tylko po samońsku i potrzebowali tłumacza. Powiedziałem, że mogę go im załatwić, ale nie spotkałem jeszcze Samończyka, który by nie znał angielskiego; ten kraj jest od lat amerykańskim terytorium powierniczym. Wywiadowcy doszli do wniosku, że dadzą sobie jakoś radę sami. Potem odebrałem jeszcze telefon, że telewizyjne wozy transmisyjne blokują drogi pożarowe na koncercie grupy Aerosmith; poradziłem funkcjonariuszom, żeby zostawili to zmartwienie strażakom. I przez następną godzinę miałem spokój. Wróciłem do mojego podręcznika i mojej śpiewnogłosej lektorki powtarzającej teksty w rodzaju „Wczoraj była deszczowa pogoda”.

Potem zadzwonił Tom Graham.

- Pieprzone Japonce - zagaił Graham. - W pale mi się nie mieści, jak mogą ciągnąć tę głównianą imprezę. Lepiej tu wpadnij, Petey-san. Figueroa tysiąc sto, róg Siódmej. To ten nowy biurowiec Nakamoto.

- Co się stało? - Musiałem zapytać. Graham jest dobrym detektywem, ale łatwo wychodzi z siebie i ma wtedy skłonność do niepotrzebnego wyolbrzymiania.

- A to - warknął Graham - że te pieprzone Japonce żądają, kurwa, obecności łącznika służb specjalnych. A ten łącznik to ty, koleś. Upierają się, że nie pozwolą policji przystąpić do rutynowych działań, dopóki nie zjawi się tu łącznik.

- Nie pozwolą? Dlaczego? Co tam macie?

- Zabójstwo - odparł Graham. - Kobieta, biała, około dwudziestu pięciu lat, prawdopodobnie dziwka. Leży sztywna na wznak w ich sali konferencyjnej. Niezły widok. Lepiej przyjeżdżaj tu najszybciej jak możesz.

- To w tle, to muzyka? - spytałem.

- Tak, u diabła - warknął Graham. - Trwa tu wielka biba. Dziś wieczorem było uroczyste otwarcie Nakamoto Tower i teraz świętują. Przyjeżdżaj, to sam zobaczysz.

Obiecałem, że przyjadę. Zadzwoiłem do sąsiadki, pani Ascenio, i spytałem, czy pod moją nieobecność nie popilnowałaby małej; zawsze była łasa na jakiś ekstra zarobek. Czekać na nią zmieniłem koszulę i wdziałem elegancki garnitur. Kiedy byłem już gotowy, zadzwonił Fred Hoffmann. Był tego wieczora oficerem dyżurnym w Komendzie Głównej w śródmieściu; niski, twardy facet o siwych włosach.

- Słuchaj, Pete. Pomyślałem sobie, że przydałaby ci się w tej sprawie jakaś pomoc.

- A to czemu? - zapytałem.

- Wygląda na to, że mamy zabójstwo, w które zamieszane są osoby narodowości japońskiej. Sprawa może być śliska. Od jak dawna jesteś łącznikiem?

- Od jakichś sześciu miesięcy - odparłem.

- Na twoim miejscu wziąłbym sobie do pomocy kogoś doświadczonego. Jadąc tam zgarnij po drodze Connora.

- Kogo?

- Johna Connora. Nie słyszałeś o nim?

- Pewnie, że słyszałem. - O Connorze słyszeli wszyscy pracownicy wydziału. Był chodzącą legendą, najbardziej znanym oficerem łącznikowym służb specjalnych. - Ale czy on czasem nie odszedł na emeryturę?

- Jest na bezterminowym urlopie, ale nadal bierze sprawy dotyczące Japończyków. Wydaje mi się, że mógłby ci pomóc. Wiesz co, zadzwonię do niego w twoim imieniu. Ty tylko podjedziesz i go zabierzesz. - Hoffmann podał mi adres.

- Dobra, świetnie. Dzięki.

- I jeszcze jedno. W tej sprawie obowiązuje cisza w eterze, zrozumiałeś, Pete?

- Zrozumiałem - zapewniłem go. - Czyje to zarządzenie?

- Po prostu tak będzie lepiej.

- Jak chcesz, Fred.

Cisza w eterze oznaczała zakaz korzystania z radia, żeby naszych rozmów nie mogły przechwycić media prowadzące nasłuch policyjnych częstotliwości. Była to standardowa procedura stosowana w pewnych sytuacjach. Przechodziliśmy na ciszę w eterze, ilekroć Elizabeth Taylor udawała się do szpitala. Ciszę w eterze zarządzano też wtedy, kiedy w wypadku drogowym ginął nieletni syn kogoś sławnego i trzeba było powiadomić o tragedii rodziców, zanim do drzwi zaczną się im dobijać ekipy telewizyjne. W takich właśnie sytuacjach stosowaliśmy ciszę w eterze. Nigdy dotąd nie słyszałem, żeby powodem jej ogłoszenia było zabójstwo.

Ale jadąc do śródmieścia nie dotykałem krótkofalówki i słuchałem radia. Leciał reportaż o postrzelonym trzyletnim chłopcu, który był teraz sparaliżowany od pasa w dół. Dziecko znalazło się wśród przypadkowych świadków napadu przy ulicy Jedenastej

Zabłąkany pocisk ugodził go w kręgosłup i chłopiec...

Przełączyłem się na inną stację i trafiłem na talk-show. Przed sobą widziałem światła w oknach majaczących we mgle śródmiejskich drapaczy chmur. W San Pedro zjechałem z autostrady.

O Connorze wiedziałem tylko tyle, że mieszkał przez jakiś czas w Japonii, gdzie nauczył się języka i poznał kulturę tego kraju.

W pewnym okresie, gdzieś w latach sześćdziesiątych, był jedynym oficerem łącznikowym mówiącym płynnie po japońsku, chociaż Los Angeles stanowiło wtedy największe skupisko Japończyków poza granicami ich rodzimych wysp.

Obecnie departament dysponował ponad osiemdziesięcioma oficerami łącznikowymi mówiącymi po japońsku - a na dodatek takimi jak ja, którzy próbowali się uczyć tego języka. Connor przeszedł w stan spoczynku przed kilkanaście laty. Ale współpracujący z nim łącznicy do tej pory twierdzili zgodnie, że był najlepszy. Pracował podobno bardzo szybko, często rozwiązywał sprawy w kilka godzin. Cieszył się opinią wytrawnego detektywa i wybitnego specjalisty od wywiadów, nie mającego sobie równych w pozyskiwaniu informacji od świadków. Ale koledzy po fachu cenili przede wszystkim jego bezstronność. Jeden z nich powiedział mi kiedyś: „Praca z Japończykami to jak balansowanie na linie. Każdy wcześniej czy później spada na tę, czy na tamtą stronę. Jedni uważają Japończyków za fantastycznych ludzi, którzy nie skrzywdziliby muchy. Inni widzą w nich niebezpiecznych drani. Ale Connor zawsze zachowuje równowagę. Nie odchyła się ani w jedną, ani w drugą stronę. Zawsze dokładnie wie, co robi”.

John Connor mieszkał w dzielnicy przemysłowej niedaleko ulicy Siódmej, w wielkim magazynie z cegły przylegającym do bazy ciężarówek. Winda towarowa w budynku była zepsuta. Wdrapałem się po schodach na trzecie piętro i zapukałem do drzwi.

- Otwarte - poinformował mnie głos ze środka.

Wszedłem do małego mieszkanca. Salon był urządzonej w japońskim stylu: maty *tatami*, parawany *shoji* i ściany wyłożone drewnianymi płytami; wałek do kaligrafii, czarny, lakierowany stoliczek, waza z pojedynczym kleksem białej orchidei.

Przy drzwiach stały dwie pary butów: męskie trzewiki z niewyprawnej skóry i damskie szpilki.

- Kapitanie Connor? - powiedziałem.

- Chwileczkę.

Parawan rozsunął się i wszedł Connor. Był zadziwiająco wysoki, mierzył sobie chyba z metr dziewięćdziesiąt. Ubrany był w *jukatę*, lekki japoński szlafrok z błękitnej bawełny. Na pierwszy rzut oka wyglądał na jakieś pięćdziesiąt pięć lat. Szeroki w barach, łysiejący, ze starannie przystrzyżonym wąsikiem, ostre rysy twarzy, przenikliwe spojrzenie. Niski głos. Opanowanie.- Dobry wieczór, poruczniku.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Connor zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i pokiwał z uznaniem głową.

- Nieźle. Bardzo wytwornie.

- Praca z prasą to dla mnie nie pierwszozna - powiedziałem - Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek nawinie się pod obiektyw.

Skinął głową.

- A więc to pan jest dzisiaj dyżurnym oficerem łącznikowym służb specjalnych?

- Ja.

- Od jak dawna jest pan łącznikiem?

- Sześć miesięcy.

- Mówi pan po japońsku?

- Kiepsko. Dopiero się uczę.

- Niech mi pan da kilka minut na zmianę stroju. - Odwrócił się i zniknął za parawanem. - To zabójstwo?

- Tak.

- Kto pana powiadomił?

- Tom Graham. Kieruje ekipą dochodzeniową na miejscu zbrodni. Powiedział mi, że Japończycy domagają się obecności oficera łącznikowego.

- Rozumiem. - Na chwilę zapadło milczenie. Usłyszałem szum puszczonej wody. -
Czy to powszechnie spotykane żądanie?

- Nie. Prawdę mówiąc, to nigdy nie słyszałem o podobnym wypadku. Funkcjonariusze telefonują zwykle do łącznika, kiedy mają problemy językowe. Nie słyszałem jeszcze, żeby Japończycy domagali się obecności samego łącznika.

- Ja też nie - przyznał Connor. - Czy to Graham podszeptał panu, żeby mnie zabrać? Pytam, bo ja i Tom Graham nigdy za sobą nie przepadaliliśmy.

- Nie - odparłem. - Zasugerował mi to Fred Hoffmann. Uznał, że mam za mało doświadczenia. Powiedział, że zadzwoni do pana w moim imieniu.

- A więc telefonowano do pana w tej sprawie dwukrotnie? - spytał Connor.

- Tak.

- Rozumiem. - Pojawił się znowu, tym razem w granatowym garniturze, wiążąc po drodze krawat. - Wygląda na to, że czas jest czynnikiem krytycznym. - Zerknął na zegarek. - O której telefonował do pana Graham?

- Około dwudziestej pierwszej.

- Czyli upłynęło już czterdzieści minut. W drogę, poruczniku. Gdzie pański samochód?

Zbiegliśmy po schodach.

Za San Pedro skręciłem w lewo, w Drugą, kierując się na biurowiec Nakamoto. Tuż przy nawierzchni jezdni snuła się lekka mgiełka. Connor patrzył przez szybę.

- Dobrą ma pan pamięć? - spytał w pewnej chwili.

- Chyba nieźłą.

- Ciekawe, czy potrafiłby mi pan powtórzyć te dwie dzisiejsze rozmowy telefoniczne - mruknął. - Proszę mi je odtworzyć możliwie najwierniej. Słowo w słowo, jeśli pan zdoła.

- Spróbuję.

Zrelacjonowałem szczegółowo moje rozmowy telefoniczne. Connor słuchał nie przerywając mi ani nie komentując. Nie miałem pojęcia, dlaczego tak go interesują, a on sam tego nie powiedział.

- Hoffmann nie zdradził panu, kto zażądał wprowadzenia ciszy w eterze? - zapytał, kiedy skończyłem.

- Nie.

- No cóż, tak czy inaczej, to dobry pomysł. Ja nigdy nie korzystam z krótkofalówki bez wyraźnej potrzeby. Za wielu dzisiaj podsłuchiowaczy.

Skreśliłem w Figueroa. Ujrzałem przed sobą oświetloną reflektorami fasadę nowego wieżowca Nakamoto. Tonący w mroku gmach był z szarego granitu. Zjechałem na prawy pas i otworzyłem schowek, żeby wyjąć plik służbowych wizytówek.

Nadruk na nich informował w języku angielskim: Detektyw porucznik Peter J. Smith, oficer łącznikowy Wydziału Służb Specjalnych, Departament Policji miasta Los Angeles. Na odwrocie widniał identyczny tekst, tyle że w języku japońskim.

Connor spojrział na wizytówki.

- Jak zamierza pan się zabrać do tej sprawy, poruczniku? Prowadził pan już negocjacje z Japończykami?

- W zasadzie nie - przyznałem. - Paru pijanych kierowców, nic więcej.

- To może lepiej zaproponuję strategię, jaką powinniśmy obaj przyjąć - podsunął uprzejmie Connor.

- Nie mam nic przeciwko temu - przystałem. - Będę panu wdzięczny.- W porządku. Ponieważ jest pan łącznikiem, to chyba najlepiej będzie, jeśli to pan przejmie inicjatywę, kiedy tam wejdziemy.

- Dobrze.

- Niech pan mnie nie przedstawia ani nie zwraca się do mnie w jakiegokolwiek formie. Proszę nawet nie spoglądać w moją stronę.

- W porządku.

- Mnie nie ma. Jest tylko pan.

- Rozumiem.

- To ułatwi panu zachowanie oficjalnej postawy. Proszę stać prosto i pod żadnym pozorem nie odpinać guzików marynarki. Jeśli się panu ukłonią, proszę nie odpowiadać ukłonem, skinąć tylko lekko głową. Obcokrajowiec nigdy nie opanuje ich etykiety kłaniania się. Niech pan nawet nie próbuje.

- Jasne - powiedziałem.

- Przystępując do rozmów z Japończykami niech pan pamięta, że oni nie lubią negocjować. Uważają negocjacje za zbyt konfrontacyjną formę dialogu. W swoim gronie unikają ich, kiedy to tylko możliwe.

- Rozumiem.

- Niech pan kontroluje swoje gesty. Ręce proszę trzymać opuszczone wzdłuż ciała. Szerokie wymachy ramion kojarzą się Japończykom z pogróżką. Mówić proszę powoli. Głosem spokojnym i stonowanym.

- W porządku.

- Niech się pan postara.

- Dobra.

- To może się okazać trudne. Japończycy potrafią być irytujący. Dzisiaj prawdopodobnie pana zdenerwują. Niech pan robi swoje najlepiej, jak potrafi. Ale cokolwiek się wydarzy, proszę nie tracić zimnej krwi.

- W porządku.

- To skrajnie niewłaściwa forma.

- W porządku - powtórzyłem. Connor uśmiechnął się.

- Jestem pewien, że dobrze się pan spisze - powiedział. - Moja pomoc prawdopodobnie wcale nie będzie panu potrzebna. Gdyby jednak strzelił pan jakąś gafę, usłyszysz pan, jak mówię „Może mógłbym w czymś pomóc”. Będzie to sygnał, że ja przejmuję inicjatywę. W takim momencie proszę oddać mi głos. Wolałbym, żeby potem już się pan nie odzywał, nawet jeśli zwrócą się do pana bezpośrednio z jakimś pytaniem. Jasne?

- Oczywiście.

- Proszę nie dać się wciągnąć w rozmowę, nawet gdyby język pana świerzbiał.

- Rozumiem.

- Ponadto, cokolwiek będę robił, proszę nie okazywać zdziwienia. Cokolwiek by to było.

- Dobra.

- Kiedy już przejmę inicjatywę, proszę przesunąć się tak, żeby znaleźć się nieco za mną, po mojej prawej ręce. Pod żadnym pozorem nie siadać. Nie rozglądać się. Ani przez chwilę nie okazywać braku zainteresowania. Proszę pamiętać, że to pan należy do kultury wyrosłej na wideo, ale nie oni. To Japończycy. Wszystko, co pan zrobi, będzie miało dla nich jakieś znaczenie. Każdy aspekt pana wyglądu zewnętrznego i zachowania odbije się na ich opinii o panu, o departamencie policji i o mnie jako pańskim zwierzchniku oraz *sempai*.

- W porządku, kapitanie.

- Jakież pytania?

- Co to jest *sempai*? Connor uśmiechnął się.

Minęliśmy skrzyżowanie i zaczęliśmy zjeżdżać pochylnią prowadzącą do podziemnego garażu.

- *Sempai* - podjął Connor - to u Japończyków starszy mężczyzna, przekazujący swoje doświadczenie młodemu, czyli *kohai*. Związek *sempai-kohai* jest dosyć powszechny. Jego istnienie przyjmowane jest często, kiedy młodszy i starszy mężczyzna współpracują ze sobą. Prawdopodobnie założą, że występuje między nami.

- Coś jakby mentor i uczeń - zauważyłem.

- Niezupełnie - powiedział Connor. - Związek *sempai-kohai* ma w Japonii trochę inne zabarwienie. Bardziej przypomina rozpieszczanie dziecka przez zaślepionego miłością rodzica: *sempai* ma pobłażać swojemu *kohai* i cierpliwie znosić wszystkie jego młodzieńcze wyskoki i błędy. - Uśmiechnął się. - Ale jestem pewien, że pan mi ich oszczędzi.

Zjechaliśmy tymczasem na sam dół pochylni i ujrzałem rozciągającą się przed nami wielką płaszczyznę garażu. Connor spojrzał przez szybę i zmarszczył czoło.

- A gdzie wszystkich wymiotło?

Garaż Nakamoto zapchany był limuzynami. Kierowcy opierali się o swoje samochody gawędząc i paląc papierosy. Nie dostrzegłem jednak żadnego wozu policyjnego. Kiedy wykryte zostaje morderstwo, miejsce zbrodni jest zazwyczaj oświetlone, jak na Gwiazdkę, kogutami migającymi na dachach tuzina radiowozów, trwa gorączkowa krzątania - policjanci, lekarze medycyny sądowej, sanitariusze i cała ta reszta.

Ale dziś wieczorem nie działo się tu nic takiego. Zwyczajny garaż w budynku, w którym ktoś wydaje przyjęcie: grupki wytwornie ubranych ludzi czekających na swoje samochody.

- Ciekawe - mruknąłem.

Zatrzymaliśmy się. Parkingowi otworzyli nam drzwiczki, wysiadłem i stając na pluszowej wykładzinie, usłyszałem ciche tony muzyki. Ruszyliśmy z Connorem w stronę windy. Z przeciwnego kierunku nadchodzili ludzie w wieczorowych strojach: mężczyźni we frakach, kobiety w eleganckich sukniach. A w połowie drogi do windy, w poplamionej welwetowej kurtce, stał paląc łączywie papierosa Tom Graham.

2

Graham swego czasu grał na pozycji półbeka w Pucharze Stanów Zjednoczonych, ale nigdy nie udało mu się zakwalifikować do grona zawodników pierwszej kategorii. Ten brak szczęścia w młodości przyłgnął do niego na podobieństwo skazy charakteru: przez całe życie omijała go potem ta ostatnia, przełomowa promocja, następny krok w karierze detektywa. Przenosił się z wydziału do wydziału i nigdy nie mógł znaleźć posterunku, który by mu odpowiadał, ani partnera, z którym dobrze by mu się pracowało. Niewyparzony język przysporzył mu szybko wrogów na górze i w wieku trzydziestu dziewięciu lat mógł się już pożegnać z widokami na awans. Był teraz zgorzkniały, gburowaty i przybierał na wadze -

wielki, ociążały, upierdliwy facet: zgubił go brak właściwego podejścia do ludzi. Jego zasada życia w zgodzie z własnym sumieniem okazała się porażką i obecnie z sarkazmem odnosił się do każdego, kto nie podzielał jego punktu widzenia.

- Ładny garniturek - zagaił, kiedy do niego podszedłem. - Zajebicie szykownie wyglądasz, Peter. - Strzepnął wyimaginowany pyłek z mojej kłapy.

Zignorowałem to.

- No i jak sytuacja, Tom?

- Odpalantowaliście się, chłopaki, jak na tę balangę, a nie do roboty. - Odwrócił się do Connora i podał mu rękę. - Cześć, John. Co za mądrała wpadł na pomysł, żeby cię wyciągać z łóżka?

- Jestem tu tylko w charakterze obserwatora - wyjaśnił łagodnie Connor.- To Fred Hoffmann poprosił mnie, żebym go tu przywiózł - wtrąciłem.

- A do diabła - burknął Graham. - Mnie on nie przeszkadza. Pomoc zawsze się przyda. Tam na górze atmosfera jest dosyć napięta.

Ruszyliśmy za nim w kierunku windy. Nadal nie dostrzegałem nigdzie żadnych innych funkcjonariuszy policji.

- Gdzie reszta? - spytałem.

- Dobre pytanie - pochwalił mnie Graham. - Udało im się zagonić naszych ludzi na tyły budynku, pod wejście dostawcze. Twierdzą, że winda towarowa jeździ szybciej. I wciąż nawijają o wadze swojego wielkiego otwarcia, i że nic nie może go zakłócić.

Umundurowany Japończyk ze służb ochrony obiektu, stojący przy windach, przyjrzał nam się nieufnie.

- Ci dwaj panowie są ze mną - poinformował go Graham. Strażnik skinął głową, ale dalej zezował na nas podejrzliwie.

Wsiedliśmy do windy.

- Pieprzone Japończyki - warknął Graham, skoro tylko zamknęły się za nami drzwi kabiny. - To jeszcze nasz kraj. Nadal jesteśmy, cholera, policją w naszym własnym kraju.

Kabina miała szklane ściany i zanurzając się wraz z nią w lekką mgiełkę, podziwialiśmy z lotu ptaka widok śródmieścia Los Angeles. Na wprost nas jarzył się oświetlony na noc od parteru po dach budynek Acro.

- Wiecie, że ta winda jest nieprzepisowa - powiedział Graham. - Normy budowlane zabraniają stosowania szklanych wind w budynkach wyższych niż dziewięćdziesięciopiętrowe, a ten ma dziewięćdziesiąt siedem, jest najwyższy w mieście. No ale przecież cały ten budynek to jeden wielki przypadek szczególny. I postawili go w sześć

miesiący. Wiecie jak? Sprowadzili prefabrykowane elementy z Nagasaki i tu je poskładali do kupy. Nie zatrudnili amerykańskich budowlańców. Załatwili sobie specjalne zezwolenie na wykiwanie naszych związków zawodowych powołując się na tak zwane problemy techniczne, z którymi uporać się mogą tylko japońscy robotnicy. Wierzycie w te pierdoły?

Wzruszyłem ramionami.

- Amerykańskie związki nie zgłaszały sprzeciwów.

- Tam do diabła, rada miejska też ich nie zgłaszała - warknął Graham. - Ale naturalnie w grę wchodził duży szmal. A wiadomo, że komu jak komu, ale Japończykom szmalu nie brakuje. No i załatwiają sobie zwolnienia od obostrzeń strefowych, norm bezpieczeństwa na wypadek trzęsień ziemi. Załatwią sobie wszystko, co chcą.

- Polityka - mruknąłem.

- W dupie mam taką politykę. Wiesz, że nie płacą nawet podatku? Tak jest: załatwili sobie od miasta ośmioletnie zwolnienie z podatku od nieruchomości. Kurwa, wyprzedajemy ten kraj.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Graham wyglądał przez szklane ściany. Była to szybkiebieżna winda firmy Hitachi, ostatni krzyk techniki. Najszybsza i najpłynniej się poruszająca winda na świecie. Wznosiliśmy się coraz wyżej, w mgłę.

- Opowiesz nam wreszcie o tym zabójstwie - zagadnąłem Grahama - czy może chcesz, żeby to była niespodzianka?

- Szlag by to trafił. - Graham otworzył notes. - No więc tak. Zgłoszenie było o dwudziestej trzydziści dwie. Ktoś donosi o „problemie z ciałem”. Mężczyzna z wyraźnym azjatyckim akcentem, kiepsko władający angielskim. Dyżurnemu niewiele udało się z niego wyciągnąć, poza adresem. Nakamoto Tower. Ruszają wozy patrolowe, są na miejscu o dwudziestej trzydziści dziewięć, chłopcy stwierdzają, że to zabójstwo. Czterdzieste piąte piętro, czyli część biurowa tego budynku. Ofiarą jest kobieta rasy białej, wiek około dwudziestu pięciu lat. Cholernie ładna dziewczyna. Sami zobaczycie.

Mundurowi zabezpieczają miejsce zbrodni i powiadamiają wydział. Wskakujemy z Merinem w samochód i jesteśmy tu o dwudziestej pięćdziesiąt trzy. Prawie równocześnie pojawia się lekarz i ekipa techniczna, żeby dokonać oględzin zwłok, zdjąć odciski palców, porobić zdjęcia, i takie tam. Nadażacie?

- Tak. - Connor skinął głową.

- Zabieramy się do roboty - podjął Graham - a tu wpada jakiś Japoniec z Nakamoto Corporation, w granatowym garniturku za tysiąc dolców i nawija, że zanim w tym zasranym

budynku cokolwiek zrobimy, on chce, skubany, pogadać z oficerem łącznikowym Departamentu Policji miasta Los Angeles. I wciska nam, że niby takie jest prawo.

Robię dalej swoje, no bo co mi tu będzie, do kurwy nędzy, jakiś żółtek podskakiwał. Mamy ewidentne zabójstwo. Facet, myślę sobie, zaraz się odpieprzy. Ale Japoniec zasuwa po angielsku, jak tu urodzony, i wygląda na oblatanego w prawie. No i wszyscy obecni, rozumiecie, zaczynają nadstawiać ucha. Nie ma sensu, myślę sobie, podejmować czynności dochodzeniowych, bo i tak wszystkie ustalenia będzie można obalić podczas procesu, no nie? A ten japoński kutas upiera się, że zanim cokolwiek zrobimy, musi tu przyjechać łącznik. Nie kapuję, o co chodzi, skoro tak dobrze mówi po angielsku. Zawsze mi się wydawało, że instytucję łącznika ustanowiono z myślą o ludziach, którzy nie znają języka, a ten popapraniec ma przecież stanfordzką szkołę prawniczą wypisaną na czole. No ale nic. - Westchnął.

- I zadzwoniłeś do mnie - odpowiedziałem.

- Tak.

- Kim jest ten człowiek z Nakamoto? - spytałem.

- Zaraz, kurwa. - Graham zerknął ponuro w swoje notatki. - Jakiś Ishihara. Ishiguri.

Coś w tym stylu.

- Masz jego wizytówkę? Musiał ci ją dać.

- Tak, dał. Oddałem ją Merinowi.

- Są tam na górze jeszcze jacyś Japończycy? - spytałem.

- Co ty, żartujesz? - Graham wybuchnął śmiechem. - Tu się roi od nich. Istny pieprzony Disneyland.

- Mnie chodzi o miejsce zbrodni.

- Mnie też - warknął Graham. - Nie da rady ich stamtąd pogonić. Mówią, że to ich budynek i mają prawo tu być. Dzisiaj jest wielkie otwarcie Nakamoto Tower. Mają prawo tu być. I gadaj z takimi.

- Gdzie odbywa się to przyjęcie inauguracyjne? - zapytałem.

- Piętro pod miejscem zbrodni, na czterdziestym czwartym. Hałasują jak diabli. Osiemset osób, jak nic. Gwiazdy filmowe, senatorowie, kongresmeni, dziada z babą brakuje. Mówią, że jest tam Madonna i Tom Cruise. Senator Hammond. Senator Kennedy. Elton John. Senator Morton. Jest burmistrz Thomas. Jest prokurator okręgowy Wyland. Zaraz, zaraz, Pete, a może jest tam też twoja eks-małżonka. Zdaje się, że dalej pracuje u Wylanda, nie?

- Nie słyszałem, żeby zmieniła pracę. Graham westchnął.

- To ci dopiero musi być frajda rznąć prawnika, zamiast być przez niego obrabianym.
To dopiero musi być fajna odmiana.

Nie chciałem wdawać się w rozmowę o mojej byłej żonie.

- Rzadko się teraz kontaktujemy - powiedziałem. Rozległ się cichy dzwonek, a potem winda powiedziała: *Yonjusan*. Graham zerknął na jarzące się nad drzwiami numery.

- I dasz wiarę tym hockom-klockom?

- *Yonjushi* - powiedziała winda. - *Mosugu de gozaimasu*.

- Co ona gada?

- Dojeżdżamy do piętra.

- Kurwa mać - zachnął się Graham. - Jak już winda ma gadać, to niech to będzie po angielsku. To jeszcze Ameryka.

- Tylko do pewnego stopnia - odezwał się Connor wyglądając przez szklane ściany.

- *Yonjugo* - powiedziała winda. Drzwi się rozsunęły.

Graham nie przesadzał: to było przyjęcie na sto fajerek. Całe piętro przerobiono na replikę sali balowej z lat czterdziestych. Mężczyźni w garniturach. Kobiety w sukniach koktajlowych. Orkiestra grająca swingujące kawałki Glenna Millera. Przed drzwiami windy stał siwowłosy, opalony mężczyzna, który wydał mi się dziwnie znajomy. Miał szerokie bary atlety.

- Parter, proszę - rzucił do mnie wkraczając do kabiny. Poczulem zapach whisky.

U jego boku wyrósł jak spod ziemi drugi, młodszy mężczyzna w garniturze.

- Ta winda jedzie na górę, panie senatorze.

- Że co? - spytał siwowłosy mężczyzna zwracając się do swojego asystenta.

- Ta winda jedzie na górę.

- A ja chcę na dół. - Cedził starannie słowa przesadnie artykułowanym głosem pijanego.

- Tak, proszę pana. Wiem - zaszcebiotał rozkosznie asystent. - Przejdźmy do sąsiedniej windy, panie senatorze. - Chwycił siwowłosego mężczyznę za łokieć i wyprowadził go z kabiny.

Drzwi się zamknęły. Winda podjęła podróż w górę.

- Miałeś przed chwilą okazję zobaczyć, na co idzie forsa z twoich podatków - skomentował Graham. - Poznałeś go? Senator Stephen Rowe. Miło widzieć, jak tu baluje, zważywszy, że zasiada w senackiej komisji finansów, która wydaje wszystkie przepisy dotyczące importu z Japonii. A do tego Rowe, podobnie jak jego kumpel senator Kennedy, to jeden z wielkich jebaków.

- Co ty powiesz?

- Chodzą też słuchy, że lubi sobie zdrowo golnąć.

- To zauważyłem.

- I dlatego nie rusza się nigdzie bez tego gówniarza. Chłopak pilnuje, żeby gdzieś nie narozrabiał.

Winda zatrzymała się na czterdziestym piątym piętrze. Zadźwięczał cichy, elektroniczny gong.

- *Yonjiroku. Dorno arigato gozaimasu.*

- No, nareszcie - mruknął Graham. - Może w końcu będzie można się wziąć do roboty.

3

Drzwi się rozsunęły. Przed nami wyrastała zbita ściana, odwróconych do nas plecami, urzędników w granatowych garniturach. Na małym skrawku podłogi przed windą tłoczyło się ze dwudziestu mężczyzn. Powietrze było gęste od papierosowego dymu.

- Przejście, przejście - pokrzykiwał Graham torując sobie łokciami drogę przez tłumek. Postępowałem jego śladem, a tuż za mną kroczył milczący, nie rzucający się w oczy Connor.

Czterdzieste piąte piętro przeznaczono na biura zarządu Nakamoto Industries. Stojąc w wyłożonym dywanami holu recepcyjnym, do którego wkraczało się prosto z wind, widziałem je całe - była to gigantyczna, otwarta przestrzeń, z grubsza sześćdziesiąt na czterdzieści metrów, porównywalna pod względem powierzchni z połową boiska futbolowego. Wszystko tutaj miało na celu wywołać wrażenie przestronności i elegancji. Wysokie sufity wyłożone były drewnianymi kasetonami. Całe umeblowanie z drewna obitego tkaniną - czerń z szarością, gruby dywan. Stłumione dźwięki i przyćmione oświetlenie stwarzały atmosferę miękkości i bogactwa. Wyglądało to bardziej na bank niż biuro.

Najszykowniejszy bank, jaki w życiu widzieliście. Po prostu nie można się było nie zatrzymać i nie popatrzeć. Stałem przed złotą policyjną wstęgą, zagradzającą drogę w głąb piętra, i rozglądałem się dokoła. Na wprost mnie znajdowało się wielkie atrium, rodzaj otwartej hali dla sekretarek i urzędników niższej rangi. Zapełniały je regularnie rozmieszczone skupiska biurek, między którymi dla złamania przestrzeni ustawiono drzewka w donicach. Pośrodku atrium wznosiła się wielka makieta wieżowca Nakamoto oraz będącego jeszcze w budowie kompleksu otaczających go budynków. Na makiętę padał snop

światła z punktowego reflektorka, ale reszta atrium pogrążona była w mroku, który rozpraszały tylko przedostające się z zewnątrz odblaski nocy.

Prywatne gabinety dyrektorów rozmieszczono na obwodzie atrium. Ich ściany, te wychodzące na atrium i te od strony zewnętrznej fasady budynku, wykonano ze szkła i z miejsca, w którym stałem, widać było okoliczne wieżowce Los Angeles. Odnosiło się wrażenie, że cała kondygnacja unosi się w powietrzu.

Znajdowały się tu także dwie przeszklone sale konferencyjne, jedna po prawej, druga po lewej stronie. Sala po prawej była mniejsza i tam ujrzałem ciało dziewczyny, leżące na długim czarnym stole. Miała na sobie czarną suknię. Jedna noga zwisała ku podłodze. Nie dostrzegalem żadnych śladów krwi. Ale stałem dosyć daleko, z sześćdziesiąt metrów od tamtego miejsca. Z takiej odległości trudno było rozróżnić jakiegokolwiek szczegóły.

Słyszałem trzaski wydobywające się z policyjnych krótkofalówek.

- Oto wasz łącznik, panowie - rozległ się głos Grahama. - Może wreszcie da się ruszyć z miejsca ze śledztwem. Peter?

Odwróciłem się twarzą do Japończyków stłoczonych przy windzie. Nastąpił krępujący moment zawahania, bo nie wiedziałem, który ma być moim rozmówcą; potem jeden z nich wystąpił przed resztą. Miał około trzydziestu pięciu lat i ubrany był w drogi garnitur. Skłonił ledwie zauważalnie głowę, był to właściwie cień ukłonu. Odkłoniłem się. Potem przemówił.

- *Konbanwa. Hajimemashite, Sumisu-san. Ishigura desu. Dozo yoroshiku.* - Formalne powitanie, chociaż trochę lakoniczne. Czas naglił. Nazywał się Ishigura. Znał już moje nazwisko.

- *Hajimemashite* - powiedziałem. - *Watashi wa Sumisu desu. Dozo yoroshiku.* - Witam. Miło mi pana poznać. Normalka.

- *Watashi no meishi desu. Dozo.* - Podał mi swoją wizytówkę. Ruchy miał szybkie, nerwowe.

- *Dorno arigato gozaimasu.* - Przyjąłem od niego wizytówkę oburącz, co właściwie nie było konieczne, ale biorąc sobie do serca rady Connora próbowałem zachowywać się oficjalnie. Następnie ja wręczyłem mu swoją wizytówkę. Rytuał nakazywał, abyśmy obaj spojrzeli na wizytówki, które wymieniliśmy, oraz wygłosili jakąś grzecznościową formułkę, względnie zadali pytanie w rodzaju: „To numer pańskiego telefonu służbowego?”

- To wasz domowy numer telefonu, detektywie? - spytał Ishigura biorąc moją wizytówkę jedną ręką. Byłem zaskoczony. Mówił tym rodzajem nie akcentowanego angielskiego, którego można się nauczyć mieszkając tutaj przez długi czas, od wczesnej młodości poczynając. Musiał tu chodzić do szkoły. Jeden z tysięcy Japończyków, którzy

studiowali w Ameryce w latach siedemdziesiątych. Kiedy to rok w rok przysyłali do Ameryki setki tysięcy studentów, by poznawali nasz kraj. Podczas gdy my wysyłaliśmy do Japonii dwustu studentów rocznie.

- Tak, ten u dołu - odparłem.

Ishigura wsunął moją wizytówkę do kieszonki koszuli. Chciałem wygłosić jakiś okolicznościowy komentarz związany z jego wizytówką, ale nie dał mi dojść do słowa.

- Słuchajcie, detektywie. Wydaje mi się, że możemy sobie darować formalności. Jedyną przyczyną powstania dzisiejszego problemu jest nierozsądna postawa waszego kolegi.

- Mojego kolegi?

- Tamtego grubego. - Ishigura wskazał energicznym ruchem głowy na Grahama. - Wysuwa nierealne żądania i stanowczo protestujemy przeciwko jego próbom wszczęcia dochodzenia jeszcze dzisiejszego wieczoru.

- A to dlaczego, panie Ishigura? - zapytałem.

- Nie macie po temu podstaw prawnych.

- Dlaczego pan tak twierdzi? Ishigura parsknął.

- Wydawało mi się, że to oczywiste, nawet dla was. Pozostałem niewzruszony. Pięć lat w zawodzie detektywa, a potem rok w dziale prasowym nauczyły mnie trzymać nerwy na wodzy.

- Przykro mi, proszę pana, ale to wcale nie jest dla nas oczywiste - powiedziałem.

Obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem.

- Faktem jest, poruczniku, że nie macie żadnego powodu, by łączyć śmierć tej dziewczyny z trwającym piętro niżej przyjęciem.

- Zdaje się, że ona ma na sobie wieczorową suknię...

- Podejrzewam - przerwał mi obcesowo - że stwierdzicie, iż zmarła na skutek przypadkowego przedawkowania narkotyku. A zatem jej śmierć nie ma nic wspólnego z naszym przyjęciem. Zgodzicie się ze mną?

Wziąłem głęboki wdech.

- Nie, proszę pana. Nie zgodzę się. Tylko śledztwo może to wykazać. - Wziąłem kolejny głęboki wdech. - Panie Ishigura, rozumiem powody, jakie panem kierują, ale...

- Zdziwiłbym się - przerwał mi znowu Ishigura. - Nalegam, abyście zrozumieli sytuację, w jakiej znalazła się dziś wieczorem firma Nakamoto. To dla nas bardzo oficjalny i ważny wieczór. Jesteśmy ogromnie zaniepokojeni perspektywą zakłócenia naszej uroczystości przez nie dające się przewidzieć konsekwencje śmierci jakiejś kobiety, zwłaszcza tej, kobiety nic nie znaczącej...

- Nic nie znaczącej?

Ishigura machnął niecierpliwie ręką. Sprawiał wrażenie zmęczonego tą rozmową.

- Przecież to oczywiste, wystarczy na nią spojrzeć. To zwyczajna prostytutka. Nie pojmuję, jak w ogóle dostała się do tego gmachu. I z tego właśnie powodu stanowczo sprzeciwiam się zamiarowi detektywa Grahama, który chce przesłuchiwać gości bawiących się na dole. To kompletny brak rozsądku. Wśród gości jest wielu senatorów, kongresmenów i wysoko postawionych osobistości Los Angeles. Na pewno zgodzicie się, że takim prominentnym osobom niezręcznie będzie...

- Chwileczkę - wpadłem mu w słowo. - Detektyw Graham powiedział panu, że zamierza przesłuchać wszystkich uczestników przyjęcia?

- Tak mi właśnie powiedział.

Dopiero teraz zaczynałem rozumieć, dlaczego mnie wezwano. Graham nie cierpiał Japończyków i postraszył ich, że zepsuje im ten uroczysty wieczór. Oczywiście, nie miał najmniejszego zamiaru spełniać swojej groźby. Nie było mowy, żeby posunął się do przesłuchiwania senatorów Stanów Zjednoczonych, nie wspominając już o prokuratorze okręgowym i burmistrzu. Gdyby się na to poważył, jutro nie miałby już po co pokazywać się w pracy. Ale Japończycy działali mu na nerwy i Graham postanowił też ich trochę podrażnić.

- Możemy zorganizować na dole stanowisko rejestracyjne - powiedziałem do Ishigury - i wasi goście, wychodząc, będą się wpisywali na listę obecnych.

- Obawiam się, że to nie takie proste - zaczął Ishigura - bo z pewnością przyznacie, że...

- Panie Ishigura, my tak to właśnie przeprowadzimy.

- Ale wasza propozycja jest bardzo trudna do zrealizowania...

- Panie Ishigura.

- Widzicie, narazimy się w ten sposób...

- Przykro mi, panie Ishigura. Policja postąpi tak, jak powiedziałem. Zesztywniał. Na chwilę zaległo milczenie.

- Jestem rozczarowany, poruczniku - podjął, ocierając kropelki potu z górnej wargi - brakiem współpracy z waszej strony.

- Współpracy? - To był moment, kiedy zaczęły mi puszczać nerwy. - Panie Ishigura, tam leży martwa kobieta i naszym obowiązkiem jest wyjaśnić, jak doszło do...

- Ale musicie przyznać, że okoliczności są szczególne... I w tym momencie usłyszałem głos Grahama:

- Jezu Chryste, a to co znowu?

Obejrzałem się przez ramię i dwadzieścia metrów za żółtą taśmą zobaczyłem niskiego, zasuszonego Japończyka. Fotografował miejsce zbrodni. Aparat, którym się posługiwał, był tak mały, że niemal nikał mu w dłoni. Gość nawet nie próbował ukryć faktu, że przedostał się za wstęgę, żeby robić zdjęcia. Kiedy tak patrzyłem, zaczął się cofać, unosząc co chwila rękę, żeby pstryknąć fotkę. Potem zamrugał za swoimi okularami w drucianej oprawce i ponownie nacisnął spust migawki. Ruchy miał niespieszne.

- Na miłość boską, wynoś się stamtąd! - krzyknął Graham dopadając do taśmy. - To miejsce zbrodni. Nie wolno tam robić zdjęć. - Mężczyzna nie odpowiadał. Nadal się cofał. Graham odwrócił się. - Co to za jeden?

- To nasz pracownik, pan Tanaka - odparł Ishigura. - Należy do kierownictwa służb ochrony Nakamoto.

Nie wierzyłem własnym oczom. Pracownik japońskiej firmy szwendał się po strefie odgródzonej żółtymi taśmami i zadeptywał miejsce zbrodni. To było oburzające.

- Zabierzcie go stamtąd - warknąłem.

- Robi zdjęcia.

- Nie wolno mu.

- Ale to do naszego wewnętrznego użytku - zachnął się Ishigura.

- Nic mnie to nie obchodzi, panie Ishigura - powiedziałem. - Nie wolno mu przebywać za żółtą taśmą i nie wolno fotografować. Proszę go stamtąd odwołać. I oddać mi film.

- Dobrze. - Ishigura zaszwargotał coś szybko po japońsku. Odwróciłem się i zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak Tanaka, prześlizgnąwszy się pod żółtą taśmą, znika przy windzie w tłumku mężczyzn w granatowych garniturach. Zobaczyłem jeszcze nad ich głowami, jak drzwi windy rozsuwają się i zasuwają z powrotem.

Sukinsyn. Zaczynał mnie ogarniać gniew.

- Panie Ishigura, utrudnia pan prowadzenie śledztwa oficjalnym czynnikom.

- Musicie zrozumieć naszą sytuację, detektywie Smith - stwierdził spokojnie Ishigura.

- Mamy, naturalnie, pełne zaufanie do Departamentu Policji miasta Los Angeles, ale musimy się przygotować na ewentualność wszczęcia naszego prywatnego śledztwa, a do tego potrzebne nam...

Ich prywatne śledztwo? A to sukinsyn. Odebrało mi mowę. Zacisnąłem zęby, krew uderzyła mi do głowy. Ogarnęła mnie wściekłość. Najchętniej bym aresztował Ishigurę. Z najwyższą rozkoszą wkręciłbym mu rękę, pchnął na ścianę, skuł kajdankami te jego kurewskie przeguby i...

- Może mógłbym w czymś pomóc, poruczniku - rozległ się za mną głos.

Odwrociłem się. Stał tam Connor z ujmującym uśmiechem na ustach.

Odstąpiłem w bok.

Connor stanął przed Ishigurą, skłonił się lekko i pokazał swoją wizytówkę.

- *Totsuzen shitsurei desuga, jikoshokai shitemo yoroshii desuka. Watashi wa John Connor to moshimasu. Meishi o dozo. Dozo yoroshiku* - wyrzucił z siebie szybko.

- John Connor? - zdumiał się Ishigura. - Ten John Connor? *Omeni kakarete koei desu. Watashi wa Ishigura desu. Dozo yoroshiku.* - Mówił, że poznać go, to dla niego wielki zaszczyt.

- *Watashi no meishi desu. Dozo.* - Łaskawie dziękuję.

Ale po wymianie tych grzecznościowych formułek konwersacja nabrała takiego tempa, że wychwytywałem z niej tylko pojedyncze słowa. Pomny zaleceń usiłowałem sprawiać wrażenie zainteresowanego, patrzyłem i potakiwałem, ale tak naprawdę to nie miałem pojęcia, o czym mówili. Raz usłyszałem, jak Connor określa mnie słowem *kobun*, które znałem - znaczyło protegowany albo uczeń. Kilka razy spojrzął na mnie srogo i pokręcił głową jak zmartwiony ojciec. Wyglądało to tak, jakby za mnie przepraszał. Usłyszałem też, że nazywa Grahama *hesomagari* - człowiekiem nieokrzesanym.

Ale te przeprosiny odniosły swój skutek. Ishigura uspokoił się i opuścił ręce. Zaczął się odprężyć. Nawet się uśmiechnął.

- A zatem nie będziecie sprawdzać tożsamości naszych gości? - spytał w końcu.

- Ależ skąd - odparł Connor. - Wasi szanowni goście mogą swobodnie wchodzić i wychodzić. Chciałem zaprotestować. Connor rzucił mi ostre spojrzenie.

- Ustalanie tożsamości nie jest konieczne - ciągnął oficjalnym tonem - ponieważ jestem przekonany, że żaden z gości Nakamoto Corporation nie mógłby mieć nigdy niczego wspólnego z takim niefortunnym wypadkiem.

- O żesz kurwa - jęknął pod nosem Graham.

Ishigura promieniał. Ale ja dygotałem z wściekłości. Connor wystrychnął mnie na dudka. Zrobił ze mnie idiotę. A co najważniejsze, nie trzymał się policyjnej procedury - mogliśmy wszyscy za to beknąć. Zły jak sto diabłów, wepchnęłem ręce w kieszenie i odwróciłem wzrok.

- Jestem panu wdzięczny za tak delikatne załatwienie sprawy, kapitanie Connor - powiedział Ishigura.

- Nie ma za co - odparł Connor schylając głowę w kolejnym sztywnym ukłonie. - Ale żywię nadzieję, że teraz uzna pan za stosowne wyprosić osoby postronne z tego piętra, aby policja mogła przystąpić do wypełniania swoich obowiązków.

Ishigura zamrugał powiekami.

- Wyprosić osoby postronne?

- Tak - powiedział Connor wyjmując notes. - I proszę o podawanie mi nazwisk stojących za panem dżentelmenów, kiedy będą stąd pojedynczo wychodzić.

- Nie rozumiem.

- Proszę o nazwiska stojących za panem dżentelmenów.

- Mogę wiedzieć, po co one panu?

Connorowi twarz pociemniała. Warknął coś krótko po japońsku. Nie zrozumiałem z tego ani słowa, ale Ishigura zrobił się czerwony jak burak.

- Pan wybaczy, kapitanie, ale nie widzę powodu, by zwracał się pan do mnie w ten...

I wtedy Connor wyszedł z siebie. Spektakularnie i wybuchowo. Zbliżył się do Ishigury i szyjąc powietrze dżgającymi ruchami palca wskazującego wywrzeszczał:

- *Iikagen ni shiro! Soko o dokel Kiiterunoka!*

Ishigura schował głowę w ramiona i odwrócił się, oszołomiony tą słowną napaścią.

Connor pochylił się nad nim. Głos miał twardy, ociekający ironią:

- *Dokel Dokel Wakaranainoka?* - Obejrzał się i wskazał na Japończyków przy windzie. W konfrontacji z dziką furią Connora Japończycy odwracali spojrzenia i zaciągali się nerwowo papierosami. Ale nie ruszali się z miejsca.

- Hej, Richie - zawołał Connor, zwracając się do Waltersa, fotografa z technicznej ekipy dochodzeniowej. - Pstryknij mi parę fotek tych facetów, dobra?!

- Już się robi, kapitanie! - odkrzyknął Richie. Uniósł aparat do oka i zaczął sunąć obiektywem wzdłuż szeregu mężczyzn, naciskając raz po raz spust sprzężonej z fleszem migawki.

Ishigura ożywił się raptownie i wbiegł z uniesionymi w górę rękami przed obiektyw.

- Chwileczkę, chwileczkę, po co to?

Ale Japończycy już się wycofywali, umykając z zasięgu rozbłysków flesza niczym ławica egzotycznych rybek. Po kilku sekundach nie było po nich śladu. Mieliliśmy całe piętro dla siebie. Został tylko zdruzgotany Ishigura.

Szczeknął coś po japońsku. Najwyraźniej była to jakaś wymówka.

- Tak? - warknął Connor. - Sam jesteś sobie winien. Ty tu namieszałeś. I ty dopilnujesz, żeby moi detektywi otrzymali wszelką niezbędną pomoc. Chcę porozmawiać z osobą, która znalazła ciało i z tą, która powiadomiła telefonicznie policję. Chcę mieć listę nazwisk wszystkich osób, które przewinęły się przez to piętro od chwili znalezienia ciała. I

żądał wydania filmu z aparatu Tanaki. *Ore wa honkida*. Jeśli nadal będziesz utrudniał prowadzenie śledztwa, aresztuję cię.

- Aleja się muszę skonsultować z moimi zwierzchnikami...

- *Namerunayo*. - Connor przysunął się do niego blisko. - Nie wkurzaj mnie, Ishigurasan. Teraz wyjdź i daj nam pracować.

- Naturalnie, kapitanie - odparł Ishigura. Skłonił się sztywno i wyszedł ze ściągniętą, nieszczęśliwą twarzą.

Graham zachichotał.

- Ładnieś go splawił. Connor odwrócił się na pięcie.

- Coś ty najlepszego narobił? Dlaczego powiedziałeś mi, że chcesz przesłuchać wszystkich obecnych na przyjęciu?

- E tam, kurwa, tak go tylko podpuszczałem - powiedział Graham. - Jak ja bym mógł brać na spytki burmistrza? Co ja poradzę, że te dupki nie mają za grosz poczucia humoru?

- O nie, mają poczucie humoru - odparł Connor. - Zakpili z ciebie. Ishigura miał problem, a ty nieświadomie pomogłeś mu go rozwiązać.

- Ja mu pomogłem? - Graham ściągnął brwi. - Co ty chrzanisz? - To oczywiste, że Japończykom chodziło o opóźnienie śledztwa - wyjaśnił Connor. - Twoje agresywne podejście podsunęło im idealny pretekst: zadzwonili po łącznika służb specjalnych.

- No, przestań - mruknął Graham. - Skąd mogli wiedzieć, że łącznik nie zjawi się tu za pięć minut?

Connor pokręcił głową.

- Nie oszukuj się: dobrze wiedzieli, kto jest dzisiaj wieczorem pod telefonem. Dobrze wiedzieli, jak daleko stąd mieszka Smith i dobrze wiedzieli, jak długo tu będzie jechał. No i udało im się opóźnić wszczęcie dochodzenia o półtorej godziny. Miłej pracy, detektywie.

Graham gapił się przez dłuższą chwilę na Connora. Potem odwrócił się do niego plecami.

- Zalewasz, kurwa - mruknął - i dobrze o tym wiesz. No, panowie, do roboty. Richie. Rusz tyłek. Masz trzydzieści sekund na zdjęcia do dokumentacji, bo potem wchodzi moje chłopaki i przydepną ci ogon. I wszyscy galopem. Chcę tu skończyć, zanim panienska zacznie brzydko pachnieć.

Od toczył się ociężale w kierunku miejsca zbrodni.

Ekipa techniczna ze swoimi walizeczkami i wózekkami ruszyła za Grahamem. Przodem posuwał się Richie Walters, pstrykając po drodze na prawo i lewo. Minął atrium i wkroczył do sali konferencyjnej, która miała ściany z przydymionego szkła, tłumiącego

błyski jego flesza. Ale widziałem go tam w środku, jak krąży wokół ciała. Zdjęć robił więcej niż zwykle: wiedział, że to duża sprawa.

My z Connorem zostaliśmy przy windach.

- O ile mnie pamięć nie myli, mówiłeś, że nie wypada tracić zimnej krwi w kontaktach z Japończykami - zauważyłem.

- Bo nie wypada - przyznał Connor.

- To dlaczego ją straciłeś?

- Niestety - westchnął - był to jedyny sposób przyjscia z pomocą Ishigurze.

- Przyjscia z pomocą Ishigurze?

- A tak. Zrobiłem to wszystko dla Ishigury, bo trzeba mu było ratować twarz przed jego szefem. Ishigura nie był najważniejszą osobą na sali. Wśród Japończyków stojących pod windą znajdował się *juyaku*, faktyczny szef.

- Nie zauważyłem - mruknąłem.

- To powszechnie stosowana praktyka. Wypycha się na pierwszą linię pośledniejszego człowieka, szef natomiast pozostaje w cieniu, skąd może swobodnie obserwować rozwój sytuacji. To samo ja uczyniłem z tobą, *kohai*.

- I szef Ishigury cały czas nas obserwował?

- Tak. A Ishigura dostał bez wątpienia polecenie, by nie dopuścić do wszczęcia dochodzenia. Musiałem przeprowadzić to w taki sposób, żeby nie wyszedł w oczach szefa na niekompetentnego. Wcieliłem się więc w rolę rozwścieczonego *gaijina*. Ma teraz wobec mnie dług wdzięczności. A to dobrze, bo z czasem mogę potrzebować jego pomocy.

- Ma wobec ciebie dług wdzięczności? - spytałem nie bardzo pojmując, skąd ten wniosek. Connor nawrzeszczał przecież na Ishigure; w moim odczuciu skrajnie go upokorzył.

Kapitan westchnął.

- Jeśli nawet nie rozumiesz, co tu się stało, uwierz mi: Ishigura bardzo dobrze to rozumie. Był w kłopotcie, a ja pomogłem mu z niego wybrnąć.

Nadal nie bardzo chwytałem i chciałem coś jeszcze powiedzieć, ale Connor podniósł rękę.

- Chyba lepiej obejrzyjmy sobie miejsce zbrodni, zanim Graham i jego ludzie jeszcze bardziej namieszają.

Mijało już dwa lata, jak rozstałem się z wydziałem dochodzeniowym, i ponowny kontakt ze sceną zabójstwa nappełnił mnie dziwną nostalgią. Powróciły wspomnienia: nocne napięcie, kop adrenaliny po lurowatej kawie z papierowego kubka, no i uwijające się wokół ciebie ekipy - ten rodzaj szalonej energii krążącej wokół centrum, które stanowi ktoś martwy, emanującej z każdego miejsca, gdzie popełniono morderstwo i gdzie wyczuwa się tę samą ostateczność. Kiedy patrzysz na martwego człowieka, ogarnia cię poczucie jakiejś oczywistości, a jednocześnie niezgłębionej tajemnicy. Nawet wtedy, gdy kobieta, podczas najzwyklejszej domowej burdy, decyduje się wreszcie zastrzelić swojego faceta, patrząc na nią, całą w bliznach i śladach po przypalaniu papierosem, nie możesz opędzić się od pytania - dlaczego tej nocy? Dlaczego akurat dzisiaj?

Pracując nad sprawą zabójstwa, wśród tych wyziewów, wypróżnień i wzdęć, masz poczucie, że dotykasz korzeni podstawowych prawd istnienia. Zwykle ktoś płacze, no więc tego słuchasz. Ustają wesołe przekomarzania i docinki; ktoś zginął i jest to niezaprzeczalny fakt. W tej posępnej, brutalnej scenerii rodzi się koleżeńska więź z ludźmi, z którymi pracujesz późną nocą, których znasz, i to bardzo dobrze, ponieważ ciągle ich widzisz. W Los Angeles zdarzają się cztery zabójstwa dziennie; co sześć godzin jedno. Każdy detektyw obecny na miejscu zbrodni wlecze już za sobą bagaż dziesięciu nie wyjaśnionych zabójstw, co sprawia, że to nowe staje się brzemieniem nie do udźwignięcia, wszyscy mają więc nadzieję, że tym razem uda się je wyjaśnić i odfajkować. Towarzyszy temu mieszanina napięcia, energii i poczucia ostateczności.

Po kilku latach tej pracy tak się wciągasz, że zaczynasz ją lubić. I wchodząc teraz do sali konferencyjnej, ku swemu zaskoczeniu uświadomiłem sobie, jak brakowało mi tej atmosfery.

Sala konferencyjna sprawiała wrażenie bardzo eleganckiej: czarny stół, czarne krzesła z wysokimi oparciami, światła w oknach wieżowców za szklanymi ścianami. Technicy krążący wokół ciała martwej dziewczyny rozmawiali przyciszonymi głosami.

Miała krótko obcięte blond włosy. Niebieskie oczy, pełne, zmysłowe usta. Wyglądała na jakieś dwadzieścia pięć lat. Była wysoka, długonoga, wysportowana; ubrana w czarną, prostą suknię.

Graham, pochłonięty oględzinami, stał u szczytu stołu z latarką punktową w jednej i notesem w drugiej ręce i mrużąc oczy przyglądał się uważnie czarnym, lakierowanym szpilkom dziewczyny.

Kelly, asystent koronera, nasuwał na dłonie denatki papierowe torby ochronne i mocował je taśmą klejącą.

- Chwileczkę - powstrzymał go Connor. Przyjrzał się jednej dłoni, przesunął wzrok na nadgarstek, zajrzał z bliska pod paznokcie. Powąchał jeden. Potem szarpnął za każdy palec z osobna.

- Szkoda fatygi - rzucił lakonicznie Graham. - Stężenie pośmiertne jeszcze nie wystąpiło, a pod paznokciami nie ma jakichkolwiek mikrośladów, żadnych skrawków skóry ani włókien tkaniny. Moim skromnym zdaniem trudno tu się doszukać jakichś śladów walki.

Kelly nasunął na dłoń torbę.

- Określiłeś już godzinę zgonu? - spytał go Connor.

- Właśnie to robię. - Kelly uniósł pośladki dziewczyny, żeby wsunąć sondę odbytniczą. - Rozmieściłem już termometry pachowe. Za chwilę będzie wynik.

Connor dotknął materiału czarnej sukni, spojrzał na metkę.

- Od Yamamoto - wtrąciła Helen, laborantka z ekipy technicznej.

- Widzę - mruknął Connor.

- Co za Yamamoto? - spytałem.

- Bardzo ekskluzywny japoński projektant mody - wyjaśniła Helen. - To czarne coś warte jest co najmniej pięć tysięcy dolarów. Przy założeniu, że kupiła używaną. Nowa kosztowałaby z piętnaście tysięcy.

- Można ustalić, gdzie została kupiona? - zapytał Connor. - Zobaczymy. To zależy, czy sprawiła ją sobie tutaj, w Europie, czy w Tokio. Sprawdzenie zajmie parę dni.

Connor natychmiast stracił zainteresowanie suknią.

- Nie zwracajcie sobie głowy. Wtedy będzie już za późno. Wydobył z kieszeni małą światłowodową latarkę punktową i przyświecając nią sobie obejrzał dokładnie wierzch głowy i włosy dziewczyny. Potem zerknął szybko na lewe i na prawe ucho, wydając przy prawym cichy pomruk zdziwienia. Zajrzałem mu przez ramię i zobaczyłem kropelkę zakrzepłej krwi na małżowinie, w dziurce na kolczyku. Musiałem przy tym za bardzo naprzeć na Connora, bo podniósł na mnie wzrok.

- Wybacz, *kohai*.

- Przepraszam. - Odsunąłem się.

Następnie Connor powąchał wargi dziewczyny, szybkim ruchem otworzył i zamknął szczękę i wykorzystując latarkę punktową w charakterze sondy, pogrzebał w jamie ustnej. Potem odwrócił denatce głowę w jedną i w drugą stronę, tak jakby pomagał jej spojrzeć w prawo i w lewo. Poświęcił też trochę czasu na łagodne, niemal pieszczotliwe obmacanie palcami szyi.

I ni z tego, ni z owego odstąpił zdecydowanie od ciała.

- W porządku - powiedział - skończyłem. I wyszedł z sali konferencyjnej.

Graham podniósł na mnie wzrok.

- Zawsze był do niczego na miejscu zbrodni.

- Dlaczego tak twierdzisz? - zapytałem. - Słyszałem, że jest wspaniałym detektywem.

- Diabła tam - burknął Graham. - Sam widzisz. Nawet nie wie, jak się do tego zabrać.

Nie zna procedury. Z niego żaden detektyw. Connor ma kontakty. To dzięki nim rozwiązał wszystkie sprawy, z których tak słynie. Pamiętasz zabójstwo małżeństwa Arakawa podczas ich podróży poślubnej? Nie? No tak, to chyba było, zanim do nas przyszedłeś, Petey-san. Kiedy była ta sprawa Arakawów, Kelly?

- W siedemdziesiątym szóstym - odparł tamten.

- No właśnie, w siedemdziesiątym szóstym. To była największa afera tamtego pięprzonego roku. Państwo Arakawa, nowożeńcy bawiący w Los Angeles w ramach swego miesiąca miodowego, stoją przy krawężniku w dzielnicy wschodniej i nagle giną od serii oddanej z przejeżdżającego samochodu. Egzekucja w przelocie, w typowo gangsterskim stylu. Co gorsza, podczas sekcji zwłok wychodzi na jaw, że pani Arakawa była w ciąży. Prasa ma swój dzień: Policja miasta Los Angeles bezsilna wobec rozzuchwalonych gangsterów, i tym podobne teksty. Z całego miasta napływają listy i pieniądze. Wszyscy są poruszeni tym, co się przydarzyło nowo poślubionej parze. No i oczywiście detektywi przydzieleni do tej sprawy dają dupy. Tak jest zresztą z większością morderstw, w których ofiarami padają osoby narodowości japońskiej. Sprawa utyka w martwym punkcie.

A po tygodniu zwracają się do Connora. On zaś wyjaśnia ją w jeden dzień. Kurewski detektyw-cudotwórca. No bo przecież minął już tydzień. Fizycznych dowodów dawno nie ma, ciała nowożeńców są już z powrotem w Osace, na narożniku ulicy, gdzie to się stało, piętrzy się sterta zeschniętych kwiatów. Ale Connorowi udaje się mimo to ustalić, że z młodego pana Arakawy było w Osace niezłe ziółko. Odkrywa, że gangsterska strzelanina na rogu ulicy była egzekucją zleconą *yakuzie* w Japonii z zastrzeżeniem, że ma zostać przeprowadzona w Ameryce. I wykazuje, że mąż padł ofiarą zupełnie przypadkowo, bo celem bandytów była tylko żona, o której wiedzieli, że jest ciężarna i chcieli w ten sposób dać jakąś tam nauczkę jej ojcu. Tak. I Connor to wszystko wykrywa. Aż się, kurwa, wierzyć nie chce, co?

- I uważasz, że dokonał tego dzięki tym swoim japońskim koneksjom?

- Sam sobie odpowiedz - burknął Graham. - Ja wiem tylko tyle, że zaraz potem wyjechał na rok do Japonii.

- W jakim celu?

- Słyszałem, że pracował w charakterze ochroniarza w jakiejś wdzięcznej japońskiej firmie. On dla nich pracował, oni spłacali dług wdzięczności. Tak to sobie przynajmniej wyobrażam. Jak było naprawdę, nie wie nikt. Ale ten człowiek nie jest detektywem. Chryste, no spójrz na niego choćby teraz.

Connor stał na zewnątrz, w atrium, i z jakimś marzycielsko-refleksyjnym wyrazem twarzy wpatrywał się w sufit. Spojrzał najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Sprawiał wrażenie niezdecydowanego. Nagle ruszył szybkim krokiem w kierunku wind, tak jakby odchodził. Potem zawrócił raptownie na pięcie, pomaszerował z powrotem na środek pomieszczenia i tam się zatrzymał. Zaczął oglądać liście palm w donicach rozstawionych po sali.

Graham pokręcił głową.

- Co to ma być, w ogrodnika się bawi, czy jak? Mówię ci, to dziwny gość. Jeździł do Japonii niejedną raz. Zawsze wraca. I nigdy mu się to nie znudzi. Bo wiesz, Japonia jest jak kobieta, z którą nie można wytrzymać, ale bez której nie da się żyć. Ja osobiście tego nie kapuję. Lubię Amerykę. Przynajmniej to, co z niej jeszcze zostało. Odwrócił się do ludzi z ekipy technicznej.

- No jak, chłopaki, znaleźliście mi już te majtki?

- Jeszcze nie, Tom.

- Szukamy, Tom.

- Jakie majtki? - spytałem. Graham uniósł brzeg sukni dziewczyny.

- Twojemu przyjacielowi Johnowi nie chciało się doprowadzić oględzin do końca, ale moim skromnym zdaniem jest tutaj coś dającego do myślenia. Coś mi się widzi, że ten płyn, który wycieka z pochwy, to sperma, dziewczyna nie ma majtek, a w kroczu, tam gdzie zostały zdarte, widnieje czerwona pręga. Zewnętrzne powierzchnie narządów płciowych są zaczerwienione i otarte. Nie ulega wątpliwości, że zanim została zabita, odbyła wymuszony stosunek. Poprosiłem więc chłopaków, żeby szukali majtek.

- Może ich wcale nie miała - odezwał się jeden z techników.

- Miała, miała - zapewnił go Graham. Odwróciłem się znowu do Kelly'ego.

- Czy w grę nie wchodzi czasem narkotyki? Wzruszył ramionami.

- Oddamy próbki wszystkich płynów do laboratorium. Ale na pierwszy rzut oka wygląda na czystą. Zupełnie czystą. - Zauważyłem, że Kelly jest teraz wyraźnie nieswój.

Graham też to zauważył.

- Na miłość boską, co masz taką skwaszoną minę, Kelly? Śpieszysz się na jakąś rozbieraną randkę, czy jak?

- Nie - bąknął Kelly - ale prawdę mówiąc, to tutaj nie tylko nie ma śladów walki ani narkotyków - ja nie widzę nic, co by wskazywało, że została zamordowana.

- Nic, co by wskazywało, że została zamordowana? - powtórzył za nim Graham. - Żartujesz?

- Dziewczyna ma na szyi obrażenia sugerujące, że mogła uprawiać jakieś sadomasochistyczne praktyki seksualne. Pod makijażem nosi ślady świadczące o tym, że była często wiązana.

- I co z tego?

- No więc, formalnie rzecz biorąc, może nie została zamordowana. Zgon mógł nastąpić nagle z przyczyn naturalnych.

- O Boże. Wal dalej.

- Całkiem możliwe, że jest to przypadek tak zwanego zgonu na skutek nagłego zatrzymania krążenia. Natychmiastowa śmierć fizjologiczna.

- Co to znaczy?

Kelly wzruszył ramionami.

- Człowiek po prostu umiera.

- Tak bez żadnego powodu?

- No, niezupełnie. Zazwyczaj występuje jakiś pomniejszy uraz związany z sercem albo układem nerwowym. Ale ten uraz nie jest wystarczający, by spowodować zgon. Spotkałem się kiedyś z przypadkiem, że dziesięcioletni chłopak dostał w pierś piłką baseballową, niezbyt mocno, i padł martwy na szkolnym boisku. W promieniu dwudziestu metrów od niego nie było nikogo. Drugi przypadek dotyczy kobiety, która jadąc samochodem miała drobną stłuczkę i uderzyła piersią o kierownicę, też niezbyt silnie, a kiedy otworzyła drzwiczki i chciała wysiąść, umarła. Wygląda na to, że do takich tajemniczych zgonów dochodzi po urazach szyi i klatki piersiowej, na skutek podrażnienia nerwów biegnących do serca. No więc tak, Tom. Z naukowego punktu widzenia trzeba też brać pod uwagę nagły zgon. A ponieważ uprawianie seksu nie jest przestępstwem, nie byłoby to morderstwo.

Graham spojrzał na niego spode łba.

- Znaczy się, twierdzisz, że może nikt jej nie zabił? Kelly wzruszył ramionami. Wziął do ręki swój notatnik.

- Nie zapisuję tu tego. Jako przyczynę śmierci podaję zamartwicę będącą wynikiem ręcznego zaduszenia. Bo wszystko przemawia za tym, że została uduszona. Ale ty zakonotuj sobie w pamięci, że może nie została. Może po prostu wykorkowała.

- Dobra - zgodził się Graham. - Zakonotuję sobie. Pod etykietką fantazje lekarza sądowego. A tak nawiasem mówiąc, czy któryś z was, chłopaki, ustalił już jej tożsamość?

Ekipa techniczna, nadal myszkuje po sali, odmruknęła, że nie.

- Chyba mam już godzinę śmierci - powiedział Kelly. Odczytał wskazania swoich czujników temperatury i spojrzął na wykres. - Wyszło trzydzieści pięć i dziewięć dziesiątych stopnia. Biorąc pod uwagę pokojową temperaturę otoczenia, oznacza to, że od zejścia upłynęło nie więcej niż trzy godziny.

- Trzy godziny? A to ci nowina. Słuchaj, Kelly, my już wiemy, że zmarła dziś wieczorem.

- Bliżej nie potrafię tego sprecyzować. - Kelly pokręcił głową. - Niestety trudno odczytać dokładny wynik z krzywych stygnięcia po trzech godzinach. Oficjalnie mogę tylko stwierdzić, żegon nastąpił gdzieś w ciągu trzech ostatnich godzin. Ale osobiście uważam, że dziewczyna nie żyje właśnie od mniej więcej trzech godzin.

Graham odwrócił się do ekipy technicznej.

- Znalazł już któryś te majtki?

- Jeszcze nie, poruczniku.

- Ani torebki, ani majtek - mruknął Graham rozglądając się po sali.

- Sądzisz, że ktoś tu posprzątał? - zapytałem.

- Sam nie wiem - odparł. - Ale czy dziewczyna, która przychodzi na przyjęcie w kiece za trzydzieści tysięcy dolców, może nie mieć przy sobie torebki? - Spojrzął naraz nad moim ramieniem i uśmiechnął się. - No proszę, nie zgadniesz, Petey-san. Jedna z twoich wielbicielek do ciebie.

W moim kierunku zmierzała energicznym krokiem Ellen Farley, sekretarka burmistrza do spraw kontaktów z prasą. Farley miała trzydzieści pięć lat i przycięte krótko ciemnoblonde włosy, jak zwykle perfekcyjnie ułożone. Za młodu była dziennikarką radiową, ale teraz, od paru ładnych lat, pracowała w biurze burmistrza. Ta inteligentna i energiczna kobieta miała jedno z najwspanialszych ciał, które, jak wieść niosła, zachowywała do tej pory wyłącznie do własnego użytku.

Lubiłem ją na tyle, żeby oddać jej parę przysług, kiedy pracowałem jeszcze w biurze prasowym departamentu policji. Ponieważ burmistrz i szef policji nienawidzili się nawzajem, pisma z biura burmistrza trafiały poprzez Ellen do mnie, i ja je załatwiałem. Przeważnie były to drobne sprawy: prośba o wstrzymanie się ze złożeniem raportu do końca tygodnia, żeby można go przedstawić w sobotę. Albo o oświadczenie, że nie wniesiono jeszcze aktu oskarżenia w jakiejś sprawie, chociaż w rzeczywistości został już wniesiony. Załatwiałem te

prośby przychylnie, bo Farley była kobietą szczerą i mówiła zawsze to, co myślała. I teraz też wszystko wskazywało na to, że będzie walić prosto z mostu.

- Słuchaj, Pete - zagaiła. - Nie wiem, co się tutaj wyprawia, ale do burmistrza docierają jakieś poważne zażalenia ze strony niejakiego pana Ishigury...

- Wyobrażam sobie...

- I burmistrz poprosił mnie, żebym ci przypomniała, że nie ma żadnego usprawiedliwienia dla osób urzędowych tego miasta, które zachowują się grubiańsko wobec obywateli obcych państw.

- Zwłaszcza kiedy ci obywatele wnoszą taki niewąski wkład finansowy w kampanię wyborczą - wtrącił głośno Graham.

- Obywatele obcych państw nie mogą finansować amerykańskich kampanii politycznych - odparła wyniośle Farley. - I pan dobrze o tym wie. - Zniżyła głos. - To delikatna sprawa, Pete. Bądź ostrożny. Wiesz, że Japończycy są szczególnie wrażliwi na to, jak się ich traktuje w Ameryce.

- Dobra, będę pamiętał.

Spojrzała na atrium przez szklane ściany sali konferencyjnej.

- To John Connor?

- Tak.

- Myślałam, że przeszedł w stan spoczynku. Co on tu robi?

- Pomaga mi w tej sprawie. Farley zmarszczyła czoło.

- Chyba wiesz, że Japończycy żywią wobec niego mieszane uczucia. Mają nawet na to jakieś określenie. Chodzi o kogoś, kto jest miłośnikiem Japonii, a potem popada w drugą skrajność i zachowuje się jak zwyczajny ordynus.

- Connor nie jest ordynusem.

- Ishigura czuje się urażony sposobem, w jaki go potraktowano.

- Ishigura próbował nam dyktować, co mamy robić - powiedziałem. - A tutaj leży zamordowana dziewczyna, o czym wszyscy jakby zapomnieli...

- Daj spokój, Pete - przerwała mi - nikt nie chce was pouczać, jak macie pracować. Ja tylko mówię, że musicie wziąć pod uwagę szczególne...

Urwała.

Patrzyła na ciało.

- Ellen? - spytałem. - Znasz ją?

- Nie. Odwróciła się.

- Na pewno?

Zauważyłem, że jest wytrącona z równowagi.

- Widziała ją pani wcześniej na dole? - spytał Graham.

- Ja nie... być może. Chyba tak. Słuchajcie, panowie, muszę już wracać.

- Ellen. Daj spokój.

- Nie wiem, kto to jest, Pete. Nie wątpisz chyba, że powiedziałabym ci, gdybym wiedziała. A do Japończyków odnoś się serdecznie. Tylko tyle kazał mi przekazać burmistrz. Muszę już lecieć. Oddaliła się pospiesznie w kierunku wind. Odprowadzałem ją wzrokiem, czując dziwny niepokój.

Graham podszedł do mnie i stanął obok.

- Na medal ma tę dupę - mruknął. - Tylko że jej nie daje, chłopie, nawet tobie.

- Co miało znaczyć to „nawet tobie”?

- Wszyscy wiedzą, że kręciłeś z Farley.

- O czym ty mówisz? Graham dał mi kuksańca w ramię.

- Przestań. Jesteś teraz po rozwodzie. Mogą ci naskoczyć.

- To nieprawda, Tom - powiedziałem.

- Możesz robić, co ci się podoba. Taki przystojniaczek.

- Mówię ci, że to nieprawda.

- No już dobrze, dobrze. - Podniósł w górę rękę. - Pomyliłem się.

Patrzyłem, jak Farley przechodzi pod taśmą w drugim końcu atrium. Wdusiła przycisk windy i przytupując niecierpliwie nogą czekała, aż ta podjedzie.

- Naprawdę uważasz, że ona wie, kim jest ta dziewczyna? - spytałem.

- Wie jak nic - zapewnił mnie Graham. - Nie muszę ci przecież uświadamiać, za co burmistrz ją lubi. Stoi przy nim i szepcze do ucha nazwiska osób, których od lat nie widziała. Mężów, żon, dzieci, każdego. Farley na pewno wie, kim jest ta dziewczyna.

- To dlaczego nam nie powiedziała?

- Diabli wiedzą - burknął Graham. - To musi być dla kogoś ważne. Wystartowała stąd jak rakieta, nie uważasz? Mówię ci, lepiej szybko ustalmy tożsamość denatki. Bo cholernie nie lubię być ostatnim w mieście, który się o czymś dowiaduje.

Z drugiego końca sali machał na nas Connor.

- Czego on znowu chce? - mruknął Graham. - Czego tak macha? Co tam trzyma w ręku?

- Chyba torebkę - powiedziałem.

- Cheryl Lynn Austin - czytał Connor. - Urodzona w Midland w Teksasie, absolwentka tekskańskiego uniwersytetu stanowego. Dwadzieścia trzy lata. Ma mieszkanie w

Westwood, ale jest tu chyba od niedawna, bo nie zdążyła jeszcze wymienić swojego teksańskiego prawa jazdy.

Cała zawartość torebki leżała na stole. Grzebaliśmy w tym ołówkami.

- Gdzie znalazłeś tę torebkę? - zapytałem. Była to mała, ciemna, wyszywana paciorkami kopertówka z perłowym zameczkiem. Ekspонат z lat czterdziestych. Droga.

- Leżała w donicy palmy niedaleko sali konferencyjnej. - Connor otworzył maleńką zamykaną na suwak przegródkę. Na stół wytoczył się ciasny zwitek nowiutkich studolarowych banknotów. - No, ładnie. Panna Austin jest dobrze sytuowana.

- Nie ma kluczyków od samochodu? - zapytałem.

- Nie ma.

- Czyli z kimś tu przyjechała.

- I najwyraźniej miała też zamiar z kimś odjechać. Taksiarz by nie wydał ze stu dolarów.

Na zawartość torebki składały się poza tym: złota karta kredytowa American Express, szminka i puderniczka, paczka japońskich papierosów Mild Seven Menthol, karta wstępu do klubu nocnego Daimashi w Tokio oraz cztery małe niebieskie pastylki. I to chyba wszystko.

Connor, pomagając sobie ołówkiem, przewrócił torebkę do góry dnem. Na stół posypały się małe zielone okruszki.

- Wiecie, co to jest?

- Nie - przyznałem.

Graham przyjrzał się im przez szkło powiększające.

- To *wasabi* używane do posypywania orzeszków ziemnych - wyjaśnił Connor.

Wasabi to zielony chrzan serwowany w japońskich restauracjach. O orzeszkach ziemnych posypywanych *wasabi* nigdy nie słyszałem.

- Nie wiem, czy sprzedaje się go poza granicami Japonii. Graham odchrząknął.

- Napatrzyłem się już. No i co teraz myślisz, John? Czy Ishigura przyprowadzi tych świadków, tak jak mu kazałeś?

- Nie sądzę, żeby się z tym śpieszył - odparł Connor.

- I masz, kurwa, rację - powiedział Graham. - Najwcześniej zobaczymy ich pojutrze, pouczonych już przez prawników, co mają nawijać. - Odstąpił od stołu. - Dobrze wiesz, dlaczego działają na zwłokę. Dziewczynę zabił jakiś Japończyk. Z tym mamy tutaj do czynienia.

- Całkiem możliwe - przyznał Connor.

- No, kolego. To bardziej niż całkiem możliwe. Jesteśmy tutaj. To ich budynek. A ta dziewczyna jest akurat w ich typie. Piękna, wysmukła amerykańska róża. Wszystkie te kurduple lubią rznąć koszykarki.

- Możliwe. - Connor wzruszył ramionami.

- Daj spokój - fuknął Graham. - Dobrze wiesz, jakie gówniane życie mają ci faceci u siebie. Tłoczą się w metrze jak sardynki, tyrają w wielkich firmach. Trudno powiedzieć, co takim chodzi po głowie. Potem przyjeżdżają tutaj, zostawiając daleko za sobą zakazy i ograniczenia swego kraju i nagle zaczynają się czuć bogaci i wolni. Mogą robić, co chcą. I czasami któremuś z tego wszystkiego pada trochę na mózg. No powiedz, czy nie mam racji.

Connor patrzył dłuższą chwilę na Grahama.

- A więc według ciebie, Tom, japoński zabójca postanowił załatwić tę dziewczynę na stole w sali konferencyjnej Nakamoto?

- Właśnie.

- W imię jakiegoś symbolicznego aktu?

- Chryste, a kto to wie? Nie rozmawiamy tutaj o normalnym człowieku. Ale coś ci powiem. Dorwę kutasa, który to zrobił, choćby to miała być ostatnia cholerna rzecz, jakiej w życiu dokonam.

5

Winda opadała szybko. Connor stał oparty o szklaną ścianę. - Istnieje wiele powodów, by nie lubić Japończyków - odezwał się w pewnej chwili - ale Graham nie zna żadnego z nich. - Westchnął. - Wiesz, co oni o nas mówią?

- Co?

- Twierdzą, że Amerykanie są nazbyt skłonni do snucia teorii, że poświęcamy za mało czasu na obserwowanie świata i przez to nie wiemy, jak naprawdę sprawy się mają.

- Czy to cytat z zen?

- Nie - roześmiał się. - Tylko wynik obserwacji. Zapytaj japońskiego sprzedawcę komputerów, co myśli o swoich amerykańskich kolegach po fachu i on ci tak właśnie odpowie. Takie zdanie o nas ma w Japonii każdy, kto prowadzi interesy z Amerykanami. A kiedy spojrzysz na Grahama, dochodzisz do wniosku, że to prawda. Grahamowi brak rzetelnej wiedzy, jakiegokolwiek doświadczenia. Cały jego zasób informacji to obfita kolekcja

uprzedzeń i wyssane z palca historyjki, rozpowszechniane przez media. Nie wie o Japończykach nic i nawet mu nie w głowie, żeby się o nich czegoś dowiedzieć.

- A więc uważasz, że się myli? - spytałem. - Że dziewczyna nie została zamordowana przez Japończyka?

- Tego nie powiedziałem, *kohai* - odparł Connor. - Bardzo możliwe, że Graham ma rację. Ale w tej chwili...

Drzwi rozsunęły się i zobaczyliśmy przyjęcie; orkiestra grała właśnie „Księżycową serenadę”. Do windy wsiadły dwie opuszczające salę pary. Wyglądali na zamożnych: mężczyźni siwowłosi, dystyngowani, kobiety ładne i trochę wstawione.- Jest mniejsza, niż myślałam - powiedziała jedna z nich.

- Tak, drobnutka. A ten... to był jej przyjaciel?

- Chyba tak. Czy to nie on występował z nią w wideoklipie?

- Zdaje się, że on.

- Jak sądzicie, poprawiała sobie cycki? - odezwał się jeden z mężczyzn.

- A która ich teraz nie poprawia? Druga z kobiet zachichotała.

- Oczywiście, z wyjątkiem mnie.

- Właśnie, Christine.

- Ale noszę się z tą myślą. Widziałaś Emily?

- Och, za duże sobie zrobiła.

- To wszystko przez Jane, ona zaczęła. Teraz wszystkie chcą mieć duże.

Mężczyźni odwrócili się i zaczęli wyglądać przez szklaną ścianę.

- Wspaniały gmach - mruknął jeden. - Fantastyczna dbałość o detale. Musiał kosztować fortunę. Dużo teraz prowadzisz interesów z Japończykami, Ron?

- Dwadzieścia procent - odparł drugi. - Ciągnę na tym poziomie już od zeszłego roku. Musiałem w związku z tym popracować trochę nad swoją grą w golfa, bo oni wciąż chcą grać w golfa.

- Dwadzieścia procent interesów?

- Tak. Wykupują teraz Orange County.

- No pewnie. Los Angeles już wykupili - wtrąciła ze śmiechem jedna z kobiet.

- Prawie. Gmach Acro, ten naprzeciwko, też do nich należy - powiedział jeden z mężczyzn wskazując palcem za szklaną ścianę. - Według mnie należy już do nich jakieś siedemdziesiąt, siedemdziesiąt pięć procent śródmieścia Los Angeles.

- Na Hawajach wygląda to jeszcze bardziej imponująco.

- Tam do diabła, Hawaje już są praktycznie ich: dziewięćdziesiąt procent Honolulu, sto procent wybrzeża Kona. Zakładają tam pola golfowe jak szaleni.

- Czy to przyjęcie będzie jutro w telewizji? - zmieniła temat jedna z kobiet. - Tyle było tam kamer.

- Trzeba będzie popatrzeć.

- *Mósugu de gozaimasu* - powiedziała winda. Znaleźliśmy się na poziomie garażu i towarzystwo wysiadło.

Connor odprowadzał ich wzrokiem kręcąc głową.

- W żadnym innym kraju na świecie - odezwał się - nie usłyszałbyś ludzi rozmawiających tak spokojnie o tym, że ich miasta i stany są wyprzedawane cudzoziemcom.

- Rozmawiających? - zachnąłem się. - Oni sami prowadzą tę wyprzedaż.

- Fakt. Amerykanie uwielbiają sprzedawać. Japończycy nie mogą się temu nadziwić. Uważają, że popełniamy ekonomiczne samobójstwo. No i, naturalnie, mają rację. - Mówiąc to Connor nacisnął na panelu windy przycisk oznaczony napisem ALARM.

Rozległ się stonowany, pulsujący dźwięk gongu.

- Czemu to zrobiłeś?

Connor spojrział w obiektyw kamery wideo zainstalowanej w narożu sufitu i pomachał wesoło ręką.

- Dobry wieczór, panowie oficerowie - odezwał się głos z interkomu. - Mogę w czymś pomóc?

- Owszem - powiedział Connor. - Czy rozmawiam z ochroną obiektu?

- Tak, proszę pana. Jakież kłopoty z windą?

- Gdzie znajduje się wasza dyżurka?

- Na poziomie głównego holu, południowo-wschodni narożnik, za windami.

- Dziękuję bardzo - powiedział Connor. Wdusił przycisk holu głównego.

6

Dyżurka służb ochrony wieżowca Nakamoto była małym pomieszczeniem, jakieś pięć na siedem metrów. Dominowały w niej trzy ogromne, płaskie panele wideo, każdy podzielony na tuzin mniejszych ekranów. W tej chwili większość powierzchni paneli pokrywały czarne prostokąty. Jeden rząd przekazywał jednak obrazy z holu głównego i

garażu; na drugim przewijały się sceny z przyjęcia. W trzecim rzędzie natomiast można było obserwować krzątanicę ekip policyjnych na czterdziestym piątym piętrze.

Dyżur pełnił strażnik Jerome Phillips, czarny, czterdziestokilkuletni mężczyzna, ubrany w szary uniform służb ochrony z przepoconym brzegiem kołnierzyka i ciemnymi zaciekami pod jedną i drugą pachą. Kiedy wchodziliśmy, poprosił, by nie zamykać drzwi. Od razu widać było, że nasza wizyta jest mu bardzo nie w smak. Wyczułem, że coś ukrywa, ale Connor podszedł do niego jak gdyby nigdy nic. Okazaliśmy swoje odznaki i wymienili uściski dłoni. Connorowi udało się stworzyć wrażenie, że wszyscy trzej jesteśmy profesjonalistami w dziedzinie zapewniania bezpieczeństwa i wdaliśmy się w towarzyską pogawędkę.

- Widzę, że ma pan pracowitą noc, panie Phillips.

- O, tak. Ta impreza i w ogóle.

- No i ten młyn, w tym małym pokoiku. Phillips otarł pot z czoła.

- Z ust mi pan to, kurczę, wyjął. Tyle się ich tu napchało. Jezu.

- Jakich ich? - spytałem.

- Po opuszczeniu czterdziestego piątego piętra Japończycy zjechali tu na dół i obserwowali nas na monitorach - wyjaśnił Connor spoglądając na mnie. - Prawda, panie Phillips? Murzyn pokiwał głową.

- Nie wszyscy, ale sporo ich tu było. Siedzieli, smrodzili tymi przekłętymi papierochami, gapili się, kopcili i czytali faksy.

- Faksy?

- A tak. Co parę minut ktoś przynosił nowy faks. No wiecie, drukowany tymi japońskimi robaczkami. Podawali go sobie nawzajem, coś tam szwargotali. Potem któryś wychodził, żeby nadać odpowiedź. A reszta siedziała i obserwowała was, chłopaki, jak pracujecie tam na górze.

- Czy również słuchali, co mówimy? - spytał Connor. Phillips pokręcił głową.

- Nie. Nie mamy tutaj instalacji audio.

- Dziwne - mruknął Connor. - To chyba dosyć nowoczesny sprzęt.

- Dostyć nowoczesny? Chłopie, to najnowocześniejsza aparatura na świecie. Powiem wam coś. Ci ludzie robią wszystko na tip-top. Mają najlepszy system alarmowy i najlepszą instalację przeciwpożarową. Najlepsze zabezpieczenia antywstrząsowe. No i, ma się rozumieć, najlepszy elektroniczny system ochrony obiektu: najlepsze kamery, najlepsze detektory, wszystko najlepsze.

- Przecież widzę - mruknął Connor. - Dlatego zdziwiło mnie, że nie mają instalacji audio.

- Nie. Audio nie ma. Nie ma też koloru. Tylko czarno-białe monitory wysokiej rozdzielczości. Nie pytajcie dlaczego. Wiem tylko, że ma to coś wspólnego z kamerami i sposobem ich połączenia.

Na płaskich panelach wideo widziałem pięć różnych ujęć czterdziestego piątego piętra przekazywanych przez pięć różnych kamer. Najwyraźniej Japończycy zainstalowali kamery na całym piętrze. Przypomniało mi się, jak Connor chodził po atrium patrząc na sufit. Pewnie wypatrywał wtedy tych kamer.

Teraz widziałem Grahama kierującego pracą ekip w sali konferencyjnej. Palił papierosa, co było jawnym pogwałceniem zasad zachowania się na miejscu przestępstwa. Widziałem, jak Helen przeciąga się i ziewa. Tymczasem Kelly przygotowywał się do przeniesienia ciała dziewczyny ze stołu do zasuwanego na zamek błyskawiczny, plastikowego worka i...

Nagle doznałem olśnienia.

Mieli tam kamery. Pięć różnych kamer.

Obejmowały każdy zakamarek piętra.

- O Boże - jęknąłem i odwróciłem się dygocąc z podniecenia. Otwierałem już usta, żeby coś powiedzieć, ale Connor uśmiechnął się do mnie bez troski i położył mi dłoń na ramieniu. Zacisnął ją mocno.

- Poruczniku - powiedział.

Ból był straszny. Usiłowałem zapanować nad mimiką i się nie skrzywić.

- Tak, kapitanie?

- Zastanawiam się, czy mielibyście coś przeciwko temu, żebym zadał panu Phillipsowi parę pytań.

- Nie, kapitanie. Niech pan pyta.

- Może by pan trochę ponotował?

- Dobra myśl, kapitanie.

Puścił moje ramię. Sięgnąłem po notes. Connor przysiadł na skraju stołu.

- Od dawna pracuje pan w służbach ochrony Nakamoto, panie Phillips? - zagaił.

- Tak, proszę pana. Będzie już z sześć lat. Zaczynałem w ich fabryce w La Habra, a kiedy w wypadku samochodowym doznałem urazu nogi i miałem trudności z chodzeniem, przenieśli mnie do służb ochrony obiektu. W tej samej fabryce. Rozumiecie, bo tam nie trzeba było dużo chodzić. Potem, jak otworzyli fabrykę w Torrance, przenieśli mnie tam. Moja żona

też dostała pracę w zakładzie w Torrance. Produkują podzespoły do toyoty. Potem otworzyli ten budynek i ściągnęli mnie tutaj. Pracuję na nocnej zmianie.

- Rozumiem. Czyli w sumie uzbierało się sześć lat.

- Tak.

- Musi pan lubić swoją pracę.

- No, jak by tu powiedzieć, to pewna posada. W Ameryce to już coś. Wiem, że nie myślą najlepiej o czarnych, ale nie powiem, zawsze dobrze mnie traktowali. A zresztą, pracowałem dawniej w General Motors i u Van Nuysa, a tam... no wiecie, było, minęło.

- Tak - mruknął współczująco Connor.

- Co to był za bajzel - podjął Phillips potrząsając refleksyjnie głową i oddając się wspomnieniom. - Jezu. Te dupki z kierownictwa, których przysyłali nam na produkcję. Nie uwierzylibyście. Na niczym się palanty nie znały. Nie mieli pojęcia o pracy przy taśmie. Nie odróżniali narzynki od gwintownika. Ale do rozkazywania brygadziom to byli pierwsi. Wyciągają sto pieprzonych kawałków rocznie, a nic nie umieją. I wszystko szło ciągle jak po grudzie. A te ich samochody, to tylko o dupę potłuc. Ale tutaj to zupełnie coś innego - ciągnął, postukując palcem o blat. - Tutaj, jak czegoś nie wiem albo jak coś nawali, to dzwonię i zaraz przychodzą. I znają się na systemie, wiedzą, jak działa, razem rozpracowujemy problem i usuwamy go. Od ręki. Tutaj problemy usuwa się od razu. I w tym tkwi różnica. Mówię wam: ci ludzie się przykładają.

- Czyli podoba ci się tutaj?

- Zawsze po ludzku mnie traktowali - odparł Phillips kiwając głową.

Oświadczenie to nie zabrzmiało jak żarliwa deklaracja lojalności. Odnosiłem wrażenie, że facet wcale nie jest tak bezgranicznie oddany swoim pracodawcom i że kilka pytań może przełamać lody. Wystarczyło tylko trochę go przycisnąć.

- Lojalność to ważna rzecz - mruknął Connor, kiwając ze współczuciem głową.

- Dla nich tak - przyznał Phillips. - Oczekują od człowieka, żeby okazywał firmie cały swój entuzjazm. No to przychodzę zawsze piętnaście, dwadzieścia minut wcześniej i schodzę ze zmiany piętnaście, dwadzieścia minut po czasie. Oni lubią, jak się pracuje więcej niż trzeba. Robiłem tak samo u Van Nuysa, ale nikt tego nawet nie zauważył.

- A na jakie godziny przypada pański dyżur?

- Pracuję od dziewiątej wieczór do siódmej rano.

- A dzisiaj? O której przyszedł pan na służbę?

- Za piętnaście dziewiąta. Jak powiedziałem, przychodzę zawsze kwadrans wcześniej.

Policja została powiadomiona około dwudziestej trzydzieści. Gdyby więc ten człowiek rzeczywiście przyszedł do pracy kwadrans przed dwudziestą pierwszą, to nie mógł być świadkiem morderstwa, bo tego dokonano co najmniej piętnaście minut wcześniej.

- Kto miał służbę przed panem?

- No, zwykle jest to Ted Cole. Ale nie wiem, czy dzisiaj pracował.

- Jak to?

Strażnik otarł pot z czoła rękawem i odwrócił wzrok.

- Jak to, panie Phillips? - powtórzyłem z trochę większym naciskiem.

Strażnik zamrugał powiekami, zmarszczył czoło i milczał.

- Bo kiedy pan Phillips wszedł tu dzisiaj wieczorem, Teda Cole'a nie było - powiedział cicho Connor. - Prawda, panie Phillips?

Strażnik pokręcił głową.

- Nie, nie było.

Chciałem zadać następne pytanie, ale Connor powstrzymał mnie uniesieniem ręki.

- Wyobrażam już sobie pańskie zaskoczenie, panie Phillips, kiedy wszedł pan tutaj za kwadrans dziewiąta.

- A żeby pan wiedział - przyznał Murzyn.

- Co pan zrobił widząc, jaka jest sytuacja?

- No, od razu powiedziałem do tego faceta „W czym mogę pomóc?” Bardzo grzecznie, ale stanowczo. Bo to przecież dyżurka ochrony obiektu. A ja nie znam tego człowieka, nigdy w życiu go nie widziałem. A facet jest spięty. Bardzo spięty. „Zejdź mi z drogi”, mówi do mnie. I to takim tonem, jakby cały świat do niego należał. Odpycha mnie i wychodzi ze swoją walizeczką. Wołam za nim: „Przepraszam, ale proszę okazać dokumenty”. A on nic, tylko idzie dalej. Mija hol i zbiega po schodach na dół.

- I nie próbował go pan zatrzymać?

- Nie, proszę pana. Nie próbowałem.

- Bo był Japończykiem?

- No właśnie. Ale zadzwoniłem na górę, do centrali służb ochrony na dziewiątym piętrze, i mówię, że zastałem w dyżurce jakiegoś obcego człowieka. A oni na to: „Nie przejmuj się, wszystko jest w porządku”. Ale słyszę po głosie, że oni też są jacyś spięci. Wszyscy są spięci. I nagle widzę na monitorze... nieżywą dziewczynę. I dopiero wtedy skapowałem, co jest grane.

- A ten mężczyzna? - spytał Connor. - Potrafiłby go pan opisać?

Strażnik wzruszył ramionami.

- Trzydzieści, trzydzieści pięć lat. Średniego wzrostu. Granatowy garnitur, taki jaki oni wszyscy noszą. Był chyba trochę bardziej fircykowaty niż większość z nich: miał krawat w trójkąty. Aha, i bliznę na dłoni, jakby po oparzeniu, czy coś w tym rodzaju.

- Na której dłoni?

- Na lewej. Zauważyłem ją, kiedy zamykał walizeczkę.

- Widział pan wewnątrz tej walizeczki?

- Nie.

- Ale kiedy pan wchodził do dyżurki, on ją zamykał?

- Tak.

- Czy nie odniósł pan wrażenia, że on coś zabrał z dyżurki?

- Naprawdę trudno mi powiedzieć.

Phillips zaczynał mnie denerwować swoimi wymijającymi odpowiedziami.

- Co według pana zabrał? - spytałem. Connor rzucił mi zniescierpliwione spojrzenie. Strażnik z miejsca się usztywnił.

- Naprawdę nie wiem, proszę pana.

- Oczywiście, że pan nie wie - wtrącił Connor. - Skąd miałby pan wiedzieć, co jest w czyjejś walizeczce. A tak nawiasem mówiąc, czy rejestrujecie tutaj przekazy z kamer zainstalowanych w budynku?

- Tak, rejestrujemy.

- Mógłby mi pan zademonstrować, jak to się robi?

- Jasne. - Strażnik wstał zza biurka i otworzył drzwi w drugim końcu pomieszczenia. Weszliśmy za nim do małego pokoiku, prawie ściennej szafy, zastawionego od podłogi po sufit niewielkimi metalowymi pudełkami, z których każde nosiło etykietkę z napisem naniesionym japońskimi znakami *kanji* oraz angielskim numerem. Na płycie czołowej każdego paliło się czerwone światełko oraz widniał licznik z wyświetlaczem cyfrowym, na którym szybko zmieniały się wskazania.

- To nasze rejestratory - wyjaśnił Phillips. - Zapisują obrazy z kamer rozmieszczonych w całym budynku, na ośmiomilimetrowych, czarno-białych kasetach wysokiej rozdzielczości.

- Pokazał nam małą kasetę podobną do magnetofonowej. - Mieści się tu osiem godzin nagrania. Zmieniamy je o dziewiątej wieczorem. Jest to pierwsza rzecz, jaką robię, obejmując dyżur. Wyciągam stare i wkładam nowe.

- A dzisiaj o dwudziestej pierwszej zmieniał pan kasety w rejestratorach?

- Tak, proszę pana. Jak zawsze.

- A co pan robi z wyjętymi kasetami?

- Układam je tu, na tych paletach - powiedział Phillips, schylając się, żeby pokazać nam kilka długich, wąskich szufladek. - Przechowujemy wszystkie zapisy z kamer przez siedemdziesiąt dwie godziny. Znaczą się, przez trzy dni. Tak więc zawsze leży tu w sumie dziewięć zestawów taśm. I każdy zestaw jest co trzeci dzień wykorzystywany ponownie. Zrozumieliście, panowie?

Connor zawahał się.

- Może lepiej to sobie zapiszę - mruknął wyciągając z kieszeni mały notesik i pióro. - A więc tak. Każda taśma starcza na osiem godzin, a więc macie dziewięć zestawów...- Tak, tak.

Kapitan notował przez chwilę i naraz przerwał, by z rozdrażnieniem potrząsnąć długopisem.

- Przekłety długopis. Już się wypisał. Ma pan tu koszyk na śmieci?

- Tam stoi. - Strażnik wskazał róg pomieszczenia.

- Dziękuję.

Connor wrzucił długopis. Podał mu swój. Wrócił do notowania.

- Mówi pan, panie Phillips, że używacie dziewięciu zestawów...

- Tak. Poszczególne zestawy oznaczone są literami od A do I. Kiedy przychodzi o dziewiątej, wyciągam taśmy z rejestratorów i patrzę, jaką mają literę, a potem wkładam taśmy oznaczone następną w kolejności. Na przykład, dzisiaj wieczorem wyjąłem zestaw C, a więc włożyłem na jego miejsce taśmy oznaczone literą D i teraz na nich odbywa się rejestracja.

- Rozumiem - mruknął Connor. - A taśmy zestawu C umieścił pan w którejś z tych szufladek?

- Tak. - Murzyn wyciągnął jedną z szuflad. - W tej.

- Mogę? - zapytał Connor. Zerknął na rząd starannie opisanych taśm. Potem zaczął otwierać szybko inne szufladki i przyglądać się innym zestawom kaset. Zawartość wszystkich szufladek wyglądała identycznie; różne były tylko litery.

- Chyba teraz zrozumiałem - powiedział kapitan. - Używacie rotacyjnie dziewięciu zestawów taśm.

- Dokładnie tak.

- Czyli że każdy zestaw używany jest co trzy dni.

- Tak.

- I od jak dawna służby ochrony stosują ten system?

- Budynek jest nowy, ale my pracujemy tu już od, hmmmm, jakichś dwóch miesięcy.

- Trzeba przyznać, że to bardzo dobrze zorganizowany system - rzekł z uznaniem Connor. - Dziękuję panu za wyjaśnienia. Ale mam jeszcze parę pytań.

- Oczywiście.

- Po pierwsze, chodzi mi o te liczniki... - powiedział Connor wskazując na wyświetlacze rejestratorów. - Wskazują chyba czas, jaki upłynął od rozpoczęcia rejestracji na danej taśmie. Dobrze mówię? Bo dochodzi już dwudziesta trzecia, pan zmienił taśmy o dwudziestej pierwszej, a licznik górnego rejestratora wskazuje 1:55:30, następnego 1:55:10, i tak dalej.

- Zgadza się. Wkładam taśmy kolejno, jedna po drugiej. Stąd tych kilka sekund różnicy pomiędzy wskazaniami poszczególnych liczników.

- Rozumiem. Wszystkie wskazują prawie dwie godziny. Ale zauważyłem, że licznik jednego z dolnych rejestratorów pokazuje dopiero trzydzieści minut. Czy to oznacza, że się zepsuł?

- Hmm - mruknął Phillips, ściągając brwi. - Wychodzi, że tak. Bo, jak powiedziałem, wymieniłem, jedną po drugiej, wszystkie taśmy. Niby są to rejestratory najnowszej generacji, ale czasem trafi się wadliwy. Zdarzają się też spadki napięcia w sieci. Może to przez to.

- Tak. Całkiem możliwe - przyznał Connor. - A może mi pan powiedzieć, do której kamery podłączony jest ten rejestrator?

- Oczywiście. - Strażnik odczytał numer rejestratora i wyszedł do pomieszczenia głównego, tego z monitorami wideo. - To kamera czterdzieści sześć łamane przez sześć - stwierdził. - Ten tutaj monitor. - Postukał palcem w jeden z ekranów.

Była to kamera zainstalowana w atrium i przekazująca ogólny widok czterdziestego piątego piętra.

- No i widzicie teraz panowie - powiedział Phillips - całą urodę tego systemu. Nawet jeśli nawali któryś z magnetowidów, to wszystkie kamery nadal przekazują obraz z piętra i rejestratory pozostałych kamer działają bez zarzutu.

- Rzeczywiście, działają - przyznał kapitan. - A tak przy okazji, czy mógłby mi pan wyjaśnić, dlaczego na czterdziestym piątym piętrze jest tyle kamer?

- Niech pan nikomu nie mówi, że dowiedział się tego ode mnie - zastrzegł Murzyn. - Ale wie pan, jak oni dbają o wydajność pracy. Krążą słuchy, że zamierzają *kaizen* pracowników biurowych.

- A więc te kamery zainstalowano przede wszystkim po to, żeby obserwować urzędników w godzinach pracy i pomóc im w podnoszeniu wydajności?

- Tak slyszalem.

- No coz, chyba tak wlasnie jest - powiedzial Connor. - Aha, jeszcze jedno pytanie.

Zna pan adres Teda Cole'a?

- Nie, nie znam. - Phillips pokrecil glowa.

- Spotyka pan sie z nim na mieście po godzinach pracy?

- Tak, ale nie za czesto. To dziwny facet.

- Byl pan kiedyś u niego w mieszkaniu?

- Nie. On jest troche skryty. Zdaje sie, ze mieszka z matka, czy cos takiego. Zwykle chodzimy do baru Palomino przy lotnisku. Jemu tam sie podoba. Connor skinal glowa.

- I ostatnie pytanie: gdzie jest najblizszy automat telefoniczny?

- W holu, po prawej, obok toalet. Ale prosze skorzystac z mojego telefonu.

Kapitan uscinal serdecznie dlon straznika.

- Panie Phillips, jestem panu niezmiernie zobowiazany za to, ze poswiecil nam pan tyle czasu.

- Nie ma sprawy.

Wruczylem straznikowi swoja wizytowke.

- Jesli dojdzie pan do wniosku, ze moze nam w czymś pomoc, panie Phillips, prosze od razu do mnie zatelefonowc - powiedzialem i wyszedlem.

7

Connor stal w holu przy automacie. Byla to jedna z tych nowych budek telefonicznych z dwoma aparatami na przeciwnych sciankach, z ktorej mogly korzystac rownoczesnie, na tej samej linii, dwie stojace obok siebie osoby. Przed laty budki takie pojawily sie w Tokio, a ostatnio zaczynaly wyrastac jak grzyby po deszczu w calym Los Angeles. Towarzystwo Pacific Bell traciło stopniowo monopol na siec publicznych automatów w Ameryce. Rowniez na ten rynek wchodzili juz producenci japonscy. Obserwowalem Connora zapisujacego sobie w notesie numer telefonu.

- Co robisz?

- Musimy jeszcze dzisiaj znalezc odpowiedz na dwa zasadnicze pytania. Po pierwsze, jak doszlo do zabojstwa dziewczyny na pietrze biurowym. A po drugie, kto powiadomil policje o morderstwie.

- I podejrzewasz, ze telefonowano z tego aparatu?

- Być może.

Zamknął notes i zerknął na zegarek.

- Późno już. Bierzmy się lepiej do roboty.

- Wydaje mi się, że popełniamy wielki błąd.

- A to czemu? - zdziwił się Connor.

- Nie powinniśmy chyba zostawiać tych taśm bez opieki w dyżurce ochrony obiektu.

A jeśli pod naszą nieobecność ktoś je podmieni?

- Już je podmieniono - powiedział spokojnie kapitan.

- Skąd wiesz?

- Poświęciłem wspaniały długopis, żeby to sprawdzić - odparł. - No, chodźmy. Ruszył w kierunku schodów prowadzących na dół, do garażu. Podążyłem za nim.

- Bo widzisz - podjął Connor - kiedy Phillips zaczął wyjaśniać nam ten prosty system rotacji, od razu nasunęło mi się podejrzenie, że taśmy mogły zostać podmienione. Teraz trzeba tego tylko dowieść.

Jego głos niósł się echem po betonowej klatce schodowej. Zbiegał na dół, przeskakując po dwa stopnie naraz. Starłem się dotrzymać mu kroku.

- Jeśli ktoś rzeczywiście podmienił taśmy - ciągnął - to jak to zrobił? Na pewno działał w pośpiechu, nerwowo. Bał się, że popełni jakiś błąd. Na pewno nie chciał zostawić żadnych obciążających kaset. Podmienił więc prawdopodobnie cały zestaw. Ale czym go zastąpił? Nie mógł go tak po prostu zabrać. W sumie istnieje dziewięć zestawów i gdyby zostało tylko osiem, łatwo byłoby zauważyć, że jednego brakuje. Pusta szuflada rzucałaby się od razu w oczy. Nie, ten ktoś musiał zastąpić zestaw, który zabrał, zupełnie nowym. Dwadzieścia nowiutkich kaset. I od razu przyszło mi do głowy, żeby zajrzeć do kosza na śmieci.

- I dlatego wyrzuciłeś długopis?

- Tak. Nie chciałem, żeby Phillips zorientował się, o co mi chodzi.

- I co?

- Kosz był pełen zmiętych foliowych opakowań. Takich, w jakie owija się kasety wideo.

- Rozumiem.

- Skoro przekonałem się już, że taśmy zostały podmienione, pozostawało ustalić jeszcze, którego zestawu to dotyczy. Udałem więc tępaka i zacząłem zaglądać do wszystkich szuflad po kolei. Zauważyłem prawdopodobnie, że zestaw C, ten który Phillips na początku swojego dyżuru wyjął z rejestratorów, miał etykiety trochę bielsze od pozostałych. Różnica

była nieznaczną, bo służby ochrony zaczęły pracę zaledwie przed dwoma miesiącami, ale wyraźna.

- Rozumiem. - Ktoś wszedł do dyżurki służb ochrony obiektu z dwudziestoma nowymi kasetami wideo, odpakował je z folii, wypisał nowe etykiety i wsunął do rejestratorów w miejsce taśm, na których zarejestrowane zostało morderstwo.

- Jeśli interesuje cię moje zdanie, to Phillips wie na ten temat więcej, niż nam powiedział.

- Być może - przyznał Connor - ale mamy do załatwienia coś ważniejszego. Tak czy inaczej, istnieje jakaś granica jego wiedzy. Policja została powiadomiona telefonicznie o dwudziestej trzydzięci. Phillips przyszedł do pracy kwadrans przed dwudziestą pierwszą. Nie mógł więc być naocznym świadkiem morderstwa. Można założyć, że widział je poprzedni strażnik, ten Cole. Ale kwadrans przed dwudziestą pierwszą Cole'a nie było już w dyżurce, przebywał tam natomiast jakiś nie zidentyfikowany Japończyk, który zamykał właśnie walizeczkę.

- Myślisz, że to on zamienił kasety?

- Bardzo możliwe. - Connor skinął głową. - Prawdę mówiąc, to nie zdziwiłbym się, gdyby ten sam człowiek okazał się mordercą. Mam nadzieję, że uda mi się to ustalić, przeprowadzając przeszukanie w mieszkaniu panny Austin. - Pchnął energicznie drzwi i wkroczył do garażu.

8

Kolejka gości opuszczających przyjęcie czekała, aż parkingowi podstawią ich samochody. Dostrzegłem Ishigurę gawędzącego z burmistrzem Thomasem i jego żoną. Connor pociągnął mnie w ich stronę. Japończyk, stojący obok burmistrza, zachowywał się tak wylewnie, że graniczyło to z lizusostwem. Obdarzył nas szerokim uśmiechem.

- O, jesteście panowie. No i jak posuwa się śledztwo? Czy mogę jeszcze w czymś pomóc?

Dopiero teraz ogarnął mnie prawdziwy gniew: teraz, kiedy zobaczyłem go, jak nadskakuje burmistrzowi. Aż poczerwieniałem z wściekłości. Ale Connor wziął to z marszu.

- Dziękuję, Ishigura-san - powiedział z lekkim ukłonem. - Śledztwo toczy się ustalonym trybem.

- Czy uzyskaliście pomoc, o którą prosiliście? - spytał Ishigura.

- O, tak - odparł Connor. - Wszyscy chętnie z nami współpracują.

- To dobrze, to dobrze. Cieszę się. - Ishigura zerknął na burmistrza i do niego też się uśmiechnął. Cały był jednym wielkim uśmiechem.

- Ale - ciągnął kapitan - powstał pewien problem.

- Proszę się nie krępować. Jeśli tylko będę w stanie coś zaradzić...

- Wszystko wskazuje na to, że podmienione zostały taśmy w dyżurce ochrony obiektu.

- Taśmy w dyżurce? - Japończyk zmarszczył czoło, wyraźnie zaskoczony.

- Tak - powiedział Connor. - Taśmy z zarejestrowanymi przekazami z kamer telewizji wewnętrznej.

- Nic mi o tym nie wiadomo - wybąkał Ishigura. - Ale zapewniam pana, że jeśli takie taśmy istniały, otrzymacie je do wglądu.

- Dziękuję. Niestety, wszystko wskazuje na to, że te ważne taśmy zostały wyniesione z dyżurki ochrony wieżowca Nakamoto.

- Wyniesione? Panowie, to z pewnością jakieś nieporozumienie. Burmistrz przysłuchiwał się rozmowie z rosnącym zainteresowaniem.

- Być może, ale nie wydaje mi się - stwierdził Connor. - Byłbym bardzo zobowiązany, panie Ishiguro, gdyby zajął się pan tą sprawą osobiście.

- Obiecuję, że się zajmę - przyrzekł tamten. - Ale jeszcze raz powtarzam, to nie do wiary, żeby brakowało jakichś taśm, kapitanie Connor.

- Z góry dziękuję za współpracę - powiedział Connor.

- Doprawdy nie ma za co, kapitanie - odparł Japończyk wciąż się uśmiechając. - Z najwyższą przyjemnością będę służyć panu wszelką pomocą.

- Sukinsyn - warknąłem. Jechaliśmy na zachód, w stronę Santa Monica. - Ten mały kurdupel łął nam w żywe oczy.

- Tak, to irytujące - przyznał Connor. - Ale zrozum, Ishigura widzi to inaczej. Teraz, stojąc u boku burmistrza, postrzega siebie w innej sytuacji, przedstawia się na inny zestaw obowiązków i zachowań. Ponieważ jest wyczulony na okoliczności, musi działać odmiennie bez żadnych odniesień do swojego wcześniejszego zachowania. Nam może się wydawać zupełnie inną osobą. Ale Ishigura uważa, że tak właśnie trzeba.

- Najbardziej wkurza mnie ta jego pewność siebie.

- Bo on świadomie ją okazuje. I byłby wielce zaskoczony, dowiedziawszy się, że ciebie to drażni. Uważasz go za niemoralnego. On uważa ciebie za naiwnego. Bo konsekwencja w zachowaniu jest dla Japończyka nie do pomyślenia. Japończyk staje się kimś

innym w zależności od rangi danej osoby. Staje się inny, przechodząc z pokoju do pokoju we własnym domu.

- Tak - mruknąłem. - Wszystko pięknie ładnie, ale faktem jest, że skubaniec kłamie.

Connor spojrział na mnie. - Czy rozmawiałbyś w ten sposób ze swoją matką?

- Oczywiście, że nie.

- A więc ty też się zmieniasz w zależności od sytuacji - wytknął mi. - Prawda jest taka, że wszyscy się zmieniamy. Tylko że Amerykanie wierzą w pewien stały rdzeń indywidualności, który nie ulega zmianie z minuty na minutę. Japończycy są natomiast zdania, że wszystko zależy od okoliczności.

- To mi zakrawa na usprawiedliwianie kłamstwa - burknąłem.

- W jego mniemaniu to nie jest kłamstwo.

- Co nie zmienia faktu, że jednak nim jest. Connor wzruszył ramionami.

- Tylko z twojego punktu widzenia, *kohai*. Z jego, nie.

- Tam do diabła.

- Posłuchaj, wybór należy do ciebie. Albo postarasz się zrozumieć Japończyków i akceptować ich takimi, jacy są, albo idź w cholere. Cały problem polega na tym, że my, Amerykanie, nie potrafimy wczuć się w ich mentalność.

Wóz podskoczył na dziurze w jezdni. Wstrząs był tak silny, że słuchawka samochodowego telefonu spadła z zaczepu. Connor podniósł ją z podłogi i odwiesił na miejsce.

Dostrzegłem przed sobą zjazd na Bundy. Skręciłem na prawy pas.

- Jedno nie jest dla mnie jasne - odezwałem się. - Z czego wnioskujeś, że mężczyzna z walizką z dyżurki ochrony mógł być zabójcą?

- Z sekwencji czasowej. Zastanów się, policję powiadomiono o morderstwie o dwudziestej trzydziści dwie. Niecały kwadrans później, o dwudziestej czterdziści pięć, jakiś Japończyk był już na dole i podmieniał taśmy, by zatrzeć w ten sposób ślady. To bardzo szybka reakcja. O wiele za szybka, jak na japońską firmę.

- A to czemu?

- Japońskie organizacje w sytuacjach kryzysowych reagują z zasady bardzo ospale. Decyzje podejmowane są tam na podstawie wcześniejszych wydarzeń, a kiedy sytuacja jest bezprecedensowa, ludzie tracą głowę. Pamiętasz te fakty, o których wspominał Phillips? Jestem przekonany, że śmigają teraz tam i z powrotem pomiędzy tutejszą filią Nakamoto a tokijską centralą. Firma bez wątplenia nie zdecydowała jeszcze, co robić. Japońska organizacja nie potrafi po prostu działać szybko w nowej sytuacji.

- Ale osoba działająca w pojedynkę potrafi?

- Właśnie dlatego podejrzewasz, że mężczyzna z walizką może być zabójcą - mruknąłem. Connor skinął głową.

- Tak. Albo zabójcą, albo kimś blisko powiązany z zabójcą Ale w mieszkaniu panny Austin powinniśmy dowiedzieć się czegoś więcej. Zdaje się, że już dojeżdżamy. To ten dom po prawej

9

Czynszowa kamienica Imperial Arms stała przy wysadzonej drzewami ulicy jakiś kilometr od Westwood Village. Niby-elżbietańskie belki w jej ścianach domagały się na gwałt świeżej farby, a całość sprawiała dosyć przygnębiające wrażenie. Dom nie wyróżniał się jednak niczym szczególnym spośród innych budynków w tej niezbyt zamożnej dzielnicy, zamieszkiwanej głównie przez absolwentów wyższych uczelni i młode rodziny. Prawdę mówiąc, to podstawową cechę charakterystyczną Imperial Arms stanowiła chyba jego anonimowość; można było przejeżdżać tędy codziennie i nawet go nie zauważyć.

- Idealny - mruknął Connor, kiedy wstępowaliśmy po schodkach prowadzących do drzwi wejściowych. - To właśnie lubią.

- Co i kto lubi?

Weszliśmy do holu, który odnowiono w najmodniejszym ostatnio w Kalifornii stylu: pastelowe tapety w kwiaty, przepastne kanapy, tanie ceramiczne lampy i chromowany stoliczek do kawy. Jedyne, co odróżniało go od holi w setkach innych domów czynszowych, to biurko portiera w rogu, za którym siedział potężnie zbudowany Japończyk, łypiąc na nas sponad rozpostartego komiksu zdecydowanie nieprzychylnym okiem.

- O co chodzi?

Connor okazał swoją odznakę i spytał o mieszkanie Cheryl Austin.

- Zapowiem panów - zaoferował się portier sięgając do telefonu.

- Szkoda fatygi.

- Nie. Zapowiem. - Może ma teraz gości.

- Na pewno nie ma - powiedział Connor. - *Kore wa keisatsu no shigoto da.* - Mówił, że jesteśmy tu służbowo.

Portier skłonił się sztywno.

- *Heya hango wa kyū desu.* - Wręczył kapitanowi klucz. Przeszliśmy przez drugie oszklone drzwi i ruszyliśmy korytarzem o pokrytej dywanem podłodze. W obu jego końcach stały małe, lakierowane stoliczki, a wewnątrz, w swej prostocie, było zadziwiająco eleganckie.

- Typowo japońskie - stwierdził z uśmiechem Connor.

Zrzućmy okiem na ten dom z epoki elżbietańskiej w Westwood? - pomyślałem. To ma być typowo japońskie? Z pokoju po lewej słyszałem ciche dźwięki muzyki w stylu rap: ostatni przebój Hamera.

- Chodzi mi o to, że wygląd zewnętrzny nie mówi nic o wnętrzu - wyjaśnił. - To fundamentalna zasada japońskiego sposobu myślenia. Publiczna fasada, czy to w odniesieniu do architektury, czy do twarzy ludzkiej, do czegokolwiek, pozostaje nieodgadniona. Zawsze tak było. Spójrz na stare samurajskie domy w Takayamie albo w Kioto. Z ich zewnętrznego wyglądu nie wyciągniesz żadnych wniosków.

- To japoński budynek?

- Oczywiście. Czy w innym wypadku obowiązki portiera pełniłby człowiek narodowości japońskiej, który ledwo mówi po angielsku? A poza tym on jest *yakuza*. Pewnie zauważyłeś tatuaż.

Nie zauważyłem. *Yakuza* to japońscy gangsterzy. Nie wiedziałem, że tutaj, w Ameryce, można ich spotkać, i przyznałem się do tego Connorowi.

- Musisz zdać sobie sprawę - odparł - z istnienia widmowego świata, tutaj, w Los Angeles, w Honolulu, w Nowym Jorku. Nie zauważasz go na co dzień. Żyjemy w naszym normalnym, amerykańskim świecie, spacerujemy po amerykańskich ulicach i przez myśl nam nie przejdzie, że tuż obok naszego świata funkcjonuje inny. Bardzo dyskretny, bardzo prywatny. Być może w Nowym Jorku zobaczysz, jak japońscy biznesmeni wchodzą przez jakieś nie oznakowane drzwi, za którymi uda ci się dostrzec wnętrze przypominające klub. Może usłyszysz o małych barach sushi w Los Angeles, do których wstęp kosztuje dwieście dolarów od osoby, czyli tyle co w Tokio. Ale wzmianki o nich nie znajdziesz w żadnym przewodniku. One nie należą do amerykańskiego świata. Stanowią część świata widmowego, są dostępne tylko dla Japończyków.

- A ten dom? - To *bettaku*. Rezydencja miłości, w której trzymane są nałożnice. I tutaj znajduje się mieszkanie panny Austin.

Connor otworzył drzwi kluczem, który dał mu portier. Weszliśmy do środka.

Był to apartament z dwoma sypialniami umeblowany kosztownymi, zbyt dużymi, jak na to wnętrze, wynajętymi sprzętami w pastelowych odcieniach różu i zieleni. Olejne obrazy wiszące na ścianach również pochodziły z wypożyczalni; z boku ramy jednego z nich

widniała tabliczka z napisem WYPOŻYCZALNIA BREUNERA. Kuchenna lada była pusta, nie licząc patery z owocami. W lodówce stał tylko jogurt i kilka puszek dietetycznej coli. Kanapy w salonie wyglądały tak, jakby jeszcze nikt na nich nie siedział. Na stolyczku do kawy leżał album z portretami gwiazd Hollywoodu i stał wazon z suszonymi kwiatami. Tu i ówdzie dostrzegłem puste popielniczki.

Jedną z sypialni przeznaczono na pokój wypoczynkowy. Stała tam kanapa i telewizor, a w rogu rower treningowy. Wszystko było nowiutkie. Z telewizora nie usunięto jeszcze nalepki z napisem DOSTRAJANIE CYFROWE, przyklejonej na skos w rogu ekranu. Kierownica roweru treningowego owinięta była folią.

Na jakiś ludzki nieład natknąłem się dopiero w głównej sypialni. Jedno skrzydło drzwi ściennej szafy z lustrem od wewnątrz było uchylone, a w poprzek łóżka leżały trzy drogie suknie wieczorowe. Najwyraźniej nie mogła się zdecydować, którą włożyć. Na blacie komody wały się flakoniki perfum, naszyjnik z diamentami, złoty rolex, fotografie w ramkach i popielniczka ze zduszonymi niedopałkami papierosów Mild Seven Menthol. Górna szuflada komody była częściowo wysunięta; zawierała majtki i bieliznę. Zauważyłem paszport upchnięty w kącie. Przekartkowałem go. Znalazłem jedną wizę z Arabii Saudyjskiej, jedną z Indonezji i trzy pieczętki poświadczenia wjazdu do Japonii.

Wieża stereo w rogu była włączona, a w kieszeni magnetofonu tkwiła wysunięta kasetka. Wepchnąłem ją z powrotem i usłyszałem fragment piosenki Jerry'ego Lee Lewisa:

Szarpiesz moje nerwy, płaczesz wszystkie myśli, Zbyt wiele miłości zżera moje zmysły...

Teksaska muzyka, zbyt przestarzała dla takiej młodej dziewczyny. Ale może lubiła złotych staruszków.

Podszedłem znowu do szuflady. Kilka oprawionych w ramkę, kolorowych powiększeń z uśmiechniętą Cheryl Austin na tle azjatyckich plenerów - czerwone bramy świątyni, wymuskane ogrody, ulica z szarymi wieżowcami, stacja kolejowa. Fotografie były chyba robione w Japonii. Na większości Cheryl występowała sama, ale na kilku towarzyszył jej starszy Japończyk w okularach, z cofającą się linią włosów. Ostatnie zdjęcie przedstawiało ją pośród krajobrazu, który przypominał amerykański Zachód. Uśmiechnięta Cheryl stała przy zakurzonej półciężarówce w towarzystwie drobnej staruszki w okularach przeciwsłonecznych. Staruszka nie uśmiechała się i wyglądała na skrepowaną.

Obok komody stało kilka długich rolek papieru. Rozwinąłem jedną. Ujrzałem poster z uśmiechniętą Cheryl w bikini, trzymającą w ręku butelkę piwa Asahi. Wszystkie napisy na plakacie były po japońsku.

Wszedłem do łazienki.

W kącie leżała zwinięta w kłębek para dżinsów. Rzucony byle jak sweter na blacie szafki. Wilgotny ręcznik na wieszaku obok kabiny natrysku. Kropelki wody w kabinie. Wyłączone z gniazdka elektryczne lokówki na szafce. Zatknięte za ramę lustra fotografie Cheryl stojącej z jakimś innym Japończykiem na nabrzeżu w Malibu. Ten mężczyzna nie miał jeszcze czterdziestu lat i był przystojny. Na jednej z fotografii otaczał ją poufale ramieniem. Widać było wyraźnie bliznę na grzbiecie jego dłoni.

- Bingo! - zawołałem. Do łazienki wszedł Connor.

- Znalazłeś coś?

- Naszego faceta z blizną.

- Bardzo dobrze. - Oglądał uważnie fotografię. Rozejrzałem się po bałaganie panującym w łazience, rozgardiaszu przy umywalce.

- Wiesz - powiedziałem - coś mi się tu nie podoba.

- Co takiego?

- Wiem, że nie mieszkała tu długo. I wiem, że wszystko jest wynajęte... ale mimo to... nie mogę się pozbyć wrażenia, że to inscenizacja. Tylko nie bardzo wiem, dlaczego tak mi się wydaje.

- Bardzo dobrze, poruczniku. - Connor uśmiechnął się. - To jest inscenizacja. I ma swoje przyczyny.

Podał mi fotografię z polaroida. Przedstawiała łazienkę, w której staliśmy. Ciśnięte w kąt dżinsy. Ręcznik na wieszaku. Lokówki na blacie szafki. Ale robiono ją przez szerokokątny obiektyw, który wszystko zniekształca. Używają ich czasem policyjne ekipy techniczne do fotografowania miejsca przestępstwa.

- Skąd ją masz?

- Znalazłem w koszu na śmieci w holu przy windach.

- Czyli musiała zostać zrobiona dziś wczesnym wieczorem.

- Tak. Dostrzegasz w tym pomieszczeniu jakieś różnice? Przyjrzałem się dokładnie fotografii.

- Nie, wszystko wygląda tak samo... ale zaraz. Te zdjęcia w ramie lustra. Na fotografii ich nie ma. Zatknięto je później.

- Właśnie. - Connor wyszedł z powrotem do sypialni. Wziął z komody jedną ze stojących tam, oprawionych w ramki fotografii.

- Teraz przypatrz się temu zdjęciu - rzekł. - Panna Austin i jej japoński przyjaciel na stacji Shinjuku w Tokio. Prawdopodobnie jadą do Kabukicho albo wracają właśnie z

zakupów. Zwróć uwagę na prawy brzeg zdjęcia. Widzisz tę wąską smugę jaśniejszego koloru?

- Widzę. - I naraz zrozumiałem, co oznacza ta smuga: to zdjęcie przysłonięte było innym. Krawędź trochę wystawała i wyblakła na słońcu. - Zabrano górne zdjęcie.

- Zgadza się - przyznał Connor.

- Ten apartament został przeszukany.

- Owszem - powiedział. - Dokładna robota. Byli tu wcześniej, zrobili zdjęcia polaroidem, przetrząsnęli pokoje, a potem przywrócili wszystko do poprzedniego stanu. Ale takiego czegoś nie da się zrobić idealnie. Japończycy mawiają, że naturalność jest najtrudniejszą sztuką, a mają wrodzoną obsesję na punkcie porządku. Zatem zbyt równo poustawiali ramki z fotografiami na blacie i zbyt dokładnie pomieszali flakoniki z perfumami. Wszystko jest trochę nienaturalne. Mózg może tego nie rejestruje, ale oko widzi.

- Tylko po co przeszukiwali pokój? - spytałem. - Jakie zdjęcia zabrali? Jej z mordercą?

- Nie wiadomo - odparł Connor. - Najwyraźniej nie chodziło o ukrycie jej związków z Japonią i Japończykami. Ale było tu coś, co musieli szybko usunąć, a mogło to być tylko...

I wtedy z salonu doleciał nas niepewny głos:

- Lynn? Kochanie? Jesteś tutaj?

10

Jej sylwetka rysowała się ostro w prostokącie framugi. Zajrzała do środka. Stała boso, w samych szortach i biustonoszu. Nie widziałem dobrze jej twarzy, ale była najwyraźniej z tych, które mój dawny partner Anderson nazywał zaklinaczkami węży.

Connor pokazał swoją odznakę. Powiedziała, że nazywa się Julia Young. Miała południowy akcent i trochę plątał jej się język. Connor zapalił światło i mogliśmy lepiej się jej przyjrzeć. Była piękną dziewczyną. Weszła niepewnie do pokoju.

- Słyszałam muzykę... ona tu jest? Czy z Cherylynn wszystko w porządku? Miała iść dzisiaj wieczorem na jakieś przyjęcie.

- Ja o niczym nie słyszałem - powiedział Connor zerkając na mnie. - Znasz Cherylynn?

- Tak, pewnie. Mieszkam po drugiej stronie korytarza, pod ósemką. Co wy wszyscy robicie w jej pokoju?

- Wszyscy?

- No, wy dwaj. A przedtem tych dwóch Japończyków.

- Kiedy tu byli?

- Nie wiem. Jakieś pół godziny temu. Czy Cherylynn coś się stało?

- Przyjrzała się pani tym mężczyznom, panno Young? - zapytałem. Przyszło mi do głowy, że może podglądała przez dziurkę od klucza zza swoich drzwi.

- No... chyba tak. Powiedziałam im: cześć.

- Jak to?

- Jednego z nich dobrze znam. To Eddie.- Eddie?

- Eddie Sakamura. Szybki Eddie. Wszystkie go znamy.

- Możesz go nam opisać? - wtrąciłem. Spojrzała na mnie z zabawnym politowaniem.

- To ten na zdjęciach... ten młody facet z blizną na dłoni. Myślałam, że wszyscy znają Eddiego Sakamurę. Bez przerwy piszą o nim w gazetach. Imprezy na cele charytatywne i takie tam. Lubi się pokazać.

- Czy orientujesz się, gdzie można go znaleźć? - spytałem.

- Eddie Sakamura jest udziałowcem polinezyjskiej restauracji Bora Bora w Beverly Hills. Tam też mieszka - wtrącił Connor.

- O właśnie - przytaknęła Julia. - Jest tam jak w biurze. Ja bym nie wytrzymała. Za dużo hałasu. Ale Eddie jest w ciągłym w ruchu, poluje na blondyny przy kości. Uwielbia podrywać dziewczyny.

Oparła się o stół i uwodzicielskim gestem odgarnęła z twarzy rude włosy. Spojrzała na mnie wydymając lekko wargi.

- Jesteście partnerami?

- Tak - odparłem.

- On pokazał mi swoją odznakę. Ale twojej jeszcze nie widziałam.

Wydobyłem portfel. Spojrzała.

- Peter - odczytała. - Mój pierwszy chłopak miał na imię Peter. Ale nie był taki przystojny jak ty. - Obdarzyła mnie uśmiechem.

Connor odchrząknął.

- Byłaś już kiedyś w mieszkaniu Cherylynn? - zapytał.

- No chyba. Przecież mieszkam naprzeciwko. Ale ona rzadko tu ostatnio zaglądała. Nosi ją wciąż po świecie.

- Dokąd jeździ?

- Wszędzie. Do Nowego Jorku, do Waszyngtonu, do Seattle, do Chicago... dosłownie wszędzie. Ma teraz przyjaciela, który dużo podróżuje. Spotyka się z nim. Ścisłej, to chyba spotyka się z nim wtedy, kiedy w okolicy nie ma jego żony.

- To znaczy, że ten przyjaciel jest żonaty?

- No, coś w tym rodzaju. W każdym razie są tam jakieś przeszkody.

- Znasz go?

- Nie. Powiedziała mi kiedyś, że on nigdy tu nie przyjdzie. To jakiś bardzo ważny gość. Naprawdę bogaty. Przysyłają po nią odrzutowiec, ona wsiada i leci. Kimkolwiek jest ten facet, Eddie szaleje. Ale wiecie, Eddie to typ zazdrośnika. Chce być dla wszystkich dziewczyn *iro otoko*. Seksownym kochankiem.

- Czy Cheryl i jej przyjaciel trzymają swój związek w tajemnicy? - spytał Connor.

- Bo ja wiem? Nie zastanawiałam się nad tym. Po prostu ona traktuje go bardzo poważnie. Jest nieprzytomnie zakochana w tym facecie.

- Nieprzytomnie zakochana?

- Nawet sobie nie wyobrażacie. Widziałam już, jak rzuca wszystko i biegnie na każde jego skinienie. Wpada do mnie pewnej nocy podniecona, jak nie wiem co, i oddaje mi dwa bilety na koncert Bruce'a Sprigsteena, bo leci do Detroit. Ma tylko podręczny bagaż, a na sobie skromniutką kieckę. Okazuje się, że zadzwonił dziesięć minut temu i powiedział „Przyjedź”. Cała rozpromieniona jak pięcioletnia dziewczynka. Sama nie wiem. Czy ona nie zdaje sobie sprawy?

- Z czego?

- Że ten gość zwyczajnie ją wykorzystuje.

- Czemu tak uważasz?

- Cherylynn jest piękna i rzeczywiście ma prezencję. Kiedy była modelką, zjeżdżała cały świat. Pracowała głównie w Azji. Ale w głębi duszy nadal pozostała dziewczyną z małego miasteczka. No bo Midland, chociaż to miasto naftowe i forsa płynie tam strumieniami, jest przecież zabita dechami dziurą. I Cherylynn marzy o obrączce na palcu, gromadce dzieciaków i psie na podwórku. A temu facetowi ani to w głowie. Ona nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Nie wiesz jednak, kim jest ten człowiek? - spytałem.

- Nie, nie wiem. - Przez twarz przemknął jej szelmowski grymas. Przeciągnęła się i opuściła rękę, wysuwając piersi do przodu. - Ale nie przyszłście tu z powodu jakiegoś starego przyjaciela, prawda?

- Nie - przyznał Connor.

Julia uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Chodzi o Eddiego, tak?

- Mhm - mruknął kapitan.

- Wiedziałaś. Byłam przekonana, że wcześniej czy później w coś się wplączę. Wszystkie tak uważałyśmy, wszystkie dziewczyny z Arms. - Wykonała gest, który nie wiadomo co miał oznaczać. - Bo on jest taki narwany. Szybki Eddie. Nie powiedzielibyście, że to Japończyk. Żywe srebro.

- Pochodzi z Osaki? - zapytał Connor. - Jego ojciec jest tam wielkim przemysłowcem, właścicielem Daimashi. Nawet miły starszerek. Czasem, kiedy przychodzi z wizytą, potrafi jeszcze zabrać którąś z dziewczyn na piętro. A Eddie... Ten miał się tu przez kilka lat uczyć, a potem wrócić do kraju i pracować dla *kaisha*, dla firmy. Ale nie wrócił do domu. Podoba mu się tutaj. Bo i czemu miałyby się nie podobać? Ma wszystko. Kiedy tylko rozbije swoje ferrari, kupuje nowe. Pieniędzy ma więcej niż sam Pan Bóg. Mieszka tu już tak długo, że stał się prawie Amerykaninem. Przystojny. Seksowny. Jaki chcecie narkotyk na zawołanie. Prawdziwy lew salonowy. Co mu tam Osaka.

- Ale powiedziałaś, że byłaś przekonana... - zacząłem.

- Że w coś się wplączę? No pewnie. Przez ten swój wariacki charakter. Tego swojego świra. - Wzruszyła ramionami. - Wielu z nich go ma. Ci faceci przyjeżdżają tutaj z Tokio i nawet jeśli mają *shokai*, wprowadzającego, to i tak trzeba z nimi zachować ostrożność. Przepuszczenie dziesięciu czy dwudziestu tysięcy dolarów w jedną noc to dla nich pestka. Traktują to jak napiwek. Zostawiają na nocnym stoliku. Lecz ile za to wymagają... a przynajmniej niektórzy z nich...

Umilkła. Jej oczy stały się nieobecne, zaszyły mgłą. Nie odzywałem się, czekałem. Connor patrzył na nią, kiwając współczująco głową.

- A dla nich - podjęła nagle, jakby nieświadoma owej pauzy - te życzenia, te pragnienia są tak samo naturalne jak zostawienie napiwku. Całkowicie naturalne. Nie, ja nie mam nic przeciwko małemu złotemu deszczykowi, kajdankom i takim tam. Może być nawet trochę biczowania, jeśli facet mi się podoba. Ale nie pozwolę się nikomu ciąć. Za żadne pieniądze. Żadnych tam numerów z nożami albo mieczami... Ale oni... większość z nich... potrafią być tacy uprzejmi, tacy układni, a jak się napalą, wstępuje w nich... wstępuje... - Urwała kręcąc głową. - Dziwni ludzie.

Connor zerknął na zegarek.

- Bardzo nam pani pomogła, panno Young - powiedział. - Może będziemy chcieli jeszcze z panią porozmawiać. Porucznik Smith zapisze numer pani telefonu...

- Tak, proszę bardzo. Otworzyłem notes.
- Chciałbym zamienić słówko z portierem - powiedział kapitan.
- Nazywa się Shinichi - poinformowała go.

Connor wyszedł. Zanotowałem numer Julii. Obserwowała, jak piszę, oblizując wargi.

- Możesz mi powiedzieć - odezwała się, kiedy skończyłem. - Zabił ją?
- Kto?
- Eddie. Czy on zabił Cherylynn?

Była ładną dziewczyną, ale nie dostrzegałem w jej oczach podekscytowania. Patrzyła na mnie bez mrugnięcia powieką. Oczy jej błyszczały. Ciarki przeszły mi po plecach.

- Dlaczego pytasz? - bąknąłem.
- Tak sobie. Zawsze się odgrażał, że to zrobi. Dziś po południu też jej groził.
- To Eddie był tu dzisiaj po południu? - zapytałem.
- No pewnie. - Wzruszyła ramionami. - Przesiaduje tu całymi dniami. Dzisiaj przyszedł do niej rzeczywiście wkurzony. Kiedy przejmowali ten budynek, wyłożyli ściany płytami dźwiękochłonnymi. Ale i tak było słyhać, jak wrzeszczą na siebie w jej mieszkaniu. On i Cherylynn. Puściła swojego Jerry'ego Lee Lewisa, tego, którego słucha na okrągło dzień i noc, tak że zwariować można. Darli się i czymś w siebie rzucali. On ciągle powtarzał: „Zabiję cię, zabiję cię, suko”. No więc? Zrobił to?

- Nie wiem.
- Ale ona nie żyje? - Oczy wciąż jej błyszczały.
- Tak.

- To się musiało stać - powiedziała. Sprawiała wrażenie zupełnie opanowanej. - Wszystkie to wiedziałyśmy. To była tylko kwestia czasu. Możesz do mnie dzwonić. Jeśli będziesz chciał o coś zapytać.

- Tak. Zadzwoń. - Dałem jej swoją wizytówkę. - A jeśli wcześniej przypomnisz sobie coś jeszcze, zadzwoń do mnie pod ten numer.

Pomagając sobie węzowymi ruchami ciała, wsunęła kartonik do kieszonki opinających jej biodra szortów.

- Dobrze mi się z tobą rozmawia, Peter.
- Miło mi.

Wyszedłem. Dotarłszy do końca korytarza obejrzałem się. Stała w drzwiach swojego mieszkania i machała mi ręką na pożegnanie.

10

Connor telefonował gdzieś z aparatu w holu, a portier wpatrywał się weń ponuro, tak jakby chciał mu w tym przeszkodzić, ale nie znajdował żadnego pretekstu.

- Zgadza się - mówił kapitan. - Wszystkie połączenia z tego aparatu między dwudziestą a dwudziestą drugą. Tak. - Słuchał przez chwilę. - Nie, nic mnie nie obchodzi, jak masz zorganizowane swoje dane. Ja chcę tylko dostać to zestawienie. Ile czasu ci to zajmie? Jutro? Nie żartuj. Co ty sobie wyobrażasz? Daję ci dwie godziny. Zadzwoń. Tak. Ty też mnie tam pocałuj. - Odwiesił słuchawkę. - Idziemy, *kohai*.

Wyszliśmy do samochodu.

- Uruchamiasz swoje kontakty? - spytałem.

- Kontakty? - Zrobił zdziwioną minę. - A, Graham naopowiadał ci pewnie o moich „kontaktach”. Nie mam żadnych specjalnych informatorów. Jemu się tylko tak wydaje.

- Wspomniał o sprawie Arakawów. Connor westchnął.

- Stare dzieje. - Szliśmy w kierunku samochodu. - Chcesz wiedzieć, jak z tym było naprawdę? To proste. Zamordowanych zostało dwoje cudzoziemców narodowości japońskiej. Departament przydziela tę sprawę detektywom, którzy nie znają japońskiego. W końcu, po tygodniu, przekazują sprawę mnie.

- I co zrobiłeś?

- Arakawowie mieszkali w hotelu New Otani. Poprosiłem o wykaz rozmów telefonicznych, jakie przeprowadzili z Japonią. Zadzwoniłem pod te numery i porozmawiałem z kilkoma osobami z Osaki. Potem zadzwoniłem jeszcze raz do Osaki i skonsultowałem się z tamtejszą policją. Też po japońsku. Byli zaskoczeni słysząc, że nie znamy wszystkich szczegółów.

- Rozumiem.

- Chyba nie bardzo - powiedział Connor. - Tutejszy departament policji znalazł się w bardzo kłopotliwym położeniu. Wcześniej prasa prześcigała się w krytyce. Wiele osób przysłało kwiaty. Miała miejsce wielka manifestacja współczucia dla ludzi, którzy okazali się w końcu gangsterami. Mnóstwo osób znalazło się w kłopotliwym położeniu. A potem wszystko zwalono na mnie. Zarzucono mi, że przy rozwiązywaniu tej sprawy zastosowałem jakieś niedozwolone chwytły. No i spławili mnie.

- I dlatego wyjechałeś do Japonii?

- Nie. To już inna historia.

Doszliśmy do samochodu. Obejrzałem się na Imperial Arms i zobaczyłem w oknie Julię Young. Patrzyła za nami.

- Niczego sobie - mruknąłem.

- Japońskie prostytutki lubią tę *shirigaru onna*. Mówią, że ma lekki tyłeczek. - Otworzył drzwiczki samochodu i ciągnął: - Ale ona jest pod wpływem narkotyków. Nie możemy bezkrytycznie wierzyć we wszystko, co nam powiedziała. Tak czy inaczej, zaczyna się tu rysować intryga, która mi się nie podoba. - Spojrzał na zegarek i pokręcił głową. - Cholera. Za wolno nam to idzie. Jedźmy już lepiej do Pałomino pogadać z panem Cole.

Ruszyłem na południe, w stronę lotniska. Connor rozparł się w swoim fotelu, krzyżując ręce na piersi. Przyglądał się z niewesołą miną swoim butom.

- Dlaczego powiedziałeś, że rysuje się tu intryga, która ci się nie podoba?

- Te opakowania w koszu na śmieci - mruknął Connor. - Zdjęcie z polaroida w kubie. Aż trudno uwierzyć, że można było zostawić po sobie tak oczywiste ślady.

- Sam powiedziałeś, że się śpieszyli.

- To prawda. Ale musisz wiedzieć, że Japończycy uważają amerykańską policję za nieudolną. Te zaniedbania są oznaką ich lekceważenia.

- My przecież nie jesteśmy nieudolni. Connor pokręcił głową.

- W porównaniu z Japończykami jesteśmy. W Japonii ujęty zostaje każdy morderca. Wykrywalność poważnych przestępstw sięga dziewięćdziesięciu dziewięciu procent. Tak więc każdy przestępca w Japonii wie od samego początku, że prędzej czy później wpadnie. U nas wykrywalność oscyluje w okolicach siedemnastu procent. To mniej niż jeden do pięciu. W związku z tym przestępca w Stanach wie, że prawdopodobnie nigdy go nie schwytają, a jeśli nawet, to dzięki przepisom naszego prawa nigdy nie zostanie skazany. Dobrze wiesz, że z badań skuteczności policji wynika, iż amerykańscy detektywi albo rozwiązują swoje sprawy przed upływem sześciu miesięcy, albo wcale ich nie rozwiązują.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- A to, że mamy tu do czynienia z przestępstwem, które popełniono, zakładając z góry, iż nie zostanie wyjaśnione. Lecz ja je wyjaśnię, *kohai*.

Przez następne dziesięć minut Connor milczał. Siedział nieruchomo z założonymi rękami i brodą wspartą na piersi. Oddychał głęboko i miarowo. Gdyby nie otwarte oczy, pomyślałbym, że zasnął.

Prowadziłem wsłuchując się w jego oddech.

- Ishigura - odezwał się w końcu.

- Co Ishigura?

- Gdybym wiedział, dlaczego Ishigura zachowywał się tak, a nie inaczej, byliśmy w domu.

- Nie rozumiem.

- Amerykaninowi trudno to zrozumieć - powiedział. - Bo w Ameryce dopuszcza się pewien margines błędu jako rzecz naturalną. Zakładasz, że samolot może się opóźnić. Zakładasz, że mogą ci nie dostarczyć poczty. Zakładasz, że pralka może się zepsuć. Przez cały czas żyjesz ze świadomością, że coś może pójść nie tak, jak powinno. Ale w Japonii jest inaczej. Tam wszystko chodzi jak w zegarku. Możesz stanąć w oznaczonym miejscu na peronie tokijskiego dworca kolejowego i kiedy pociąg się zatrzyma, drzwi wagonu będą miał na wprost siebie. Pociągi kursują punktualnie. Nie giną bagaże. Telefony działają bez zarzutu. Dotrzymuje się terminów. Wszystko idzie tak, jak zostało zaplanowane. Japończycy są wykształceni, mają odpowiednie przygotowanie i motywację. Przykładają się do swoich obowiązków. Nikt się tam nie obija.

- Ho, ho...

- A dzisiaj był bardzo ważny wieczór dla spółki Nakamoto. Możesz być pewien, że zaplanowali wszystko w najdrobniejszych szczegółach: i wegetariańskie przystawki, które lubi Madonna, i fotografa, którego ona preferuje. Wierz mi: są przygotowani na wszystko. Przewidzieli każdą ewentualność. Wiesz, jak to robią: siadają i omawiają niezliczone możliwości. A jak wybuchnie pożar? A jak nastąpi trzęsienie ziemi? A jak ktoś powiadomi o podłożeniu bomby? A jak wysiądzie zasilanie? Nie kończące się wałkowanie najbardziej nieprawdopodobnych zdarzeń. To może zakrawać na obsesję, ale kiedy wreszcie nadchodzi ten wieczór, panują niepodzielnie nad sytuacją. To bardzo nieuprzejmie nie panować nad sytuacją. Rozumiesz?

- Pewnie.

- No i weźmy teraz naszego przyjaciela, Ishigurę, oficjalnego przedstawiciela Nakamoto, który stoi nad ciałem martwej dziewczyny i wyraźnie nie panuje nad sytuacją. Jest *ydshiki no*, prowokuje konfrontację w zachodnim stylu, ale nie czuje się w tej roli dobrze. Jestem pewien, że zauważyłeś pot na jego wardze. I spocone dłonie; co chwila ocierał je o spodnie. Jest *rikutsuppoi*, zbyt rozmowny. Za dużo gada. Krótko mówiąc, zachowuje się tak, jakby nie wiedział, co robić, jakby nie wiedział nawet, kim jest ta dziewczyna, choć na pewno to wie, bo zna przecież wszystkie osoby zaproszone na przyjęcie. Udaje, że nie wie, kto ją zabił. Chociaż niemal na pewno to także wie.

Samochód podskoczył na dziurze w jezdni.

- Chwileczkę. Twierdzisz, że Ishigura wie, kto zabił dziewczynę?

- Jestem tego pewien. I nie tylko on. Z tego, co na razie ustaliliśmy, wynika, że co najmniej trzy osoby muszą wiedzieć, kto ją zabił. Mówiłeś, zdaje się, że pracowałeś kiedyś w dziale prasowym?

- Tak. W zeszłym roku.

- Masz jeszcze jakieś kontakty w redakcjach telewizyjnych?

- Niewiele - odparłem. - Mogą być nieaktualne. Czemu pytasz?

- Chcę obejrzeć jakiś materiał nakręcony dziś wieczorem.

- Tylko obejrzeć? Nie zarekwirować?

- Tak. Tylko obejrzeć.

- Nie powinno być z tym większego kłopotu - powiedziałem. Rozmyślałem do kogo się zwrócić: do Jennifer Lewis z KNBC, czy do Boba Arthura z KCBS. Chyba jednak do Boba.

- Musi to być ktoś, z kim możesz to załatwić prywatnie. Inaczej stacje nie pójdą nam na rękę. Zauważyłeś, że na miejscu zbrodni nie było dzisiaj żadnej ekipy telewizyjnej. Kiedy indziej musiałbyś się przedzierać przez gęszcz kamer. A dzisiaj żadnej telewizji, żadnych ekip, żadnych reporterów. Pustki. Wzruszyłem ramionami.

- Mieliśmy ciszę w eterze. Dziennikarze nie mogli prowadzić nasłuchu meldunków radiowych.

- Ale oni byli już na miejscu - zwrócił mi uwagę Connor - bo kręcili ujęcia z imprezy z udziałem Toma Cruise'a i Madonny. I nagle piętro wyżej zamordowano dziewczynę. No więc gdzie były wtedy ekipy telewizyjne?

- Nie kupuję tego, kapitanie - mruknąłem.

Sprawując funkcję oficera do spraw kontaktów z prasą, nauczyłem się między innymi, że niczego nie da się ukryć. Media są zbyt zróżnicowane i w pewnym sensie zbyt nieobliczalne. Prawdę mówiąc, to w tych nielicznych wypadkach, kiedy trzeba było nałożyć embargo na informacje, dajmy na to przy uprowadzeniach z trwającymi negocjacjami w sprawie okupu, musieliśmy się zdrowo napocić, apelując o wyrozumiałość i współpracę.

- Gazety wcześniej zamykają numery. Ekipy telewizyjne musiały przygotować migawki do dzienników o jedenastej. Pewnie wrócili do siebie redagować materiały.

- Tu się z tobą nie zgodzę. Według mnie Japończycy wyrazili niepokój o swój *shafu*, dobre imię firmy, i media zgodziły się odstąpić od podawania tego incydentu w swoich relacjach. Zaufaj mi, *kohai*: tu wywarty został nacisk.

- Nie chce mi się w to wierzyć.

- Wierz mi na słowo - upierał się Connor. - Ktoś tu naciska. W tym właśnie momencie zaterkotał brzęczyk samochodowego telefonu.

- Peter, do cholery - rozległ się znajomy, opryskliwy głos. - Co jest, kurwa, z tym śledztwem w sprawie zabójstwa? - To był szef. Głos miał trochę bełkotliwy, jakby pił.

- A o co chodzi, szefie?

Connor spojrział na mnie, a potem wduśił przycisk głośniczka, żeby też słyszeć.

- Prześladujecie, chłopaki, Japończyków? - zagrzemiał szef. - Chcecie, żeby na departament posypała się nowa lawina posądzeń o uprzedzenia rasowe?

- Nie - odparłem. - Absolutnie. Nie wiem, co pan słyszał...

- Słyszałem, że ten tępy kutas Graham jak zwykle naubliżał ludziom - wpadł mi w słowo szef.

- No, trudno to nazwać ubliżaniem, szefie...

- Słuchaj, Peter. Nie wciskaj mi tu kitu. Opierdoliłem już Freda Hoffmanna, że posłał tam akurat Grahama. Nie chcę przy tej sprawie żadnego rasistowskiego palanta. Od tej chwili wszyscy musimy iść z Japończykami na współpracę. Cały świat tak robi. Słyszysz mnie, Peter?

- Słyszę.

- Teraz o Johnie Connorze. Jest z tobą, tak?

- Zgadza się.

- Po coś go ściągał?

Po co ja go ściągnąłem? - pomyślałem. Fred Hoffmann musiał nagadać szefowi, że Connor to mój pomysł, nie jego.

- Przepraszam - bąknąłem. - Ale ja...

- Rozumiem - przerwał mi szef. - Pomyślałeś pewnie, że sam nie dasz sobie rady. Chciałeś mieć kogoś do pomocy. Ale obawiam się, że wpadłeś z deszczu pod rynną. Bo Japończycy nie lubią Connora. I muszę ci jeszcze coś powiedzieć. Swego czasu dobrze znałem Johna. W pięćdziesiątym dziewiątym razem wstępowaliśmy do akademii. Zawsze był samotnikiem i mąciwodą. Widzisz, każdy, kto decyduje się zamieszkać w jakimś obcym kraju, robi to dlatego, że nie może znaleźć sobie miejsca tutaj, u siebie. Nie życzę sobie, żeby teraz rozkładał nam śledztwo.

- Szefie...

- Tak to właśnie widzę, Peter. Masz tutaj zabójstwo, bierz się za nie i wyjaśniaj. Działaj szybko i z taktem. Liczę na ciebie i tylko na ciebie. Słyszysz, co mówię?

- Słyszę.

- Połączenie jest dobre?
- Dobrze - przytaknąłem.
- No to do roboty, Peter - powiedział szef. - I nie życzę sobie, żeby poza tobą ktokolwiek się w tej sprawie ze mną kontaktował.
- Tak jest.
- Uwiń się najpóźniej do jutra. To tyle. - I rozłączył się. Odwiesiłem słuchawkę.
- Tak - mruknął Connor. - Moim zdaniem ktoś tu porządnie naciska.

12

Jechaliśmy drogą szybkiego ruchu numer 405 na południe, w kierunku lotniska. Mgła była tu gęstsza. Connor wyglądał przez szybę.

- W japońskiej instytucji nigdy nie odebrałbyś takiego telefonu. Szef zwyczajnie wystawił cię na odstrzał. On umywa ręce: to twój problem. I ma do ciebie pretensje o coś, za co ty nie ponosisz żadnej winy, w tym wypadku o zachowanie Grahama i o mnie. - Pokręcił głową. - Japończyk tak nie postępuje, zwykle powiada: nie szukaj winnych, szukaj rozwiązania. U nas najważniejsze jest to, kto spartolił robotę, czyja głowa poleci. U Japończyków najważniejsze jest, co zostało spartolone i jak to naprawić. Nikogo się nie obwinia. Ich podejście jest lepsze.

Connor zamilkł i dalej wyglądał przez okno. Mijaliśmy właśnie Slauson. Nad nami majaczył we mgle ciemny łuk autostrady Marina.

- Szef był po prostu zmęczony, i tyle - powiedziałem.
- Owszem. I jak zwykle niedoinformowany. Tak czy inaczej, najlepiej chyba będzie, jeśli uwiniemy się z rozwikłaniem tej sprawy, zanim on jutro wstanie z łóżka.
- Damy radę?
- Damy. Jeśli Ishigura dostarczy nam te taśmy. Znowu zabrzączał telefon. Podniosłem słuchawkę. Dzwonił Ishigura.

Przekazałem słuchawkę Connorowi.

Z głośnika popłynął niewyraźny głos Ishigury. Japończyk mówił szybko, nerwowo.

- *Moshi moshi, Connor-san. Watashi wa keibi no heya ni denwa o shimashita ga, daremo demasendeshita.*

Kapitan przykrył mikrofon dłonią i przetłumaczył:

- Telefonował do dyżurki, do tego strażnika ze służb ochrony, ale nikt nie odbierał.

- *Sorede, chudkeibishitsu ni renraku shite, hito o okutte morai, issho ni Ute tepu o kakunin shimashita.*

- Potem zatelefonował do centrali służb ochrony i poprosił, aby ktoś zszedł z nim na dół po te taśmy.

- *Tepu wa subete rekoda no naka ni arimasu. Nakunattemo torikaeraretemo imasen. Subete daijōbu desu.*

- We wszystkich rejestratorach są taśmy. Ani jednej nie brakuje i żadnej nie podmieniono. - Connor zmarszczył brwi i rzucił do słuchawki: - *Iya tepu wa surikaerarete iru hazu nanda. Tepu o sagase!*

- *Subete daijōbu nandesu, Connor-san. Doshiro to iu no desu ka.*

- Utrzymuje, że wszystko jest w najlepszym porządku.

- *Tepu o sagase!* - powtórzył kapitan i zwrócił się do mnie. - Powiedziałem mu, że muszę mieć te cholerne taśmy.

- *Daijōbu da to itterunoni, doshite sonnani tepu o sagase to ossharun desu ka.*

- *Ore niwa wakatte irunda. Tepu wa nakunatte iru.* Wiem więcej, niż się panu wydaje, panie Ishigura. *Mdichido iu, tepu o sagasunda!*

Connor odwiesił słuchawkę i z gniewnym parsknięciem opadł na oparcie fotela.

- Sukinsyny. Upierają się, że żadnych taśm nie brakuje.

- Co to oznacza? - spytałem.

- Postanowili iść na całość. - Postukując paznokciem o zęby, obserwował przez chwilę ruch uliczny za szybą samochodu. - Nigdy by się na to nie poważyli, gdyby nie mieli pewności, że stoją na silnej pozycji. Na niepodważalnej pozycji. A to oznacza...

Pogrzeżył się w myślach. Widziałem jego twarz odbijającą się w szybie, w regularnych odstępach czasu, pod mijanymi latarniami ulicznymi.

- Nie, nie, nie - odezwał się w końcu, jakby zwracał się do kogoś.

- Co nie?

- To nie może być Graham. - Pokręcił energicznie głową. - Graham to za wielkie ryzyko i za wiele widm z przeszłości. Ja też nie. Mnie znają jak łysego konia. A więc wypada na ciebie, Peter.- O czym ty mówisz? - spytałem.

- Wydarzyło się coś, co napełniło Ishigurę przekonaniem, że ma haka. I przypuszczam, że to coś ma związek z tobą.

- Ze mną?

- Tak. To prawie na pewno coś osobistego. Miałeś w przeszłości jakieś problemy?

- Na przykład jakie?

- Jakieś oskarżenia, pobyty w areszcie, zatargi z władzami, jakieś podejrzane skłonności, dajmy na to, picie, homoseksualizm albo napastowanie kobiet? Jakies leczenie odwykowe, problemy z partnerami, problemy z przełożonymi. Cokolwiek z życia osobistego bądź pracy zawodowej. Cokolwiek.

Wzruszyłem ramionami.

- Kurczę, chyba nie. Connor patrzył na mnie i czekał.

- Im się wydaje, że coś mają, Peter - powiedział w końcu.

- Rozwiodłem się. Jestem ojcem samotnie wychowującym dziecko. Mam córeczkę, Michelle. Skończyła niedawno dwa latka.

- Tak...

- Prowadzę spokojny tryb życia. Dbam o małą. Jestem odpowiedzialny.

- A twoja żona?

- Moja była żona jest prawnikiem i pracuje w biurze prokuratora okręgowego.

- Kiedy się rozwiedliście?

- Dwa lata temu.

- Przed urodzeniem się dziecka?

- Zaraz potem.

- Dlaczego?

- Jezu. A dlaczego ludzie się rozwodzą? Connor nic nie powiedział.

- Byliśmy małżeństwem tylko przez rok. Była bardzo młoda, kiedy się poznaliśmy. Dwadzieścia cztery lata. Miała naiwne wyobrażenie o świecie. Poznaliśmy się w sądzie. Myślała, że jestem takim gruboskórnym, twardym detektywem, który co dnia zagłada śmierci w oczy. Imponowało jej, że noszę pistolet. Takie tam babskie fantazje. No i zaczęliśmy ze sobą chodzić. Kiedy zaszła w ciążę, nie chciała jej usunąć. Zachciało jej się za to małżeństwa. Wydawało jej się, że to takie romantyczne. Nie przemyślała dobrze swej decyzji. Ale ciąża była trudna, a na aborcję już za późno, i wkrótce doszła do wniosku, że nie chce ze mną żyć, bo mam za małe mieszkanie, za mało zarabiam i mieszkam w Culver City, a nie w Brentwood. A kiedy dziecko przyszło na świat, straciła jakby resztę złudzeń. Powiedziała, że popełniła błąd. Pragnęła robić karierę zawodową. Nie chciała być żoną gliny. Nie chciała wychowywać dziecka. Powiedziała, że bardzo jej przykro, ale to wszystko było pomyłką. I odeszła.

Connor słuchał z zamkniętymi oczami.

- Tak...

- Nie rozumiem, czemu miałyby to mieć teraz jakieś znaczenie. Odeszła przed dwoma laty. A potem nie mogłem... nie chciałem już pracować jako detektyw, bo musiałem zająć się małą, zgłosiłem się więc na testy i przeniosłem do służb specjalnych, gdzie objąłem funkcję rzecznika prasowego. Nie było tam żadnych problemów. Wszystko układało się wspaniale. Potem, w zeszłym roku, zwolnił się ten etat oficera łącznikowego ze społecznością azjatycką. Lepiej tam płacili, o dwieście miesięcznie. Więc się zgłosiłem.

- Mhm.

- Wiesz, jak to jest, każdy cent się liczy. Mam teraz sporo wydatków, na przykład żłobek Michelle. Zdajesz sobie sprawę, ile płaci się za żłobek dla dwulatków? Sam zajmuję się domem, a Lauren płaci mi alimenty tylko w połowie ustalonej przez sąd wysokości. Mówi, że przy swojej pensji nie może dawać więcej, ale ostatnio kupiła sobie nowe BMW, więc sam już nie wiem. A zresztą, co mam robić, pozwać ją do sądu? Przecież pracuje w tej pieprzonej prokuraturze okręgowej.

Connor milczał. Nad drogą przed nami widziałem wytracające wysokość samoloty. Zbliżaliśmy się do lotniska.

- W każdym razie - podjąłem - cieszyłem się, że dostałem tę posadę łącznika. Dogodniejsze godziny pracy, lepsza płaca. I w ten sposób znalazłem się tutaj. Obok ciebie, w tym samochodzie. Tak to było.

- *Kohai* - powiedział cicho. - Pracujemy teraz razem. Powiedz mi szczerze. Co to za problem?

- Nie ma żadnego problemu.

- *Kohai*.

- Naprawdę nie ma.

- *Kohai*...

- Czekał, John - powiedziałem - pozwól, że ci coś powiem. Kiedy zgłaszasz swoją kandydaturę na stanowisko łącznika służb specjalnych, prześwietla cię pięć różnych komisji. Żeby zostać łącznikiem, musisz być kryształowo czysty. Te komisje przestudiowały dokładnie moje akta. I nie znalazły w nich niczego istotnego.

Connor skinął głową.

- Ale coś jednak znalazły.

- Jezu - westchnąłem - przez pięć lat byłem detektywem. Nie ma siły, żeby po tak długim okresie tej roboty nie mieć na koncie paru skarg. Nie muszę ci chyba tego mówić.

- A jakie wpłynęły na twoje konto? Pokręciłem głową.

- Nic takiego. Same błahostki. W pierwszym roku aresztowałem jednego faceta. Oskarżył mnie o nadużycie środków przymusu. Zarzut obalono po przeprowadzeniu dochodzenia. Aresztowałem kobietę za napad z bronią w ręku. Tłumaczyła, że podrzuciłem jej spluwę. Skargę oddalono; to była jej spluwa. Podejrzany o dokonanie morderstwa utrzymywał, że pobiliśmy go i skopałem podczas przesłuchania. Ale przez cały czas obecni byli przy tym inni funkcjonariusze. Pijana kobieta zatrzymana podczas awantury domowej, do której nas wezwano, twierdziła potem, że molestowałem seksualnie jej dziecko. Sama wycofała oskarżenie. Herszt bandy nastolatków aresztowany za morderstwo zeznał, że robiłem mu homoseksualne propozycje. Skargę oddalono. To wszystko. Jeśli jesteś gliną, wiesz, że takie skargi to nieodłączny szum w tle, coś jak odgłosy ruchu ulicznego. Nie da się ich uniknąć. Obracasz się we wrogim ci środowisku, oskarżając przez cały czas ludzi o popełnienie przestępstw. Oni odpłacają ci tym samym. Tak to już jest. Departament nie przywiązuje do tego wagi, chyba że skargi te za często się powtarzają. Jeśli w ciągu dwóch lat gość uzbiera trzy albo cztery oskarżenia o nadużywanie środków przymusu, wszczynane jest dochodzenie. Tak samo w wypadku serii oskarżeń o uprzedzenia rasowe. Z drugiej jednak strony, robota gliniarza, jak mawia zawsze zastępca szefa, Jim Olson, to zajęcie dla gruboskórnych.

Connor nie odzywał się przez dłuższy czas. Siedział zachmurzony i myślał.

- A co z rozwodem? Mieliście jakieś problemy?

- Żadnych specjalnych.

- Jesteście ze swoją byłą w dobrych stosunkach?

- Tak. W dobrych. Nie nadzwyczajnych, ale dobrych. Nadal siedział nachmurzony.

Wciąż czegoś szukał.

- I odszedłeś z działu dochodzeniowego przed dwoma laty?

- Tak.

- Dlaczego?

- Już ci mówiłem.

- Powiedziałeś, że nie odpowiadały ci godziny pracy.

- Tak, to była główna przyczyna.

- I co jeszcze? Wzruszyłem ramionami.

- Po prostu po rozwodzie nie chciałem już pracować przy zabójstwach. Czuję się... sam nie wiem. Zniechęcony. Żona się wyprowadziła, zostawiając mnie z noworodkiem. Poznała jakiegoś wziętego adwokata i rozpoczęła nowe życie. Ja zostałem z dzieckiem. Popadłem w apatię. Nie chciałem już być detektywem.

- Zasięgałeś wtedy czyjejs porady? Poddawałeś się jakiejś terapii?
- Nie.
- Problemy z narkotykami albo alkoholem?
- Nie.
- Inne kobiety?
- Trochę.
- Przed rozpadem małżeństwa? Zawahałem się.
- Farley? Ta z biura burmistrza?
- Nie. To było później.
- Ale był jednak ktoś jeszcze przed rozpadem małżeństwa?
- Tak. Ale ona mieszka teraz w Phoenix. Przeniesiono tam służbowo jej męża.
- Pracowała w departamencie? Wzruszyłem ramionami. Connor poprawił się w fotelu.
- W porządku, *kohai* - powiedział. - Jeśli to wszystko, co masz na sumieniu, to jesteś czysty. - Spojrzał na mnie pytająco.
- To wszystko.
- Ale muszę cię ostrzec - dodał. - Miałem już podobne przeprawy z Japończykami. Kiedy idą na całość, potrafią naprawdę zaleźć porządnie za skórę. Porządnie.
- Próbujesz mnie nastraszyć?
- Nie. Mówię ci tylko, jak jest.
- Chromolę Japończyków - mruknąłem. - Nie mam nic do ukrycia.
- Dobra. Zadzwoń teraz lepiej do tych swoich znajomych z telewizji i powiedz, że załatwimy tylko jedną sprawę i zaraz tam wpadniemy.

13

Tuż nad naszymi głowami przeleciał z rykiem boeing 747, tnąc mgłę snopami światła z reflektorów lądowania. Przemknął nad skwierczącym neonem, który informował: DZIEWCZYNY! DZIEWCZYNY! CAŁKIEM NAGIE! DZIEWCZYNY! Kiedy wchodziliśmy do środka, było około dwudziestej trzeciej trzydzieści.

Nazywając klub Palomino knajpą ze striptizem pochlebiali mu się. Była to adaptowana kregielnia, której ściany wymalowano w kaktusy i konie. Sala sprawiała wrażenie mniejszej, niż można by tego oczekiwać, patrząc na lokal od zewnątrz. W świetle pomarańczowego jupitera tańczyła apatycznie jakaś kobieta pod czterdziestką w skąpym

stroju ozdobionym srebrnymi frędzlami. Wyglądała na tak samo znudzoną jak klienci garbiący się nad maciupkami różowymi stoliczkami. Wśród oparów papierosowego dymu snuły się kelnerki w strojach topless. Z magnetofonu leciała muzyka z solidnym podkładem szumów.

- Dwanaście dolców - burknął stojący w wejściu drab. - Dwa drinki minimum.

Connor machnął mu przed nosem odznaką.

- Dobra, rozumiem. - Drab z miejsca spuścił z tonu.

- Nie wiedziałem, że przychodzą tu Japończycy - zagaił Connor, rozglądając się po sali. Przy stoliku w kącie dostrzegłem trzech skośnookich biznesmenów w granatowych garniturach.

- Rzadko kiedy - pośpieszył z wyjaśnieniem wykidajło. - Wolą Star Strip w śródmieściu. Więcej tam szpanu, więcej gołych cycków. Po mojemu, to ci faceci odłączyli się od swojej wycieczki.

Kapitan pokiwał głową.

- Szukam Teda Cole'a.

- Siedzi przy barze. Ten w okularach.

Faktycznie siedział przy barze. Na uniform służb ochrony Nakamoto miał narzuconą wiatrówkę. Popatrzył na nas tępo, kiedy podeszliśmy i zajęli stolki obok niego.

Zjawił się barman.

- Dwa budy - zamówił Connor.

- Nie ma buda. Może być asahi?

- Niech będzie.

Kapitan machnął odznaką. Cole pokręcił głową i odwrócił się od nas. Wbił spojrzenie w striptizerkę.

- Ja nic nie wiem.

- O czym? - spytał Connor.

- O niczym. Pilnuję zwyczajnie własnego nosa. A zresztą jestem po służbie. - Był trochę wstawiony.

- Kiedy zszedł pan z dyżuru?

- Dzisiaj wcześniej.

- Dlaczego wcześniej?

- Kłopoty z żołądkiem. Mam wrzody, czasami dają mi popalić. No to zszedłem wcześniej.

- O której?

- Najpóźniej o dwudziestej piętnaście.
- Podbił pan kartę zegarową?
- Nie. Nie robimy tego. Nie mamy kart zegarowych.
- A kto pana zmienił?
- Nikt. Zostałem zluzowany.
- Przez kogo?
- Przez mojego kierownika.
- Kto nim jest?
- Nie znam go. Jakiś Japończyk. Nigdy przedtem go nie widziałem.
- Jest pana kierownikiem i nigdy go pan nie widział?
- To jakiś nowy. Japończyk. Nie znam go. A czego wy w ogóle chcecie?
- Po prostu zadać panu parę pytań - powiedział Connor.
- Nie mam nic do ukrycia - oznajmił Cole.

Jeden z siedzących przy stoliku Japończyków wstał i zbliżył się do baru.

- Jakie ma pan papierosy? - zapytał barmana, stając obok nas.

- Marlboro - odparł tamten. - Jakie jeszcze?

- Może są koole. Musiałbym sprawdzić. Ale marlboro mamy na pewno. Życzy pan sobie marlboro?

Ted Cole przyglądał się Japończykowi, który zdawał się go nie zauważać.

- A są kenty? - spytał. - Ma pan jakieś niskonikotynowe kenty?

- Nie. Kentów nie ma.

- No to niech będą marlboro - zdecydował się Japończyk. - Marlboro są w porządku. -

Uśmiechnął się do nas. - To kraj marlboro, prawda?

- Prawda - przytaknął Connor.

Cole podniósł do ust butelkę piwa i upił trochę. Milczeliśmy wszyscy. Japończyk postukiwał dłońmi o blat w rytm muzyki.

- Miły lokal - odezwał się po chwili. - Wspaniała atmosfera. Zastanowiło mnie, co on wygaduje. To była przecież zwyczajna spelunka.

Po chwili wdrapał się na sąsiedni barowy stół. Cole wpatrywał się w swoją butelkę piwa, jakby pierwszy raz w życiu taką widział. Obracał ją w dłoniach, zostawiając na barze mokre kółka.

Wrócił barman z papierosami i Japończyk rzucił na blat pięciodolarowy banknot.

- Reszty nie trzeba. - Rozdarł paczkę i wyciągnął z niej papierosa. Uśmiechnął się do nas.

Connor wydobył zapalniczkę i podał mu ognia.

- *Doko kaisha ittenno?* - zapytał, kiedy mężczyzna pochylił się nad płomykiem.

- Przepraszam? - Mężczyzna zamrugał szybko.

- *Wakanne no?* - powiedział kapitan. - *Doko kaisha ittenno?* Mężczyzna uśmiechnął się i zsunął z barowego stołka.

- *Soro soro ikanakutewa. Shitsurei shimasu.* - Skinął nam ręką i wrócił w drugi koniec sali do swych przyjaciół.

- *Dewa mata* - rzucił Connor. Przeniósł się na stołek, na którym przed chwilą siedział Japończyk.

- O co chodziło? - wtrącił Cole.

- Zapytałem go, w jakiej firmie pracuje - odparł Connor. - Ale nie chciał powiedzieć. Chyba śpieszyło mu się do kolegów. - Pomacał ręką pod blatem baru. - Nic tu chyba nie ma.

Zwrócił się znowu do strażnika.

- No dobrze, panie Cole. Mówił pan, że zastąpił pana kierownik. O której to było?

- O dwudziestej piętnaście.

- I pan go nie zna?

- Nie.

- A wcześniej, podczas pełnienia dyżuru, rejestrował pan obrazy przekazywane przez kamery?

- No jasne. Dyżurka ochrony zawsze rejestruje obrazy z kamer.

- A czy ten kierownik wyjmował przy panu taśmy z magnetowidów?

- Czy wyjmował? Chyba nie. O ile wiem, taśmy nadal w nich siedzą. - Patrzył na nas jakoś dziwnie. - Interesują was te taśmy?

- Tak - odparł Connor.

- Bo ja nigdy nie zwracałem na nie większej uwagi. Mnie interesowały kamery.

- Jak to?

- Szykowali budynek na wielką imprezę i było kupę roboty z dopieszczaniem szczegółów. Ale za nic nie mogę skapować, po co ściągali tyle kamer telewizji wewnętrznej z innych części budynku akurat na to piętro.

- Co robili? - zapytałem.

- Wczoraj rano na czterdziestym piątym piętrze tych kamer jeszcze nie było - powiedział Cole. - Były rozsiane po całym budynku. Ktoś je poprzeniósł w ciągu dnia. Widzicie, łatwo je przenosić z miejsca na miejsce, bo nie odchodzą od nich żadne kable.

- To te kamery nie są łączone kablami?

- Nie. W budynku jest zainstalowany system transmisji komórkowej. Tak go zbudowano. To dlatego nie mają fonii ani koloru: w systemie komórkowym nie da się przesyłać pełnego pasma. No i odbierają tylko obraz. Ale mogą za to przemieszczać te kamery, gdzie im się podoba. Oglądać, co chcą zobaczyć. Nie wiedzieliście o tym?

- Nie - przyznałem.

- Dziwne, że nikt wam nie powiedział. To jedna z instalacji tego budynku, z których są najbardziej dumni. - Cole popił piwa. - Nie rozumiem tylko, po co ktoś wziął pięć kamer i zamontował je piętro nad salą, gdzie miało być przyjęcie. Bo nie ze względów bezpieczeństwa. Można przecież tak zaprogramować windy, żeby nie jeździły powyżej określonego piętra. I gdyby chodziło o względy bezpieczeństwa, to należało zainstalować te kamery piętro pod przyjęciem.

- Ale nie wprowadzono blokady dla wind.

- Nie. Mnie się wydaje, że to trochę niezwykle. - Spojrzał na Japończyków siedzących w drugim końcu sali. - Będę musiał zaraz lecieć - mruknął.

- No cóż - powiedział Connor. - Bardzo nam pan pomógł, panie Cole. Może jeszcze kiedyś będziemy chcieli zadać panu kilka pytań...

- Zapiszę wam mój numer telefonu - powiedział Cole, bazgrząc na serwetce.

- I adres?

- No tak, racja. Ale niedługo wyjeżdżam na krótko z miasta. Matka źle się czuje i prosiła mnie, żebym zabrał ją na kilka dni do Meksyku. Ruszam prawdopodobnie w ten weekend.

- Na długo?

- Jakiś tydzień. Mam trochę zaległego urlopu, chyba dobra okazja, żeby go wykorzystać.

- Jasne - przyznał Connor. - Wiem, jak to bywa. Jeszcze raz dziękuję za pomoc. - Uścisnął rękę Cole'a i klepnął go lekko w ramię. - I niech pan zadba o własne zdrowie.

- O, zadbam, zadbam.

- Niech pan już nie pije i zachowaj ostrożność za kierownicą w drodze powrotnej do domu... - kapitan zawiesił głos -...czy gdzie pan tam jeszcze się dziś wieczorem wybierze.

- Chyba ma pan rację. - Cole pokiwał głową. - To niezła rada.

- Wiem, co mówię.

Cole podał mi rękę. Connor był już w drzwiach.

- Że też wam się chce - mruknął do mnie Cole.

- Chodzi panu o te taśmy?

- O Japończyków. Co im możecie zrobić? Wyprzedzają nas pod każdym względem. I mają w kieszeni różnych ważniaków. Możemy im naskoczyć. Nigdy się do nich nie dobierzecie. Są za dobrzy.

Connor czekał na mnie na zewnątrz, pod skwierczącym neonem.

- Szybciej - rzucił. - Czas ucieka.

Wsiedliśmy do samochodu. Podał mi barową serwetkę. Widniały na niej nagryzmolone drukowanymi literami słowa:

UKRADLI TAŚMY

- Ruszajmy - burknął Connor. Zapaliłem silnik.

14

Wiadomości o dwudziestej trzeciej zostały już wyemitowane i sala redakcyjna świeciła pustkami. Przeszliśmy z Connorem korytarzem do studia, gdzie włączony był jeszcze monitor z nalepką „materiał filmowy”, na którym, przy ściszonej fonii, odtwarzano powtórkę wieczornych wiadomości. Prezenter pokazywał na ekran.

- Nie jestem głupi, Bobby - mówił. - Wszystko widzę. Już trzeci wieczór z rzędu dajecie ją na wszystkie wejścia i końcówki. - Opadł na oparcie fotela i splótł ręce na piersi. - Co masz mi do powiedzenia, Bobby? Słucham.

Mój przyjaciel, Bob Arthur, potężnie zbudowany, wymęczony producent tego dziennika telewizyjnego, pociągnął nie rozcieńczonej whisky ze szklancy wielkiej jak jego pięść.

- Tak jakoś wyszło, Jim.

- Tobie tak wyszło, a ja daję dupy - warknął tamten. Prezenterka była rudowłosą seksbombą o zabójczej figurze.

Wertowała zapamiętane swoje notatki, co dawało jej pretekst do pozostania i przysłuchiwania się wymianie poglądów pomiędzy Bobem a jej zmiennikiem.

- Posłuchaj - ciągnął prezenter. - W moim kontrakcie wyraźnie stoi: połowa wejść i połowa końcówek. Kontrakt mi to gwarantuje.

- Ależ Jim - jęknął producent. - Dzisiaj na wejście był pokaz paryskiej mody i impreza w Nakamoto. To materiał obyczajowy.

- A powinno być o tym seryjnym zabójcy. Bob westchnął.

- Nie postawiono go jeszcze w stan oskarżenia. A zresztą widzowie mają już dosyć seryjnych zabójców.

- Widzowie mają dosyć seryjnych zabójców? - Tamten spojrzał na niego z niedowierzaniem. - No nie, gdzieś ty to usłyszał?

- Możesz to sobie sam przeczytać w sondażach, Jim. Seryjni zabójcy są zanadto eksponowani. Nasza widownia jest zatroskana ekonomią. Nie chcą już seryjnych zabójców.

- Nasza widownia jest zatroskana ekonomią, więc my zaczynamy od Nakamoto i paryskiej mody?

- Właśnie,»Jim - powiedział Bob Arthur. - W ciężkich czasach daje się przyjęcia z udziałem gwiazd. To właśnie ludzie chcą oglądać: modę i fantazję.

Prezenter wyglądał na podłamanego.

- Jestem dziennikarzem, moim zadaniem jest robić mocne kawałki, a nie babrać się w modzie.

- Naturalnie, Jim - powiedział producent. - I dlatego dzisiejsze wejściówki czytała Liza. Nie chcemy, żebyś stracił opinię człowieka od mocnych kawałków.

- Teddy Roosevelt, wyprowadzając kraj z Wielkiej Depresji, nie robił tego za pomocą mody i fantazji.

- To był Franklin Roosevelt.

- Wszystko jedno. Wiesz, o co mi chodzi. Jeśli ludzie są nią zatroskani, róbmy ekonomię. Róbmy kawałki o równoważeniu płac albo czymś takim.

- Zgoda, Jim. Ale to są lokalne wiadomości i ludzie nie chcą słuchać...

- I to jest właśnie cała Ameryka - powiedział z naciskiem prezenter dźgając powietrze palcem. - Ludzie nie chcą słuchać prawdziwych wiadomości.

- Masz rację, Jim. Masz absolutną rację. - Bob objął go ramieniem. - Idź, odpocznij, dobra? Jutro pogadamy.

Był to chyba jakiegoś rodzaju sygnał, bo prezenterka przerwała wertowanie swoich notatek i wyszła.

- Jestem dziennikarzem - powtórzył Jim. - Chcę po prostu wykonywać swój zawód.

- Masz rację, Jim. Jutro dokończymy. Dobrej nocy.

- Zakuty łeb - mrucał Bob prowadząc nas korytarzem. - Teddy Roosevelt. Jezu. To nie dziennikarze, to aktorzy. Nawet zmarszczki sobie liczą jak aktorzy. - Westchnął i pociągnął szkockiej. - Przypomnijcie mi jeszcze raz, co chcieliście obejrzeć.

- Taśmę z otwarcia Nakamoto.

- Tę wyemitowaną? Migawkę, którą dzisiaj puściliśmy?

- Nie, chcemy obejrzeć oryginalne taśmy.

- Materiał z terenu. Rany. Mam nadzieję, że jeszcze je mają. Mogli je już zmasować.

- Zmasować?

- No, poddać masowej demagnetyzacji. Wymazać. Zużywamy czterdzieści kaset dziennie, większość z nich kasuje się zaraz po wykorzystaniu. Materiały z terenu przechowujemy zwykle przez tydzień, ale staramy się obniżyć koszty, sami rozumiecie.

Jedną ze ścian sali redakcyjnej zajmowały półki ze stosami kaset systemu betamax. Bob sunął palcem po grzbietach pudełek.

- Nakamoto... Nakamoto... Nie widzę ich. - Obok nas przeszła jakaś kobieta. - Cindy, jest jeszcze Rick?

- Nie, wyszedł do domu. Szukasz czegoś?

- Materiałów z imprezy w Nakamoto. Nie ma ich na półce.

- Sprawdź w pokoju Dona. On je montował.

- W porządku. - Bob poprowadził nas przez salę redakcyjną do montażowni. Otworzył drzwi i weszliśmy do małego, zaśmieconego pomieszczenia, w którym stały dwa monitory, kilka magnetowidów i konsola montażowa. Po podłodze wały się pudełka z kasetami. Bob zaczął w nich grzebać.

- No, macie szczęście, chłopaki. Oryginały z kamer. Kupa tu tego jest. Przyślę Jenny, żeby wam odtworzyła kasetę. To nasza kopalnia informacji o ludziach ze świecznika. Wszystkich zna. - Wystawił głowę za drzwi. - Jenny? Jenny!

- No dobrze, popatrzmy - powiedziała kilka minut później Jenny Gonzales. Była czterdziestokilkuletnią, kręłą kobietą w okularach o podwójnej ogniskowej. Przebiegła szybko wzrokiem notatki montażysty i ściągnęła brwi.

- Tyle razy powtarzam, żeby zapisywali wszystko po kolei, ale do nich to nie trafia... O, jest. Cztery kasety. Dwie z podjeżdżającymi limuzynami. Dwie z ujęciami ze środka, z samej imprezy. Co panowie chcą zobaczyć?

- Zacznijmy od limuzyn - powiedział Connor zerkając na zegarek. - Czy da się to jakoś przyspieszyć? Nie mamy wiele czasu.- Da się. Przywykłam do tego. Przejrzemy je na szybkim podglądzie.

Wdusiła przycisk. Ujrzeliśmy podjeżdżające jedna za drugą limuzyny, odskakujące sprężyste drzwiczki, wysiadających szybko ludzi, którzy oddalali się sztywnym, nienaturalnym krokiem.

- Chodzi wam o jakąś osobistość? Bo widzę, że podczas montażu ktoś pozaznaczał ujęcia ważniejszych gości.

- Nie, nie chodzi nam o żadną z osobistości - odparłem.

- Szkoda. Bo chyba przeważnie ich kręciliśmy. - Przeglądaliśmy w milczeniu taśmę. - O, jest senator Kennedy - powiedziała w pewnej chwili Jenny. - Zrzucił parę kilo, prawda? Hop, i już go nie ma. A to senator Morton. Wygląda bardzo szykownie. Nic dziwnego. I ten jego lizusowaty asystent. Zęby mnie bołą, jak na niego patrzę. Senator Rowe, jak zwykle bez żony. Tu mamy Toma Hanksa. A tego Japończyka nie znam.

- To Arata Masagawa - odpowiedział Connor - wiceprezes Mitsui.

- Fakt. Senator Chalmers. Dobrze się prezentują te transplantowane włosy. Kongresmen Levine. Kongresmen Daniels. Dla odmiany trzeźwy. Wiecie, panowie, z zaskoczeniem patrzę, ile tych waszyngtońskich szyszek przyjęło zaproszenie Nakamoto.

- Co pani przez to rozumie?

- No bo jak się dobrze zastanowić, to przecież tylko otwarcie jakiegoś nowego budynku. Zwyczajna firmowa feta. A do tego na Zachodnim Wybrzeżu. Na dokładkę Nakamoto wzbudza ostatnio dosyć kontrowersyjne emocje. Barbara Streisand. Nie znam tego faceta, który jej towarzyszy.

- Nakamoto wzbudza kontrowersyjne emocje? Dlaczego?

- W związku ze sprzedażą MicroConu.

- Co to jest MicroCon? - spytałem.

- Amerykańska spółka produkująca sprzęt komputerowy. Stara się ją wykupić japońska firma o nazwie Akai Ceramics. W Kongresie powstało lobby sprzeciwiające się tej transakcji. Argumentują, że w wyniku takich posunięć Ameryka pozostaje coraz bardziej w tyle za Japonią pod względem nowoczesnych technologii.

- A co to ma wspólnego z Nakamoto? - spytałem.

- Akai podlega Nakamoto. - Pierwsza taśma dobiegła końca i wyskoczyła z kieszeni magnetowidu. - Nic tu panowie dla siebie nie wypatrzyli?

- Nie. Jedźmy dalej.

- Dobra. - Załadowała następną kasetę. - W każdym razie zaskakuje mnie, jak wielu z tych senatorów i kongresmenów nie dostrzega niczego zdroźnego w pokazywaniu się na takich przyjęciach. Dobra, już mamy. Dalszy ciąg podjeżdżających limuzyn. Roger Hillerman, podsekretarz stanu do spraw strefy Pacyfiku. Ten przy nim to jego asystent. Kenichi Haiko, konsul generalny Japonii tutaj, w Los Angeles. Richard Meier, architekt. Pracuje u Getty'ego. Jej nie znam. Jakiś Japończyk...

- Hisashi Konawa, wiceprezes amerykańskiej filii Hondy - wtrącił Connor.

- Och, rzeczywiście - przyznała Jenny. - Jest tu już od jakichś trzech lat. Pewnie niedługo wraca do domu. To Edna Morris, przewodniczy amerykańskiej delegacji na rozmowy GATT. Wiecie, panowie, tego międzynarodowego porozumienia w sprawie taryf celnych i handlu. Nie mogę uwierzyć, że się tu pokazała. Toż to jaskrawy konflikt interesów. No ale jest, cała w uśmiechach, rozluźniona. Chuck Norris. Eddie Sakamura. Taki lokalny playboy. Nie znam tej dziewczyny, która mu towarzyszy. Tom Cruise ze swą australijską żoną. No i, oczywiście, Madonna.

Madonna, mizdrząc się, jak to ona, wysiadła z limuzyny i błyski fleszy na odtwarzanej z podwyższoną szybkością taśmie zwały się na chwilę w nieprzerwaną powódź jaskrawego światła.

- Zwolnić? Interesuje was to?

- Nie dzisiaj - odparł Connor.

- Tak, chyba wszyscy mamy jej już po dziurki w nosie - mruknęła Jenny. Wdusiła przycisk szybkiego przewijania w przód i po ekranie pomknęła smuga szarości. Kiedy puściła przycisk, Madonna, kołysząc zamasyżowane biodrami, dreptała truchtem w kierunku windy, wsparta na ramieniu smukłego latynoskiego chłopca z wąsikami. Obraz rozmazał się na chwilę, bo kamera wykonywała nawrót na ulicę. Potem znowu się wyostrzył. - To Daniel Okimoto. Ekspert od japońskiej polityki przemysłowej. To Arnold z Marią. A za nimi Steve Martin z Arato Isozakim, architektem, który projektował Muzeum...

- Stop - rzucił Connor.

Jenny wcisnęła przycisk na konsoli. Obraz znieruchomiał.

- Interesuje pana Isozaki? - Jenny nie kryła zaskoczenia.

- Nie, proszę trochę cofnąć.

Taśma zaczęła sunąć wstecz. Obrazy pojawiały się i rozmazywały, w miarę jak kamera najeżdżała z powrotem na Steve'a Martina i przesuwała się dalej na podjeżdżające wciąż limuzyny. Przez moment w kadrze mignęła grupka ludzi, którzy wysiedli już ze swych samochodów i szli po dywanie rozesłanym na trotuarze.

- Tutaj - powiedział Connor.

Obraz znieruchomiał. Był lekko zamazany i przedstawiał wysoką blondynkę w koktajlowej sukni, kroczącą obok przystojnego mężczyzny w ciemnym garniturze.

- No? - odezwała się Jenny. - Interesuje pana on czy ona?

- Ona.

- Niech pomyślę - powiedziała Jenny marszcząc czoło. - Od jakichś dziewięciu miesięcy widuję ją na przyjęciach w towarzystwie różnych typków z Waszyngtonu. W tym

roku zajęła miejsce Kelly Emberg. Typ wysportowanej modelki, tylko nieco bardziej rozbudowanej. Nazywa się... Austin. Cindy Austin, Carrie Austin... Cheryl Austin. Tak, Cheryl Austin.

- Wie pani o niej coś bliższego? - zapytałem. Jenny pokręciła głową.

- Czy to, że przypomniałam sobie jej nazwisko, to jeszcze za mało? Tych dziewczyn jest jak mrówek, co i rusz pojawia się nowa. Można ją spotkać wszędzie przez sześć miesięcy, może rok, a potem ślad po niej ginie. Bóg raczy wiedzieć, dokąd odchodzą. Kto tam za nimi trafi?

- A ten mężczyzna, z którym przyjechała?

- Richard Levitt, chirurg plastyczny. Operuje mnóstwo wielkich gwiazd.

- Co on tu robi?

- Pokazuje się. - Jenny wzruszyła ramionami. - Podobnie jak innych tych facetów, towarzyszy gwiazdom, kiedy tego potrzebują. Jeśli jego pacjenci się rozwodzą, czy coś w tym stylu, eskortuje kobiety. Kiedy nie ma akurat pod ręką żadnej klientki, dobiera sobie jakąś modelkę, taką jak ta. Trzeba przyznać, że dobrze się razem prezentują.

Na monitorze Cheryl i jej towarzysz sunęli w naszym kierunku urywanymi skokami: klatki obrazu zminiały się co trzydzieści sekund. Szli powoli. Zauważyłem, że w ogóle na siebie nie patrzą. Ona sprawiała wrażenie spiętej, zdenerwowanej.

- Tak - skomentowała Jenny Gonzales. - Chirurg plastyczny i modelka. Mogę zapytać, co jest takiego specjalnego w tych dwojgu? Bo w ten wieczory podobnych par można naliczyć setki.

- Ta dziewczyna została dziś zamordowana - powiedział Connor.

- Ach, to ta? Ciekawe.

- Słyszała pani o tym morderstwie? - zapytałem.

- No pewnie.

- Było o nim w wiadomościach?

- Nie, nie zdążyliśmy z materiałem do dziennika o dwudziestej trzeciej - powiedziała Jenny. - I prawdopodobnie jutro też tego nie puszcza. Ja przynajmniej tak uważam. To nic ciekawego.

- A to dlaczego? - spytałem zerkając na Connora.

- No bo co w niej niezwykłego?

- Nie rozumiem pani.

- Ci z Nakamoto zarzuciliby nam od razu, że puściliśmy to tylko dlatego, że do morderstwa doszło na ich przyjęciu inauguracyjnym. Oświadczyliby, że każda wzmianka o

tym stanowi próbę szkalowania ich firmy. No i w pewnym sensie mieliby rację. Bo gdyby tę dziewczynę zamordowano na ulicy, nie byłoby o czym mówić. Gdyby zabito ją podczas napadu na sklep samoobsługowy, też nie byłoby o czym mówić. Takich zabójstw mamy po dwa albo trzy co noc. A więc fakt, że została zamordowana na przyjęciu... kogo to obchodzi? Nadal nie ma o czym mówić. Jest młoda i ładna, ale niczego sobą nie reprezentuje. Co innego, gdyby grała w jakimś serialu albo filmie.

Connor spojrział na zegarek.

- Może obejrzymy teraz pozostałe taśmy?

- Materiał z przyjęcia? Proszę bardzo. Chodzi panom szczególnie o tę dziewczynę?

- Tak.

- W porządku, jedziemy. - Jenny załadowała trzecią kasetę. Ujrzeliśmy scenki z przyjęcia na czterdziestym czwartym piętrze: swingowa orkiestra, ludzie tańczący pod zwisającymi z sufitu dekoracjami. Wypatrywaliśmy w tłumie naszej dziewczyny.

- W Japonii nie musielibyśmy przeglądać całej taśmy - odezwała się Jenny. - Japończycy dysponują już bardzo wyrafinowanym oprogramowaniem do rozpoznawania obrazów wideo. Mają taki program, w którym wskazuje się dany fragment obrazu, powiedzmy twarz, a on przeszukuje automatycznie cały zapis i wykrywa na niej każdy obraz zawierający ten element. Znajdzie ją w tłumie, czy gdziekolwiek indziej. Potrafi też zapamiętać pojedyncze ujęcie dowolnego trójwymiarowego obiektu, a potem rozpoznać nawet pod innym kątem. Jest podobno bardzo efektywny. Ale powolny.

- Dziwne, że stacja jeszcze go nie ma.

- Och, tu się go nie kupi. Najbardziej zaawansowany technicznie japoński sprzęt wideo nie jest dostępny na naszym rynku. Trzymają nas trzy lub pięć lat do tyłu. Mają prawo. To ich technika, mogą z nią robić, co chcą.

Na ekranie, we frenetycznym pośpiechu, przewijały się scenki z przyjęcia.

Nagle Jenny zatrzymała obraz.

- Jest. W tle, po lewej. Wasza Austin rozmawia z Eddiem Sakamurą. To oczywiste, że on ją zna. Sakamura zna wszystkie modelki. Puścić to z normalną szybkością?

- Poproszę - powiedział Connor, nie odrywając wzroku od ekranu.

Kamera przesuwiała się powoli po sali. Cheryl Austin przez większą część ujęcia pozostawała w kadrze. Trzymała rękę na ramieniu Eddiego Sakamury i śmiała się odchylając głowę do tyłu. Eddie pajacował przed nią, robiąc miny. Rozśmieszanie jej sprawiało mu chyba przyjemność. Ale ona od czasu do czasu rzucała na boki ukradkowe spojrzenia; rozglądała się po sali. Jakby na coś czekała, może na czyjeś przybycie.

W pewnej chwili Sakamura zorientował się, że dziewczyna nie poświęca mu całej swej uwagi. Chwyił ją za ramię i obcesowo przyciągnął do siebie. Odwróciła od niego twarz. Pochylił się nad nią i powiedział coś gniewnie. W tym momencie przed obiektyw nawinął się jakiś łysy mężczyzna. Refleksy światła na jego twarzy rozmyły rysy, a jego głowa przesłoniła nam widok Eddiego i dziewczyny. Potem kamera przesunęła się jeszcze bardziej w lewo i straciliśmy ich z oczu.

- Cholera.

- Wrócić? - Jenny cofnęła taśmę kawałek i obejrzelśmy jeszcze raz to ujęcie.

- Eddie jest na nią najwyraźniej wkurzony - zauważyłem.

- Na to wygląda. Connor ściągnął brwi.

- Trudno powiedzieć, co się tam działo. Jest do tego ścieżka dźwiękowa?

- Jasne - odparła Jenny - ale to prawdopodobnie nic nie da. - Przebiegła palcami po przyciskach i puściła ujęcie od nowa. Z głośnika popłynął monotony gwar przyjęcia. Udawało się z niego wyłowić tylko oderwane urywki zdań.

W pewnej chwili Cheryl Austin spojrzała na Eddiego Sakamurę i powiedziała:

-...nic nie poradzę, że to dla ciebie takie ważne, że ja...

Jego odpowiedź była zniekształcona, ale później usłyszeliśmy wyraźnie, jak mówi do niej:

- Rozumiesz... chodzi o to sobotnie spotkanie...

I w ostatnich sekundach ujęcia, przyciągając ją do siebie warknął coś jakby: „...bądź głupia... jakąś tanią...”

- Czy on powiedział: „jakąś tanią”? - spytałem.

- Coś w tym rodzaju - mruknął Connor.

- Puścić jeszcze raz? - zapytała Jenny.

- Nie - odparł kapitan. - Z tego już nic więcej nie wyciśniemy. Jedziemy dalej.

- W porządku - rzekła Jenny.

Obraz przyspieszył, goście zaczęli poruszać się szybciej. Śmieli się i unosili kieliszki.

- Stop - powiedziałem nagle.

Znowu normalna szybkość. Blondynka w jedwabnej sukni od Armaniego i łysy mężczyzna, którego oglądaliśmy przed chwilą, podawali sobie ręce.

- Co tu jest? - spytała Jenny, spoglądając na mnie.

- To jego żona - mruknął Connor.

Kobieta nachyliła się, by złożyć lekki pocałunek na ustach łysiego mężczyzny. Potem cofnęła się o krok i wygłosiła jakiś komentarz na temat jego garnituru.

- To prawniczka z biura prokuratora okręgowego - wtrąciła Jenny. - Lauren Davis. Asystowała w paru głośnych sprawach. Dusiciel z Sunset, zabójstwo Kellermana. Jest bardzo ambitna. Inteligentna i dobrze ustawiona. Mówią, że jeśli zachowa posadę, ma przed sobą wielką karierę. To pewnie prawda, bo inaczej Wyland nigdy by jej nie dał czasu antenowego. Jak sami panowie widzicie, prezentuje się nieźle, ale on woli nie dopuszczać jej do mikrofonu. Ten łysy facet, z którym rozmawia, to John McKenna od Regisa McKenny z San Francisco. Robią reklamę większości firm mających związek z nowoczesną techniką.

- Możemy jechać dalej - powiedziałem. Jenny wduśliła przycisk.

- To naprawdę pańska żona, czy partner tylko żartował.

- Nie, to naprawdę moja żona. Była.

- Wzięliście rozwód?

- Tak.

Jenny spojrzała na mnie, jakby chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła i skierowała wzrok z powrotem na ekran. Na monitorze kłębił się tłum gości. Przyłapałem się na tym, że myślę o Lauren. Kiedy ją poznałem, była inteligentna i ambitna, ale tak naprawdę, to niewiele rozumiała. Pochodziła z innego świata, chodziła do szkół Ivy League, miała charakterystyczne dla osób uprzywilejowanych, głębokie przeświadczenie, że we wszystkim, co sobie pomyśli, musi mieć rację. Bez wątplenia dobrze żyć z takim przeświadczeniem. Nie trzeba niczego konfrontować z rzeczywistością.

Była młoda, to też odgrywało swoją rolę. Wciąż jeszcze poznawała świat, uczyła się, jak funkcjonuje. Przepelniał ją entuzjazm i potrafiła z zapałem kształtować swoje poglądy. Tylko że te jej poglądy często się zmieniały, zależnie od tego, z kim ostatnio rozmawiała. Była bardzo podatna na wpływy. Przymierzała do siebie rozmaite idee, tak jak inne kobiety przymierzają kapelusze. Zawsze orientowała się doskonale w najnowszych trendach. Przez pewien czas wydawało mi się to młodzieńcze i urocze, ale w końcu zaczęło mnie irytować.

Bo nie miała w sobie nic trwałego, żadnej niezmiennej treści. Przypominała telewizor: grała po prostu najnowszą sztukę. Wszystko jedno jaką. Nigdy jej nie kwestionowała.

A ostatni wielki talent Lauren stanowiła zdolność do przystosowywania się. Była ekspertem w oglądaniu telewizji, czytaniu gazet, słuchaniu szefa - w czerpaniu informacji ze wszystkiego, co uznawała za autorytatywne źródło - i wyczuwaniu, z której strony akurat wieje wiatr. Ustawiała się dokładnie tam, gdzie w danej chwili powinna się znaleźć. Wcale mnie nie dziwiło, że pnie się w górę. Jej system wartości, podobnie jak ubrania, były zawsze skrojony na miarę i zgodny z wymogiem chwili...

-...poruczniku, ale robi się późno... Poruczniku? Zamrugałem szybko i powróciłem z obłoków na ziemię. Jenny coś do mnie mówiła. Pokazywała przy tym na ekran, gdzie na zatrzymanym obrazie widziała Cheryl Austin, w czarnej sukni, w towarzystwie dwóch starszych mężczyzn w garniturach.

Obejrzałem się na Connora, ale ten był odwrócony do mnie plecami i rozmawiał przez telefon.

- Poruczniku? Interesuje to pana?

- Tak, naturalnie. Co to za jedni? Jenny puściła taśmę z normalną szybkością.

- Senatorowie John Morton i Stephen Rowe. Obaj zasiadają w senackiej komisji finansów. Tej samej, która prowadzi przesłuchania w sprawie sprzedaży Micro Conu.

Na ekranie Cheryl śmiała się i kiwała głową. Za życia była uderzająco piękna, emanując osobliwą mieszaniną niewinnego wdzięku i seksowności. Chwilami zaś na jej twarzy pojawiał się wyraz doświadczonego hazardzisty. Najwyraźniej znała obu mężczyzn, ale chyba niezbyt dobrze. Wymieniwszy z nimi uściski dłoni, nie przysuwała się bliżej do żadnego, by go dotknąć. Senatorowie, ze swej strony, wydawali się w pełni świadomi patrzącego na nich oka kamery i starali się zachowywać swobodnie, lecz obaj byli nieco usztywnieni.

- Wszystkich diabli biorą, a senatorowie Stanów Zjednoczonych stoją sobie w czwartkowy wieczór, jak gdyby nigdy nic, i gawędzą z modelkami - mruknęła Jenny. - Nic dziwnego, że mamy kłopoty. A ci tutaj, to nie byle kto. Mówi się, że Morton ma kandydować w najbliższych wyborach prezydenckich.

- Co pani wie o ich życiu osobistym? - zapytałem.

- Obaj są żonaci. Rowe żyje w częściowej separacji, żona siedzi w domu w Wirginii, on buja po świecie. Ma skłonności do kieliszka.

Przyjrzałem się senatorowi na ekranie. Był to ten sam mężczyzna, który dzisiaj wieczorem wsiadł do naszej windy: pijany, prawie leciał z nóg. Ale tutaj wyglądał na trzeźwego.

- A Morton?

- Pozuje na świętoszka. Były sportowiec, ma fioła na punkcie kondycji fizycznej. Je tylko zdrową żywność. Człowiek rodzinny. Jego domeną jest nauka i technika. Środowisko. Amerykańska konkurencyjność, amerykańskie wartości. Wszystko to naraz. Ale taki idealny to on chyba nie jest, bo słyszałam, że ma młodą przyjaciółkę.

- I to prawda?

Jenny wzruszyła ramionami.

- Tak mówią, a jego przydupasy starają się tuszować sprawę. Ale kto wie, jak tam jest naprawdę.

Taśma wyskoczyła z kieszeni i Jenny załadowała następną.

- To już ostatnia, panowie.

- Nam już wystarczy - odezwał się od telefonu Connor odkładając słuchawkę. Wstał. - Musimy lecieć, *kohai*.

- Co się stało?

- Odebrałem z centrali telefonicznej informacje dotyczące rozmów przeprowadzonych między ósmą a dziesiątą wieczorem z automatu w holu budynku Nakamoto.

- Co?

- Nikt w tym czasie z niego nie dzwonił. Wiedziałem, że zgodnie z przypuszczeniami Connora ktoś - Cole albo któryś z Japończyków - wyszedł z dyżurki ochrony i zadzwonił na policję. Teraz nadzieja podążenia obiecującym tropem poprzez ustalenie aparatu, z którego telefonowano, legła w gruzach.

- Szkoda - bąknąłem.

- Szkoda? - zdziwił się Connor. - To bardzo pomyślna informacja. Znacznie zawężyła front śledztwa. Panno Gonzales, czy ma pani jakieś taśmy z ludźmi wychodzącymi z przyjęcia?

- Wychodzącymi? Nie. Po przybyciu ostatniego gościa wszystkie ekipy wjechały na górę, żeby filmować imprezę. Potem przygnali tu czym prędzej z kasetami, żeby wyrobić się z montażem przed wejściem na antenę o dwudziestej trzeciej. Przyjęcie jeszcze wtedy trwało.

- No nic. W takim razie chyba już tu skończyliśmy. Dziękujemy pani za pomoc. Pani wiedza jest imponująca. Idziemy, *kohai*.

15

Znowu jechaliśmy. Tym razem pod adres w Beverly Hills. Było już po pierwszej w nocy i zaczynałem odczuwać zmęczenie.

- Czemu ten automat z holu jest taki ważny? - spytałem.

- Ponieważ - odparł Connor - cała nasza koncepcja podejścia do tej sprawy zależy od tego, czy ktoś telefonował z tego aparatu, czy nie. Pytanie na teraz brzmi: która firma z Japonii ma na pieńku z Nakamoto.

- Która firma z Japonii?

- Tak. Nie ulega wątpliwości, że to korporacja należąca do innego *keiretsu*.

- *Keiretsu*?

- Japończycy strukturyzują swoje przedsiębiorstwa w wielkie organizacje, które nazywają *keiretsu*. Tych najpotężniejszych jest w Japonii sześć, i są ogromne. Na przykład *keiretsu* Mitsubishi składa się z siedmiuset odrębnych firm, które ze sobą bezpośrednio współpracują, prowadzą wspólne finanse, bądź też związane są rozmaitego rodzaju porozumieniami. Takie wielkie struktury nie występują w Ameryce, bo naruszałyby tutejsze prawa antytrustowe. Ale w Japonii są na porządku dziennym. My pojmujemy korporację jako samowystarczalny organizm. Żeby pojąć, jak ją rozumie Japończyk, musiałbyś sobie wyobrazić związek, powiedzmy, IBM, Citibanku, Forda i Exxon, przy czym każdy z każdym miałby w ramach tej korporacji tajne porozumienia dotyczące kooperacji oraz wspólnych zasad finansowania i kierunków prac rozwojowych. Oznacza to, że japońska korporacja nie jest tworem samowystarczalnym, działa zawsze we współpracy z setkami innych firm. I konkuruje z firmami wchodzącymi w skład innego *keiretsu*. Kiedy więc próbujesz ustalić, czym się zajmuje spółka Nakamoto, musisz zadać sobie najpierw pytanie, czym zajmuje się *keiretsu* Nakamoto w Japonii. I jakie firmy innego *keiretsu* są jej konkurentami. Ponieważ to morderstwo stawia Nakamoto w kłopotliwej sytuacji, można w nim nawet upatrywać ataku na Nakamoto.

- Ataku?

- Zastanów się tylko. Nakamoto planuje wielki, naszpikowany gwiazdami wieczór inauguracyjny z okazji otwarcia swojego budynku. Pragną, aby wszystko poszło jak po maśle. Z jakiegoś nie wyjaśnionego powodu uduszony zostaje ktoś z gości zaproszonych na przyjęcie. I tu rodzi się pytanie: kto powiadomił policję?

- Kto zgłosił morderstwo?

- Tak. Bo przecież, mimo wszystko, Nakamoto kontroluje całkowicie sytuację; to ich przyjęcie, ich budynek. Nie było przeszkód, żeby poczekali do dwudziestej trzeciej i zgłosili morderstwo po zakończeniu przyjęcia i wyjściu ostatniego gościa. Gdyby zależało mi na pozorach, na opinii publicznej, tak właśnie bym postąpił. Bo wszystko inne niesie ze sobą potencjalną groźbę zepsucia image'u Nakamoto.

- Rozumiem.

- Ale ze zgłoszeniem morderstwa nie zwlekano - ciągnął Connor. - Wprost przeciwnie, ktoś powiadomił policję o dwudziestej trzydziści dwie, kiedy to impreza dopiero się rozkręcała, co groziło rozbiciem całego wieczoru. I nasze pytanie brzmi: kto dzwonił?

- Kazałeś odszukać Ishigurze osobę, która telefonowała - przypomniałem mu. - A on jeszcze się z tego nie wywiązał.

- Zgadza się. Bo nie mógł.

- Nie wie, kto telefonował?

- Owszem.

- Uważasz, że to nie był nikt z pracowników Nakamoto?

- Właśnie.

- Któryś z ich przeciwników?

- Prawie na pewno.

- To jak go znajdziemy? - spytałem. Connor roześmiał się.

- Dlatego właśnie sprawdzałem ten telefon z holu. Jest tutaj decydującym czynnikiem.

- Dlaczego decydującym?

- Wyobraź sobie, że pracujesz w konkurencyjnej korporacji i chcesz wiedzieć, co się dzieje w Nakamoto. Nie możesz zdobyć tych wiadomości, ponieważ japońskie korporacje podpisują ze swoją kadrami kierowniczą dożywotnie kontrakty. Członkowie tej kadry czują się częścią rodziny. A w rodzinie nie zdradza się tajemnic. Stąd Nakamoto prezentuje się dla reszty świata jako nieprzenikniona maska, przez co nawet najdrobniejsze detale nabierają znaczenia: który z dyrektorów przyjechał właśnie z Japonii, kto się z kim spotyka, kto wchodzi, kto wychodzi, i tak dalej. I te szczegóły możesz ustalić nawiązując znajomość z amerykańskim strażnikiem ze służb ochrony, który przez cały dzień siedzi przed monitorami. Zwłaszcza jeśli ten strażnik jest Murzynem i doświadczył na własnej skórze dyskryminacji ze strony Japończyków.

- Mów dalej - powiedziałem.

- Japończycy często usiłują przekupić funkcjonariuszy służb ochrony konkurencyjnych firm. Co prawda są ludźmi honoru, ale ich tradycja dopuszcza takie postępowanie. W miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone, a oni postrzegają biznes jako wojnę. Przekupstwo jest więc całkiem na miejscu, jeśli tylko potrafi się je zorganizować.

- Jasne.

- Wracając do naszego morderstwa, możemy być pewni, że w kilka sekund po zabójstwie dziewczyny wiedziały o nim tylko dwie osoby. Jedną jest sam zabójca. Drugą strażnik ochrony obiektu, Ted Cole, który obserwował całe zajście na monitorach.

- Chwileczkę. Ted Cole widział to na monitorach? Wie, kim jest zabójca?

- Jasne.

- Powiedział przecież, że zszedł z dyżuru o dwudziestej piętnaście.

- Kłamał.

- Ale skoro się domyślałeś, że kłamie, to dlaczego nie...

- Nam by nic nie powiedział - odparł Connor. - Tak samo Phillips. Dlatego właśnie nie aresztowałem Cole'a i nie zabrałem go na przesłuchanie. Byłaby to strata czasu, a czas jest tu najważniejszy. Jeśli nam nic nie powiedział, to warto się zastanowić, czy powiedział komuś innemu?

Zaczynałem rozumieć, do czego on zmierza.

- Innymi słowy, czy wyszedł z dyżurki do holu i z automatu zadzwonił do kogoś, powiadamiając go o popełnieniu morderstwa?- Właśnie. Bo nie mógłby skorzystać z telefonu zainstalowanego w jego dyżurce. Gdyby chciał kogokolwiek poinformować, wroga Nakamoto, konkurencyjną firmę czy kogoś innego, zadzwoniłby z automatu.

- Ale teraz wiemy, że nikt z tamtego automatu nie dzwonił - zauważyłem.

- Zgadza się.

- A więc załamuje się cały twój tok rozumowania.

- Niezupełnie, on się klaruje. Jeśli Cole nigdzie nie dzwonił, to kto zgłosił morderstwo? Wszystko wskazuje, że informatorem może być tylko sam morderca.

Przeszył mnie dreszcz.

- Zadzwonił na policję, żeby postawić Nakamoto w niezręcznej sytuacji?

- Tak sądzę.

- No to skąd dzwonił?

- Na razie trudno powiedzieć. Przypuszczam, że gdzieś z budynku. I jest jeszcze kilka niejasnych szczegółów, których nie braliśmy dotąd pod uwagę.

- Na przykład jakich?

Zaterkotał samochodowy telefon. Connor podniósł słuchawkę i po chwili przekazał ją mnie.

- Do ciebie.

- Nie, nie - zapewniła mnie pani Ascenio. - Z małą wszystko w porządku, zaglądałam do mej parę minut temu. Chciałam tylko zawiadomić, panie poruczniku, że dzwoniła pani Davis. - Nazywała tak moją byłą żonę.

- Kiedy?

- Jakieś dziesięć minut temu.

- Zostawiła jakąś wiadomość?

- Nie. Powiedziała, że dzisiaj w nocy będzie nieosiągalna. Ale kazała panu powtórzyć, że coś jej wypadło i może będzie musiała wyjechać z miasta. W związku z tym może nie zabierze małej na weekend.

Westchnąłem.

- Rozumiem.

- Mówiła, że zadzwoni jutro, jak już będzie wiedziała na pewno.

- Dziękuję.

Nie zaskoczyło mnie to, Lauren zwykle zmieniała zamiary w ostatniej chwili. Nie można było nigdy niczego zaplanować, bo ona zawsze w końcu zmieniała zdanie. Tym razem oznaczało to prawdopodobnie, że ma nowego przyjaciela i być może gdzieś z nim wyjedzie, a i to będzie pewne dopiero nazajutrz.

Obawiałem się, że to trzymanie dziecka w ustawicznym stanie niepewności może źle wpłynąć na Michelle, pozbawić ją poczucia bezpieczeństwa. Ale dzieci myślą praktycznie. Michelle chyba rozumie, że jej matka już taka jest, i wcale się tym nie przejmuję.

Tylko ja nie mogę się z tym pogodzić.

- Kiedy pan wróci, panie poruczniku? - spytała pani Ascenio.

- Nieprędko. Znosi się na to, że zejdzie mi tu cała noc. Może pani zostać?

- Tak, ale muszę wyjść o dziewiątej rano. Mogę sobie rozłożyć amerykańkę?

Korzystała z niej, kiedy zostawała z małą na noc.

- Tak, oczywiście.

- Dobrze, to do widzenia, panie poruczniku.

- Do widzenia, pani Ascenio.

- Co się stało? - zapytał Connor. Z zaskoczeniem usłyszałem w jego głosie napięcie.

- Nic. Moja była odstawia swój stary numer. Nie jest pewna, czy zabierze dziecko na weekend. Czemu pytasz?

- Tak sobie. - Wzruszył ramionami. Wyczułem, że coś ukrywa.

- Co miałeś na myśli wcześniej, mówiąc, że ta sprawa może się okazać śliska?

- Nic konkretnego. Mimo wszystko musimy się postarać rozpracować ją w ciągu najbliższych kilku godzin. Sądzę, że da się to zrobić. Kawalek dalej, po lewej, jest ta restauracja.

Zobaczyłem neon. Bora Bora.

- To ta, której właścicielem jest Sakamura.

- Tak. Właściwie to tylko współwłaścicielem. Nie oddawaj samochodu portierowi. Zaparkuj gdzieś na wylocie. Może będziemy musieli szybko się stąd zmywać.

Bora Bora szczyła się w tym tygodniu tytułem najlepszej restauracji w Los Angeles. Dekorację tworzył szereg polinezyjskich masek i tarcz. Cytrynowożółte drewniane wiosła sterczały nadbarem niczym zęby. Na ogromnym, pięciometrowym ekranie nad otwartą kuchnią produkował się widmowy Prince. Menu pochodziło z wysp Pacyfiku; hałas był ogłuszający; klientelę stanowiły nadzieje przemysłu filmowego. Wszyscy mieli na sobie czarne stroje. Connor uśmiechnął się.

- Zupełnie jak Trader Vic's po wybuchu bomby, prawda? Przestań się tak gapić. Nie napatrzyłeś się jeszcze na nich?

- Nie, nie napatrzyłem - burknąłem. Kapitan odwrócił się i zagadnął azjatycką hostesę. Spoglądałem w stronę baru, gdzie dwie kobiety muskały się ustami. Dalej siedział Japończyk w skórzanej kurtce pilota, otaczając ramieniem wielką blondynę. Słuchali oboje człowieka o przeredzonej czuprynie i zawadiackich manierach, w którym rozpoznałem reżysera...

- Chodź - rzucił Connor. - Idziemy.

- Co?

- Eddiego tu nie ma.

- A gdzie jest?

- Na przyjęciu w Hills. Idziemy.

16

Adres, jaki Connorowi zapisała hostessa, zaprowadził nas na wijącą się między wzgórzami drogę nad bulwarem Zachodzącego Słońca. Mielibyśmy stamtąd dobry widok na miasto, gdyby nie mgła, która jeszcze zgęstniała. Ulica obstawiona była po obu stronach rzędami luksusowych samochodów, w większości lexusów sedanów, ale zauważyłem też kilka odkrytych mercedesów oraz bentleyów. Parkingowi mieli trochę zbaraniałe miny, kiedy wysiedliśmy z naszego czterodrzwiowego chevroleta i pomaszerowaliśmy w stronę domu.

Podobnie jak wszystkie inne rezydencje przy tej ulicy i tę otaczał trzymetrowy mur, a wjazd zamykała zdalnie sterowana, metalowa brama. Nad nią zainstalowana była kamera, a drugą taką samą zauważyłem na ścieżce prowadzącej do wejścia. U jej wylotu stał ochroniarz, który dokładnie obejrzał nasze odznaki.

- Czyj to dom? - zapytałem.

Przed dziesięć laty jedynymi ludźmi w Los Angeles, którzy mogli sobie pozwolić na utrzymanie tak silnych służb ochrony byli mafioso albo gwiazdy filmowe, takie jak Stallone, bo jego pełne brutalności role przyciągały równie brutalnych ciekawskich. Ale ostatnio wyglądało na to, że każdy mieszkaniec bogatych dzielnic willowych ma już prywatną ochronę. Było to w dobrym tonie, stało się niemal modą. Wstępowaliśmy po schodkach wiodących poprzez kaktusowy ogród do nowoczesnego, betonowego i przypominającego fortecę domu. Dobiegała stamtąd głośna muzyka.

- Ten dom należy do właściciela Maxim Noir. - Connor musiał wyczytać z moich oczu, że nic mi to nie mówi. - To ekskluzywny salon odzieżowy słynący ze smarkatych ekspedientek. Kupują tam Jack Nicholson i Cher.

- Jack Nicholson i Cher? - zapytałem kręcąc głową. - Skąd to wiesz?

- Wielu Japończyków zaopatruje się teraz w Maxim Noir. Ten salon, podobnie jak większość ekskluzywnych amerykańskich sklepów, poszedłby z torbami, gdyby nie goście z Tokio. Jest uzależniony od Japończyków.

Kiedy zbliżaliśmy się do drzwi wejściowych, wyrosło przy nas jak spod ziemi wielkie chłopisko w sportowej kurtce. Trzymał kartkę z listą nazwisk.

- Przepraszam, panowie. Wstęp tylko za zaproszeniami. Connor mignął mu przed nosem odznaką.

- Chcielibyśmy porozmawiać z jednym z waszych gości - powiedział.

- Mianowicie z kim takim, proszę pana?

- Z panem Sakamura.

Facet nie wyglądał na uszczęśliwionego.

- Proszę poczekać.

Stojąc w korytarzyku widzieliśmy wewnątrz salonu. Kłębił się tam tłum bywalców przyjęć w składzie pokrywającym się na pierwszy rzut oka z tym z imprezy w Nakamoto. Podobnie jak w restauracji wszyscy tutaj ubrani byli na czarno. Ale moją uwagę przykuł sam pokój: białuteńki, całkowicie pozbawiony ozdób. Ani jednego obrazu na ścianie. Ani jednego mebla. Tylko gołe ściany i jednobarwny dywan. Goście sprawiali wrażenie skrepowanych. Trzymali koktajlowe serwetki i drinki, rozglądając się niepewnie, gdzie by je tu postawić.

Minęła nas jakaś nowo przybyła para zmierzająca do salonu.

- Rod zna się na rzeczy - powiedziała kobieta.

- O, tak - przyznał facet. - Wykwintny minimalizm. Ta dbałość o detale w wykończeniu pokoju. Kto mu to malował. Perfekcyjna robota. Ani śladu pociągnięcia pędzlem. Nieskazitelna, idealna powierzchnia.

- I tak właśnie miało być - powiedziała ona. - Na tym zasadza się cała jego koncepcja.

- Ileż w niej śmiałości - zauważył mężczyzna.

- Śmiałości? - zdumiałem się. - O czym oni mówią? To po prostu gołe ściany.

Connor uśmiechnął się.

- Ja to nazywam *faux zen*. Styl bez treści.

Przesuwałem wzrokiem po tłumie.

- Jest tutaj senator Morton. - Stał z wypiętą piersią w kacie. Od razu można było w nim rozpoznać kandydata na prezydenta.

- Faktycznie.

Ochroniarz nie wracał, zapuściliśmy się więc kilka kroków w głąb salonu. Zbliżywszy się do senatora Mortona, usłyszałem, jak mówi:

- Tak, mogę ci dokładnie wyniszczyć, dlaczego tak mnie niepokoi wielkość japońskich udziałów w amerykańskim przemyśle. Jeśli utracimy zdolność wytwarzania krajowych produktów, stracimy jednocześnie kontrolę nad naszą przyszłością. To oczywiste. W osiemdziesiątym siódmym roku, na przykład, dowiedzieliśmy się, że Toshiba sprzedała Rosjanom strategiczną technologię, która pozwoliła Sowiecom wyciszyć śruby napędowe ich łodzi podwodnych. Rosyjskie okręty atomowe czają się teraz tuż u naszych wybrzeży, a my nie potrafimy ich wytropić. Kongres szalał, amerykańscy obywatele zaś chcieli chwycić za broń. I mieli rację, to było oburzające. Kongres planował wprowadzenie sankcji ekonomicznych wymierzonych w Toshiba. Ale lobbyści amerykańskich firm wyblągali cofnięcie tej decyzji, bo nasze firmy, takie jak Hewlett-Packard i Compaq, były uzależnione od dostarczanych przez Toshiba podzespołów do komputerów. Nie wytrzymałoby bojkotu, bo nie mieli żadnych innych źródeł zaopatrzenia. To prawda, że nie mogliśmy sobie pozwolić na wprowadzenie sankcji. Oni sprzedawali strategiczną technologię naszym wrogom, a my nie mieliśmy w tej sprawie nic do gadania. To nasz główny problem, jesteśmy niemal całkowicie uzależnieni od Japonii.

Ktoś zadał pytanie i Morton skinął głową.

- Tak, to prawda, że z naszym przemysłem nie dzieje się najlepiej. Płace realne utrzymują się obecnie na poziomie z sześćdziesiątego drugiego roku. Siła nabywcza pieniędzy amerykańskich robotników spadła do poziomu sprzed trzydziestu lat. A to musi niepokoić, nawet dobrze sytuowanych ludzi, których widzę w tym pokoju, bo oznacza, że obywatele nie stać na chodzenie do kina, na kupowanie samochodów, ubrań, czy czegokolwiek, co wy macie do sprzedania. Prawda jest taka, że nasz naród w zastraszającym tempie ubożeje.

Jakaś kobieta zadała kolejne pytanie, którego nie dosłyszałem, i Morton odpowiedział:

- Tak, dobrze pani usłyszała, na poziomie z roku sześćdziesiątego drugiego. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale niech pani sobie przypomni lata pięćdziesiąte, kiedy to amerykański robotnik mógł utrzymać własny dom, rodzinę i posyłać dzieci do szkoły średniej, a wszystko to z jednej pensji. Teraz zaś oboje rodziców pracuje, a większości rodzin mimo to nie stać na własny dom. Za dolara można kupić coraz mniej, wszystko zdrożało. Ludzie walczą o utrzymanie poziomu życia. Ani w głowie im nowe inwestycje.

Przyłapałem się na tym, że słuchając jego słów, kiwam potakująco głową. Przed mniej więcej miesiącem rozglądałem się za jakimś domem, bo chciałem, żeby Michelle miała podwórko do zabawy. Ale ceny nieruchomości w Los Angeles są po prostu księżycowe. Nigdy nie będzie mnie stać na kupno domu, chyba że się powtórnie ożenię. A i wtedy nie wiadomo, zważywszy...

Dostałem silnego szturchańca w zębra. Odwróciłem się i zobaczyłem ochroniarza. Wskazał ruchem głowy na drzwi frontowe.

- Z powrotem, koleś.

Zdenerwował mnie. Zerknąłem pytająco na Connora, ale ten wycofał się bez słowa do wyjścia.

- Sprawdziłem - powiedział ochroniarz, kiedy znaleźliśmy się z powrotem w korytarzyku. - Nie ma tutaj żadnego pana Sakamury.

- Pan Sakamura - odezwał się Connor - to ten japoński dżentelmen stojący w głębi pokoju, po pańskiej prawej ręce. Rozmawia z rudowłosą kobietą.

Ochroniarz pokręcił głową.

- Przykro mi, koledzy. Jeśli nie zobaczą nakazu rewizji, będę was musiał wyprosić.

- Tu nie chodzi o sprawy służbowe - powiedział Connor. - Pan Sakamura jest moim przyjacielem. Wiem, że rad ze mną porozmawia.

- Przykro mi. Macie nakaz?

- Nie.

- A więc nie macie prawa tu przebywać. I proszę was o opuszczenie tego domu.

Kapitan nawet nie drgnął.

Ochroniarz cofnął się i stanął w szerokim rozkroku.

- Ostrzegam, że mam czarny pas - warknął groźnie.

- Doprawdy? - zdziwił się Connor.

- Jeff też - powiedział ochroniarz, wskazując wzrokiem drugiego mężczyznę, który w tym momencie do nas podszedł.

- Jeff - zwrócił się do niego kapitan. - Czy to ty odwieziesz kolegę do szpitala?

Tamten zarechotał nieprzyjemnie.

- Hej, lubię takich jajcarzy, wiesz? Cholernie śmieszne. No dobra, panie mądrała. Trafiliście pod zły adres. Już wam to wyjaśniono. Wynocha stąd. Ale już! - Dźgnął Connora w pierś krótkim paluchem.

- To napaść - zauważył spokojnie Connor.

- No, spierdalaj, koleś - warknął Jeff. - Mówiłem chyba, żeście źle trafili...

Connor wykonał szybki ruch i w jednej chwili Jeff, jęcząc z bólu, leżał na podłodze. Od toczył się od nas i zatrzymał u stóp kogoś w czarnych spodniach. Podniósłszy wzrok stwierdziłem, że mężczyzna ubrany jest całkowicie na czarno: czarna koszula, czarny krawat, czarna atlasowa marynarka. Miał siwe włosy i teatralny hollywoodzki sposób bycia.

- Nazywam się Rod Dwyer. To mój dom. O co chodzi? Connor przedstawił nas grzecznie i pokazał swoją odznakę.

- Jesteśmy tutaj służbowo. Chcieliśmy porozmawiać z jednym z pańskich gości, panem Sakamura. To tamten człowiek w rogu pokoju.

- A ten człowiek? - spytał Dwyer wskazując na Jeffa, który leżał wciąż na podłodze, krztusząc się i próbując złapać oddech.

- Napadł mnie - odparł chłodno kapitan.

- Takiego chuja go napadłem! - wyrzucił Jeff, dźwigając się na łokciu i kaszląc.

- Dotknąłeś tego pana? - spytał Dwyer. Jeff milczał. Był siny na twarzy.

- Przepraszam panów za ten incydent - powiedział Dwyer, zwracając się do nas. - To nowi pracownicy. Nie mam pojęcia, co im strzeliło do głowy. Może drinka?

- Dzięki, jesteśmy na służbie - odparł Connor.

- Zaraz poproszę pana Sakamurę, żeby tutaj podszedł. Może pan powtórzy swoje nazwisko?

- Connor.

Dwyer oddalił się. Pierwszy ochroniarz pomógł koledze wstać z podłogi. Jeff odkuśtykał.

- Pierdolone dupki - wymamrotał pod nosem na odchodnym.

- Pamiętasz jeszcze czasy, kiedy policję szanowano? - zwróciłem się do Connora.

Ale ten stał ze wzrokiem wbitym w podłogę i kręcił głową.

- Wstyd mi - mruknął.

- Dlaczego?

Nie odpowiedział jednak.- Hej, John! John Connor! *Hisashiburi dane!* Kopę lat! Jak leci, stary? Hej! - Szturchnął Connora w ramię.

Z bliska Eddie Sakamura nie był wcale taki przystojny. Cerę miał szarą, skórę na twarzy dziobatą i zalatywało od niego wczorajszą szkocką. Poruszał się nerwowo, a mówił bardzo szybko. Z pewnością nie był flegmatykiem.

- U mnie wszystko w porządku, Eddie - powiedział Connor. - A u ciebie? Jak sobie radzisz?

- Nie narzekam, kapitanie. Może tylko jedna, no dwie wpadki. Zarobiłem pięć-zero-jeden, jazda po pijaku, próbowałem ukreścić sprawie łeb, ale sam wiesz, z moją opinią, robi się obciachowo. Co tam! Raz się żyje! Co tu porabiasz? To ci dopiero chata, co? Najnowszy szpan: bez mebli! Rod lansuje nowy styl. Bomba! Człowiek nie ma gdzie usiąść! - Roześmiał się. - Nowy styl! Bomba!

Odnosiłem wrażenie, że jest naćpany. Był zbyt pobudzony. Przyjrzałem się dobrze purpurowoczerwonej bliźnie na jego lewej dłoni, o rozmiarach mniej więcej cztery na trzy centymetry. Wyglądała na stary ślad po oparzeniu.

- Prawdę mówiąc, Eddie - rzekł Connor, zniżając głos - to jesteśmy tu w sprawie tego dzisiejszego *yakkaigoto* w Nakamoto.

- Ach, tak - mruknął Eddie, również zniżając głos. - Nic dziwnego, że źle skończyła. Była *hinekureta onna*.

- Zboczona? Czemu tak twierdzisz?

- Może wyjdziemy na zewnątrz? - zaproponował Eddie. - Chce mi się palić, a Rod nie pozwala dymić w domu.

- W porządku, chodźmy.

Wyszliśmy przed dom i stanęliśmy na skraju kaktusowego ogrodu. Eddie zapalił mentolowego mild sevena.

- No, kapitanie, nie wiem, czego już się nasłuchaliście - zaczął - ale tę dziewczynę dmuchało kilku ludzi, którzy są tam teraz w środku. Dymał ją Rod i jeszcze paru. W związku z tym łatwiej nam się będzie rozmawiało tutaj, rozumiecie?

- Jasne.

- Dobrze ją znam. Naprawdę dobrze. Chyba wiecie, że jestem *hipparidako*, co? Nic na to nie poradzę. Popularny facet! Miałem ją, jak chciałem i kiedy chciałem.

- To wiemy, Eddie. Ale mówisz, że miała problemy?

- I to wielkie, amigo. *Grandę problemos*. Możecie mi wierzyć. Była chora. Rajcował ją ból.

- Świat jest pełen takich, Eddie.

- O, nie. - Zaciągnął się papierosem. - Ja mówię o czymś innym. O tym, jak się rajcowała. Dostawała orgazmu, jak się jej dało zdrowy wycisk. I prosiła o jeszcze i jeszcze. Rób tak jeszcze. Ściśnij mocniej.

- Za szyję? - spytał Connor.

- Tak, zgadza się. Za szyję. Lubiała, jak się ją ścisnęło za szyję. Słyszał pan o czymś takim? A czasami jeszcze z plastikową torbą. No wiecie, taką przezroczystą. Zakładasz jej torbę na głowę, zaciskasz na szyi i dymasz ją, a ona przysysa sobie plastik do ust i robi się sina na twarzy. Orze ci plecy paznokciami. Dławi się i charczy. Boże Wszechmogący. Przykro było na to patrzeć. Ale mówię wam, co to była za dupa. Jak się podjarała, to jakbyś ujeżdżał dziką klacz. Długo się to potem pamiętało. Mówię wam. Tyle że co za dużo to niezdrowo. No wiecie, wciąż na krawędzi. W ciągłym strachu. Wciąż to przeciąganie struny. Może to tym razem. Może to ostatni raz. Wiecie, co mam na myśli? - Pstryknął niedopałkiem papierosa w zarośla między kaktusy. - To było czasami podniecające. Jak rosyjska ruletka. Potem już nie mogłem, kapitanie. Poważnie. Nie mogłem. A zna mnie pan przecież, ja lubię mocne wrażenia.

Musiałem przyznać, że słuchając Eddiego Sakamury czułem ciarki przechodzące po plecach. Próbowałem notować jego wypowiedź na gorąco, ale mówił tak szybko, że nie nadążałem. Rozdygotanymi dłońmi przypalił sobie następnego papierosa. Zaczął znowu szybko mówić, energicznie wymachując rękoma.

- No i doszedłem do wniosku, że ta dziewczyna to problem. Owszem, ładna. Nawet bardzo ładna. Ale czasami nie mogła wyjść na miasto, tak kiepsko wyglądała. Musiała się grubo pudrować, bo skóra na szyi jest bardzo wrażliwa. A ona miała całą w sińcach. Obwódka naokoło. Wyraźna. Może zauważyliście to podczas oględzin zwłok, kapitanie?

- Tak, widziałem.

- No to... - zawahał się. Odniosłem wrażenie, że chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język. Strzepnął popiół. - No więc została uduszona, czy tak?

- Tak, Eddie. Została uduszona. Zaciągnął się papierosem.

- Tak. To by pasowało.

- Widziałeś ją, Eddie?

- Ja? Nie. O czym pan mówi? Jak miałem ją widzieć, kapitanie? - Wydmuchnął dym.- Eddie. Spójrz na mnie. Ten popatrzył na Connora.

- Spójrz mi w oczy. A teraz mów. Widziałeś jej ciało?

- Nie, kapitanie, co pan? - Zachichotał nerwowo i odwrócił wzrok. Pstryknął niedopałkiem papierosa, a ten, koziółkując w powietrzu i sypiąc iskrami, zniknął wśród kaktusów. - Co to ma być? Trzeci stopień? Nie. Nie widziałem ciała.

- Eddie.

- Przysięgam panu, kapitanie.

- Eddie. Co ty masz z tym wspólnego?

- Ja? Kurczę. Nic, kapitanie. Tak, znałem tę dziewczynę, widywałem się z nią. Dymałem ją, to prawda. Diabli nadali. Była trochę dziwna, ale miła. Sympatyczna dziewczyna. Dobra dupa. I to, kurczę, wszystko. - Rozejrzał się dookoła i przypalił następnego papierosa. - Ładny ten kaktusowy ogródek, nie? Nazywają takie kseriskapami. To ostatni krzyk mody. Los Angeles powraca do pustynnego życia. To *hayatterunosa*: bardzo modne.

- Eddie.

- Ojej, kapitanie. Niech mnie pan już nie męczy. Tyle czasu się znamy.

- Wiem, Eddie. Ale mam parę problemów. Co się stało z taśmami z dyżurki ochrony?

- Z taśmami? - Eddie zrobił wielkie oczy.

- Do dyżurki służb ochrony Nakamoto wszedł mężczyzna z blizną na rękę i w krawacie w trójkąty. Zabrał kasety z rejestratorów wideo.

- Kurwa. Jaka dyżurka? O co panu chodzi, kapitanie?

- Eddie.

- Kto panu to powiedział? To nieprawda, kurczę. Zabrać taśmy służb ochrony? Nigdy niczego takiego nie zrobiłem. Zwariował pan? - Przekreślił krawat i spojrzał na metkę. - To krawat polo, kapitanie. Ralph Lauren. Zapewniam pana, mnóstwo jest takich samych.

- Eddie. A Imperial Arms?

- Co Imperial Arms?

- Byłeś tam wieczorem?

- Nie.

- Wyczyściłeś pokój Cheryl?

- Co? - Japończyk wyglądał na wstrząśniętego. - No nie. Ja wyczyściłem jej pokój? Co to wszystko ma znaczyć, kapitanie?

- Ta dziewczyna mieszkająca po drugiej stronie korytarza...

Julia Young - podjął Connor - powiedziała nam, że widziała cię wieczorem z jakimś innym mężczyzną w Imperial Arms. W pokoju Cheryl.

Eddie wyrzucił w górę ręce.

- Jezu. Kapitanie. Pan posłucha. Ta dziewczyna nie potrafiłaby powiedzieć, czy widziała mnie dzisiaj, czy miesiąc temu. Ćpa jak skurwysyn. Niech pan zajrzy jej między palce u nóg, to sam pan zobaczy. Niech jej pan zajrzy pod język. Niech jej pan obejrzy wargi sromowe. Przekona się pan. Ona jest na okrągło na haju. Nie wie, która to godzina ani jaki dzień. Nie, kurczę. Przychodźcie tutaj i wciskacie mi taki kit. Nie podoba mi się to. - Eddie odrzucił papierosa i natychmiast zapalił następnego. - Ani trochę mi się nie podoba. Nie rozumiecie, co jest grane?

- Nie - powiedział Connor. - Powiedz mi, Eddie. Co jest grane?

- To wszystko nieprawda, kurczę. Wszystko nie tak. - Zaciągał się łąpczywie papierosem. - Wiedzie, o co tu chodzi? Tu nie chodzi o jakąś pieprzoną dziewczynę, kurczę. Tu chodzi o sobotnie spotkania. O *nichibei kai*, Connor-san. Tajne spotkania. O to tu chodzi.

- *Sonna bakana* - warknął Connor.

- Żadne *bakana*, Connor-san. Ja nie zalewam.

- Co jakaś dziewczyna z Teksasu może wiedzieć o *nichibei kap*.

- Coś wie. *Honto nanda*. A ona lubi robić na złość. Lubi namieszać.

- Eddie, wydaje mi się, że powinieneś pójść z nami.

- Dobra. Świetnie. Odwalacie za nich robotę. Za *kuromaku*. - Odwrócił się do Connora. - Cholera, kapitanie. Niech pan da spokój. Przecież pan wie, jak to jest. Ta dziewczyna zamordowana w Nakamoto. Wie pan, że moja rodzina, mój ojciec, to Daimashi. Teraz przeczyta w Osace, że w Nakamoto zamordowano tę dziewczynę i że w związku z tą sprawą aresztowano mnie. Jego syna.

- Zatrzymano.

- Zatrzymano. Wszystko jedno. Wie pan, co to będzie oznaczało. *Taihennakoto ni nam yo*. Mój ojciec będzie musiał podać się do dymisji, a jego firma przeprosić Nakamoto. Być może wypłacić odszkodowanie. Pójść na pewne ustępstwa w interesach. To potężne *osawagi ni naruzo*. Zatrzymując mnie do tego pan doprowadzi. - Pstryknął papierosem. - No dobrze. Uważa pan, że to ja zamordowałem i mnie aresztuje. Świetnie. Ale kryjąc własny tyłek może mi pan wyrządzić wielką krzywdę. Kapitanie, pan to wie. Connor nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Krążyli po ogrodzie w milczeniu.

- *Connor-san. Matte kure yo...* - odezwał się w końcu Eddie błagalnym głosem. Zupełnie jakby prosił o łaskę.

Connor westchnął.

- Masz przy sobie paszport, Eddie?

- Tak, pewnie. Zawsze go noszę.

- Oddaj mi go.

- Już się robi. W porządku, kapitanie. Proszę.

Connor spojrział na paszport i oddał go mnie. Schowałem dokument do kieszeni.

- Dobra, Eddie. Ale lepiej dla ciebie, żeby to nie była *murina koto*. Bo zostaniesz uznany za persona non grata. *Wakataka?*

- Kapitanie, ratuje pan honor mojej rodziny. *On ni kiru yo*. - I tu skłonił się sztywno, przyciskając ręce do boków.

Connor odklonił się.

Ja tylko patrzyłem. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Kapitan puszczał go wolno. Moim zdaniem zwariował.

Wręczyłem Eddiemu swoją wizytówkę i wygłosiłem standardową formułkę, że może do mnie zatelefonować, jeśli coś mu się przypomni. Ten wzruszył ramionami, schował wizytówkę do kieszonki koszuli i zapalił kolejnego papierosa. Ja się nie liczyłem: dla niego istniał tylko Connor.

Ruszył z powrotem w kierunku domu, ale po kilku krokach się zatrzymał.

- Poderwałem tu taką rudą, bardzo interesująca dziewczyna - powiedział. - Jak wyjdę z przyjęcia, pojedę prosto do mojego domu na wzgórzach. Tam mnie pan znajdzie, gdybym był jeszcze potrzebny. Dobranoc, kapitanie. Dobranoc, poruczniku.

- Dobranoc, Eddie.

Zaczęliśmy schodzić po stopniach do wyjścia.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - powiedziałem.

- Ja również - odparł Connor.

- Bo mnie on się wydaje winny jak cholera.

- Niewykluczone.

- Ja bym go zwinął. Na wszelki wypadek.

- Może masz rację.

- To może jeszcze zawrócimy?

- Nie. - Pokręcił głową. - Mój *dai rokkan* mówi nie.

Znałem to określenie: znaczyło szósty zmysł. Japończycy mieli wspaniale rozwiniętą intuicję.

- No cóż, jak uważasz - powiedziałem. - Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Schodziliśmy ze schodów w ciemnościach.

- W każdym razie - odezwał się Connor - byłem mu to winien.

- Za co?

- Kiedyś, kilka lat temu, potrzebowałem pewnych informacji. Pamiętasz tę aferę z otruciem *fugut* Nie? No więc nikt z ich środowiska nie chciał puścić pary z gęby. Zmowa milczenia. A ja musiałem się dowiedzieć. To było... ważne. Powiedział mi Eddie. Bał się, że ktoś się o tym dowie, ale mi powiedział. Prawdopodobnie zawdzięczam mu życie.

Doszliśmy do końca schodów.

- I przypomniał ci to?

- Tego nigdy by nie zrobił. To ja mam pamiętać.

- No dobrze, kapitanie - powiedziałem. - Cały ten interes z długami wdzięczności jest piękny i szlachetny. I jestem jak najbardziej za harmonijnym współistnieniem ras. Ale przecież niewykluczone, że to on ją zabił, a potem ukradł taśmy i wyczyścił mieszkanie. Eddie Sakamura wygląda mi bardzo niewyraźnie. Zachowuje się podejrzanie. A my sobie odchodzimy. Puszczamy go wolno.

- Zgadza się.

Szliśmy dalej. Im więcej nad tym myślałem, tym większe ogarniały mnie wątpliwości.

- Bo wiesz - odezwałem się - oficjalnie to jest moje śledztwo.

- Oficjalnie to śledztwo Grahama.

- Tak, oczywiście. Ale wyjdziemy na głupców, jeśli okaże się, że on to zrobił.

Connor westchnął, jakby tracił cierpliwość.

- Dobra. Zrekonstruujmy wydarzenia tak, jak ty je sobie wyobrażasz. Eddie zabija dziewczynę, tak?

- Tak.

- Może spotkać się z nią, kiedy chce, ale postanawia przelecieć ją na stole konferencyjnym, a potem ją zabija. Następnie zjeżdża do holu i podaje się za kogoś z kierownictwa Nakamoto, pomimo że na kogo jak na kogo, ale na kierownika to Eddie Sakamura z pewnością nie wygląda. No ale załóżmy, że ten numer przechodzi. Udaje mu się odprawić strażnika. Zabiera kasety. Opuszcza dyżurkę w momencie, kiedy wchodzi do niej Phillips. Potem jedzie do mieszkania Cheryl, żeby je wyczyścić, ale nie wiadomo, po co zostawia tam swoje zdjęcie zatknięte za ramę lustra. Następnie wpada do Bora Bora, żeby oznajmić wszystkim, że udaje się na przyjęcie w Hollywood. Gdzie też go zastajemy, w pokoju bez mebli, kiedy rozmawia sobie jak gdyby nigdy nic z rudowłosą pięknoscią. Tak sobie wyobrażasz ten wieczór?

Nic nie odpowiedziałem. W jego ustach nie brzmiało to sensownie. Z drugiej jednak strony...

- Pozostaje mi żywić nadzieję, że on tego nie zrobił.

- Mnie też.

Doszliśmy do ulicy. Parkingowy pobiegł po nasz samochód.

- Wiesz - powiedziałem - kiedy mówił tak spokojnie o tym zakładaniu jej torby na głowę, i w ogóle, ciarki przechodziły mi po plecach.

- To jeszcze nic - odparł Connor. - Nie zapominaj, że Japończycy nigdy nie zaakceptowali Freuda ani chrześcijaństwa. Seks nie wzbudza w nich poczucia winy czy zażenowania. Nie istnieje dla nich problem homoseksualizmu ani perwersji. Podchodzą do tego bez emocji. Jedni lubią to robić tak, drudzy inaczej, i diabli z nimi. Japończycy nie są w stanie pojąć, dlaczego czynimy tyle szumu wokół zwyczajnej funkcji cielesnej. Uważają nas za trochę stukniętych na punkcie seksu. I mają rację. - Zerknął na zegarek.

Przed nami zatrzymał się wóz agencji ochrony. Przez otwarte okno wychylił się umundurowany strażnik.

- Halo, panowie, są jakieś problemy na tym przyjęciu?

- Na przykład jakie?

- Podobno dwóch facetów wszczęło jakąś awanturę. Pobili kogoś, czy coś w tym rodzaju. Mieliliśmy telefoniczne zgłoszenie.

- Ja nic nie wiem - odparł Connor. - Może lepiej wejdźcie na górę i sprawdźcie.

Strażnik wysiadł z wozu, poprawił wielką spluwę i wstąpił na schody. Kapitan obejrzał się na wysoki mur.

- Wiesz, że więcej teraz prywatnych ochroniarzy niż policji? Każdy wznosi mury i zatrudnia strażników. A w Japonii możesz wejść o północy do parku, usiąść sobie na ławce i nic ci się nie stanie. Noc czy dzień, jesteś całkowicie bezpieczny. Możesz chodzić, gdzie chcesz. Nikt cię nie ograbi, nie pobije. Nie musisz się oglądać co chwila za siebie, nie znasz w ciągłego strachu. Nie potrzebujesz murów ani goryli. Twoje bezpieczeństwo oznacza bezpieczeństwo całego społeczeństwa. Jesteś wolny. To cudowne uczucie. Tutaj wszyscy musimy się zamykać. Zamykać drzwi. Zamykać samochód. Jesteśmy ludźmi, którzy spędzają całe życie zamknięci jak w więzieniu. To obłąd. To zabija ducha. Ale trwa już od tak dawna, że Amerykanie zapomnieli, jak to jest, kiedy człowiek naprawdę czuje się bezpieczny. No nic. Mamy nasz wóz. Jedźmy do wydziału. Ledwie ruszyliśmy, zadzwoniła telefonistka z komendy głównej.

- Poruczniku Smith - powiedziała. - Mamy wezwanie dla łącznika służb specjalnych.

- Jestem bardzo zajęty - odparłem. - Nie może tego załatwić mój zastępca?

- Funkcjonariusze z patrolu proszą o pomoc w sprawie d.d. Kwadrat dziewiętnasty.

Oznaczało to, że jest jakiś kłopot z dygnitarzem w delegacji.

- Rozumiem - odparłem - ale ja mam już na tapecie jedną sprawę. Niech pani to przekaże mojemu zastępcy.

- Ale to na Sunset Plaża Drive - nie dawała za wygraną. - Czy nie jest pan teraz...

- Tak - powiedziałem. Teraz zrozumiałem, dlaczego tak nalegała. Wezwanie pochodziło z miejsca oddalonego zaledwie o kilka przecznic. - Dobra. O co chodzi?

- To d.d. JPW. Zgłoszony jako poziom G plus jeden. Nazwisko Rowe.

- Zrozumiałem - rzuciłem. - Jedziemy tam. - Odwiesiłem słuchawkę i zawróciłem.

- Interesujące - mruknął Connor. - Poziom G plus jeden to amerykański rząd.

- Wiem.

- To senator Rowe?

- Na to wygląda - powiedziałem. - Prowadził po pijanemu.

17

Czarny lincoln sedan zarył się na trawniku przed domem, na stromym odcinku Sunset Plaża Drive. Przy krawężniku stały dwa czarno-białe wozy patrolowe z włączonymi czerwonymi migaczami na dachach. Na trawniku obok lincolna zabrała się gromadka ludzi. Mężczyzna w szlafroku z założonymi na piersi rękoma, dwie dziewczyny w krótkich, połyskujących cekinami sukienkach, bardzo przystojny blondyn pod czterdziestkę w smokingu i młody człowiek w granatowym garniturze, w którym rozpoznałem młodzieńca wsiadającego wcześniej do windy z senatorem Rowe.

Chłopcy z patrolu wyciągnęli już kamerę wideo i skierowali na senatora Rowe snop silnego światła. Ten opierał się jedną ręką o maskę lincolna, a przedramieniem drugiej osłaniał sobie oczy przed ostrym blaskiem. Idąc tam z Connorem słyszeliśmy, jak klnie głośno.

Pierwszy wybiegł nam na spotkanie mężczyzna w szlafroku.

- Chcę się dowiedzieć, kto za to zapłaci - wyrzucił z siebie.

- Później, proszę pana. - Szedłem dalej.

- Zdewastował mi trawnik. Będzie musiał pokryć szkody.

- Nie teraz.

- I bardzo przestraszył moją żonę, a ona ma raka.

- Proszę pana, nie teraz - powiedziałem. - Porozmawiam z panem za chwilę.

- Raka ucha - dorzucił tamten z naciskiem. - Ucha.

- Tak, proszę pana. Rozumiem. - Szedłem dalej w kierunku lincolna i powodzi światła. Kiedy mijalem asystenta senatora, ten podbiegł i zrównał ze mną krok.

- Ja zaraz wszystko wyjaśnię, panie detektywie - zagaił nerwowo. Miał około trzydziestu lat i nieskazitelną aparycję kongresowego urzędnika. - To na pewno da się jakoś załatwić.

- Chwileczkę - odparłem. - Pozwoli pan, że porozmawiam z senatorem?

- Senator źle się czuje - trąkotał dalej asystent. - Jest bardzo zmęczony. - Zabiegł mi drogę. Obszedłem go. Ruszył za mną truchtem. - To tylko choroba awiacyjna. Senator źle znosi podróż samolotem.

- Muszę z nim porozmawiać - powiedziałem, wstępując w krąg jaskrawego światła. Rowe wciąż zasłaniał oczy przedramieniem. - Senatorze Rowe? - zwróciłem się do niego.

- Wyłączcie to kurewstwo, do chuja pana - wymamrotał Rowe. Był w sztok pijany; bełkotał tak, że trudno go było zrozumieć.

- Senatorze Rowe - powtórzyłem - Przykro mi, ale będę musiał zadać panu kilka pytań...

- Spierdalaj, chuj ci w dupę.

- Senatorze Rowe - powtórzyłem jeszcze raz.

- Wyłączcie to kurewskie bzdziwo!

Obejrzałem się na policjanta z patrolu i dałem mu znak ręką. Z ociąganiem wyłączył kamerę. Reflektorek zgasł.

- Jezu Chryste - jęknął Rowe opuszczając wreszcie ramię. Spojrzał na mnie maślanymi oczami. - Co tu się, kurwa, wyprawia?

Przedstawiłem się.

- To czemu nic nie robisz z tym kurewskim bajzłem - wybełkotał Rowe. - Ja tylko jechałem do mojego pierdolonego hotelu.

- Rozumiem, senatorze.

- Nie wiem... - zatoczył zamaszysty łuk ręką. - Co tu, kurwa, za afera się stała.

- Senatorze, czy to pan prowadził?

- Chuj. Prowadziłem. - Odwrócił się chwiejnie. - Jerry? Jerry, powiedz im, jak było. Jezus Maria.

Asystent podskoczył do nas skwapliwie.

- Przepraszam za to wszystko - wyrecytował gładko. - Senator nie czuje się dobrze. Zaledwie wczoraj wieczorem wróciliśmy samolotem z Tokio. Choroba awiacyjna. Nie doszedł jeszcze do siebie. Jest zmęczony.

- Kto prowadził wóz? - spytałem.- Ja - odparł szybko asystent. - Absolutnie. Jedna z dziewcząt zachichotała.

- Wcale nie! - krzyknął z drugiej strony samochodu mężczyzna w szlafroku. - Ten drugi prowadził. I taki jest nagrzany, że nie miał siły wysiąść. Jak się drzwiczki otworzyły, to dosłownie wyleciał na trawę.

- Ja chromołą, pierdolony bajzel - burknął senator Rowe, czochrając się po włosach.

- Detektywie - powiedział asystent - to ja siedziałem za kierownicą i te dwie panie mogą o tym zaświadczyć. - Wskazał na dziewczyny w wieczorowych sukienkach, posyłając im jednocześnie znaczące spojrzenie.

- To bezczelne kłamstwo - zaperzył się mężczyzna w szlafroku.

- Nie, to prawda - wtrącił się po raz pierwszy przystojniak w smokingu. Był opalony i miał swobodny sposób bycia właściwy ludziom nawykłym do wydawania rozkazów. Prawdopodobnie gość z Wall Street. Nie przedstawił się.

- To ja prowadziłem samochód - powtórzył asystent.

- Mam wszystko w dupie - wymamrotał Rowe. - Chcę do hotelu.

- Czy są jacyś ranni? - spytałem.

- Nie, nie ma - powiedział asystent. - Nikomu nic się nie stało.

Zwróciłem się do policjantów z patrolu.

- Wypisaliście stodziesiątkę? - Chodziło o protokół z naruszenia własności prywatnej wskutek wypadku samochodowego.

- Nie kwalifikuje się - odparł jeden z nich. - Jeden samochód i szkody niewielkie. - Protokół taki spisywało się dopiero wtedy, gdy wielkość szkód przekraczała dwieście dolarów. - Wypisaliśmy tylko pięćsetjedynkę. Chce pan rzucić okiem?

Nie chciałem. Jedną z zasad, jakie obowiązują w służbach specjalnych, jest DSDO, działanie stosowne do okoliczności, co oznacza, że w wypadku osób uprzywilejowanych i znakomitości, jeśli nikt nie zamierza wnieść oficjalnej skargi, przymyka się oko na sprawę. W praktyce sprowadza się to do tego, że nikogo się nie aresztuje, chyba że popełnione zostało ewidentne przestępstwo.

- Niech pan spisz nazwisko i adres właściciela posiadłości - poleciłem asystentowi - i uzgodni z nim sprawę odszkodowania za zniszczony trawnik.

- Ma już moje nazwisko i adres - odezwał się mężczyzna w szlafroku. - Ale chcę wiedzieć, jak to zostanie załatwione.

- Powiedziałem mu, że pokryjemy wszelkie szkody - wyjaśnił asystent. - Zapewniłem... Ale on...

- Sam pan zobacz, do cholery: zniszczyliście jej roślinki. A ona ma raka ucha.

- Chwileczkę, proszę pana. - Zwróciłem się do asystenta: - Kto teraz poprowadzi samochód?

- Ja - odparł asystent.

- On - przytaknął senator Rowe, kiwając gorliwie głową. - Jerry. Siadaj za kierownicą.

- W porządku - powiedziałem do asystenta. - Będzie pan musiał przedtem dmuchnąć w alkomat...

- Tak, naturalnie...

- I chciałbym obejrzeć pańskie prawo jazdy.

- Oczywiście.

Asystent dmuchnął w alkomat i wręczył mi prawo jazdy. Było wystawione w Teksasie. Gerrold D. Hardin, trzydzieści cztery lata. Zamieszkały w Austin w Teksasie. Spisałem te szczegóły i oddałem mu dokument.

- W porządku, panie Hardin. Dziś wieczorem oddam senatora pod pańską opiekę.

- Dziękuję, poruczniku. Doceniam to.

- Puszczacie go?! - oburzył się mężczyzna w szlafroku.

- Chwileczkę. - Zwróciłem się do asystenta: - Proszę dać temu człowiekowi swoją wizytówkę i pozostawać z nim w kontakcie. Mam nadzieję, że szkody wyrządzone na terenie jego posiadłości zostaną wyrównane ku jego satysfakcji.

- Absolutnie. Oczywiście. Już. - Hardin sięgnął do kieszeni po wizytówkę. Razem z nią wyciągnął coś białego, jakby chusteczkę do nosa. Pośpiesznie wepchnął to z powrotem, a potem podszedł do mężczyzny w szlafroku, by wręczyć mu swoją wizytówkę.

- Będziecie musieli zasadzić na nowo wszystkie jej begonie.

- Naturalnie, proszę pana - obiecał Hardin.

- Wszystkie!

- Tak. Oczywiście, proszę pana.

Senator Rowe odepchnął się wreszcie od maski samochodu i stanął na miękkich nogach.

- Pierdolone begonie - wymamrotał. - Jezu, co za kurewska noc. Macie żonę?

- Nie - odparłem.

- A ja mam - pokiwał głową Rowe. - Pierdolone begonie. Chuj im w dupę.- Tędy, senatorze - powiedział Hardin, biorąc go pod łokieć. Pomógł mu zająć miejsce w fotelu pasażera. Dziewczyny zapakowały się z tyłu, jedna po lewej, druga po prawej stronie przystojniaczka z Wall Street. Hardin usiadł za kierownicą i poprosił Rowe'a o kluczyki.

Obejrzałem się i zobaczyłem odjeżdżające wozy patrolowe. Kiedy skierowałem wzrok z powrotem na lincolna, Hardin opuścił szybę i spojrzał mi w oczy.

- Dziękuję za wszystko.

- Proszę jechać ostrożnie, panie Hardin - rzekłem. Wycofał wóz z trawnika, przejeżdżając po klombie kwiatów.

- I te irysy też! - wrzasnął mężczyzna w szlafroku za oddalającym się samochodem. Spojrzał na mnie. - Mówię panu, że prowadził ten drugi i był pijany.

- Proszę, oto moja wizytówka - powiedziałem. - Jeśli sprawa nie zostanie załatwiona jak należy, niech pan do mnie zadzwoni.

Spojrzał na wizytówkę, pokręcił głową i wszedł z powrotem do domu. Wróciliśmy z Connorem do naszego wozu i ruszyliśmy w dół wzgórza.

- Masz dane tego asystenta? - zapytał Connor.

- Mam - odparłem.

- Co on miał w kieszeni?

- Wyglądało mi to na damskie majtki.

- Mnie też.

Nic, oczywiście, nie mogliśmy zrobić. Gdyby to ode mnie zależało, wykręciłbym temu nadętemu sukinsynowi rękę, pchnął na samochód i na miejscu go przeszukał. Ale obaj zdawaliśmy sobie sprawę, że do niczego takiego nie dojdzie. Nie było najmniejszych podstaw do zrewidowania Hardina czy też aresztowania go. Wiózł tylko na tylnym siedzeniu samochodu dwie dziewczyny, z których jedna mogła być bez majtek, oraz pijanego senatora Stanów Zjednoczonych na przednim. Puszczanie ich wolno było jedynym sensownym wyjściem.

Zanadto byliśmy tego wieczoru pobłażliwi.

Zaterkotał telefon. Wdusiłem przycisk.

- Porucznik Smith.

- Cześć, stary. - To był Graham. - Jestem teraz w kostnicy. I wiesz co? Jakiś Japończyk wierci mi dziurę w brzuchu, żebym mu pozwolił asystować przy sekcji. Chce siedzieć i patrzeć. Dajesz wiarę? Jest strasznie załamany, bo zaczęliśmy bez niego. Ale wyniki z laboratorium zaczynają wyglądać obiecująco. Nie są korzystne dla Nipponu. Moim zdaniem mamy japoński ślad. Może byś tak tu wpadł, co?

Spojrzałem na Connora. Skinął głową.

- Zaraz tam będziemy - powiedziałem.

Najkrótsza droga do kostnicy szpitala County General wiodła przez izbę przyjęć. Kiedy przez nią przechodziliśmy, jakiś zakrwawiony Murzyn, siedzący na kozetce, darł się wniebogłosy w narkotycznym szale: „Zabiję papieża! Zabiję papieża! Zakatrupię go!” Z pół tuzina sanitariuszy usiłowało położyć go z powrotem. Miał rany postrzałowe na ramieniu i na rękę. Posadzka i ściany izby przyjęć były zbryzgane krwią. Salowa ścierała je szmatą. Pod ścianami korytarza siedzieli rzędem czarni i Latynosi. Niektórzy trzymali na kolanach dzieci. Wszyscy odwracali wzrok od zakrwawionej szmaty. Gdzieś z głębi korytarza dolatywały inne wrzaski.

Wsiedliśmy do windy. Tu było cicho.

- Co dwadzieścia minut zabójstwo - mruknął Connor. - Gwałt co siedem. Morderstwo dziecka co cztery godziny. Żaden inny kraj nie toleruje takiego poziomu przemocy.

Drzwi się rozsunęły. W porównaniu z atmosferą izby przyjęć w podziemnych korytarzach kostnicy okręgowej panował błogi spokój. W powietrzu unosiła się silna woń formaldehydu. Podeszliśmy do biurka, przy którym, pochylając się nad jakimiś papierami i pałaszując kanapkę z szynką, siedział chudy, kościsty portier, Harry Landon.

- Czołem, chłopaki. - Nawet nie podniósł na nas wzroku.

- Cześć, Harry.

- W jakiej sprawie? Sekcja Austin?

- Tak.

- Zaczęli jakieś półtorej godziny temu. Chyba coś tam mają, wiecie?

- A bo co?

- Szef zwłókł z łóżka doktora Tima i kazał mu tu biec na jednej nodze. Porządnie go przy tym objechał. Wiecie, jaki doktor Tim jest grymaśny. - Portier uśmiechnął się. - I wezwali jeszcze kupę ludzi z laboratorium. Kto to słyszał, żeby w środku nocy ściągać pełną obsadę? Wiecie, ile to będzie kosztowało, jak się podliczy nadgodziny?- A gdzie Graham? - zapytałem.

- Kręcił się tu gdzieś. Łazi za nim jakiś Japończyk. Przyczepił się jak rzep do psiego ogona. A co pół godziny przychodzi tutaj, pyta mnie, czy może skorzystać z telefonu i gdzieś dzwoni. Szwargocze przez chwilę po japońsku, a potem znowu przykleja się do Grahama. Nie uwierzycie, ale mówi, że chce być przy sekcji. Nudzi i nudzi. A jak dzwonił ostatnio, jakieś dziesięć minut temu, to nagle coś się zmieniło. Siedziałem tutaj przy biurku i widziałem jego minę. Zrobił takie mojo-mojo, jakby nie wierzył własnym uszom. Potem wybiegł, mało butów nie pogubił.

- A w której sali odbywa się sekcja?

- W dwojce.

- Dzięki, Harry.

- Drzwi!

- Cześć, Tim - powiedziałem wchodząc przed Connorem do prosekatorium. Tim Haller, znany wszystkim jako doktor Tim, pochylał się nad stołem z nierdzewnej stali. Chociaż dochodziła pierwsza czterdzieści w nocy, jego wyglądowni nie można było nic zarzucić. Wszystko na właściwym miejscu. Włosy starannie uczesane. Krawat perfekcyjnie zawiązany. Równy rządęk długopisów w kieszonce wykrochmalonego fartucha laboratoryjnego.

- Słyszałeś?

- Już je zamykam, Tim. - Drzwi wyposażone były w sprężynowy automat i zamykały się samoczynnie, ale najwyraźniej zbyt wolno jak na wymagania doktora Tima.

- Nie chcę, żeby wtykało tu nos to japońskie indywiduum.

- On już wyszedł, Tim.

- Naprawdę? Ale może wrócić. Jest strasznie namolny i denerwujący. - Obejrzał się przez ramię. - A kogo tu ze sobą przyprowadziłeś? Czy to przypadkiem nie John Connor? Wieki cię nie widziałem, John.

- Cześć, Tim.

Podeszliśmy do stołu. Zauważyłem, że sekcja jest już nieźle zaawansowana, że wykonano nacięcie w kształcie litery Y i usunięto pierwsze organy, które leżały teraz poukładane równo na tacach z nierdzewnej stali.

- Może wreszcie ktoś mi powie, skąd tyle szumu wokół tej sprawy? - odezwał się Tim.

- Graham jest w takim nastroju, że nic się od niego nie wyciągnie. Wyszedł drugimi drzwiami do laboratorium zobaczyć, jakie są pierwsze wyniki. A ja chcę się dowiedzieć, czemu wyciągnięto mnie z łóżka. Dyżur ma Mark, ale widocznie uznali, że brakuje mu doświadczenia. Natomiast M.E. jak zwykle nie ma w mieście, bo pojechał na jakąś konferencję do San Francisco. Teraz, kiedy przygadał sobie tę nową przyjaciółkę, nie uświadczycie go w domu. No i wezwali mnie. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz wyciągali mnie z łóżka.

- Ty nie pamiętasz? - zdziwiłem się. Doktor Tim był perfekcyjny pod każdym względem, włączając w to pamięć.

- Ostatnim razem było to zastępstwo, w styczniu, trzy lata temu. Większość personelu rozłożyła grypa, a robota się spiętrzała. W końcu jednej nocy zabrakło nam schowków. Ciała leżały tu na podłodze w plastikowych torbach. Poukładane warstwami, jedne na drugich.

Trzeba było coś z tym zrobić. Panował straszliwy smród. Nie pamiętam jednak, żeby mnie wzywano tylko dlatego, że sytuacja była politycznie drażliwa. Tak jak teraz.

- My też nie wiemy, dlaczego jest drażliwa - odezwał się Connor.

- To może się lepiej dowiedźcie. Bo tu wszyscy naciskają. M.E. dzwoni do mnie z San Francisco i powtarza: „Siedź tam choćby przez całą noc, ale zrób”. Ja mu na to: „W porządku, Bill”. A on: „Słuchaj, Tim. Dobrze się przyłóż. Nie śpiesz się, rób dużo zdjęć i notatek. Dokumentacja musi być bez zarzutu. Fotografuj z dwóch kamer, bo coś mi się zdaje, że każdy, kto ma cokolwiek wspólnego z tą sprawą, może wdepnąć po uszy w gówno”. Tak powiedział. To naturalne, że człowiek zaczyna się zastanawiać, co to za afera.

- O której odebrałeś telefon? - spytał Connor.

- O dziesiątej trzydzięci, może jedenastej.

- M.E. powiedział, kto do niego dzwonił?

- Nie. Ale musiała to być jedna z dwóch osób: szef policji albo burmistrz.

Tim obejrzał nerkę, po czym umieścił ją na tacy. Asystent fotografował każdy organ i odkładał go na bok.. - I jak? Co stwierdziłeś?

- Szczerze mówiąc, to najciekawszych jak dotąd obserwacji dokonałem podczas oględzin zewnętrznych - powiedział doktor Tim. - Miała grubo makijaż na szyi, który maskował ślady licznych urazów, sińce w różnych stadiach gojenia. Nawet bez krzywej spektroskopowej produktów rozkładu hemoglobiny w zasinionych miejscach potrafię stwierdzić, że wiek tych sińców jest zróżnicowany, najstarsze mają około dwóch tygodni, może nawet więcej. Czas ich powstawania sugeruje, że mamy do czynienia z powtarzającymi się, chronicznymi urazami szyi. Moim zdaniem nie ma tu żadnych wątpliwości: mamy przed sobą typowy przypadek zboczenia seksualnego.

- Była duśką?

- Tak jest.

Kelly to podejrzewał. Chociaż raz miał rację.

- Ten rodzaj dewiacji spotyka się częściej u mężczyzn, ale z pewnością występuje również u kobiet. Osoba z tym syndromem rozbudza się seksualnie dopiero wtedy, kiedy doprowadzi się ją do stanu zamartwicy bliskiego uduszenia. Osoby takie proszą swych partnerów, by je dusili albo zakładali im na głowę plastikową torbę. Czasami, kiedy są same, wiążą sobie kabel wokół szyi i wieszają się, masturbując jednocześnie. Ponieważ pożądany efekt występuje dopiero wtedy, gdy podduszają się niemal do utraty przytomności, łatwo popełnić błąd i posunąć się za daleko. Często im się to zdarza.

- A w tym przypadku?

- No cóż. - Tim wzruszył ramionami. - Ustalenia z oględzin wskazują na utrzymujące się od dawna objawy niedotlenienia. Stwierdziłem też obecność męskiego nasienia w jej pochwie, a w przedsionku pochwy otarcia, co z kolei sugeruje, że tego samego wieczora, kiedy zmarła, odbyła wymuszony stosunek seksualny.

- Jesteś pewien, że te otarcia nastąpiły przed śmiercią? - zapytał Connor.

- O, tak. To zdecydowanie obrażenia przedśmiertne. Nie ma wątpliwości, że miała wymuszony stosunek seksualny, zanim zmarła.

- Chcesz przez to powiedzieć, że została zgwałcona?

- Nie, raczej nie. Jak widzicie, te otarcia nie są poważne i brak typowych dla gwałtu obrażeń na innych częściach ciała. Właściwie nie ma żadnych śladów walki. W związku z czym przyczyn powstania tych objawów upatrywałbym raczej w przedwczesnym wprowadzeniu członka do pochwy przy niedostatecznym nawilżeniu przedsionka.

- Innymi słowy, nie była mokra? - spytałem. Tim zrobił zbolalą minę.

- No cóż. Tak się to określa w niewybrednej, potocznej terminologii.

- Na jak długo przed śmiercią powstały te otarcia?

- Na jakąś godzinę, może nawet dwie. W każdym razie nie bezpośrednio przed momentem zejścia. Świadczą o tym wybroczyny i obrzmienia w okolicach obrażeń. Jeśli zgon następuje wkrótce po zranieniu, ustaje przepływ krwi i obrzmienia występują w ograniczonym stopniu albo w ogóle ich nie ma. W tym wypadku, jak sami widzicie, obrzmienia są wyraźne.

- A ta sperma?

- Próbkę poszły do laboratorium, wraz z jej wydzielinami. Poczekamy, zobaczymy. No więc jak, może wy teraz uchylicie rąbka tajemnicy? Bo według mnie, ta dziewczyna wcześniej czy później musiałaby się wpakować w kłopoty. Ładna, a do tego zboczona. No... co to za afera? Dlaczego wyciągają mnie z łóżka w środku nocy, żebym robił dokładną, udokumentowaną sekcję jakiejś dułki?

- Sam nie wiem - mruknąłem.

- Przestań. Informacja za informację - parsknął doktor Tim. - Ja powiedziałem, co wiedziałem, teraz wasza kolej.

- No cóż, Tim - odezwał się Connor. - Dałeś się podejść.

- Nie chrzań - zaperzył się doktor. - Jesteście mi to winni. No?

- Obawiam się, że Peter mówi prawdę. Wiemy tylko tyle, że do morderstwa doszło na wielkim publicznym przyjęciu wydawanym przez Japończyków i że oni teraz bardzo się starają czym prędzej ukrećić łeb sprawie.

- To by się zgadzało - burknął Tim. - Jak ostatnim razem mieliśmy tutaj taki kocioł, w sprawę zamieszany był japoński konsulat. Pamiętacie to uprowadzenie Takashimy? Może nie pamiętacie: nie pisali o tym w gazetach. Japończykom udało się wyciszyć plotki. W każdym razie w dziwnych okolicznościach zabity został strażnik i przez dwa dni naciskali na nasze biuro jak cholera. Byłem zaskoczony ich wpływami. Zadzwoił do nas senator Rowe i dyktował, co mamy robić. Dzwonił osobiście gubernator. Wszyscy do nas dzwonili. Można było pomyśleć, że chodzi o dziecko samego prezesa. Ci ludzie naprawdę mają dojścia.

- Jasne, że mają. Hojnie za nie zapłacili - powiedział Graham wchodząc do sali.

- Drzwi! - warknął Tim.

- Ale tym razem nie pomogą im żadne pieprzone dojścia - ciągnął Graham. - Bo tym razem mamy ich na widelcu. Jest morderstwo: i opierając się na dotychczasowych wynikach z laboratorium, możemy bez pudła stwierdzić, że mordercą był Japończyk.

18

Sąsiednie laboratorium patologii zajmowało ogromną salę oświetloną równymi rzędami jarzeniówek. Na stołach stały długie szeregi mikroskopów. Ale w tak wielkiej przestrzeni pracowało o tej porze tylko dwóch laborantów. A nad nimi stał triumfujący Graham.

- Sami zobaczcie. Wśród jej włosów łonowych znaleziono pojedyncze włosy łonowe mężczyzny, umiarkowanie skrecone, o owalnym przekroju, prawie na pewno należące do Azjaty. Pierwsza analiza nasienia wykazuje grupę krwi AB, stosunkowo rzadko spotykaną u osobników rasy białej, za to o wiele bardziej powszechną wśród Azjatów. Pierwsza analiza protein w nasieniu daje wynik negatywny dla markera genetycznego na obecność... jak to się nazywa?

- Dehydrogenaz etanolowych - podsunął laborant.

- Właśnie. Dehydrogenaz etanolowych. To taki enzym. Nie występuje u Japończyków. I nie ma go w nasieniu. Tak. Niedługo będą wyniki dalszych testów, ale już teraz wydaje się pewne, że dziewczyna miała wymuszony stosunek z Japończykiem, który potem ją zabił.

- Pewne jest tylko to, że znalazłeś w jej pochwie ślady spermy Japończyka - zauważył Connor. - Nic poza tym.

- Jezu - jęknął Graham. - Japońskie nasienie, japońskie włosy łonowe, japońska grupa krwi. Nie ulega wątpliwości, że sprawcą jest Japończyk.

Rozłożył kilka zdjęć z miejsca zbrodni przedstawiających Cheryl leżącą na stole konferencyjnym i zaczął się przed nimi przechadzać tam i z powrotem.

- Wiem, gdzie obaj byliście i wiem, że traciliście tylko czas - odezwał się. - Poszliście po taśmy wideo, ale one zniknęły, zgadza się? Potem pojechaliście do jej mieszkania, ale przed waszym przybyciem ktoś je wyczyścił. I dokładnie tego można się było z góry spodziewać, jeśli sprawcą jest Japończyk. To jasne jak słońce, proste jak drut.

Tu Graham wskazał na fotografii.

- Oto nasza dziewczyna, Cheryl Austin z Teksasu. Jest ładna, młoda, zgrabna. Można ją chyba nazwać aktorką, grała w kilku reklamówkach. Zapewne japońskich, wszystko jedno. Spotyka się z różnymi ludźmi, nawiązuje pewne kontakty. Wpada komuś w oko. Zgadza się ze mną?

- Owszem - zapewniłem Grahama. Connor oglądał uważnie fotografie.

- Tak czy inaczej, naszej Cheryl musi się nieźle powodzić, skoro pojawia się na wielkim otwarciu wieżowca Nakamoto w czarnej sukni od Yamamoto. Przychodzi w towarzystwie jakiegoś faceta, przyjaciela, czy choćby fryzjera. Może zna jeszcze kogoś z obecnych na tym przyjęciu, może nie. Ale w trakcie wieczoru ktoś wielki i potężny proponuje jej mały spacer. Zgadza się pojechać z nim na górę. Bo czemużby nie? Dziewczyna lubi przygody. Lubi niebezpieczeństwo. Szuka guza. Idą więc na górę: może razem, może osobno. W każdym razie spotykają się piętro wyżej i szukają miejsca, gdzie mogliby to zrobić. Jakiegoś podniecającego miejsca. I decydują się, a prawdopodobnie to on decyduje, że zrobią to na tym pieprzonym stole konferencyjnym. No i zaczynają się grzmocić, ale sprawy umykają spod kontroli. Jej kochaś trochę za bardzo się podnieca albo w ogóle jest zboczony i... trochę za mocno ściska ją za szyję. I ona umiera. Zgadza się ze mną?

- Tak...

- No i teraz kochaś ma problem. Przyszedł na górę, żeby przelecieć dziewczynę, ale niechcący ją zabił. No i co robi? Co może zrobić? Wraca na dół, na przyjęcie, a ponieważ jest wielkim samurajskim supermenem, zwierza się któremuś z fagasów ze swojego małego kłopotu: przypadkowo wydusił życie z miejscowej kurewki. Bardzo to niekorzystne ze względu na napięty program wieczoru. No więc fagas bierze sobie do pomocy innych fagasów i lecą posprzątać po szefie. Wjeżdżają piętro wyżej i usuwają stamtąd obciążające go dowody. Zjeżdżają na dół i konfiskują taśmy. Jadą do jej mieszkania i stamtąd też usuwają dowody. Wszystko pięknie ładnie, ale musi trochę potrwać. A więc ktoś powinien zagadać policję. I tutaj wkracza ten ich lizusowaty, przydupacki prawnik, Ishigura. Przytrzymuje nas dobre półtorej godziny. No i jak to brzmi?

Zapadło milczenie. Czekałem, aż głos zabierze Connor.

- Tak - odezwał się w końcu. - Moje gratulacje, Tom. Ta sekwencja zdarzeń wygląda pod wieloma względami sensownie.

- Ażebyś wiedział, że sensownie - napuszył się Graham. - I to jeszcze jak, kurwa.

Zadzwoił telefon.

- Czy jest tu kapitan Connor? - zapytał laborant, który go odebrał.

Ten wziął od niego słuchawkę.

- Mówię ci - zwrócił się do mnie Graham. - Tę dziewczynę zakatrupił jakiś Japonec, a my go znajdziemy i powiesimy, kurwa, za jaja. Powiesimy za jaja!

- Za co ty ich tak nie cierpisz? - spytałem. Graham spojrzał na mnie ponuro.

- O czym ty gadasz? - burknął.

- Pytam, za co tak nienawidzisz Japończyków.

- Posłuchaj no - warknął Graham. - Coś sobie od razu wyjaśnijmy, Petey-san. To nie jest nienawiść. Ja wykonuję swoją robotę. Czarny, biały czy Japończyk, dla mnie to bez różnicy.

- W porządku, Tom. - Była późna noc. Nie miałem ochoty na spory.

- Nie tak szybko. Myślisz, kurwa, że jestem uprzedzony.

- Dajmy temu spokój, Tom.

- Zaraz, chwileczkę. Nie damy temu spokoju. Sam zacząłeś. Pozwól więc, że coś ci powiem, Petey-san. Zostałeś tym pieprzonym łącznikiem, dobrze mówię?

- Dobrze mówisz, Tom.

- A dlaczego nim zostałeś? Z wielkiej miłości do japońskiej kultury?

- No, pracowałem wtedy w biurze prasowym...

- Nie, nie wciskaj mi tu kitu. Zostałeś nim, bo tam wypłacają dodatkowe stypendium, dobrze mówię? Dwa, trzy patyki rocznie. Stypendium naukowe. Forsa płynie do departamentu z Towarzystwa Przyjaźni Japońsko-Amerykańskiej. I departament przeznacza tę forszę na stypendium naukowe dla funkcjonariuszy, żeby ci mogli pogłębiać swoją wiedzę o japońskim języku i kulturze. I jak ci leci to pogłębianie, Petey-san?

- Chodzę na zajęcia.

- Jak często?

- Raz w tygodniu.

- Raz w tygodniu? A jak sobie odpuszczasz te lekcje, to tracisz stypendium?

- Nie.

- No i sam, kurwa, widzisz. Nie liczy się, czy chodzisz na te zajęcia, czy nie. Prawda jest taka, koleś, że bierzesz łapówkę. Masz w kieszeni trzy tysiące dolców, a te pochodzą z Kraju Wschodzącego Słońca. Wiadomo, to żaden majątek. Nikt cię nie kupi za trzy patyki, nie? Jasne, że nie.

- Zaraz, Tom...

- Ale rzecz w tym, że oni ciebie nie kupują. Oni na ciebie wpływają. Im chodzi tylko o to, żebyś nie działał pochopnie. Żebyś patrzył na nich przychylniejszym okiem. No bo dlaczego miałbyś tak nie patrzeć? To ludzki odruch. Dzięki nim żyje ci się trochę lepiej. Dzięki nim lepiej powodzi się tobie, twojej rodzinie, twojej dziewczynce. Robią ci dobrze, więc dlaczego miałbyś się im nie odwdziaczyć? Czy nie jest tak, Petey-san?

- Nie, nie jest - powiedziałem. Zaczynał ogarniać mnie gniew.

- A właśnie, że jest - nie ustępował Graham. - Bo w ten sposób działa presja psychologiczna. Ty nie zdajesz sobie nawet sprawy z jej istnienia. Mówisz, że jej nie ma. Wmawiasz sobie, że jej nie ma, ale ona jest. Czystym można być tylko, jeśli się jest czystym, kolego. Gdybyś nie miał w tym swojego interesu, gdybyś nie czerpał z tego żadnych korzyści finansowych, dopiero wtedy mógłbyś zabierać głos. W każdym innym wypadku, kurczę, płacą ci, a więc twierdzą, że mają cię w kieszeni.

- Czekaj, cholera...

- Zatem nie wyjeżdżaj mi tu, koleś, z gadką o nienawiści. Ten kraj znajduje się w stanie wojny i niektórzy ludzie to rozumieją, a niektórzy kombinują z wrogiem. Tak samo jak podczas drugiej wojny światowej byli ludzie, których opłacano za szerzenie nazistowskiej propagandy. Nowojorskie gazety drukowały teksty wyjęte wprost z ust Adolfa Hitlera. Czasami ci ludzie robią to nieświadomie. Ale mimo wszystko robią. I tak właśnie jest na wojnie, kolego. A ty jesteś pieprzonym kolaborantem.

Z ulgą powitałem powrót Connora. Mało brakowało, a wzięlibyśmy się z Grahamem za łby.

- No dobrze, Tom, wszystko rozumiem - powiedział spokojnie kapitan. - Lecz jak twój scenariusz wyjaśnia sprawę taśm, które zniknęły po zamordowaniu dziewczyny? - Pies z nimi tańczył. Zniknęły i już - parsknął Graham. - I nigdy już ich nie zobaczysz.

- Tak, to interesujące. Bo dzwoniли właśnie z wydziału. Okazuje się, że jest tam pan Ishigura. Przyniósł ze sobą pudło z kasetami wideo, żebym je sobie obejrzał.

Graham nie zabrał się z nami. Powiedział, że pojedzie swoim wozem.

- Dlaczego twierdzisz, że Japończycy nie tkną Grahama? - zapytałem Connora, kiedy ruszyliśmy.

- Bo jego wuj dostał się podczas drugiej wojny światowej do japońskiej niewoli. Zabrano go do Tokio i wszelki śluch po nim zaginął. Ojciec Grahama usiłował po wojnie poznać jego losy i dogrzebał się bardzo nieprzyjemnych rzeczy. Prawdopodobnie słyszałeś, że część amerykańskich jeńców wojennych zmarła w Japonii w wyniku eksperymentów medycznych, które na nich przeprowadzano. Krążyły pogłoski, że Japończycy dla żartu karmili podwładnych ich wątrobami, i tym podobne rzeczy.

- Nie, nie słyszałem o tym - przyznałem.

- Chyba wszyscy woleliby zapomnieć o tamtych czasach - powiedział Connor - i iść do przodu. Prawdopodobnie mają rację. To jest teraz inny kraj. O co Graham się ciebie czepiał?

- O moje stypendium oficera łącznikowego.

- Mówiłeś, że to pięćdziesiąt dolarów tygodniowo?

- Trochę więcej.

- To znaczy ile?

- Około setki, pięć tysięcy pięćset rocznie. Ale trzeba z tego opłacić kurs, kupić podręczniki, pokryć koszty dojazdu, opiekunki do dziecka, wszystkiego.

- No dobrze, dostajesz pięć patyków. I co z tego?

- Graham twierdzi, że w ten sposób wywierana jest na mnie presja psychologiczna, że Japończycy mnie kupili.

- No cóż, z pewnością próbują - mruknął Connor. - I robią to niezmiernie subtelnie.

- A próbowali tego z tobą?

- Oczywiście. - Urwał na chwilę. - I często to akceptowałem. Dawanie prezentów z myślą, że nastawią cię do nich przychylniej, to instynktowny odruch Japończyków. A my nie różnimy się w tym zbytnio od nich, zapraszając szefa na kolację. Ale nie zapraszamy go wtedy, kiedy wazą się losy naszego awansu. Na miejscu jest za to zaproszenie szefa wcześniej, kiedy nic nie leży jeszcze na szali. Tak samo z Japończykami. Uważają, że powinieneś dostać prezent wcześniej, bo wtedy nie jest to łapówka, tylko podarunek. Sposób na nawiązanie z tobą dobrych stosunków, zanim zaczniesz im na nich naprawdę zależeć.

- I uważasz, że to w porządku?

- Uważam, że taki już jest świat.

- Sądzisz, że to korupcja? Connor spojrzał na mnie.

- A ty?

Nie odpowiedziałem od razu.

- Tak. Być może - bąknąłem w końcu. Zaczął się śmiać.

- No to mi ulżyło - powiedział. - Bo już myślałem, że wszystkie pieniądze, jakie wpompowali w ciebie Japończycy, poszły na marne.

- Co cię tak śmieszy?

- Twoje rozterki, *kohai*.

- Graham mówi, że to wojna.

- I ma rację - powiedział Connor poważniejąc. - Nie da się ukryć, że prowadzimy wojnę z Japonią. Ale zobaczmy, jaką niespodziankę ma dla nas pan Ishigura w tej obecnej potyczce.

19

Była druga w nocy, lecz w sali Wydziału Dochodzeniowego na piątym piętrze gmachu komendy policji jak zwykle kłębił się tłum. Detektywi uwijali się wśród pobitych prostytutek i podrygujących ćpunów, którzy czekali na przesłuchanie; „Odpierdol się, powiedziałem!” - wyrzaskiwał raz po raz do funkcjonariuszki z notesem jakiś mężczyzna w sportowej marynarce w kratę.

Kasaguro Ishigura wyraźnie nie pasował do całego tego młyna i wrzawy. Siedział w kącie w swoim prążkowanym, granatowym garniturze z pochyloną skromnie głową i złączonymi kolanami, na których trzymał tekturowe pudło.

Ujrzawszy nas zerwał się na równe nogi. Skłonił się nisko, przyciskając dłonie płasko do ud, co oznaczało głęboki szacunek. Trwał w tym ukłonie przez kilka sekund. Potem natychmiast skłonił się jeszcze raz i tym razem czekał zgięty w pasie i wpatrzony w podłogę, dopóki Connor nie odezwał się do niego po japońsku. Odpowiedź Ishigury, także po japońsku, była cicha i pełna uległości. Wciąż patrzył w podłogę.

- Jezu święty - mruknął mi do ucha Tom Graham, przystając przy lodówce, obok której się zatrzymałem. - Zanosi się, kurwa, na spowiedź.

- Tak, być może - odparłem. Wcale nie byłem o tym przekonany. Widziałem już Ishigurę zmieniającego w mgnieniu oka postawę.

Obserwowałem Connora rozmawiającego z Ishigurą. Japończyk przypominał zbitego psa. Nie odrywał wzroku od podłogi.

- Nigdy by mi nie wpadło do głowy, że to on - ciągnął Graham. - Nawet za milion lat. Wszyscy, tylko nie on.

- A niby czemu?

- No, co ty? Zabić dziewczynę, a potem zostać w tej sali i rozstawiać nas po kątach? Musi mieć, sukinsyn, stalowe nerwy. Ale popatrz na niego teraz: Jezu, on się zaraz rozpłaczę.

Miał rację. Oczy Ishigury zdawały się wzbierać łzami. Connor wziął od niego pudło, odwrócił się i ruszył w naszym kierunku.

- Zajmij się tym - powiedział przekazując mi je. - Ja idę przesłuchać Ishigurę.

- No i co - wtrącił Graham. - Przyznał się?

- Do czego?

- Do morderstwa.

- Też coś - zachnął się Connor. - Skąd ci to przyszło do głowy?

- No bo tak się tam kłania i płaszczy...

- To tylko *sumimasen* - odparł Connor. - Nie brałbym tego na poważnie.

- Przecież on prawie płacze - nie dawał za wygraną Graham.

- Zachowuje się tak, bo myśli, że mu to pomoże.

- A więc nie przyznał się?

- Nie. Ale przekonał się wreszcie, że faktycznie podmieniono taśmy. A to oznacza, że zaprzeczając temu publicznie w obecności burmistrza, popełnił duży błąd. Teraz zostanie oskarżony o ukrywanie dowodów. Grozi mu degradacja. Ishigura popadł w wielkie tarapaty i zdaje sobie z tego sprawę.

- I dlatego jest taki uniżony?

- Tak. W Japonii, jeśli coś spieprzysz, zgłaszasz się czym prędzej do władz i odstawiasz wielkie przedstawienie mające dowieść, jak ogromnie ci przykro, jak fatalnie się czujesz i że nigdy więcej tego nie zrobisz. To zachowanie pro forma, ale władze będą pod wrażeniem wniosków, jakie wyciągnąłeś ze swojej lekcji. To *sumimasen*: nie kończące się przeprosiny. Uważa się je za najlepszy sposób na wzbudzenie wyrozumiałości. I to właśnie robi Ishigura.

- Chcesz powiedzieć, że on pajacuje? - Grahamowi wzrok stwardniał.

- I tak, i nie. To trudno wyjaśnić. Posłuchaj. Przejrzyjcie te taśmy. Ishigura mówi, że przyniósł własny magnetowid, bo taśmy zostały zarejestrowane w nietypowym formacie i obawiał się, że nie zdołamy ich odtworzyć na naszym sprzęcie. W porządku?

Otworzył tekturowe pudło. Ujrzałem dwadzieścia małych ośmiomilimetrowych kaset przypominających magnetofonowe i małe urządzenie wielkości walkmana. Był to magnetowid. Miał kable do podłączenia go do odbiornika telewizyjnego.

- Dobra - powiedziałem. - Obejrzyjmy to sobie.

Pierwsza taśma zawierała widok z kamery zainstalowanej wysoko pod sufitem atrium na czterdziestym piątym piętrze i skierowanej w dół. Obraz był czarno-biały. Przedstawiał ludzi pracujących tam chyba w zwykłych godzinach urzędowania. Włączyliśmy szybkie przewijanie w przód. Smugi słonecznego blasku wpadającego przez okna zatoczyły po podłodze łuk i zniknęły. W miarę jak dzień pracy dobiegał końca, plamy światła na podłodze traciły stopniowo swoją intensywność i ciemniały. Jedna po drugiej zapalały się biurkowe lampki. Urzędnicy poruszali się teraz wolniej. W końcu zaczęli wstawać i wychodzić. Gdy na sali się przeredziło, zauważyliśmy coś jeszcze. Teraz kamera poruszała się od czasu do czasu, sunąc obiektywem za przechodzącymi pod nią pracownikami. Ale nie za wszystkimi. Doszliśmy do wniosku, że musi być wyposażona w automatyczny system śledzenia i ustawiania ostrości. Jeśli w kadrze trwał spory ruch, kilka osób przemieszczało się w różnych kierunkach, kamera nie reagowała. Jeśli jednak kadr był stosunkowo pusty, wybierała pojedynczą osobę, która się w nim znalazła, i ją śledziła.

- Ciekawe rozwiązanie - zauważył Graham.

- W wypadku kamer systemu zabezpieczenia obiektu ma chyba sens - powiedziałem. - Bardziej interesuje ich pojedyncza osoba kręcąca się po piętrze niż cały tłum.

Zapaliły się nocne światła. Przy biurkach nie było już nikogo. Obraz zaczął migotać z dużą, niemal stroboskopową częstotliwością.

- Coś nie tak z taśmą? - mruknął podejrzliwie Graham. - Majstrowali coś przy niej, czy jak?

- Nie wiem. Nie, czekaj. To nie to. Spójrz na zegar.

Na przeciwległej ścianie atrium wisiał biurowy zegar. Na naszych oczach jego wskazówki przesunęły się płynnie z dziewiętnastej trzydziści na dwudziestą.

- Zaczął się szybciej obracać - powiedziałem.

- Co to ma być, zdjęcia migawkowe? Skinąłem głową.

- Prawdopodobnie system, nie wykrywając przez jakiś czas niczyjej obecności, zaczyna rejestrować pojedyncze klatki co dziesięć, może dwadzieścia sekund, dopóki...

- Hej. A to co?

Migotanie ustało. Kamera zaczęła sunąć w prawo omiatając wyludnione piętro. Ale w kadrze nikogo nie było. Same puste biurka i od czasu do czasu refleks górnego światła wpadającego w obiektyw.

- Może mają czujniki szerokokątne - mruknąłem. - Takie, których zasięg jest szerszy niż pole widzenia kamery. Albo jest ona sterowana ręcznie przez strażnika, na przykład tego z dyżurki na dole.

Obraz zatrzymał się nagle na drzwiach wind znajdujących się w przeciwległym, prawym rogu piętra, gdzie zawieszony znacznie niżej sufit przesłaniał nam widok. Na dodatek zalegał tam głęboki cień.

- Kurczę, ciemno tam. Widzisz kogoś?

- Nic nie widzę - odparłem.

Obraz zaczął się wyostrzać i rozmywać na przemian.

- Co się dzieje? - zapytał Graham.

- Wygląda na to, że układ automatycznego ustawiania ostrości ma problem. Chyba nie może znaleźć obiektu, na którym ma się skupić. Układy logiczne zawodzą w takich sytuacjach. Z moją kamerą wideo jest podobnie. Kiedy nie bardzo wiadomo, na co jest wycelowany obiektyw, ostrość zaczyna wariować.

- A więc według ciebie kamera próbuje dopasować ostrość? Bo ja niczego nie widzę. Ciemno tam jak u Murzyna pod koszulą.

- Nie, popatrz. Ktoś tam jest. Widać gołe nogi. Ledwie, ledwie, ale widać.

- Chryste - mruknął Graham - to nasza dziewczyna. Stoi przy windzie. Nie, czekaj. Ruszyła.

W chwilę później z korytarza wyłoniła się Cheryl Austin i po raz pierwszy zobaczyliśmy ją wyraźnie.

Była piękna i pewna siebie. Weszła bez wahania na salę. Poruszała się krokiem naturalnym i zdecydowanym, bez tak typowej dla młodych ludzi nonszalancji i niedbałości.

- Kurczę, jest niezła - powiedział Graham.

Cheryl Austin była wysoka i smukła; krótko przycięte blond włosy sprawiały, że wyglądała na wyższą niż w rzeczywistości. Nosiła się prosto. Obrzuciła wzrokiem całą salę, jakby ta należała teraz do niej.

- Nie chce mi się wierzyć, że ją oglądamy - powiedział Graham. Wiedziałem, o co mu chodzi. Tę dziewczynę zamordowano przed kilkoma zaledwie godzinami. A my patrzyliśmy, jak spaceruje na parę minut przed swoją śmiercią.

Na monitorze Cheryl podniosła z biurka przycisk do papieru, obróciła go w dłoniach i odstawiła na miejsce. Otworzyła torebkę i znowu ją zamknęła. Zerknęła na zegarek.

- Zaczyna się denerwować.

- Nie lubi, kiedy każą jej czekać - zauważył Graham. - I założę się, że nie za często jej się to zdarza. Nie takiej dziewczynie.

Zaczęła bębnić palcami o biurko w charakterystycznym rytmie, który wydał mi się znajomy. Poruszała do taktu głową. Graham wyteżył utkwiony w ekranie wzrok.

- Ona coś mówi?

- Tak jakby - odparłem.

Jej usta poruszały się ledwie zauważalnie. I nagle przypomniałem sobie - te jej ruchy, wszystko. Uświadomiłem sobie, że potrafię jej zawtórować:

Gryzę paznokcie, wykręcam palce. Spalam się cały w wewnętrznej walce. Och, mała, doprowadzasz mnie do szału...

- O, rany - mruknął Graham. - Masz rację. Jak na to wpadłeś? Cheryl przestała nucić i obejrzała się w kierunku windy.

- No, jest.

Ruszyła w tamtą stronę. Wkroczywszy pod obniżony sufit, otoczyła ramionami przybyłego mężczyznę. Przywarli do siebie i połączyli usta w namiętym pocałunku. Ale jego wciąż nam zasłaniał sufit. Widzieliśmy tylko ręce, którymi obejmował Cheryl, ale twarz pozostawała niewidoczna.

- Cholera - mruknął Graham.

- Nie denerwuj się - powiedziałem. - Zaraz go sobie obejrzymy. Jak nie z tej kamery, to z innej. Ale możemy już chyba przyjąć, że nie jest to ktoś, kogo dopiero poznała. To jej dobry znajomy.

- Chyba że ta mała łatwo nawiązuje znajomości. O, zobacz. Facet nie traci czasu.

Dłonie mężczyzny podsunęły w górę sukienkę i uniosły jej skraj. Zaciśnięły się na pośladkach dziewczyny. Cheryl Austin przywarła doń mocno. Trwali przez chwilę w żarliwym, namiętym uścisku. Potem, nie odrywając się od siebie, ruszyli w głąb sali, obracając się powoli. Mężczyzna był teraz zwrócony do nas plecami. Ona miała sukienkę zebraną w tali. Wsunęła mu rękę między nogi i zaczęła pocierać krocze. Na wpół doszli, na wpół dopadli do najbliższego biurka. Mężczyzna naparł na nią, przyginając plecami do blatu i w tym momencie Cheryl go odepchnęła.

- Oj, oj. Nie tak szybko - mruknął Graham. - Nasza dziewczynka ma, mimo wszystko, zasady.

Nie byłem pewien, czy o to akurat chodziło. Cheryl najpierw go prowokowała, lecz nagle się rozmyśliła. Zauważyłem, że jej nastrój zmienił się niemal w okamgnieniu. Przemknęło mi przez myśl, że może przez cały czas grała, że jej namiętność była udawana. Mężczyzna nie wyglądał na specjalnie zaskoczonego tą nagłą odmianą. Siedząc na biurku, Cheryl odpychała go dalej, prawie ze złością. Mężczyzna cofnął się. Wciąż był zwrócony do nas plecami. Nie widzieliśmy jego twarzy. Ledwie zdążył się cofnąć, jej znowu się odmieniło: uśmiechała się teraz i kusząco prężyła. Zsunęła się powoli z biurka, poprawiła na sobie

sukienkę, wyginając się prowokacyjnie i rozglądając dokoła. Widzieliśmy jego ucho i bok twarzy na tyle, by zauważyć, że porusza szczęką. Mówił do niej. Cheryl uśmiechnęła się, podeszła i zarzuciła mu ręce na szyję. Zaczęli się znowu całować, pieszcząc wzajemnie dłońmi. Ruszyli powoli przez biuro w kierunku sali konferencyjnej.

- Czy to ona zaproponowała salę konferencyjną?

- Trudno powiedzieć.

- Cholera, wciąż nie widzę jego twarzy.

Zbliżali się już do środka pomieszczenia i podążająca za nimi kamera skierowana była teraz niemal prostopadle w dół. Widzieliśmy tylko czubek głowy mężczyzny.

- Czy on wygląda ci na Japończyka? - zapytałem.

- Cholera wie. Ile jest tam jeszcze kamer?

- Cztery.

- Z któregoś musi być widać jego twarz. Zidentyfikujemy skurczybyka.

- Zwróć uwagę, Tom - powiedziałem - że to chyba kawał chłopca. Zdaje się, że jest wyższy od niej, a to przecież postawna dziewczyna.

- Z tego kąta trudno coś powiedzieć. Dla mnie jest pewne tylko to, że nosi garnitur.

Dobra, idą w stronę sali konferencyjnej.

Kiedy byli już blisko wejścia, ona zaczęła się wrywać.

- Oho - mruknął Graham. - Znowu jej się odwidziało. Humorzaste stworzonko.

Mężczyzna chwycił ją mocno, a ona szarpnęła się, usiłując wyslizgnąć z jego uścisku. Na wpół wniósł, na wpół wciągnął ją do sali konferencyjnej. W progu szarpnęła się po raz ostatni i chwyciła framugi.

- Tam zgubiła torebkę.

- Prawdopodobnie. Nie widzę dobrze.

Sala konferencyjna znajdowała się dokładnie naprzeciw kamery, widzieliśmy więc całe wnętrze. Było tam jednak bardzo ciemno i nasza para rysowała się tylko niewyraźnie na tle oświetlonych wieżowców za panoramicznym oknem. Mężczyzna wziął dziewczynę na ręce, posadził ją na stole i przewrócił na wznak. Nie opierała się, kiedy podciągał jej sukienkę powyżej bioder. Sprawiała wrażenie uległej i gotowej mu się oddać. Wykonał szybki ruch między swoim i jej ciałem. Nagle coś śmignęło w powietrzu.

- Lecą majtki.

Zdało mi się, że wylądowały na podłodze. Pewności jednak nie miałem. Jeśli były to majtki, to czarne albo w jakimś ciemnym kolorze. I to by było na tyle, przemknęło mi przez myśl, jeśli chodzi o senatora Rowe'a.

- Kiedy tam przyszedliśmy, żadnych majątek nie było - mruknął Graham, patrząc w monitor. - Pieprzone zacieranie śladów, nic dodać, nic ująć. - Zatarł dłonie. - Masz jakieś akcje Nakamoto, koleś? Bo jak masz, to na twoim miejscu czym prędzej bym je sprzedał. Po południu będą gównie warte.

Na ekranie dziewczyna nadal podstawiała się mężczyźnie, a on szamotał się z suwakiem rozporka. Niespodziewanie usiadła i wymierzyła mu siarczysty policzek.

- No tak - skomentował Graham. - Trochę pieprzu. Facet chwycił ją za rękę i chciał pocałować, ale odwróciła głowę.

Pchnął ją na stół i przygniótł własnym ciężarem. Zawierzgała gołymi nogami w powietrzu.

Dwie sylwetki to łączyły się, to rozdzielały. Trudno było stwierdzić, co się tam właściwie dzieje. Wyglądało na to, że Cheryl próbuje usiąść, a mężczyzna jej w tym przeszkadza. Przyduszał ją do blatu, uciskając ręką szyję, a ona wiała się po stole i kopała. Udawało mu się ją przytrzymać, ale cała scenka bardziej przypominała ciężką harówkę niż miłość. W końcu nie wiedziałem już, na co patrzeć. Czy był to zwyczajny gwałt? A może ona przez cały czas grała komedię? W każdym razie bez przerwy wierzgała nogami i szamotała się, lecz nie umiała odepchnąć go od siebie. Mężczyzna był z pewnością silniejszy od niej, ale odnosiłem wrażenie, że gdyby naprawdę tego chciała, mogłaby się od niego uwolnić odpowiednio wymierzonym kopniakiem. I chwilami wydawało mi się, że widzę, jak zamiast go odpychać, dla odmiany obejmuje rękami jego szyję. Pewności jednak nie miałem...

- Oho! Kłopot.

Mężczyzna, wykonujący do tej pory kopulacyjne ruchy, znieruchomiał. Leżąca pod nim Cheryl już się nie szamotała. Jej ręce zsunęły się z jego ramion i opadły bezwładnie na stół. Opuszczone na blat nogi rozprostowały się na całą długość po obu jego bokach.

- Czy to ten moment? - spytał Graham. - Czy to właśnie się stało?

- Nie wiem.

Mężczyzna poklepał dziewczynę po policzku, a potem potrząsnął nią energiczniej. Chyba coś do niej mówił. Leżał tak na niej jeszcze trochę, może ze trzydzieści sekund, po czym zsunął się z ciała. Ona została na stole. Obszedł ją dookoła. Poruszał się wolno, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się stało.

Potem spojrział w lewo, jakby coś usłyszał. Stał przez chwilę jak skamieniały, wreszcie podjął chyba decyzję. Przystąpił do działania. Zaczął chodzić po sali, przeglądając ją metodycznie. Podniósł coś z podłogi.

- Majtki.

- Bierze je sobie - warknął Graham. - Cholera. Następnie mężczyzna obszedł stół i pochylił się na chwilę nad dziewczyną od drugiej strony.

- Co on tam robi?

- Nie wiem. Nie widzę.

- Psiakrew.

Człowiek wyprostował się i wyszedł z sali konferencyjnej do atrium. Nie był już tylko cieniem, nadarzała się szansa identyfikacji. Ale on oglądał się za siebie, na salę konferencyjną. Na martwą dziewczynę.

- No, koleś - powiedział Graham do obrazu na ekranie. - Spójrz tutaj, koleś. No. Tylko na chwilę.

Mężczyzna na ekranie, nie odrywając wzroku od martwej dziewczyny, postąpił kilka dalszych kroków w głąb atrium. Potem skręcił nagle w lewo i zaczął się szybkim krokiem oddalać.

- Nie wraca do wind - zauważyłem.

- Nie. Ale wciąż nie widzę jego twarzy.

- Dokąd on idzie?

- W drugim końcu jest klatka schodowa - powiedział Graham. - Wyjście pożarowe.-
Dlaczego idzie tam, a nie do windy?

- Diabli go wiedzą. Ja chcę tylko zobaczyć jego twarz. Chociaż przez chwilę.

Ale mężczyzna był teraz daleko na lewo od naszej kamery i chociaż już się nie oglądał, to widzieliśmy tylko jego lewe ucho i zarys kości policzkowej. Szedł szybko. Wkrótce miał nam zniknąć z pola widzenia pod obniżonym sufitem w drugim końcu sali.

- Szlag by to trafił. Kąt widzenia był do kitu. Obejrzyjmy inną taśmę.

- Chwileczkę - powiedziałem.

Nasz obiekt zmierzał najwyraźniej w kierunku mrocznego przejścia, które prowadziło zapewne na klatkę schodową. A jeśli tak, to musiał przejść obok lustra w ozdobnej, połączanej ramie, które wisiało na ścianie. Minał je na moment przed wkroczeniem w gęsty mrok, jaki zalegał pod obniżonym sufitem.

- Mamy go!

- Jak się zatrzymuje to draństwo?

Zacząłem naciskać na chybił trafił klawisze odtwarzacza. W końcu znalazłem ten od stopu. Cofnęliśmy taśmę i puścili ją jeszcze raz.

Mężczyzna na ekranie znowu zmierzał wydłużonym, szybkim krokiem w kierunku ciemnego przejścia. Minął lustro i na moment... przez jedną klatkę wideo... ujrzeliśmy odbicie jego twarzy w lustrze... ujrzeliśmy je wyraźnie... i nacisnąłem klawisz stopu...

- Bingo - powiedziałem.

- Japoniec, kurwa jego mać - warknął Graham. - A nie mówiłem?

W lustrze odbijała się nieruchoma twarz zabójcy zmierzającego w kierunku klatki schodowej. Bez trudu rozpoznałem ściągnięte rysy Eddiego Sakamury.

20

Jest mój - powiedział Graham. - Ja prowadzę tę sprawę. Ja przyskrzynię tego skurwiela.

- Jasne - mruknął Connor.

- I wolę to zrobić sam - zastrzegł Graham.

- Oczywiście. To twoja sprawa, Tom. Rób, co uważasz za stosowne.

Connor zapisał mu adres Eddiego Sakamury.

- Nie myślcie sobie, że nie doceniam waszej pomocy - dorzucił Graham. - Ale wolę załatwić to sam. A teraz tak dla jasności: rozmawialiście z nim, chłopaki, dzisiejszej nocy i nie zwinęliście go?

- To prawda.

- Dobra, nie przejmujcie się. Nie wspomnę o tym w raporcie. Nic wam za to nie będzie, obiecuję. - Perspektywa rychłego aresztowania Sakamury wprawiała Grahama w łagodny nastrój. Spojrzał na zegarek. - Oż ty w życiu. Niecałe sześć godzin od zgłoszenia, a my już mamy mordercę. Nieźle.

- Nie mamy jeszcze mordercy - zauważył Connor. - Na twoim miejscu pośpieszyłbym się z jego aresztowaniem.

- Już lecę.

- Aha, i jeszcze jedno, Tom! - zawołał Connor za Grahamem, który szedł już do drzwi.

- Eddie Sakamura to dziwny facet, lecz, o ile mi wiadomo, nie jest niebezpieczny. Nie przypuszczam, żeby był uzbrojony. Prawdopodobnie nie ma nawet pistoletu. Pojechał z przyjęcia do domu z jakąś rudą. Pewnie leży z nią teraz w łóżku. Chyba lepiej będzie, jeśli weźmiesz go żywcem.

- Zaraz - zachnął się Graham. - Co wy?- To tylko sugestia.

- Naprawdę myślisz, że zamierzam zastrzelić tego gnojka?

- Pojedziesz tam z obstawą paru mundurowych, prawda? - spytał Connor. - Ludziom z patrolu mogą puścić nerwy. Ja tylko uświadamiam ci pewne ewentualności.

- Dobra, dobra. Wsadź sobie gdzieś swoje rady - warknął Graham i wyszedł. Był tak szeroki, że musiał bokiem przecisnąć się przez drzwi.

Odprowadziłem go wzrokiem.

- Dlaczego puściłeś go tam samego? Connor wzruszył ramionami.

- On prowadzi tę sprawę.

- Całą noc z takim zacięciem ciągnąłeś śledztwo. Dlaczego teraz się wycofujesz?

- Niech Graham ma tę satysfakcję. Właśnie, co my mamy z tym wszystkim wspólnego? Ja jestem gliną na bezterminowym urlopie. A ty tylko skorumpowanym oficerem łącznikowym. - Wskazał na taśmę wideo. - Puścisz mi to, zanim odwieziesz mnie do domu?

- Nie ma sprawy. - Przewinałem taśmę.

- Myślę też, że dobrze by nam zrobiło po filiżance kawy - powiedział Connor. - Najlepszą mają w laboratorium WBN. Przynajmniej kiedyś tak tu było.

- To może ty sobie oglądaj nagranie, a ja ci tymczasem przyniosę kawę? - zaproponowałem.

- Niech będzie, *kohai*.

- Dobrze. - Puściłem mu taśmę i odwróciłem się, żeby wyjść.

- Aha, i jeszcze jedno, *kohai*. Jak już tam będziesz, to spytaj oficera dyżurnego, jakim sprzętem do obróbki taśm wideo dysponuje departament. Bo trzeba będzie skopiować te wszystkie taśmy. I może będą nam jeszcze potrzebne powiększone odbitki poszczególnych klatek. Zwłaszcza na wypadek, gdyby wynikły trudności w związku z aresztowaniem Sakamury, bo ktoś uzna, że to akt wrogości wobec Japonii. Będziemy mogli wtedy przedstawić te zdjęcia. Na swoją obronę.

To był dobry pomysł.

- Dobra - powiedziałem. - Zapytam.

- I posłodź moją kawę jedną kostką cukru. - Odwrócił się do monitora.

Wydział Badań Naukowych, w skrócie WBN, mieścił się w podziemiach Centrum Parkera. Kiedy tam dotarłem, mijała druga w nocy i większość pracowni była pozamykana. WBN pracował w zasadzie od dziewiątej do siedemnastej. Naturalnie, jego ekipy zbierały dowody z miejsc przestępstw i w nocy, ale składano je później do skrytek albo w komendzie głównej, albo w którejś z komend dzielnicowych i przechowywano tam do rana.

Podszedłem do automatu z kawą w małej stołówce sąsiadującej z sekcją mikrośladów. Na ścianach pomieszczenia wisiały tabliczki upominające CZY UMYŁEŚ RĘCE? TAK, TY oraz NIE NARAŻAJ SWOICH KOLEGÓW. MYJ RĘCE. Powodem tego był fakt, że personel WBN, a zwłaszcza ci z kryminalistyki, używali trucizn! Dawniej zużywano tu takie ilości związków rtęci, arsenu i chromu, że czasem, po napiciu się ze styropianowego kubka, którego inny pracownik laboratorium zaledwie dotknął, ludzie rzygali.

Ale teraz wszyscy byli ostrożniejsi; napełniłem dwa kubki kawą i wróciłem do stanowiska oficera dyżurnego. Służbę miała Jackie Levine. Siedziała za biurkiem z nogami złożonymi na blacie. Była kobietą przy kości i nosiła torreadorskie spodnie oraz pomarańczową perukę. Pomimo tak dziwnego wyglądu cieszyła się opinią najlepszej analizatorki mikrośladów w całym departamencie. Czytała czasopismo „Nowoczesna Panna Młoda”.

- Zamierzasz znowu próbować, Jackie? - spytałem.

- Boże uchroni - odparła. - To moja córka.

- Za kogo wychodzi?

- Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym - zaproponowała. - Jedna z tych kawek dla mnie?

- Niestety - odparłem. - Ale mam do ciebie krótkie pytanie. Kto się tu zajmuje dowodami wideo?

- Dowodami wideo?

- Na przykład taśmami z kamer służb ochrony. Kto je analizuje, robi z nich odbitki, takie rzeczy?

- No cóż, niewielkie mamy tu zapotrzebowanie na takie usługi - powiedziała Jackie. - Kiedyś zajmowali się tym elektrycy, ale chyba już przestali. Teraz wideo wysyła się albo do Valley, albo do Medlar Hall. - Pochyliła się i zaczęła kartkować książkę telefoniczną. - Jak chcesz, to możesz porozmawiać z Billem Harrelsonem z Medlar. Ale jeśli to coś ważnego, lepiej byłoby spróbować w JPL albo w Laboratorium Precyzyjnej Obróbki Obrazu przy USC. Podać ci numery telefonów, czy wolisz pogadać najpierw z Harrelsonem? Coś w jej tonie pomogło mi podjąć decyzję.

- Może daj mi te numery.

- Już się robi.

Zapisałem je sobie i wróciłem na wydział. Connor obejrzał już taśmę i puszczał ją teraz tam i z powrotem w miejscu, gdzie w lustrze pojawiała się odbicie Sakamury.

- No i co? - zapytałem.

- Zgadza się, to Eddie. - Sprawiał wrażenie spokojnego, niemal obojętnego. Wziął ode mnie kawę i upił łyczek. - Okropna.

- Tak, wiem.

- Dawniej była lepsza. - Connor odstawił kubek, wyłączył magnetowid, wstał i przeciągnął się. - No, wydaje mi się, że odwaliliśmy tej nocy kawał porządnej roboty. Co byś powiedział na propozycję, żebyśmy się trochę przespali? Rano mam ważną partię golfa.

- W porządku - powiedziałem. Zapakowałem kasety z powrotem do kartonowego pudła i wsadziłem tam ostrożnie magnetowid.

- Co chcesz zrobić z tymi taśmami? - zapytał Connor.

- Włożę je do skrytki na dowody.

- To oryginały - przypomniał Connor. - A kopii jeszcze nie mamy.

- Wiem, lecz będę je mógł skopiować dopiero rano.

- To zrozumiałe. Ale może lepiej zabrałbyś je ze sobą?

- Do domu? - Zabierania dowodów do domu zabraniało mnóstwo wewnętrznych zarządzeń departamentu. Krótko mówiąc, było to wbrew przepisom.

Connor wzruszył ramionami.

- Ja bym nie ryzykował - powiedział. - Zabierz taśmy ze sobą i jutro rano będziesz mógł je od razu zawieźć do skopiowania.

Wsadziłem sobie pudło pod pachę.

- Nie myślisz chyba, że ktoś z departamentu mógłby...

- Oczywiście, że nie - odparł Connor. - Ale to koronny dowód i nie chcemy chyba, żeby w czasie kiedy my będziemy smacznie spali, ktoś przeszedł obok skrytek na dowody z wielkim magnesem, prawda?

I tak w końcu zabrałem taśmy ze sobą. Wychodząc przez biuro mineliśmy skruszonego Ishigurę, który wciąż tam siedział. Connor powiedział coś do niego szybko po japońsku. Ishigura zerwał się na nogi, skłonił jak nakręcona zabawka i wybiegł przed nami.

- Czy on naprawdę jest taki przestraszony? - spytałem.

- Naprawdę.

Ishigura szedł pospiesznie korytarzem ze spuszczoną głową. Przypominał karykaturę nieśmiałego, zastraszonego człowieczka.

- Dlaczego? - spytałem. - Mieszka tu dostatecznie długo, by wiedzieć, że za ukrywanie dowodów nic takiego z naszej strony mu nie grozi. A jeszcze mniej może się obawiać Nakamoto.

- Nie o to chodzi. On się nie martwi o konsekwencje prawne. On się boi skandalu. Bo do takiego by doszło, gdyby to była Japonia.

Skręciliśmy za róg. Ishigura czekał na windę. Zatrzymaliśmy się obok niego. Panowało niezręczne milczenie. Nadjechała winda i Ishigura odstąpił w bok, żeby nas przepuścić. Sam został w holu. Drzwi zamknęły się, odcinając nam widok na jego zgiętą w ukłonie postać. Kabina ruszyła.

- W Japonii on i jego firma byłiby na zawsze skończeni - odezwał się Connor.

- Dlaczego?

- Bo w Japonii skandal jest najpopularniejszą formą regulowania dostępu do żłobu. Pozbywania się potężnego przeciwnika. To procedura powszechnie tam stosowana. Ustalasz czułe miejsce i dajesz o nim cynk prasie lub kontrolerom rządowym. Wybucho nieuchronnie skandal i dana osoba bądź organizacja zostaje zrujnowana. Tak właśnie skandal rekrutacyjny zdmuchnął Takeshitę z fotela premiera. A skandale finansowe zmusiły do rezygnacji premiera Tanakę w latach siedemdziesiątych. W ten sam sposób Japończycy wykolegowali kilka lat temu General Electric.

- Wykolegowali General Electric?

- Wywołując skandal Yokogawy. Nie słyszałeś o nim? To klasyczny przykład japońskiej intrygi. Przed kilku laty General Electric produkowało najlepszą w świecie aparaturę monitoringową dla szpitali. Powołali do życia przedstawicielstwo o nazwie Yokogawa Medical, które miało zająć się dystrybucją tego sprzętu w Japonii. I zaczęli robić interesy na modłę japońską: ustalając ceny poniżej kosztów wytwarzania, żeby zdobyć rynek, zapewniając świetny serwis i bezkonkurencyjne warunki gwarancji, przyciągając klienta różnymi atrakcjami, na przykład poprzez rozdawanie potencjalnym nabywcom biletów lotniczych i czeków podróżnych. My takie praktyki nazywamy łapówkami, ale w Japonii jest to standardowa forma prowadzenia interesów. Yokogawa szybko stało się liderem na rynku sprzętu medycznego, bijąc na głowę takich japońskich potentatów jak Toshiba. Nie było to oczywiście w smak japońskim firmom. Posypały się skargi o nieuczciwą konkurencję. I pewnego dnia agenci rządowi dokonali nalotu na biura Yokogawy i znaleźli tam dowody przekupstwa. Aresztowano kilku pracowników i zepsuto firmie markę, wywołując skandal. Wpłynęło to znacząco na wielkość sprzedaży wyrobów GE na terenie Japonii. Nieważne, że inne japońskie firmy również oferują łapówki. Tak się jakoś złożyło, że przyłapano na tym akurat firmę spoza Japonii. Zdziwiający, jak to czasem bywa.

- Naprawdę jest aż tak źle?

- Japończycy potrafią być twardzi. Mawiają, że biznes to wojna. I naprawdę tak uważają. Sam wiesz, jak wmawiają nam przez cały czas, że ich rynki są otwarte. No cóż, dawno temu, kupując amerykański samochód, Japończyk narażał się na dokładne prześwietlenie przez urząd skarbowy. I wkrótce nikt już nie kupował amerykańskich samochodów. Oficjele wzruszali ramionami: cóż oni temu winni? Ich rynek jest otwarty, nic nie poradzą, że nikt nie chce amerykańskiego samochodu. Lista tych utrudnień nie ma końca. Każdy importowany samochód musi przejść jeszcze w porcie indywidualną kontrolę zgodności z obowiązującymi w Japonii przepisami dotyczącymi emisji spalin. Zagraniczne lekarstwa mogą być testowane tylko w japońskich laboratoriach przez rodowitych Japończyków. Zawrócono kiedyś z granicy partię importowanych nart, bo podobno ich śnieg jest bardziej mokry od europejskiego i amerykańskiego. Tak właśnie traktują inne kraje, nic więc dziwnego, że boją się odpłacenia pięknym za nadobne.

- A więc Ishigura spodziewa się jakiegoś skandalu? Dlatego że wybuchłby on w Japonii?

- Tak. Boi się, że Nakamoto padnie od jednego ciosu. Ale wątpię, czy tak się stanie. Wszystko przemawia za tym, że jutro życie w Los Angeles potoczy się dalej, jakby nic się nie stało.

Odwiozłem Connora pod jego dom.

- Ciekawie było, kapitanie - powiedziałem, kiedy wysiadał z samochodu. - Dziękuję za poświęcenie mi swego czasu.

- Polubiłem cię - odparł. - Jeśli w przyszłości będziesz potrzebował mojej pomocy, dzwoń bez skrupowania.

- Mam nadzieję, że ta partia golfa nie rozpoczyna się zbyt wcześnie.

- O siódmej rano, ale w moim wieku nie potrzebuje się wiele snu. Będę grał w Sunset Hills.

- To japońskie pole? - Sprzedaż klubu Sunset Hills Country była jedną z niedawnych transakcji wzbudzających w Los Angeles wielkie oburzenie. Pole golfowe w zachodniej części miasta kupiono w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku za ogromną sumę w gotówce: dwieście milionów dolarów. Nowi japońscy właściciele przyrzekli wtedy, że nie wprowadzą żadnych zmian. Ale teraz ograniczano stopniowo liczbę amerykańskich członków klubu, stosując prostą metodę: miejsce występującego z klubu Amerykanina proponowano Japończykowi. Za członkostwo w Sunset Hills płacono w Tokio milion dolarów i uważano to za bardzo dobry interes; lista oczekujących była bardzo długa.

- Tak - odparł Connor. - Gram z kilkoma Japończykami.

- Często to robisz?

- Jak wiesz, Japończycy są zapalonymi golfistami. Staram się grać dwa razy w tygodniu. Czasami usłyszysz się coś interesującego. Dobranoc, *kohai*.

- Dobranoc, kapitanie. Ruszyłem.

Kiedy wjeżdżałem na drogę szybkiego ruchu prowadzącą do Santa Monica, zaterkotał telefon. Dzwoniła dyspozytorka z komendy głównej.

- Poruczniku, mamy wezwanie dla służb specjalnych. Funkcjonariusze w terenie proszą o asystę łącznika.

- Dobra - westchnąłem. Podała mi numer samochodowego telefonu.

- Cześć, stary. To był Graham.

- Cześć, Tom.

- Sam już jesteś?

- Tak. Jadę do domu. A co?

- Tak sobie pomyślałem, że może przydałby się nam przy tym aresztowaniu japoński łącznik.

- Mówiłeś przecież, że chcesz to załatwić sam.

- No, niby tak, ale może chcesz być przy tym obecny. Żeby wszystko odbyło się w zgodzie z przepisami.

- Czy to UWD? - spytałem, mając na myśli ubezpieczenie własnej dupy.

- Nie wygłupiaj się. Pomożesz mi, czy nie?

- Jasne, Tom. Już tam jadę.

- Zaczekamy na ciebie.

21

Eddie Sakamura mieszkał w małym domku przy jednej z tych krętych uliczek, które wiją się wśród wzgórz Hollywoodu górujących nad autostradą numer 101. Kiedy wyjechałem z zakrętu i zobaczyłem zaparkowane na poboczu dwa czarno-białe wozy patrolowe ze zgaszonymi światłami oraz beżowego sedana Grahama, była druga czterdzieści pięć. Graham stał z policjantem z patrolu i palił papierosa. Musiałem się cofnąć kilkanaście metrów, zanim znalazłem miejsce do zaparkowania. Potem do nich podszedłem.

Spojrzelismy na dom Eddiego nadbudowany na znajdującym się na poziomie ulicy garażu. Był to jeden z tych dwusypialniowych, ozdobionych sztukaterią domów z lat czterdziestych. W oknach paliło się światło i słyszeliśmy śpiewającego Franka Sinatrę.

- Nie jest sam - zauważył Graham. - Ma tam jakieś dziwki.

- Jak chcesz to rozegrać? - zapytałem.

- Chłopaków rozstawimy tutaj. Nie bój się, powiedziałem im, żeby nie strzelali. My wpadniemy we dwójkę do środka i aresztujemy faceta.

Z garażu do domu wiodły strome schodki.

- Dobra. Ty wchodzisz od frontu, a ja obstawiam tylne wyjście?

- Co ty, kurwa? - zachnął się Graham. - Idziesz ze mną, stary. Przecież nie jest niebezpieczny, zgadza się?

W jednym z okien zobaczyłem sylwetkę przechodzącej kobiety. Była chyba naga.

- Nie powinien - mruknąłem.

- No to idziemy.

Wstąpiliśmy jeden za drugim na schodki. Frank Sinatra śpiewał: „My Way”. Słyszeliśmy śmiech kobiety, chyba niejednej.

- Jezus, ale bym chciał, żeby mieli tam na wierzchu jakieś pieprzone narkotyki.

Pomyślałem sobie, że są na to spore szanse. Dotarliśmy do szczytu schodów i pochylając głowy przemknęliśmy pod oknami.

Drzwi frontowe były masywne i solidne. Graham zatrzymał się przed mmi. Ja postąpiłem jeszcze kilka kroków i zajrzałem na tyły domu. Zobaczyłem tam zielonkawą poświatę rzucaną przez lampy nad basenem. Na tamtą stronę wychodziły prawdopodobnie drzwi od tyłu. Starąłem się je wypatrzeć.

Graham poklepał mnie po ramieniu. Zawróciłem. Przekręcił ostrożnie gałkę u drzwi. Nie były zamknięte. Wydobył rewolwer i spojrzał na mnie. Ja także sięgnąłem po broń.

Stał przez chwilę nieruchomo, unosząc kolejno palce. Liczył do trzech.

Po trzecim otworzył kopniakiem drzwi frontowe i wtargnął na ugiętych nogach do środka wrzeszcząc:

- Stać, policja! Nie ruszać się!

Usłyszałem pisk kobiet i wkroczyłem do salonu.

Było ich dwie. Miotaly się zupełnie nagie po pokoju, wrzeszcząc ile sił w płucach „Eddie! Eddie!” Ale Eddiego z nimi nie było.

- Gdzie on jest? - huknął Graham. - Gdzie Sakamura?! Ruda dziewczyna porwała z kanapy poduszkę i zasłoniła się nią.

- Wynoś się stąd, palancie! - wrzasnęła i rzuciła poduszką w Grahama. Druga dziewczyna, blondynka, wbiegła z piskiem do sypialni. Wpadliśmy tam za nią, a rudowłosa cisnęła w nas drugą poduszką.

Blondynka potknęła się, runęła jak długa na podłogę i zawyła z bólu. Graham pochylił się nad nią z rewolwerem.

- Nie zabijaj mnie! - zaskamlała. - Ja nic nie zrobiłam! Chwycił ją za kostkę nogi. Blondynka zaczęła się wić, świecąc golizną. Po chwili wpadła w histerię.

- Gdzie Eddie?! - krzyknął Graham. - Gdzie on jest?

- Na spotkaniu! - pisnęła dziewczyna.

- Gdzie?

- Na spotkaniu! - Iz półobrotu kopnęła Grahama drugą nogą w jaja.

- O, Jezu! - zawył, puszczając dziewczynę. Zakrztusił się i zgięty we dwoje usiadł ciężko na podłodze. Wróciłem do salonu. Ruda, jeśli nie liczyć szpilek na nogach, była całkiem naga.

- Gdzie on jest? - spytałem.

- Sukinsyny - wyszczała. - Pieprzone sukinsyny. Minałem ją i podszedłem do drzwi w drugim końcu pokoju.

Były zamknięte na klucz. Ruda podbiegła i zaczęła mnie okładać pięściami po plecach.

- Zostawcie go! Zostawcie! - Nie zwracając na nią uwagi mocowałem się z zamkniętymi drzwiami. W pewnej chwili odniosłem wrażenie, że słyszę dochodzące zza nich głosy.

I nagle Graham rąbnął w nie swym potężnym cielskiem jak taranem. Trzasnęło, posypały się drzazgi i drzwi odskoczyły. Naszym oczom ukazała się kuchnia zalana wpadającą przez okno, zielonkawą poświatą znad basenu. Była pusta. Drzwi prowadzące na tyły budynku stały otworem.

- O żesz kurwa!

Ruda skoczyła mi teraz na plecy i oplotła nogami w pasie. Zaczęła szarpać mnie za włosy, wywrzaskując przy tym wulgarne obelgi. Wykonywałem zamaszyste półobroty, usiłując strząsnąć ją z siebie. Była to jedna z tych dziwnych chwil, kiedy pośród szalejącego chaosu po głowie kołatała mi się natrętna myśl: „Uważaj, nie zrób jej czegoś”. Bo źle by wyglądało, gdyby ładna, młoda dziewczyna wyszła z tego ze złamaną ręką albo popękkanymi żebrami. Świadczyłoby to o brutalności policji, pomimo że teraz to ona niemal wyrывała mi

włosy z cebulkami. Ugryzła mnie w ucho i poczułem ból. Rzuciłem się plecami na ścianę i usłyszałem chrapliwe stęknienie, z jakim dziewczynie uszło powietrze z płuc. Puściła mnie.

Zobaczyłem przez okno ciemną postać zbiegającą schodami. Graham też to zauważył.

- Kurwa mać - warknął i puścił się biegiem.

Ruszyłem za nim. Ale dziewczyna musiała mi podstawić nogę, bo runąłem jak długi na dywan. Kiedy się pozbierałem, słychać już było syreny wozów patrolowych i warkot zapuszczanych silników.

Wypadłem na zewnątrz i pognałem w dół po schodkach, przeskakując po kilka stopni naraz. Już tylko jakieś dziesięć metrów dzieliło mnie od Grahama, kiedy z garażu wyjechało tyłem ferrari Eddiego, zgrzytnęła skrzynia biegów i auto pomknęło z rykiem ulicą.

Wozy patrolowe natychmiast podjęły pościg. Graham dopadł swojego sedana. Kiedy ruszał, ja biegłem jeszcze do mojego samochodu, który zaparkowałem kawałek dalej. Samochód Grahama przemknął obok i za szybą mignęła mi jego wykrzywiona wściekłością twarz.

Wskoczyłem do swojego wozu i ruszyłem za nimi.

Nie można jechać szybko drogą wijącą się między wzgórzami i jednocześnie rozmawiać przez krótkofalówkę. Nawet nie próbowałem. Straciłem do Grahama jakieś pół kilometra, a on też został trochę w tyle za dwoma wozami patrolowymi. Kiedy zjechałem ze wzgórza i wpadałem na wiadukt nad autostradą, dostrzegłem błyskające światła przemykające dołem. Musiałem się cofnąć, dojechać do wjazdu na 101 poniżej Mulholland i włączyć się w rzekę pojazdów sunącą na południe.

Otoczające mnie samochody wlokły się w ślimaczym tempie. Wystawiłem na dach koguta i zjechałem na prawy pas awaryjny.

Znalazłem się przy betonowym obmurowaniu w trzydzieści sekund po tym, jak ferrari rąbnęło w nie czołowo z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. W wyniku zderzenia musiał eksplodować zbiornik paliwa i płomienie strzelały w niebo na wysokość piętnastu metrów. Od palącej się kupy żelastwa bił straszliwy żar. Istniało niebezpieczeństwo, że ogień przerzuci się na drzewa porastające zbocze wzgórza. Nie było nawet co marzyć o zbliżeniu się do poskręcane go wraka samochodu.

Nadjeżdżały pierwsze wozy straży pożarnej i jeszcze trzy samochody policyjne. Uszy puchły od zawodzenia syren, a od błysków migaczy bolały oczy.

Wycofałem swój wóz, żeby zrobić miejsce dla straży, a potem podszedłem do Grahama. Palił papierosa i patrzył, jak strażacy zaczynają polewać płonący wrak pianą.

- Jezu - mruknął. - Co za pieprzony świr.

- Dlaczego ludzie z patrolu nie zatrzymali go, kiedy był w garażu?
- Bo powiedziałem im, żeby do niego nie strzelali. A nas tam nie było. Zastanawiali się, co robić, jeśli ten facet odjedzie. - Pokręcił głową. - Jasny gwint, jak to będzie wyglądało w raporcie?
- Lepšie już chyba to, niż gdybyś go zastrzelił - pocieszyłem go.
- Może. - Rozgniół obcasem niedopałek papierosa. Strażacy stłumili już ogień. Ferrari było teraz dymiącą kupą pogiętego złomu wprasowaną w beton. W powietrzu unosił się gryzący swąd.- No nic - powiedział Graham. - Nie ma sensu tak tu stać. Wracam do jego domu. Zobaczą, czy te dziewczyny jeszcze tam są.
- Jestem ci jeszcze do czegoś potrzebny?
- Nie. Możesz już jechać. Jutro też jest dzień. Cholera, szykuje się tyle papierkowej roboty, że chyba padniemy na pysk. - Spojrzał na mnie. Zawahał się. - Jesteśmy zgodni co do przebiegu wydarzeń?
- Rzecz jasna - zapewniłem go.
- Moim zdaniem nie było można rozegrać tego inaczej - mruknął.
- Nie. Po prostu jeszcze jeden wypadek przy pracy.
- W porządku, stary. To do jutra.
- Dobranoc, Tom. Wsiadliśmy każdy do swojego wozu. Ruszyłem w stronę domu.

22

Pani Ascenio chrapała głośno na amerykance. Była trzecia czterdzieści pięć nad ranem. Minałem ją na palcach i zajrzałem do pokoju Michelle. Moja córeczka leżała na wznak, z zarzuconymi nad głowę rączkami, w rozkopanej pościeli. Nóżki wystawały jej pomiędzy prętów kojca. Okryłem ją i przeszedłem do swojego pokoju.

Telewizor grał nadal. Wyłączyłem go. Ściągnąłem przez głowę krawat i usiadłem na łóżku, żeby zzuć buty. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak bardzo jestem skonany. Zdjąłem marynarkę oraz spodnie i rzuciłem je na telewizor. Wyciągnąłem się na łóżku i pomyślałem, że należałoby też zdjąć koszulę. Była przepocona, brudna i czułem na ciele jej nieprzyjemny dotyk. Przymknąłem na chwilę oczy i pozwoliłem głowie zapaść się w miękką poduchę. W tym samym momencie poczułem uszczypnięcie i coś pociągnęło mnie za powieki. Usłyszałem szczebiot i przez głowę przemknęła mi makabryczna myśl, że ptaki wydziobują mi oczy.

- Otwórz oczka, tatusiu - powiedział czyjś głosik. - Otwórz oczka. - Dotarło do mnie wreszcie, że to moja córeczka próbuje odchylić mi powieki małymi paluszkami.

- Już, zaraz - wymamrotałem. Poraziło mnie dzienne światło. Natychmiast zamknąłem oczy z powrotem i wcisnąłem twarz w poduszkę.

- Tatusiu! Otwórz oczka. Otwórz oczka, tatusiu.

- Tatus wrócił późno w nocy - wybełkotałem. - Tatus jest zmęczony.

Zupełnie jej to nie przekonało.- Tatusiu, otwórz oczka. Otwórz oczka. Tatusiu! Otwórz oczka, tatusiu!

Wiedziałem, że będzie to powtarzać w kółko, aż zwariuję albo otworzę oczy. Przekręciłem się na plecy i zakaszlałem.

- Tatus jest jeszcze zmęczony, Shelly. Idź zobaczyć, co robi pani Ascenio.

- Tatusiu, otwórz oczka.

- Nie dasz tatusiowi pospać jeszcze trochę? Tatus chce dzisiaj pospać trochę dłużej.

- Już rano, tatusiu. Otwórz oczka. Otwórz oczka. Otworzyłem oczy. Nie kłamała.

Był ranek. Jasna cholera.

DZIEŃ DRUGI

1

Jedz naleśniczki. Już nie chcę.

Jeszcze kawałek, Shelly. - Przez kuchenne okno wlewał się słoneczny blask. Ziewnąłem. Była siódma rano.

- Przychodzi dzisiaj mamusia?

- Nie zmieniaj tematu. No, Shel. Jeszcze troszeczkę, dobrze? Siedzieliśmy w rogu kuchni przy jej dzieciennym stolyczku.

Czasami, kiedy nie chce jeść przy dużym stole, udaje mi się wmusić w nią trochę przy tym drugim. Ale dzisiaj ta metoda nie skutkowałą.

- Przychodzi mamusia?

- Chyba tak. Nie jestem pewien. - Nie chciałem jej rozczarowywać. - Ma zadzwonić.

- Czy mamusia znowu wyjeżdża z miasta?

- Być może - odparłem. Ciekaw byłem, co rozumie dwuletnie dziecko pod pojęciem „wyjazdu z miasta”, jak sobie to wyobraża.

- Jedzie z wujkiem Rickiem?

Jakim znowu wujkiem Rickiem? Trzymałem widelec przed jej ustami.

- Nie wiem, Shel. No, otwórz buzię. Zjedz jeszcze kawałek.

- On ma nowy samochód - powiedziała Michelle, kiwając poważnie główką, jak zawsze, kiedy przekazywała mi ważne nowiny.

- Naprawdę?

- Aha. Taki czarny.

- Rozumiem. A jakiej marki?

- Cedes.

- Sedes?- Nie. Cedes.

- Chcesz powiedzieć mercedes?

- Aha. Cały czarny.

- To ładnie - mruknąłem.

- Kiedy przychodzi mamusia?

- Jeszcze jeden gryzik, Shel.

Otworzyła buzię. Już, już wsuwałem do niej widelec, kiedy w ostatniej chwili Michelle odwróciła główkę i wydeła wargi.

- Nie chcę, tatusiu.

- No dobrze - westchnąłem. - Poddaję się.

- Nie jestem głodna, tatusiu.

- Widzę.

Pani Ascenio sprzątała kuchnię i zaraz miała wyjść. Za piętnaście minut powinna się zjawić gosposia, Elaine, żeby zabrać Michelle do żłóbka. Musiałem się jeszcze ubrać. Kiedy wstawiałem talerz z nie dojedzonymi naleśnikami do zlewu, zadzwonił telefon. To była Ellen Farley, rzeczniczka prasowa burmistrza.

- Patrzysz?

- Na co?

- Na wiadomości. Kanał siódmy. Pokazują właśnie ten wypadek samochodowy.

- Tak?

- Oddzwoń do mnie - powiedziała i przerwała połączenie. Wszedłem do sypialni i włączyłem telewizor. Komentator mówił: „...tragiczny w skutkach pościg południową nitką hollywoodzkiej drogi szybkiego ruchu, który skończył się tym, że podejrzany wpadł swoim sportowym ferrari na skarpę wiaduktu Vine Street, niedaleko Hollywood Bowl i poniósł śmierć na miejscu. Naoczni świadkowie twierdzą, że samochód uderzył w betonowy mur,

pędząc z szybkością ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, i natychmiast stanął w płomieniach. Na miejsce wypadku wezwane zostały jednostki straży pożarnej, ale nie było już kogo ratować. Ciało kierowcy uległo zwęgleniu do tego stopnia, że stopiły się nawet jego okulary. Oficer policji prowadzący pościg, detektyw Tom Graham, twierdzi, że kierowca, pan Edward Sakamura, poszukiwany był w związku z morderstwem kobiety, którego dokonano wczoraj wieczorem w śródmieściu. Dzisiaj jednak przyjaciele pana Sakamury wyrazili oburzenie tym bezpodstawnym oskarżeniem i zarzucili policji brutalne metody działania, które prawdopodobnie przestraszyły podejrzanego i popchnęły go do ucieczki. Słysząc skargi, że do incydentu doprowadziły uprzedzenia rasowe. Nie jest jasne, czy policja zamierzała oskarżyć pana Sakamurę o wspomniane morderstwo, natomiast obserwatorzy zauważyli, że był to już trzeci w ciągu ostatnich dwóch tygodni policyjny pościg na autostradzie numer 101. Wątpliwości co do nie zawsze uzasadnionych pościgów wszczynanych przez policję zrodziły się w styczniu tego roku, kiedy to w wyniku jednego z nich śmierć poniosła pani Compton. Nie udało nam się dotrzeć ani do detektywa Grahama, ani do jego asystenta, porucznika Petera Smitha i czekamy na wiadomość, czy departament zdecyduje się ostatecznie na dyscyplinarne usunięcie ich ze służby, czy też tylko na zawieszenie w czynnościach”. Jezu.

- Tatusiu...

- Chwileczkę, Shel.

Na ekranie pokazywano załadunek pogniecionego, dymiącego wraka na łorę, która miała go zwieźć z pobocza autostrady. Na betonowej ścianie, w miejscu gdzie uderzył w nią samochód, czerniła się plama kopcia.

Reporter przekazał głos do studia. Spiker spojrzął w kamerę.

- Według doniesień stacji KNBC - powiedział - pan Sakamura przesłuchiwany był w związku ze wspomnianym morderstwem wcześniej, tego samego wieczora, przez dwóch oficerów policji, którzy go jednak wtedy nie aresztowali. Kapitan John Connor i porucznik Smith mogą zostać postawieni przez departament przed komisją dyscyplinarną pod zarzutem ewentualnych niedociągnięć proceduralnych. Na koniec pomyślniejsza wiadomość. Nie ma już utrudnień w ruchu na południowym paśmie autostrady numer 101. Bob, przekazuję ci głos.

Wpatrywałem się tępo w telewizor. Komisja dyscyplinarna?! Zadzwoił telefon. To była znowu Ellen Farley.

- Oglądałeś to?

- Tak, oglądałem. Nie mogę uwierzyć. O co tu chodzi, Ellen?

- Biuro burmistrza nie ma z tym nic wspólnego. Ale środowisko japońskie już od jakiegoś czasu krzywym okiem patrzy na Grahama. Uważają go za rasistę. Wygląda na to, że teraz sam się im podłożył.

- Ja też tam byłem. Graham działał zgodnie z przepisami.

- Tak, wiem, że tam byłeś, Pete. I w tym właśnie sęk. Przykro byłoby mi patrzeć, jak przy okazji i tobie się obrywa.

- Graham działał zgodnie z przepisami - powtórzyłem.

- Czy ty mnie słuchasz, Pete?

- Co to za pomysł z tym zawieszeniem w czynnościach i dyscyplinarnym usunięciem ze służby?- Mnie też to zaskoczyło - powiedziała Ellen. - Ale to prawdopodobnie decyzja wewnętrzna. Musiała wyjść z twojego departamentu. A swoją drogą, czy to prawda, że ty i Connor rozmawialiście wczoraj w nocy z Sakamura?

- Tak.

- I nie aresztowaliście go?

- Nie. Nie mieliśmy jeszcze wtedy formalnych podstaw. Potem już mieliśmy.

- Naprawdę sądzisz, że on popełnił to morderstwo? - zapytała Ellen.

- Jestem pewien. Mamy wszystko na kasecie.

- Na kasecie? Mówisz poważnie?

- Tak. Mamy wszystko zarejestrowane na wideokasie z jednej z kamer systemu ochrony wieżowca Nakamoto.

Nie odzywała się przez chwilę.

- Ellen?

- Słuchaj - podjęła Ellen. - Powiem ci coś, ale nieoficjalnie, dobra?

- Jasne.

- Nie wiem, co się tu wyprawia, Pete. Nie wszystko rozumiem.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wczoraj wieczorem, kim była ta dziewczyna?

- Przepraszam. Tyle mi się zważyło na głowę.

- Ellen. Chwila milczenia.

- Pete, to była światowa dziewczyna. Znała mnóstwo ludzi.

- Burmistrza też? Milczenie.

- Jak dobrze go znała?

- Posłuchaj. Przyjmijmy po prostu, że była ładną dziewczyną i znała mnóstwo ludzi z tego miasta. Osobiście uważam, że była nieźrównoważona, ale dobrze się prezentowała i

działała na mężczyzn jak cholera. Trzeba to było widzieć. Teraz wielu panów siedzi jak na rozżarzonych węglach. Przeglądałeś dzisiejszego

„Timesa”?

- Nie.

- To przejrzyj. Jeśli chcesz mojej rady, to przez najbliższe kilka dni musisz zachowywać się bez zarzutu. Stawiaj kropki nad każdym i, przekreślaj każde t. Rób wszystko dokładnie według podręcznika. I oglądaj się za siebie, dobra?

- W porządku. Dziękuję, Ellen.

- Nie dziękuj mi. Nie rozmawiałeś ze mną. - Tu głos jej złagodniał. - Uważaj na siebie, Peter.

Usłyszałem w słuchawce ciągły sygnał.

- Tatusiu?

- Chwileczkę, Shel.

- Mogę pooglądać telewizję?

- Pewnie, że możesz, kochanie.

Włączyłem jej kanał z filmami rysunkowymi i wyszedłem z salonu. Otworzyłem drzwi frontowe i podniosłem „Timesa” z wycieraczki. Interesujący mnie artykuł znalazłem dopiero na ostatniej stronie, w dziale miejskim.

ZAKŁÓCENIE JAPOŃSKIEJ UROCZYŚCIOCÍ PRZEZ UPRZEDZONĄ RASOWO POLICJĘ

Przebiegłem szybko wzrokiem kilka pierwszych akapitów. Japończycy z kierownictwa korporacji Nakamoto skarżyli się na „gruboskórne i niewyrozumiałe” zachowanie policji, która ich zdaniem zepsuła zaszczyt obecnością wielu wybitnych osobistości wieczór inauguracyjny w ich nowym wieżowcu przy Figueroa. Co najmniej jeden z przedstawicieli Nakamoto wyraził pogląd, że działania policji miały „podłoże rasistowskie”. Rzecznik korporacji oświadczył: „Nie przypuszczamy, by Departament Policji miasta Los Angeles zachowywał się w ten sposób, gdyby nie chodziło o japońską korporację. Jesteśmy przeświadczeni, że działania policji odzwierciedlają stosowany przez amerykańskie czynniki oficjalne podwójny standard traktowania Japończyków”. Na przyjęciu, które zgromadziło takie znakomitości, jak Madonna i Tom Cruise, obecny był prezes rady nadzorczej Nakamoto, pan Hiroshi Ogura, ale nie udało się uzyskać od niego komentarza na temat incydentu. Rzecznik powiedział: „Pan Ogura jest głęboko poruszony faktem zakłócenia naszej uroczystości przez wrogo nastawionych przedstawicieli władz. Bardzo mu przykro z powodu tego nieprzyjemnego zajścia”.

Zgodnie z relacją naocznych świadków, burmistrz Thomas wydelegował swojego przedstawiciela z poleceniem przywołania policji do porządku, ale przyniosło to niewielki skutek. Policja nie zmieniła swojej postawy pomimo obecności oficera łącznikowego, porucznika Petera Smitha, którego zadaniem jest rozładowywanie drażliwych rasowo sytuacji...

I tak dalej, i tak dalej.

O tym, że w grę wchodziło morderstwo, można się byłodowiedzieć dopiero po przeczytaniu czterech akapitów. Ten drobny szczegół był jakby bez znaczenia.

Spojrzałem na dół szpalty szukając podpisu. Artykuł firmowała Miejska Agencja Informacyjna, co oznaczało, że jest anonimowy.

Miotał mną taki gniew, że postanowiłem zadzwonić do mojego starego znajomego z redakcji „Timesa”, Kenny’ego Shubika. Ken był czołowym reporterem działu miejskiego. W gazetach pracował od zawsze i wiedział wszystko. Ponieważ była dopiero ósma rano, wybrałem jego numer domowy.

- Czołem, Ken. Pete Smith z tej strony.

- Och, cześć - ucieszył się. - Widzę, że dostałeś moją wiadomość.

W tle słyszałem płaczliwy głos nastolatki:

- Och, tato, nie bądź taki. Dlaczego nie mogę iść.

- Jennifer, daj mi chwilę porozmawiać - powiedział Ken.

- Jaką wiadomość? - spytałem.

- Dzwoniłem do ciebie wczoraj wieczorem, bo pomyślałem sobie, że powinienes się natychmiast o tym dowiedzieć. On najwyraźniej coś knuje. Wiesz, co się za tym kryje?

- Za czym? - Nie wiedziałem, o czym on mówi. - Przykro mi, Ken, ale nie dostałem twojej wiadomości.

- Naprawdę? - zdumiał się. - Dzwoniłem wczoraj wieczorem około dwudziestej trzeciej trzydzieści. Dyspozytorka z komendy głównej poinformowała mnie, że jesteś w terenie, ale masz w samochodzie telefon. Powiedziałem, że to ważna sprawa i żeby ci przekazała, że masz do mnie oddzwonić, jeśli to konieczne, to nawet do domu. Bo miałem przeczucie, że cię to zainteresuje.

- Tato, bądź człowiekiem - nudziła jego córka. - Muszę się jeszcze zdecydować, co włożyć.

- Jennifer - warknął Ken - przymknij się, do cholery. - I zwracając się do mnie, spytał:

- Ty też masz córkę, tak?

- Owszem - odparłem. - Ale ma dopiero dwa latka.

- To poczekaj - pocieszył mnie. - Słuchaj, Pete. Naprawdę nie dostałeś mojej wiadomości?

- Nie. Dzwonię w innej sprawie: chodzi mi o ten artykuł w dzisiejszej porannej gazecie.

- Jaki artykuł?

- Ten dotyczący Nakamoto, na ósmej stronie. O „gruboskórnej i rasistowskiej policji”.

- Kurczę, nie wydaje mi się, żebyśmy wczoraj puszczali jakiś artykuł o Nakamoto. Wiem, że Jodi obsługiwała to przyjęcie, ale tekst ma pójść dopiero jutro. No wiesz, Japonia przyciąga elity. Wczoraj Jeff nie miał nic takiego na tapecie do swojej kolumny.

Jeff był redaktorem działu miejskiego.

- W dzisiejszej gazecie, w kolumnie miejskiej jest artykuł o morderstwie.

- O jakim morderstwie? - zapytał Ken. Głos miał dziwnie zmieniony.

- Wczoraj wieczorem, około dwudziestej trzeciej, w Nakamoto popełniono morderstwo. Ofiarą padła kobieta uczestnicząca w przyjęciu.

Ken nie odzywał się przez chwilę. Trawił tę informację.

- Byłeś tam? - spytał w końcu.

- W charakterze japońskiego łącznika. Wezwał mnie Wydział Zabójstw.

- Aha - mruknął Ken. - Posłuchaj. Jadę teraz do redakcji i zorientuję się na miejscu, co i jak. Umówmy się na telefon za godzinę. I podaj mi swój numer, żebym mógł do ciebie zadzwonić bezpośrednio.

- Dobra. Odchrząknął.

- Słuchaj, Pete. Tak między nami. Masz jakieś kłopoty?

- Na przykład jakie?

- Chociażby obyczajowe albo z kontem w banku. Jakies niezgodności z deklarowanym dochodem... cokolwiek, o czym powinienem wiedzieć? Jako twój przyjaciel.

- Nie - odparłem.

- Nie chcę szczegółów. Ale jeśli coś jest niezupełnie w porządku...

- Nie ma nic takiego, Ken.

- Bo jak już mam coś dla ciebie zrobić, to nie chcę się obudzić z ręką w nocniku.

- Ken. Co jest grane?

- Nie chcę teraz wdawać się w szczegóły. Ale napomknę mimochodem, że ktoś robi ci smród koło dupy.

- Tato! - obruszyła się jego córka. - Jak ty się wyrażasz?

- A kto ci kazał podsłuchiwać? Pete?

- Tak. Jestem.

- Zadzwoń do mnie za godzinę.

- Dobry z ciebie kumpel - powiedziałem. - Jestem ci wdzięczny.

- Ażebyś, kurwa, wiedział - mruknął Ken i odłożył słuchawkę. Rozejrzałem się po mieszkaniu. Wszystko wyglądało tak samo. Do pokoju wpadało światło słoneczne. Michelle siedziała w swoim ulubionym fotelu i ssąc kciuk oglądała kreskówkę. A jednak odnosiłem wrażenie, że to wszystko jest jakieś inne. Przejmujące uczucie. Zupełnie jakby świat usuwał się spod nóg.

Ale miałem przecież pilne zajęcie, a do tego robiło się późno; musiałem ubrać małą, zanim przyjdzie Elaine, żeby zaprowadzić ją do żłobka. Powiedziałem jej to. Zaczęła płakać. Wyłączyłem więc telewizor, a ona rzuciła się na podłogę i zaczęła kopać nóżkami wrzeszcząc:

- Nie, tatusiu! Ja chcę film, tatusiu!

Podniosłem berbecia i zaniósłem pod pachą do sypialni, żeby go ubrać. Darła się wniebogłosy. Znowu zadzwonił telefon. Tym razem była to dyspozytorka z wydziału.

- Dzień dobry, poruczniku. Mam dla pana trochę spóźnionych wiadomości.

- Chwileczkę, wezmę tylko coś do pisania - powiedziałem. Postawiłem Michelle na podłodze. Zaczęła płakać jeszcze głośniej. - Może pójdziesz i wybierzesz sobie buciki, które chcesz dziś włożyć? - zaproponowałem jej.

- Brzmi to tak, jakby tam kogoś mordowano - zauważyła dyspozytorka.

- Mała nie chce iść do żłobka. Michelle ciągnęła mnie za nogę.

- Nie, tatusiu. Ja nie pójde do żłobka, tatusiu.

- Właśnie że pójdziesz - powiedziałem stanowczo. Zawyla. - Może pani dyktować - zwróciłem się do dyspozytorki.

- W porządku. Wczoraj, około dwudziestej trzeciej trzydzieści, był do pana telefon od niejakiego Kena Subotika czy Subotnicka z „Los Angeles Times; prosił, żeby pan do niego oddzwonił. Wiadomość brzmi: „Łasica wziął cię na celownik”. Powiedział, że pan będzie wiedział, o co chodzi. Może pan dzwonić do niego do domu. Zna pan numer?

- Znam.

- Dobra. Dziś, o pierwszej czterdzieści dwie w nocy, dzwonił do pana pan Eddie Saka... chyba Sakamura. Powiedział, że to pilne. Proszę zatelefonować do niego do domu pod numer 555-8434. Sprawa dotyczy jakiejś zawieruszonej taśmy. Zgadza się?

Cholera.

- O której dzwonił?

- O pierwszej czterdzieści dwie. Rozmowę połączono do centrali głównej i ich telefonistka chyba nie mogła pana znaleźć. Był pan w kostnicy, czy jak?

- Owszem.

- Przykro mi, poruczniku, ale kiedy wysiada pan z samochodu, musimy szukać pana przez pośredników.

- Rozumiem. Coś jeszcze?

- Potem, o szóstej czterdzieści trzy rano, dzwonił kapitan Connor. Prosił o kontakt i zostawił numer swojego aparatu komórkowego. Powiedział, że dziś rano gra w golfa.

- Rozumiem.

- I jeszcze o siódmej dziesięć był telefon od Roberta Woodsona z biura senatora Mortona. Senator Morton chce się spotkać z panem i z kapitanem Connorem o pierwszej po południu w klubie Los Angeles Country. Prosił, żeby potwierdził pan telefonicznie, czy przyjdzie na spotkanie z senatorem. Próbowałam się już do pana dodzwonić, ale telefon był zajęty. Zadzwoń pan do senatora?

Powiedziałem, że zadzwonię. Poprosiłem też dyspozytorkę, żeby skontaktowała się w moim imieniu z Connorem, który jest teraz na polu golfowym, i przekazała mu, żeby zadzwonił do mnie pod numer mojego aparatu w samochodzie.

Zgrzytnął zamek przy drzwiach frontowych. Weszła Elaine.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Obawiam się, że Shelly nie jest jeszcze ubrana.

- To nic - odparła. - Ja ją ubiorę. O której przychodzi po nią pani Davis?

- Ma zadzwonić.

Elaine przerabiała to wiele razy.

- Chodź, Michelle. Wybierzemy ubranka na dzisiaj. Czas szykować się do żłobka.

Spojrzałem na zegarek. Szedłem już zrobić sobie jeszcze jedną filiżankę kawy, kiedy znowu zadzwonił telefon.

- Z porucznikiem Smithem poproszę. Był to zastępca szefa, Jim Olson.

- Cześć, Jim.

- Dzień dobry, Pete - głos miał przyjazny. Ale Jim Olson nie telefonował nigdy do nikogo przed dziesiątą rano, jeśli sprawa nie była poważna. - Wygląda na to, że nadepnęliśmy grzechotnikowi na ogon - ciągnął. - Czytałeś dzisiejsze gazety.- Tak, czytałem..

- A może oglądałeś do tego poranne wiadomości?

- Kawalek.

- Szef wzywa mnie na dywanik. Chciałem się dowiedzieć, co masz do powiedzenia, zanim się za tobą wstawię.

- Rozumiem.

- Rozmawiałem przed chwilą telefonicznie z Tomem Grahamem. Przyznaje, że tej nocy koncertowo spieprzyliście robotę. Nie popisaliście się.

- Chyba nie.

- Dwie gołe dziwki rzucają się na dwóch krzepkich oficerów policji i uniemożliwiają im zatrzymanie podejrzanego? Tak było?

W jego ustach brzmiało to rzeczywiście komicznie.

- Tak jakoś wyszło, Jim - bąknąłem.

- Aha - mruknął. - Mniejsza z tym. Jest i dobra wiadomość. Sprawdziłem, czy pościg prowadzony był zgodnie z przepisami. Bez wątpienia tak. Mamy zapisy z komputerów oraz nagrania rozmów prowadzonych przez radio i wygląda na to, że wszystko odbyło się bez zarzutu. Dzięki Bogu chociaż za to. Nikt nawet nie zaklął. Możemy udostępnić te materiały dziennikarzom, jeśli sprawy przybiorą zły obrót. Tak więc od tej strony jesteśmy kryci. Zle się tylko stało, że Sakamura zginął.

- Owszem.

- Graham wrócił po te dziewczyny, ale w domu nie zastał nikogo. Uciekły.

- Rozumiem.

- W całym tym zamieszaniu nikt ich nie spisał?

- Niestety, nie.

- To znaczy, że nie mamy świadków na to, co się działo w domu Sakamury. To nasza słaba strona.

- Aha.

- Dziś rano wyciągnęli z wraka ciało Japończyka i przewieźli do kostnicy to, co z niego zostało. Graham twierdzi, że jego zdaniem sprawa jest rozpracowana. Jak zrozumiałem, macie taśmy, na których widać czarno na białym, jak Sakamura morduje dziewczynę. Graham mówi, że jest gotowy do spisania raportu podsumowującego pięć-siedem-dziewięć. Ty też tak to widzisz? Sprawa jest zamknięta?

- Chyba tak, szefie.

- No to możemy się zwijać - stwierdził. - Środowisko japońskie odbiera śledztwo w sprawie Nakamoto jako przykre i napastliwe. Naciskają, by nie trwało dłużej, niż to konieczne. Byłoby więc dobrze, gdybyśmy je zakończyli.

- Ja nie mam nic przeciwko temu - powiedziałem. - Kończmy.

- Świetnie, Pete - powiedział Olson. - Idę teraz pogadać z szefem; zorientuję się, czy można ukreślić ścieżkę postępowaniu dyscyplinarnemu.

- Dzięki, Jim.

- Nie przejmuj się. Ja osobiście nie widzę podstaw do stawiania was przed komisją dyscyplinarną. Skoro twierdzisz, że są taśmy, na których widać, iż zrobił to Sakamura.

- Tak, są.

- A jeśli już mowa o tych kasetach - powiedział. - Kazałem Marty'emu zajrzeć do schowka na dowody rzeczowe. Nie znalazł ich tam.

Wziąłem głęboki oddech.

- Bo ich tam nie ma - przyznałem. - Są u mnie.

- Nie zostawiłeś ich wczoraj w wydziale?

- Nie. Chciałem sporządzić kopie. Odkaslnął.

- Pete. Byłoby lepiej, gdybyś w tym wypadku trzymał się przyjętej procedury.

- Chciałem sporządzić kopie - powtórzyłem.

- Coś ci powiem - mruknął Jim. - Zrób te kopie i o dziesiątej chcę widzieć na swoim biurku oryginały. Jasne?

- Dobra.

- Tyle może mi zająć szukanie materiałów w schowku na dowody. Wiesz, jak jest.

Podejmował się mnie kryć.

- Dzięki, Jim.

- Nie dziękuj mi, bo niczego nie zrobiłem - odparł. - Nic nie wiem o żadnych odstępstwach od procedury.

- Rozumiem.

- A tak między nami: pospiesz się. Mogę udawać głupiego najwyżej przez dwie godziny. Bo tutaj coś się dzieje. Nie wiem dokładnie, kto za tym stoi. Nie przeciągaj więc struny, dobrze?

- W porządku, Jim. Już leczę.

Odłożyłem słuchawkę i wybiegłem z mieszkania, żeby sporządzić kopie.

2

Pasadena wyglądała jak miasto na dnie szklanki zsiadłego mleka. Jet Propulsion Laboratory usadowiło się na przedmieściach, na podgórzu, niedaleko Rose Bowl. Ale chociaż

była już ósma trzydzieści rano, góry pozostawały niewidoczne. Przesłaniała je żółtawa mgielka.

Wziąłem pudło z taśmami pod pachę, okazałem odznakę, podpisałem się strażnikowi w książce gości i przysięgłem, że jestem obywatelem amerykańskim. Strażnik skierował mnie do głównego budynku wznoszącego się po drugiej stronie dziedzińca wewnętrznego.

Jet Propulsion Laboratory przez dziesięciolecia służyło jako centrum dowodzenia amerykańską sondą kosmiczną, która obfotografowywała Jowisza i pierścienie Saturna, a następnie przekazywała zdjęcia na Ziemię. To w JPL wynaleziono nowoczesne metody obróbki obrazu wideo. Jeśli można było gdzieś skopiować te kasety, to najprędzej tutaj.

Mary Jane Kelleher, sekretarka do spraw kontaktów z prasą, wwiozła mnie na trzecie piętro. Ruszyliśmy cytrynowo-zielonym korytarzem, mijając kilkoro drzwi, które prowadziły do pustych pokoi biurowych. Nie uszło to mojej uwagi.

- To prawda - odparła kiwając głową. - Straciliśmy sporo dobrych fachowców, Peter.

- Dokąd odeszli?

- W większości do przemysłu. Do tej pory ludzi podbierała nam filia IBM z Armonk, czy Bell Labs z New Jersey. Ale ich laboratoria nie mają już najlepszej aparatury i funduszy. Ustępują teraz pod tymi względami japońskim laboratoriom naukowo-badawczym, takim jak Hitachi w Long Beach, Sanyo w Torrance, Canon w Inglewood. Pracuje w nich obecnie wielu amerykańskich uczonych i konstruktorów.

- Czy JPL nie jest tym zaniepokojone?

- Pewnie, że jest - przyznała. - Każdy wie, że drenaż mózgow to najlepsza metoda transferu technologii. Ale co na to poradzić? - Wzruszyła ramionami. - Naukowcy chcą coś robić. A Ameryka nie prowadzi już tylu projektów naukowo-badawczych. Nie ma na to środków. Pozostaje więc pracować dla Japończyków. Dobrze płacą i mają niekłamany szacunek do nauki. Potrzebna ci jakaś specjalistyczna aparatura, masz ją. Tak przynajmniej opowiadają mi znajomi. No, jesteśmy.

Wprowadziła mnie do pracowni zawałonej sprzętem wideo. Czarne urządzenia na metalowych stelażach i stołach; płątanina kabli połączeniowych wijących się po podłodze; zatrząsienie monitorów i ekranów. Pośrodku tego wszystkiego tkwił trzydziestokilkuletni, brodaty mężczyzna nazwiskiem Kevin Howzer. Na ekranie stojącego przed nim monitora widniał przekrój jakiejś przekładni zębatej w zmieniających się, tęczyowych kolorach. Po blacie stołu walały się puste puszki po coli i papierki od cukierków; pracował tu przez całą noc.

- Kevin, to porucznik Smith z Departamentu Policji miasta Los Angeles. Przyniósł jakieś nietypowe taśmy i chce je skopiować.

- Tylko skopiować? - Howzer powiedział to z żalem. - Nie chce pan nic z nimi zrobić?

- Nie, Kevinie - odparła za mnie Mary. - Nie chce.

- Żaden problem.

Pokazałem Howzerowi jedną z kaset. Obrócił ją w dłoniach i wzruszył ramionami.

- Wygląda na standardową ośmiomilimetrówkę. Co na niej jest?

- Obraz z wysokorozdzielczej japońskiej kamery telewizyjnej.

- Znaczy się, jest zapisana sygnałem wysokiej rozdzielczości?

- Chyba tak.

- Nie powinno być problemów. Ma pan odtwarzacz, na którym można by ją puścić?

- Mam. - Wyjąłem odtwarzacz z pudła i podałem mu go.

- O kurczę, ładne zabawki robią, no nie? Piękna maszynka. - Kevin oglądał elementy sterowania na płycie czołowej. - Tak, to system wysokiej rozdzielczości. Zaraz załatwimy sprawę. - Obrócił odtwarzacz i spojrzał na złącza rozmieszczone na płycie tylnej. Zmarszczył czoło. Przyniósł trochę biurkową lampę i odchylił plastikową klapkę kasety, odsłaniając taśmę. Miała lekko srebrzysty odcień. - Ho, ho. Czy na tych taśmach jest coś ważnego z punktu widzenia prawa?

- Raczej tak. Oddał mi kasetę.

- Przykro mi. Nie mogę jej skopiować.

- Dlaczego?

- Widzi pan ten srebrzysty nalot? To taśma metalizowana o bardzo wysokiej gęstości zapisu. Założę się, że jest nagrana w formacie obejmującym kompresję sygnału w czasie rzeczywistym, a z tego odtwarzacza wychodzi już sygnał po dekompresji. Nie mogę zrobić panu kopii, bo nie potrafię odtworzyć formatu. To znaczy, nie potrafię obrobić sygnału równoważną metodą, która gwarantowałaby czytelność. Mogę sporządzić kopię, ale bez gwarancji, że będzie dokładna. Więc jeśli chce ją pan wykorzystać do jakichś celów prawnych, a przypuszczam, że tak, to będzie pan musiał zanieść ją do skopiowania gdzie indziej.

- Na przykład gdzie?

- To może być nowy, opatentowany format D-cztery. Jeśli tak, to można go skopiować tylko w Hamaguri.

- Hamaguri?

- To laboratorium naukowo-badawcze w Glendale należące do Kaikatsu Industries. Mają tam każdy znany ludzkości przyrząd z zakresu techniki wideo.

- Sądzi pan, że mi pomogą?

- Sporządzić kopie? Jasne. Znam jednego z dyrektorów tego laboratorium. Nazywa się Jim Donaldson. Mogę do niego przedryndać, jeśli pan chce.

- Byłbym wdzięczny.

- Nie ma sprawy.

3

Hamaguri Research Institute miał swoją siedzibę w przemysłowej dzielnicy w północnym Glendale i zajmował nie wyróżniający się niczym szczególnym budynek o oknach z polaryzowanego szkła. Wszedłem z moim pudłem do holu. Za lśniącem kontuarem portierni widać było atrium zajmujące centrum budynku, a naokoło niego laboratoria za przepierzeniami z tafli przydymionego szkła.

Poprosiłem o powiadomienie doktora Jima Donaldsona o moim przybyciu i usiadłem na kanapie, żeby na niego poczekać. W chwilę potem do holu weszli dwaj mężczyźni w garniturach. Poufale skinęli głowami portierowi i przysiedli się do mnie. Nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi rozłożyli na stoliczku błyszczące foldery.

- Spójrz tylko - powiedział jeden z nich. - Właśnie o tym mówiłem. To będzie nasz złoty strzał. Jeszcze ten jeden raz i koniec.

Zerknąłem zaciekawiony. Fotografia przedstawiała dzikie kwiaty na tle przykrytych śnieżnymi czapami szczytów górskich. Pierwszy mężczyzna postukał w nią palcem.

- Góry Skaliste, przyjacielu. Prawdziwa Ameryka. Zaufaj mi, oni właśnie czegoś takiego szukają. A to szmat ziemi.

- Mówisz, że ile tego jest?

- Sto trzydzieści tysięcy akrów. Największy kawałek Montany, jaki pozostał jeszcze w ofercie. Dwadzieścia na dziesięć kilometrów ziemi pierwszej klasy u stóp Gór Skalistych, o powierzchni parku narodowego. Wyjątkowo piękny teren. Duży, rozległy. Najwyższa jakość. Idealny dla japońskiego konsorcjum.

- Rozmawiali już o cenie?

- Jeszcze nie. Ale, widzisz, ranczerzy znaleźli się w trudnej sytuacji. Przepisy pozwalają teraz cudzoziemcom eksportować wołowinę do Tokio, a wołowina w Japonii

kosztuje mniej więcej dwadzieścia, dwadzieścia dwa dolary za kilogram. Tylko że w Japonii nikt nie kupi amerykańskiej wołowiny. Jeśli wyślą ją Amerykanie, to zgnije w porcie. Ale gdy Amerykanie sprzedadzą swoje rancza Japończykom, to wołowinę będzie można eksportować. Będzie wówczas pochodziła z rancz należących do Japończyków, więc Japończycy ją kupią. Wystawiane są na sprzedaż tereny w całej Montanie i Wyoming. Ci, co się jeszcze trzymają, widują na horyzoncie galopujących japońskich kowbojów. Obserwują postępującą modernizację okolicznych rancz, przebudowę budynków gospodarczych, wyposażanie ich w nowoczesny sprzęt, na który środki pochodzą z eksportu mięsa do Japonii. Amerykańscy właściciele nie są w ciemną bici. Czują pismo nosem. Wiedzą, że nie mają szans. No i sprzedają.

- I co potem robią?

- Zostają i pracują dla Japończyków. To nie problem. Japończycy potrzebują kogoś, kto nauczy ich pracy na roli. Wszyscy pracownicy sprzedanego gospodarstwa dostają z miejsca podwyżki. Japończycy szanują uczucia Amerykanów. Znają się na ludziach.

- Wiem - mruknął drugi mężczyzna - ale mnie się to nie podoba. Nie podoba mi się cały ten interes.

- Nie rozśmieszaj mnie, Ted. A co poradzisz, napiszesz do swojego kongresmena? Nie wiesz, że oni wszyscy pracują dla Japończyków? Do diabła, przecież te rancza są dotowane przez amerykański rząd. - Pierwszy mężczyzna przekręcił złoty łańcuszek, który zwisał mu z nadgarstka. Nachylił się do swojego towarzysza. - Posłuchaj, Ted. Odłóżmy na bok moralne rozterki. Nie stać mnie na nie. I ciebie zresztą też. Gra idzie o czteroprocentową prowizję i wypłacaną przez pięć lat dywidendę od siedemset-milionowej transakcji. Nie dajmy sprzątać sobie tego sprzed nosa, jasne? Osobiście masz widoki na zgarnięcie dwóch milionów czterystu tysięcy w samym tylko pierwszym roku. A dywidenda ma być wypłacana przez pięć lat. Zgadza się?

- Wiem. Ale mam skrupuły.

- Daj spokój, Ted. Zobaczysz, że ci przejdzie, kiedy ubijemy ten interes. Musimy jednak dopracować jeszcze kilka szczegółów... - W tym momencie zorientowali się, że słucham. Wstali i przenieśli się poza zasięg głosu. Usłyszałem jeszcze, jak pierwszy mężczyzna mówi coś o „zapewnieniach, że stan Montana popiera i pochwała...” Drugi kiwał powoli głową. Pierwszy szturchnął go w ramię, jakby chciał powiedzieć „głowa do góry”.

- Porucznik Smith?

Obok mnie stała jakaś kobieta.

- Tak.

- Jestem Kristen, asystentka doktora Donaldsona. Dzwonił w pana sprawie Kevin z JPL. Ma pan jakiś problem z taśmami?

- Tak. Chciałbym je skopiować.

- Przykro mi, nie było mnie, kiedy dzwonił Kevin. Telefon odebrała jedna z sekretarek, która nie była zorientowana w sytuacji.

- Jak to?

- Niestety, doktor Donaldson jest w tej chwili nieobecny. Ma dziś rano odczyt.

- Rozumiem.

- A skoro nie ma go w laboratorium, mogą być z tym trudności.

- Ja chcę tylko skopiować kilka taśm. Może potrafi mi pomóc ktoś z pracowników laboratorium.

- Niewykluczone, ale obawiam się, że dzisiaj będzie to niemożliwe.

Trafiłem na japoński mur. Bardzo subtelny, ale mimo wszystko mur. Westchnąłem. Prawdopodobnie nie było się co łudzić, że japońska firma naukowo-badawczą udzieli mi pomocy. Nawet w czymś tak błahym, jak skopiowanie taśm.

- Rozumiem.

- W laboratorium nikogo jeszcze nie ma. Wszyscy pracowali wczoraj po godzinach nad pilnym zleceniem, w związku z czym dzisiaj przychodzą później. Sekretarka, która odbierała telefon, nie wiedziała o tym. Nie wiem, co panu poradzić.

Podjąłem jeszcze jedną, ostatnią próbę.

- Jak pani wie, moim przełożonym jest szef policji. To już dzisiaj druga instytucja, którą odwiedzam, a ponaglają mnie, żebym skopiował te taśmy.

- Bardzo chciałabym panu pomóc. Wiem, że doktor Donaldson też z chęcią by to zrobił. Wykonywaliśmy już specjalne prace na zlecenie policji i jestem pewna, że nie byłoby żadnych problemów ze skopiowaniem materiału, który pan tu ma. Może trochę później. Albo gdyby zechciał pan zostawić u nas kasety...

- Niestety, nie mogę tego zrobić.

- Jasne, rozumiem. No cóż, przykro mi, poruczniku. Może wpadnie pan trochę później? - Wzruszyła lekko ramionami.

- Raczej nie - odparłem. - Co za pech, że akurat wczoraj wszyscy pracowali po godzinach.- Tak. To dosyć niecodzienna sytuacja.

- A co to było? Coś nagle wypadło? Jakiś problem badawczy?

- Doprawdy nie wiem. Dysponujemy takimi możliwościami w zakresie techniki wideo, że od czasu do czasu dostajemy jakieś pilne nietypowe zlecenie. Opracowanie efektu

specjalnego dla komercyjnej telewizji, czy coś w tym rodzaju. Robiliśmy, na przykład, ten wideoklip Michaela Jacksona dla Sony. Czasem ktoś zwraca się do nas z prośbą o odtworzenie taśmy, która uległa zniszczeniu. To się nazywa odbudową sygnału. Ale nie wiem, co robili wczoraj. Musiało to jednak być coś pracochłonnego. Zdaje się, że chodziło o obróbkę dwudziestu taśm, czy coś takiego. I to naprawdę na gwałt. Słyszałam, że skończyli dopiero po północy.

To niemożliwe, pomyślałem.

Próbowałem sobie wyobrazić, jak na moim miejscu postąpiłby Connor, co by teraz zrobił. Uznałem, że warto się jeszcze czegoś dowiedzieć.

- Nakamoto na pewno jest wam wdzięczny za ten wysiłek - powiedziałem.

- O, tak. Tym bardziej że byli zadowoleni z rezultatów. Nie ukrywali zachwyty.

- Wspomniała pani, że Donaldson wygłasza jakiś odczyt...

- Doktor Donaldson. Tak...

- A gdzie?

- Na seminarium szkoleniowym w hotelu Bonaventure. „Metody zarządzania w nauce i technice”. Jest dzisiaj pewnie bardzo zmęczony. Ale zawsze był dobrym mówcą.

- Dzięki. - Wręczyłem jej swoją wizytówkę. - Bardzo mi pani pomogła i jeśli przypomni się pani coś jeszcze albo jeśli będzie pani chciała ze mną porozmawiać, to proszę o telefon.

- Dobrze. - Zerknęła na wizytówkę. - Dziękuję. Odwróciłem się i ruszyłem do wyjścia. W progu minąłem się z Amerykaninem pod trzydziestkę, w garniturze od Armaniego, o bufonowatym wyglądzie człowieka, który czyta magazyny mody. Podszedł do dwóch mężczyzn, których rozmowę niedawno podsłuchałem.

- Panowie? - powiedział. - Pan Nakagawa oczekuje panów. Mężczyźni zerwali się z miejsc, pośpiesznie pozbiali ze stolika swoje foldery oraz fotografie i ruszyli za asystentem, który kierował się już sztywnym, odmierzonym krokiem w stronę wind. Wyszedłem w zalegający na zewnątrz smog.

4

Transparent wywieszony w korytarzu głosił: PRACUJMY WSPÓLNIE: JAPONSKIE I AMERYKAŃSKIE STYLE ZARZĄDZANIA. W sali konferencyjnej odbywało się jedno z tych wczesnoporannych seminariów dla ludzi biznesu, na których mężczyźni i kobiety siedzą

w półmroku przy długich stołach nakrytych szarym obrusem i robią notatki, a stojący na podium prelegent wyklada monotonnym głosem.

Zatrzymałem się niezdecydowanie przy stoliku z plakietkami identyfikacyjnymi spóźnialskich. Podeszła do mnie kobieta w okularach o podwójnej ogniskowej.

- Wpisał się pan na listę obecności? - zapytała. - Wziął pan swoją plakietkę?

Odwrociłem się lekko i pokazałem odznakę.

- Chciałbym porozmawiać z doktorem Donaldsonem.

- Jest następnym prelegentem. Zaczyna za siedem, osiem minut. Musi pan rozmawiać akurat z nim?

- To zajmie tylko chwilkę. Zawahała się.

- Ale on zaraz zaczyna odczyt...

- A więc niech się pani pośpieszy.

Zrobiła taką minę, jakbym ją spoliczkował. Nie wiem, czego się spodziewała. Byłem przecież oficerem policji i chciałem z kimś porozmawiać. Czyżby uważała, że sprawa nadaje się do dyskusji? Wystarczająco już zirytował mnie tamten elegancik w garniturze od Armaniego. Szedł odmierzoną krokiem, jak ktoś bardzo ważny w porównaniu z handlarzami nieruchomości. Dlaczego temu smarkaczowi się wydawało, że jest jakąś ważną figurą? Przecież był tylko odzwierciedleniem u swojego japońskiego szefa.

Patrzyłem teraz, jak kobieta idzie pod ścianą sali konferencyjnej i podchodzi do podium, na którym siedziało czterech mężczyzn czekających na swoją kolej do zabrania głosu. Audytorium notowało pilnie, a prelegent o piaskowych włosach mówił:

- W japońskiej korporacji jest miejsce dla obcokrajowców. Oczywiście nie na samym szczycie, może nawet nie w szeregach wyższej kadry kierowniczej, ale na pewno jest. Zapewne zdajecie sobie państwo sprawę, że pozycja, jaką zajmujecie w japońskiej korporacji jako obcokrajowcy, ma wielkie znaczenie, jesteście szanowanymi pracownikami i macie obowiązki, z których musicie się wywiązać. Jako obcokrajowcy będziecie musieli pokonywać pewne dodatkowe przeszkody, ale z tym sobie poradzicie. Możecie liczyć na sukces, jeśli tylko będziecie pamiętali, gdzie wasze miejsce.

Popatrzyłem po zebranych biznesmenach, po ich garniturach, po głowach pochylonych nad notatnikami. Zastanowiło mnie, co tak notują. Że mają pamiętać, gdzie ich miejsce?

Prelegent kontynuował:

- Wiele razy słyszycie od ludzi, że nie mogą się odnaleźć w japońskiej korporacji, że nikt ich tam nie słucha, że nie mogą realizować swoich pomysłów, że nie mają szans na

awans i muszą odejść. Ci ludzie nie rozumieją roli obcokrajowca w japońskiej społeczności. Jeśli nie potrafią się dostosować, będą musieli odejść. Ale to ich sprawa, ich problem. Japończycy chętnie widzą w swoich firmach Amerykanów i pracowników innych narodowości. Wręcz o nich zabiegają. I zostanieie tam dobrze przyjęci: bylebyście tylko pamiętali, gdzie wasze miejsce.

Jakaś kobieta podniosła rękę.

- A co pan może powiedzieć o dyskryminacji kobiet w japońskich korporacjach? - spytała.

- Nie ma mowy o dyskryminacji kobiet - odparł prelegent.

- Słyszałam, że kobiety nie są awansowane.

- To po prostu nieprawda.

- To skąd te sprawy sądowe? Niedawno zakończył się wielki proces przeciwko bankowi Sumimoto. Czytałam, że jedna trzecia japońskich korporacji jest zaskarżana do sądu przez swoich amerykańskich pracowników. Co pan na to?

- To generalne nieporozumienie - rzekł prelegent. - Kiedy zagraniczna korporacja rozkręca interes w danym kraju, zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że zanim pozna zwyczaje i stosunki tam panujące, będzie popełniała błędy. Kiedy w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych korporacje amerykańskie wchodziły na rynki Europy, napotykały w poszczególnych krajach poważne trudności i często wytaczano im procesy. Nic więc dziwnego, że japońskie korporacje wchodząc na teren amerykański muszą również przejść przez pewien okres przystosowawczy. Trzeba okazać wyrozumiałość.

- A czy zdarza się, że nie trzeba jej wobec Japończyków okazywać? - spytał z uśmiechem jakiś mężczyzna. Nie mówił tego jednak ironicznie, raczej z rozbawieniem.

Reszta zawzięcie notowała.

- Panie oficerze? Jestem Jim Donaldson. O co chodzi? Odwróciłem się. Stał przede mną wysoki, chudy mężczyzna w okularach. Otaczała go aura sumienności, niemal pedantyzmu. Ubrany był na uniwersytecką modłę, w tweedową sportową marynarkę i czerwony krawat. Z kieszonki koszuli sterczało mu etui z długopisami. Domyśliłem się, że jest inżynierem.

- Mam do pana parę pytań w związku z taśmami z Nakamoto.

- Z taśmami z Nakamoto?

- Tymi, które wczoraj wieczorem poddawane były obróbce w pańskim laboratorium.

- W moim laboratorium? Panie, eee...

- Smith, porucznik Smith. - Wręczyłem mu swoją wizytówkę.

- Przykro mi, poruczniku, ale nie wiem, o czym pan mówi. Jakież taśmy wczoraj wieczorem w moim laboratorium?

- Kristen, pańska sekretarka, powiedziała mi, że wczoraj wieczorem całe laboratorium pracowało nad jakimiś taśmami.

- Tak. To prawda. Zajmowała się tym większość mojego personelu.

- I że te taśmy pochodziły z Nakamoto.

- Z Nakamoto? - Pokręcił głową. - Kto panu to powiedział?

- Ona.

- Zapewniam pana, poruczniku, że to nie były taśmy z Nakamoto.

- Słyszałem, że taśm było w sumie dwadzieścia.

- Tak, co najmniej dwadzieścia. Nie znam dokładnie liczby. Ale dostarczyła je nam agencja McCann-Erickson prowadząca kampanię reklamową piwa Ashai. W związku z tym, że Ashai stało się teraz najpopularniejszym piwem w Ameryce, mieliśmy zmienić logo na wszystkich reklamówkach.

- Ale wracając do Nakamoto...

- Poruczniku - przerwał mi zniecierpliwiony zerkając na podium - pozwoli pan, że coś mu wyjaśnię. Pracuję w Hamaguri Research Labs. Hamaguri należy do Kaikatsu Industries, konkurenta Nakamoto. Konkurencja między japońskimi korporacjami przybiera bardzo zdecydowane formy. Bardzo zdecydowane. Niech mi pan wierzy na słowo: moje laboratorium nie wykonywało wczoraj wieczorem jakichkolwiek prac nad żadnymi taśmami należącymi do Nakamoto. Taka sytuacja byłaby nie do pomyślenia bez względu na okoliczności. Jeśli moja sekretarka tak powiedziała, to musiała się pomylić. To zupełnie nieprawdopodobne. No, moja kolej na zabranie głosu. Ma pan jeszcze jakieś pytania? - Nie - odparłem. - Dziękuję.

Mówca stojący na podium zakończył swój odczyt i rozległy się anemiczne oklaski. Odwróciłem się i opuściłem salę.

Ruszałem właśnie spod hotelu Bonaventure, kiedy z pola golfowego zadzwonił Connor. Był poirytowany.

- Odebrałem twoje wezwanie przez telefon. Musiałem przerwać grę. Lepiej dla ciebie, żeby to było coś ważnego.

Powiadomiłem go, że jesteśmy umówieni na trzynastą z senatorem Mortonem.

- Dobrze - odparł. - Podjedź tu po mnie o dziesiątej trzydzieści. Coś jeszcze?

Zrelacjonowałem mu swoje wizyty w JPL i w Hamaguri, a następnie rozmowę, jaką odbyłem z Donaldsonem. Connor westchnął.

- Niepotrzebnie traciłeś czas - powiedział.

- Dlaczego?

- Bo laboratoria Hamaguri są finansowane przez Kaikatsu, a Kaikatsu konkuruje z Nakamoto. Z pewnością by nie kiwnęli palcem, żeby pomóc Nakamoto.

- To właśnie powiedział mi Donaldson - przyznałem.

- Gdzie teraz jedziesz?

- Do laboratoriów wideo na USC. Nadal usiłuję skopiować te taśmy.

Connor nie odzywał się przez chwilę.

- Masz do mnie coś jeszcze? - spytał w końcu.

- Nie.

- Świetnie. To do dziesiątej trzydzieści.

- Czemu tak wcześnie?

- Do dziesiątej trzydzieści - powtórzył i rozłączył się.

Ledwie zdążyłem odwiesić słuchawkę, telefon znowu zaterkotał.

- Miałeś do mnie zadzwonić. - To był Ken Shubik z „Timesa”. Mówił jakimś nadęszanym tonem.

- Przepraszam cię. Byłem bardzo zajęty. Możemy teraz porozmawiać.

- Jasne.

- Masz dla mnie jakieś informacje?

- Posłuchaj. - Zawiesił głos. - Jesteś gdzieś w okolicy?

- Jakieś pięć przecznic od ciebie.

- To wpadnij na kawę.

- Nie chcesz rozmawiać przez telefon?

- No...

- Co ty, Ken? Przecież uwielbiasz rozmawiać przez telefon. - Shubik był taki sam, jak wszyscy dziennikarze z „Timesa”: siedział za biurkiem, przed sobą miał komputer, na głowie słuchawki i przez cały dzień gadał przez telefon. To była jego ulubiona metoda pracy. Miał pod ręką wszystko, co mu było potrzebne i rozmawiając mógł wpisywać notatki na bieżąco do komputera. Kiedy pracowałem jako oficer prasowy, miałem biuro w komendzie głównej policji w Centrum Parkera, dwie przecznice od gmachu „Timesa”. A mimo to dziennikarze tacy jak Ken woleli kontaktować się ze mną przez telefon niż osobiście.

- Wpadnij, Pete.

Nie ulegało wątpliwości. Ken naprawdę nie chciał rozmawiać przez telefon.

- W porządku - odparłem. - Będę za dziesięć minut.

5

Los Angeles Times” jest najbardziej dochodowym dziennikiem Ameryki. Sala redakcyjna zajmuje całe piętro budynku, co oznacza, że ma powierzchnię miejskiego kwartału. Przestrzeń została przemyślnie podzielona, dzięki czemu jej faktyczny ogrom i mrowie pracujących tam ludzi nie przytłaczają. Ale i tak odnosi się wrażenie, że na przejście z jednego końca w drugi, między skupiskami modularnych biurek, przy których siedzą dziennikarze wpatrzeni w rozjarzone ekrany komputerów, odbierają telefony czy zerkają na przypięte pinezkami fotografie swoich dzieci, trzeba by paru dni.

Ken pracował w dziale miejskim, czyli we wschodniej części budynku. Zostałem go stojącego przy biurku. Czekał na mnie. Kiedy się przywitaliśmy, wziął mnie za łokieć.

- Napijmy się kawy - zaproponował.

- A co? Nie chcesz, żeby cię ze mną widziano?

- Nie, cholera. Nie chcę, żeby „Łasica” nas przyuważył. Podrywa właśnie tę nową dziewczynę z zagranicznego. Biedaczka nie wie jeszcze, co się święci. - Ken wskazał ruchem głowy w drugi koniec sali redakcyjnej. Dostrzegłem tam znajomą postać stojącego przy oknie Willy’ego Wilhelma, znanego wszystkim jako Wilhelm „Łasica”. Przekomarzał się z dziewczyną siedzącą przed terminalem i na jego wąskiej, łasiczej twarzy malował się chytry wyraz uprzejmości.

- Niczego sobie.

- Owszem. Trochę za szeroka w biodrach. Jest Holenderką - powiedział Ken. - Pracuje tu dopiero od tygodnia. Jeszcze się na nim nie poznała.

Ludzi w rodzaju „Łasicy” znaleźć można w każdej instytucji: przewaga ambicji nad skrupułami i umiejętność przekonywania kierownictwa o swej przydatności zawsze wzbudza powszechną nienawiść wśród współpracowników. Taki właśnie był Wilhelm „Łasica”.

Jak większość fałszywych ludzi, dopatrywał się w każdym najgorszego. Zawsze można było liczyć na to, iż przedstawi przebieg wypadków w jak najmniej korzystnym świetle i będzie twierdził, że i tak potraktował sprawę łagodnie. Miał nosa do ludzkich słabości i zamiłowanie do dramatyzowania. W swoich artykułach nie dbał zupełnie o rzetelne naświetlenie sytuacji, a wyważony sąd uznawał za słabość. Z jego punktu widzenia najbardziej interesujące były „smaczki”. I nimi się zajmował.

Dziennikarze z „Timesa” nim pogardzali.

Pomaszerowaliśmy z Kenem głównym korytarzem. Myślałem, że idziemy do automatu serwującego kawę, ale on wprowadził mnie do biblioteki, która zajmowała środek piętra i była większa oraz lepiej zaopatrzona od niejednej biblioteki uniwersyteckiej.

- No i o co chodzi z tym „Łasicą”? - zapytałem.

- Buszował tu wczoraj wieczorem - odparł Ken. - Wpadłem po teatrze po notatki, których potrzebowałem do wywiadu, jaki miałem przeprowadzić rano, i zobaczyłem go w bibliotece. Było to około dwudziestej trzeciej. Sam wiesz, jaki ten mały padalec jest ambitny. Wyczytałem to z jego twarzy, iż zwęszył zapach krwi. Pomyślałem sobie, naturalnie, że powinieneś się o tym dowiedzieć.

- Oczywiście - mruknąłem. „Łasica” był wytrawnym intrygantem. Przed rokiem udało mu się doprowadzić do wylania redaktora naczelnego „Sunday Calendar”. O mało co nie zajął potem miejsca po nim.

- Pytam więc po cichu Lilly, bibliotekarkę z nocnego dyżuru, o co chodzi, za czym tak „Łasica” węszy - ciągnął Ken. - A ona na to: „Przegląda policyjne raporty na temat jakiegoś gliniarza”. Ulżyło mi z początku, ale potem zacząłem się zastanawiać. No bo jestem jeszcze starszym reporterem działu miejskiego. Wciąż jeszcze ze dwa razy w miesiącu robię jakiś materiał z Centrum Parkera. Czyżby wpadł na coś, o czym mi nie wiadomo? Z tego, co wiem, powinien to być mój temat. Pytam więc Lilly o nazwisko tego gliniarza.

- Pozwól, że zgadnę - wpadłem mu w słowo.

- Nie musisz - powiedział Ken. - Peter J. Smith.

- Mówisz, że o której to było? - Około dwudziestej trzeciej.

- Wspaniale - mruknąłem.

- Pomyślałem sobie, że to cię zainteresuje.

- Dobrze sobie pomyślałeś.

- No więc mówię do Lilly: „A co konkretnie wypożyczył?” A ona na to, że wszystko, wszelkie stare wycinki, jakie były w archiwum, i że ma chyba jakąś wtykę w Centrum Parkera, która mu udostępnia materiały wewnętrzne departamentu. Jakieś przesłuchanie w sprawie molestowania nieletniej. Oskarżenie wniesione parę lat temu.

- O kurczę - mruknąłem.

- To prawda? - spytał Ken.

- Z tym przesłuchaniem tak - odparłem. - Ale cała sprawa była grubymi nićmi szyta.

Ken spojrzał na mnie.

- Wprowadź mnie w temat.

- To historia sprzed trzech lat - zacząłem. - Pracowałem jeszcze wtedy jako detektyw. Wezwano nas z partnerem do rodzinnej awantury w Ladera Heights. Bije się latynoskie małżeństwo. Oboje w sztok pijani. Kobieta chce, żebym aresztował jej męża, a kiedy odmawiam, mówi, że facet napastuje seksualnie jej dziecko. Idę zobaczyć to dziecko, które jest całe i zdrowe. Mówię jej, że nie aresztuję męża. Kobieta ledwie trzyma się na nogach. Na drugi dzień przychodzi na komendę i oskarża o seksualne molestowanie mnie. Odbywa się wstępne przesłuchanie. Zarzut zostaje uznany za bezpodstawny i oddalony.

- W porządku - powiedział Ken. - A odbyłeś jakąś podejrzaną podróż?

Zmarszczyłem czoło.

- Podróż?

- „Łasica” szukał też wczoraj wieczorem danych o podróżach. Wycieczki samolotem, wypady za miasto na koszt departamentu...

Pokręciłem głową.

- Nie wiem, o co chodzi.

- Tak, od razu sobie pomyślałem, że źle trafił. Jesteś samotnym ojcem i nie w głowie ci takie fanaberie.

- Skąd.

- Dobrze.

Weszliśmy w głąb biblioteki. Zatrzymaliśmy się w samym rogu, skąd, poprzez oszklone ściany, widać było dział miejski. „Łasica” nadal gruchał z dziewczyną.

- Jednego nie rozumiem, Ken - mruknąłem. - Dlaczego wziął się akurat na mnie? Nie byłem zamieszany w żadną aferę, nikomu nie podpadłem. Od trzech lat nie pracuję już jako detektyw, nie jestem już nawet rzecznikiem prasowym. Pełnię funkcję łącznika. Zajmuję się sprawami politycznymi. Dlaczego więc dziennikarz „Timesa” tak nagle się mną zainteresował?

- I do tego w czwartek o dwudziestej trzeciej - zauważył Ken. Patrzył na mnie jak na idiotę. Jakby po brodzie ściekała mi ślina.

- Sądzisz, że stoją za tym Japończycy?

- Myślę, że „Łasica” węszy na czyjeś zlecenie. To śmieć do wynajęcia. Odwala różne podejrzone fuchy dla studiów, firm nagraniowych, domów brokerskich, nawet dla handlarzy nieruchomości. Jest tak zwanym konsultantem. Jeździ teraz mercedesem 500 SL.

- Co ty powiesz?

- Całkiem nieźle jak na dziennikarską pensyjkę, nie uważasz?

- Owszem.

- No więc jak? Nadepnąłeś kogoś na odcisk? Zwłaszcza wczoraj w nocy?

- Może.

- Bo ktoś pewnie dzwonił do „Łasicy”, żeby cię prześwietlił.

- Nie chce mi się w to wierzyć - mruknąłem.

- Będziesz musiał - powiedział Ken. - Niepokoi mnie tylko ta jego wtyczka w Centrum Parkera. Ktoś z departamentu przekazuje mu materiały dotyczące spraw wewnętrznych. Dobrą masz opinię w departamencie?

- O ile mi wiadomo, to tak.

- Dobrze. Bo „Łasica” ucieka się do swoich wypróbowanych sztuczek. Dziś rano rozmawiałem z naszym redakcyjnym radcą prawnym.

- I co?

- Zgadnij, kto dzwonił do niego wczoraj wieczorem z pytaniem, cały napalony i podniecony? „Łasica”. Chcesz zgadywać, co to było za pytanie?

Nie odzywałem się.

- Brzmiało: Czy ktoś pełniący obowiązki rzecznika prasowego policji ma status osoby publicznej? A ściślej mówiąc, osoby publicznej, która nie może pozywać do sądu o pomówienie?

- Jezu - jęknąłem.

- No właśnie.- I jaka jest odpowiedź?

- A co to za różnica? Wiesz przecież, jak to się odbywa. Jemu wystarczy zadzwonić do paru osób i oznajmić: „Cześć, mówi Bill Wilhelm z »Los Angeles Times«. Zamierzamy puścić w jutrzejszym numerze artykuł ujawniający, że porucznik Peter Smith jest zbrojcem molestującym seksualnie dzieci, czy ma pan jakieś uwagi?” Kilka takich telefonów w wybrane miejsca i artykuł wcale nie musi się ukazywać. Redaktorzy mogą go odrzucić, ale wieść pójdzie już w świat.

Nie odzywałem się. Wiedziałem, że Ken ma rację. Byłem już świadkiem takich zdarzeń.

- Co mogę zrobić? - spytałem. Roześmiał się.

- Mógłbyś zaaranżować jeden z tych osławionych incydentów świadczących o brutalności policji z Los Angeles.

- To wcale nie jest zabawne.

- Nikt z tej gazety by o tym nie napisał, mogę ci to zagwarantować. Mógłbyś go nawet zakatrupić. A może ktoś by to sfilmował kamerą wideo? Słuchaj, ludzie stąd dużo by zapłacili, żeby obejrzeć sobie coś takiego na wideo.

- Ken.

- Pomarzyć już nie wolno? - Westchnął. - Dobra, mam pewną sugestię. W zeszłym roku, po tym jak za sprawą Wilhelma zmieniło się kierownictwo „Calendar”, dostałem pocztą anonimową paczuszkę. Podobne przesyłki przyszły jeszcze do kilku osób. Nikt wtedy nie zrobił z nich użytku. To dosyć brudna sprawa. Jesteś zainteresowany?

- Tak.

Ken wydobyl z wewnętrznej kieszeni swojej sportowej kurtki małą brązową kopertę. Wewnątrz znajdowała się seria fotografii wydrukowanych na składanej w harmonijkę taśmie. Przedstawiały Willy’ego Wilhelma w niedwuznacznej sytuacji z ciemnowłosym mężczyzną. Willy wciskał mu głowę w podbrzusze.

- Nie pod wszystkimi kątami widać tu dobrze twarzy „Łasicy”. Ale to na pewno on. Migawki z igraszek dziennikarza z jego źródłem informacji. Piją bruderszafta, że tak to nazwę.

- Kim jest ten gość?

- Ustalenie jego tożsamości zajęło nam trochę czasu. Nazywa się Barry Borman. Jest regionalnym dyrektorem handlowym Kaisei Electronics na południową Kalifornię.

- Co mogę z tym zrobić?

- Daj mi swoją wizytówkę - powiedział. - Przypnę ją do koperty i każe oddać „Łasicy”.

Pokręciłem głową.

- Nie zgadzam się.

- To by mu dało do myślenia.

- Nie - powiedziałem. - To nie dla mnie. Ken wzruszył ramionami.

- No nic. I tak mogłoby nie odnieść zamierzonego efektu. Nawet gdyby udało nam się złapać „Łasice” za jaja, to Japończycy znaleźliby prawdopodobnie inne sposoby. Nadal nie potrafię ustalić okoliczności, w jakich puszczono wczoraj ten artykuł. Słyszę tylko „Polecenie z góry, polecenie z góry”. A to może znaczyć wszystko.

- Ktoś musiał go przecież napisać.

- Powtarzam, że nie jestem w stanie nic ustalić. Ale powiem ci, że Japończycy mają na tę gazetę olbrzymi wpływ. To coś więcej niż reklamy, które w niej zamieszczają. To coś więcej niż ich niezmordowana machina informacyjna, nadająca bez przerwy z Waszyngtonu, czy lokalne naciski i udział w kampaniach osobistości politycznych i organizacji. To zaczyna być denerwujące. No bo wyobraź sobie, że siedzisz na kolegium redakcyjnym, omawiacie sprawę puszczania jakiegoś artykułu, i nagle uświadamiasz sobie, że nikt nie chce ich urazić.

Nie jest to kwestia rzetelności czy aktualności jakiegoś artykułu, ani też sprawa oczywistych reperkusji w rodzaju „Nie możemy tego puścić, bo oni przestaną zamieszczać na naszych łamach swoje reklamy”. To coś subtelniejszego. Czasami patrzę na moich redaktorów i widzę, że nie puszcza określonych materiałów, bo się boją. Nawet nie wiedzą czego. Po prostu się boją.

- I to by było na tyle, jeśli chodzi o wolność prasy.

- Dobra - parsknął Ken. - To nie pora na wygłaszanie takich banałów. Sam wiesz, jak jest. Prasa amerykańska wyraża dominującą opinię, czyli opinię grupy będącej u władzy. U władzy są teraz Japończycy, a prasa wyraża... Nic nowego. Po prostu uważaj na siebie.

- Będę uważał.

- A jak zmienisz zdanie co do tej przesyłki dla „Łasicy”, to zadzwoń.

Chciałem porozmawiać z Connorem. Zaczynałem rozumieć, dlaczego kapitan się niepokoił i dlaczego chciał szybko zakończyć śledztwo. Dlatego mianowicie, że dobrze zmontowana kampania pomówień jest czymś strasznym. Wytrawny praktyk - a „Łasica” był takim bez wątpienia - mógł ją poprowadzić tak, by dzień po dniu wypływały nowe rewelacje, nawet jeśli w rzeczywistości nic się nie działo. W gazetach pojawiłyby się nagłówki w rodzaju WYSOKI SĄD NIE ZADECYDOWAŁ JESZCZE O WINIE POLICJANTA, chociaż w rzeczywistości wysoki sąd by się nawet jeszcze nie zebrał. Ale ludzie czytający dzień w dzień te nagłówki wyciągają własne wnioski.

A do tego zawsze można odwrócić kota ogonem. Jeśli na koniec kampanii pomówień okazuje się, że jej obiekt jest bez skazy, można dać nagłówek w rodzaju WYSOKI SĄD NIE DOPATRUJE SIĘ WINY POLICJANTA albo PROKURATOR OKRĘGOWY NIE WNOSI AKTU OSKARŻENIA PRZECIWKO PODEJRZANEMU GLINIE. Podobne nagłówki odnoszą taki sam skutek, co wyrok skazujący.

I nie ma sposobu na zneutralizowanie efektów trwającej tygodniami oszczerczej kampanii prasowej. Wszyscy pamiętają o postawionym zarzucie. Nikt zaś nie pamięta o fakcie jego oddalenia. Taka jest ludzka natura.

Czułem się fatalnie i prześladowało mnie mnóstwo złych przeczuć. Kiedy z głową pełną najczarniejszych myśli skręcałem na parking wydziału fizyki USC, znowu zaterkotał telefon. To był zastępca szefa, Olson.

- Peter?

- Tak, proszę pana.

- Dochodzi dziesiąta. Myślałem, że te taśmy będą już u mnie na biurku. Obiecałeś mi je dostarczyć.

- Mam kłopoty z ich skopiowaniem.

- To tę sprawę teraz załatwiasz?

- Tak. A co?

- Bo z telefonów, jakie odebrałem, wynika, że nie zaprzestałeś śledztwa - powiedział Jim Olson. - W ciągu ostatniej godziny rozpytywałeś w japońskim instytucie naukowo-badawczym. Potem przesłuchałeś naukowca pracującego w tymże instytucie naukowo-badawczym. Włączysz się po jakichś japońskich seminariach. Postawmy sprawę jasno, Peter. Czy to śledztwo jest zakończone, czy nie?

- Jest zakończone - odparłem. - Próbuję tylko skopiować taśmy.

- To skoncentruj się wyłącznie na tym - powiedział.

- W porządku, Jim.

- Dla dobra całego departamentu i pracujących w nim osób chcę mieć już tę aferę za sobą.

- Dobrze, Jim.

- Nie chcę stracić kontroli nad sytuacją.

- Rozumiem.

- Mam taką nadzieję - warknął. - Rób te kopie i melduj się u mnie. - Odłożył słuchawkę.

Zaparkowałem wóz i wszedłem do budynku wydziału fizyki.

6

Czekałem u wejścia do auli, aż Phillip Sanders zakończy wykład. Na tablicy za jego plecami wypisane były tasiemcowe wzory. W sali siedziało około trzydziestu studentów, większość z nich zajmowała miejsca na samym dole, w pierwszych rzędach i widziałem jedynie ich głowy.

Doktor Sanders był kipiącym energią mężczyzną około czterdziestki, jednym z tych znajdujących się w nieustannym ruchu facetów. Chodził tam i z powrotem, a symbole na tablicy wypisywał szybkimi, energicznymi uderzeniami kredą. Trudno było się nawet domyślić, jaki przedmiot wyklada, gdyż używał takich sformułowań, jak „wyznaczanie kowariacyjnego współczynnika emisji” lub „szum przemysłowy o szerokości pasma delta”. Miało to chyba coś wspólnego z elektroniką.

Kiedy zegar wybił pełną godzinę, studenci zaczęli się podnosić z miejsc i pakować swoje rzeczy. Zaskoczyło mnie, że niemal wszyscy w tej grupie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, odznaczali się rysami azjatyckimi - albo byli skośnoocy, albo mieli śniadą cerę Hindusów lub Pakistańczyków. W gronie trzydziestu słuchaczy naliczyłem zaledwie troje białych.

- To prawda - wyjaśnił mi później Sanders, kiedy byliśmy już w drodze do jego pracowni. - Amerykanie rzadko wybierają tę specjalizację, grupa sto pierwsza z kierunku fizycznego należy do wyjątków. Podobna tendencja utrzymuje się od lat. Przemysł potrzebuje fachowców i byłibyśmy w nie lada kłopotcie, gdyby nie ci Azjaci, którzy tu, w Stanach, robią doktorat z matematyki lub inżynierii, a później godzą się podjąć pracę w naszym kraju.

Zeszliśmy po schodach i skręciliśmy w lewo. Sanders różnym krokiem prowadził korytarzem przecinającym cały parter budynku.

- Problem polega na tym, że sytuacja powoli się zmienia - kontynuował. - Azjatyccy doktoranci coraz częściej wracają do ojczyzny. Koreańczycy wolą pracować w Korei, Tajwańczycy u siebie. Nawet Hindusi chcą wracać, gdyż poziom życia w tych krajach wyraźnie się podnosi i nasi absolwenci zyskują coraz szersze możliwości. Niektóre państwa Azji mogą się już poszczycić znakomicie wykształconą kadrą specjalistów. - Powiódł mnie kolejnymi schodami na dół. - Czy wie pan, które miasto na świecie ma największą liczbę naukowców z doktoratem?

- Boston?

- Nie, Seul w Korei. Proszę wziąć pod uwagę, że to zaledwie odskocznia przed wkroczeniem w dwudziesty pierwszy wiek.

Skręciliśmy w następny korytarz i niespodziewanie wyszliśmy na zalany słońcem dziedziniec. Sanders poprowadził ku wejściu do drugiego budynku. Zerkał od czasu do czasu przez ramię, jakby się obawiał, że mnie zgubi, nie przestawał jednak mówić.

- A jeśli wyjadą wszyscy zagraniczni studenci, naszych rodzimych absolwentów nie starczy nawet do prowadzenia prac badawczych. Jak zatem mamy opracowywać nowe technologie, uzależnieni od tej dość chwiejnej równowagi? Wciąż brakuje nam specjalistów, nawet takie firmy, jak IBM, zaczynają mieć kłopoty. Proszę uważać na drzwi.

Puścił wahadłowe skrzydło, ledwie zdążyłem je przytrzymać.

- Jeśli u nas jest tak wielkie zapotrzebowanie na wysoko wykwalifikowanych ludzi - rzekłem - może spowoduje to większe zainteresowanie studiami?

- Na pewno nie w takich dziedzinach jak bankowość czy prawo. - Zaśmiał się. - W Stanach jest olbrzymi popyt na inżynierów i naukowców, a przodujemy na świecie w

kształceniu prawników. Co drugi prawnik świata jest Amerykaninem. To również daje do myślenia. - Pokręcił głową. - Stanowimy cztery procent populacji ziemskiej, wytwarzamy osiemnaście procent globalnej ilości towarów, ale mamy pięćdziesiąt procent prawników. A każdego roku różnego rodzaju szkoły prawnicze kończy trzydzieści pięć tysięcy osób. To dowodzi, na co się u nas kładzie największy nacisk. W co drugiej debacie telewizyjnej bierze udział specjalista od takiego czy innego prawa. Stany Zjednoczone stały się krajem prawników; wszyscy o coś walczą, dyskutują, chcą występować przed sądem. Muszą się przecież czymś zajmować za te swoje trzysta tysięcy dolarów rocznie. Nic dziwnego, że inne narodowości sądzą, iż powariowaliśmy.

Otworzył drzwi, na których dostrzegłem wymalowaną dużą strzałkę i odręczny napis: PRACOWNIA WYBUJAŁEJ WYOBRAŹNI. Sanders poprowadził dalej wąskim, piwnicznym korytarzem.

- Nawet nasze najzdolniejsze dzieci są źle kształcone. W rozmaitych klasyfikacjach najwybitniejszych zajmujemy dopiero dwunaste miejsce, po wysoko rozwiniętych krajach Europy i Azji. Podobnie rzecz się ma ze studentami, a w szkolnictwie średnim jest jeszcze gorzej. Co trzeci maturzysta nie potrafi się rozeznąć w rozkładzie jazdy autobusów, jest niemal półanalfabetą.

Dotarliśmy do końca korytarza i skręciliśmy w lewo.

- W dodatku, na podstawie moich obserwacji, nasza młodzież robi się coraz bardziej leniwa. Nikomu nie chce się pracować. Nauczam fizyki, w której dopiero po latach zdobywa się szlify. Ale młodzież myśli tylko o tym, aby ubierać się jak Charlie Sheen i zarobić swój pierwszy milion przed ukończeniem dwudziestego ósmego roku życia. A najprostszą na to metodą jest zostać prawnikiem lub finansistą i działać na Wall Street, czy też w podobnym miejscu, gdzie wypracowuje się zysk na papierze, robi coś z niczego. Cóż, w dzisiejszych czasach młodym ludziom tylko na tym zależy.

- Może tak jest wyłącznie na tej uczelni?

- Wszędzie, może mi pan wierzyć. Teraz nie ma takich, co nie oglądają telewizji.

Pchnął kolejne drzwi wahadłowe i zagłębiliśmy się w następny korytarz. Śmierdziało tu pleśnią i wilgocią.

- Tak, wiem, jestem starej daty - mówił Sanders. - Wierzę jeszcze, że każdy człowiek dąży do jakiegoś celu. Panu zależy na tym, mnie na czymś innym. Chociażby tylko z tego powodu, że każdy z nas stanowi część ludzkości, ubiera się tak, a nie inaczej, wykonuje swoją robotę, można wnioskować, że ma określony cel w życiu. Ale w naszej części świata celem samym w sobie zaczyna być babranie się w gównie. Jeśli przeprowadzi pan analizę

krajowego serwisu informacyjnego, znajdzie pan tam wiele miejsc, gdzie dokonano montażu zdjęć. Wystarczy uważnie posłuchać wiadomości stacji komercyjnych i będzie pan wiedział, w jaki sposób się manipuluje...

Zatrzymał się w pół kroku.

- Czy coś się stało?

- Nie było z nami jeszcze kogoś? - zapytał. - Przyszedł pan sam?

- Tak, jestem sam.

- Aha, to dobrze. - Sanders ruszył dalej, sadząc wielkimi krokami. - Zawsze się boję, że kogoś zgubię w tym labiryncie. W porządku, jesteśmy na miejscu. Oto i moja pracownia. Nawet drzwi znajdują się tam gdzie zwykle.

Otworzył je i szerokim gestem zaprosił mnie do środka. Nieco przerażony, obrzuciłem spojrzeniem cały pokój.

- Wiem, że wygląda to nie najlepiej - rzekł Sanders. Ja zaś pomyślałem, że to bardzo delikatne określenie. Staliśmy w wejściu do obszernej piwnicy, z której sufitu sterczały zardzewiałe rury i pęki kabli. Podwinięte w wielu miejscach zielone linoleum odsłaniało betonową posadzkę. Wzdłuż ścian rozmieszczono poobijane stoły zastawione różnym sprzętem, zwieszały się z nich dziesiątki przewodów. Przy monitorach komputerów siedzieli studenci. Dostrzegłem, że z rur kapie woda, tworząc na podłodze kilka kałuż.

- Jedyne pomieszczenie, jakie mogliśmy wygospodarować - wyjaśnił Sanders - to ta piwnica, a nie mieliśmy funduszy na takie drobiazgi, jak na przykład porządny strop. Nam to nie przeszkadza, ale proszę uważać na głowę.

Poszedł dalej. Chociaż mam niespełna sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, idąc za nim musiałem pochylić głowę. Nagle gdzieś nade mną rozległ się głośny, nieprzyjemny zgrzyt.

- To łyżwiarze - wyjaśnił Sanders.

- Słucham?

- Nad nami jest lodowisko. Przywykliśmy już do tych hałasów. Powinien pan tu przyjść zaraz po obiedzie, kiedy trenuje drużyna hokejowa. Wtedy dopiero jest głośno.

Ruszył znowu. Czułem się jak w łodzi podwodnej. Spoglądałem na studentów, ale byli tak pochłonięci swoją pracą, iż żaden nawet nie podniósł głowy.

- Jakże taśmy chce pan skopiować? - zapytał Sanders.

- Ośmiomilimetrowe japońskie kasety, zarejestrowane przez służby ochrony. Mogą być trudności z ich przegranieniem.

- Trudności? Nie przypuszczam. Wie pan, jeszcze podczas studiów opracowałem większość algorytmów do obróbki obrazu wideo. Mówię o programach do korekty ziarnistości, usuwania odbić, poprawy ostrości i tym podobnych rzeczy. Teraz wszyscy posługują się algorytmami Sandersa. Kończyłem wówczas politechnikę, a wieczorami pracowałem w JPL. Jestem pewien, że potrafimy je skopiować. Wręczyłem mu jedną z kaset. Obejrzał ją dokładnie.

- Zgrabne, małe gówienko - mruknął.

- I co się stało - zapytałem - z tymi pańskimi algorytmami?

- Nie znaleziono dla nich zastosowania. Jeszcze w latach osiemdziesiątych takie firmy, jak RCA czy GE zaczęły się wycofywać z elektroniki komercyjnej. Dlatego też moje programy okazały się dla nich bezużyteczne. - Wzruszył ramionami. - Próbowałem je sprzedać Japończykom z Sony.

- I co?

- Mieli już własne patenty.

- To znaczy, że opracowali własne algorytmy?

- Nie, mieli tylko patenty. W Japonii toczy się istna wojna podjazdowa, u nich patentuje się dosłownie wszystko. W dodatku mają zwariowany system. Trzeba czekać osiem lat, żeby uzyskać jakikolwiek patent, ale później jest on objęty ochroną prawną zaledwie przez osiemnaście miesięcy; po upływie tego czasu wszystko jest dozwolone. Poza tym Japonia nie podpisała z nami porozumienia o wzajemności praw licencyjnych. To jeden z powodów, które umożliwiły im wejście na szczyt. W każdym razie, kiedy pojechałem do Japonii, przekonałem się, że Sony i Hitachi mają już podobne patenty i obie firmy rozpoczęły tak zwane postępowanie patentowe, zabezpieczając sobie prawo wyłączności możliwych zastosowań. W świetle przepisów nie wolno im było wykorzystać moich algorytmów, lecz okazało się, że ja także nie mam prawa komukolwiek ich sprzedać. Właśnie dlatego, że oni wcześniej zastrzegli w patentach mój pomysł. - Ponownie wzruszył ramionami. - To nie tak łatwo wyjaśnić, zresztą, było, minęło. Od tamtej pory Japończycy skonstruowali znacznie bardziej zaawansowany sprzęt wideo, o wiele lepszy od każdego naszego modelu. Wyprzedzili nas co najmniej o kilka lat. Ale my, w tej pracowni, jeszcze się nie poddajemy. A oto i właściwy człowiek. Dan, czy jesteś zajęty?

Znad komputera uniosła głowę młoda kobieta o ciemnych włosach i dużych oczach za okularami w rogowej oprawie. Jej twarz częściowo zasłaniały mi wystające z sufitu rury.

- Och, przepraszam - rzekł wyraźnie zaskoczony Sanders. - Gdzie jest Dan, Thereso?

- Ma zajęcia z grupą drugiego roku. Pomagam mu uruchomić ten program, jest już prawie gotowy.

Miałem wrażenie, że kobieta jest starsza od pozostałych studentów, choć na dobrą sprawę nie umiałbym powiedzieć, skąd się wzięło to przeświadczenie. Nie chodziło o jej ubranie: miała na głowie pstrokatą opaskę, a pod dzinsową kurtką bluzkę z napisem „U2”. Ale emanował od niej dziwny spokój, chyba przez to wydawała się starsza.

- Czy możesz przerwać pracę? - zapytał Sanders, obchodząc stół, żeby spojrzeć na monitor. - Mamy dość pilną sprawę, musimy pomóc policji.

Zanurkowałem pod rurami i stanąłem obok niego.

- Oczywiście, proszę - rzekła kobieta i zaczęła wyłączać kolejne urządzenia zestawu. Siedziała odwrócona do mnie plecami, ale w pewnej chwili dostrzegłem jej twarz. Miała ciemną cerę i nieco egzotyczne rysy. Była jednak piękna, zabójczo piękna, jak jedna z modelek, których zdjęcia zdobią okładki czasopism. Przez moment nie mogłem zrozumieć, co taka piękność robi w podziemnej pracowni komputerowej. Zupełnie mi nie pasowała do tego otoczenia.

- Przedstawiam panu Theresę Asakumę - rzekł Sanders - jedyną japońską doktorantkę w naszym gronie.

- Cześć - rzuciłem.

Chyba się trochę zaczerwieniłem, było mi głupio. Czuję się tak, jakbym nie nadażał za biegiem zdarzeń, a z różnych powodów nie chciałem, żeby tymi kasetami zajmowała się Japonka. Kobieta nosiła jednak angielskie imię i nie wyglądała na Japonkę, raczej na Europejkę, przynajmniej w jakimś stopniu, może była po prostu...

- Dzień dobry, poruczniku - powiedziała, wyciągając na powitanie, o dziwo, lewą rękę. Wykręciła ją zresztą w taki sposób, jak czynią to ludzie jednoręczni.

- Bardzo mi miło, panno Asakuma. - Uścisnąłem jej dłoń.

- Wystarczy Theresa.

- W porządku.

- Czyż nie jest piękna? - zapytał Sanders, jak gdyby miał w tym swoją zasługę. - Niezwykle piękna?

- Owszem - mruknąłem. - Mówiąc szczerze, dziwię się, że nie została pani modelką.

Wtedy nie znałem jeszcze powodu, ale wyczułem dziwne napięcie. Kobieta odwróciła się szybko tyłem.

- Nigdy mnie to nie interesowało - odparła. Sanders błyskawicznie włączył się do rozmowy:

- Thereso, porucznik Smith chciałby skopiować pewne taśmy... Wręczył jej kasetę. Kobieta wzięła ją lewą ręką i uniosła do światła. Prawe ramię zgięte w łokciu wciąż przyciskała do brzucha. Dopiero teraz zauważyłem, że jest kaleką; z rękawa dżinsowej kurtki wystawał różowy kikut, przypominający niedorozwiniętą rękę dziecka, będącego ofiarą thalidomidu zażywane go niegdyś przez kobiety w czasie ciąży.

- To ciekawe - mruknęła, oglądając kasetę. - Ośmiomilimetrowa taśma dużej gęstości. Może to jest ten najnowszy zapis cyfrowy, o którym tyle słyszeliśmy, gdzie na taśmie utrwała się przetworzony już elektronicznie obraz?

- Przykro mi, ale nie wiem - odparłem. Było mi strasznie głupio za tę uwagę o modelce.

Otworzyłem torbę i wyciągnąłem magnetowid.

Theresa pospiesznie sięgnęła po śrubokręt, zdjęła pokrywę i pochyliła się nad urządzeniem. Rozpoznałem polakierowaną na zielono płytę elektroniczną, czarną kopułkę silnika oraz trzy niewielkie, błyszczące cylindry głowic.

- Tak, to najnowszy model, doktorze Sanders. Pierwszorzędny. Proszę spojrzeć: stosują tylko trzy głowice. Ten układ musi przetwarzać zespolony sygnał RGB, a ten... Sądzi pan, że to obwód kompresyjny?

- Pewnie przetwornik analogowo-cyfrowy - odparł Sanders. - Zgrabne maleństwo.

Odwrócił się do mnie, wskazując wewnątrz magnetowidu.

- Czy wie pan, dlaczego Japończycy potrafią produkować takie cacka, a my nie? Bo oni stosują *kaizen*. Długotrwały i żmudny proces ciągłego udoskonalania każdego modelu. Co roku ich produkty stają się choć trochę lepsze, trochę mniejsze i odrobinę tańsze. Amerykanie tego nie potrafią. My zawsze staramy się zrobić od razu jeden duży krok, dokonać jakiegoś przełomu. Poza tym u nas wszyscy myślą tylko o tym, żeby odwalić swoją działkę i wracać do domu. Natomiast Japończycy codziennie muszą wykonać choćby najmniejszy kroczek naprzód, nigdy nie zapominają o swoich obowiązkach służbowych. Patrząc zatem na coś podobnego, proszę nie zapominać, że ma pan przed sobą produkt przede wszystkim odmiennej filozofii życia.

Mówił jeszcze przez jakiś czas, z wyraźnym podziwem muskając palcem cylindryczne głowice.

- Czy można będzie skopiować te taśmy? - zapytałem w końcu.

- Oczywiście - odpowiedziała Theresa. - Wyprowadzimy sygnał bezpośrednio z konwertera tej maszyny i przetworzymy go tak, jak pan sobie życzy. Chce pan mieć kopię na taśmie trzy czwarte cala, w systemie „Optical master”, czy zwykłą VHS?

- VHS.

- Proszę bardzo.

- Tylko czy będzie to dokładna kopia? Pracownicy JPL stwierdzili, że nie mogą zagwarantować wierności przegrywanego obrazu.

- Do diabła z JPL - wtrącił Sanders. - Mówią tak jedynie dlatego, że realizują zlecenia rządowe. U nas wszystko da się zrobić. Prawda, Thereso?

Kobieta nie odpowiedziała, pochłonięta podłączaniem przewodów. Wprawnie operowała lewą ręką, kikutem prawej zaś przytrzymywała magnetowid. Jej ruchy, jak u większości ludzi kalekich, były na tyle płynne, że wręcz nie dostrzegało się tego defektu. Szybko poradziła sobie z podłączeniem niewielkiego urządzenia do innego magnetowidu, który z kolei sprzęgła z kilkoma monitorami.

- Po co to wszystko?

- Żeby sprawdzić sygnał.

- W celu uzyskania poprawnej kopii?

- Nie. Na tym dużym ekranie powinniśmy mieć pełny obraz, pozostałe monitory posłużą mi do kontroli składowych sygnału oraz impulsów sterujących. Chcę wiedzieć dokładnie, w jaki sposób obraz został zakodowany na taśmie.

- Czy to konieczne? - zapytałem.

- Nie, ale chcę to po prostu sprawdzić. Ciekawi mnie, jak uzyskano tak wielką gęstość zapisu.

- Skąd pochodzi ta kasetka? - wtrącił Sanders.

- To obraz z kamery służb ochrony pewnego biurowca.

- Oryginał?

- Chyba tak. Dlaczego pan pyta?

- Bo jeśli to oryginał, powinniśmy zachować szczególną ostrożność - odparł, po czym zwrócił się do Theresy: - Upewnij się, że nie będzie żadnego sprzężenia, które mogłoby zniekształcić zapis. Trzeba też zadbać, żeby zdjąć z taśmy pełne spektrum i nie utracić choćby najmniej ważnych danych w trakcie kopiowania.

- Proszę się nie martwić - rzekła kobieta. - Zadbam o wszystko. - Wskazała jakiś miernik podłączony do zestawu. - Widzi pan? Będę sprawdzała, czy nie wystąpi gdzieś spadek impedancji. Poza tym mogę jeszcze kontrolować pracę centralnego procesora.

- W porządku - mruknął Sanders, uśmiechając się niczym przepełniony dumą ojciec.

- Jak długo to potrwa? - zapytałem. - Możemy przegrywać taśmę przy zwiększonej szybkości, a ta zależy jedynie od możliwości odtwarzacza; to urządzenie potrafi odczytywać

kasetę w rekordowym tempie. Nie powinno nam to zająć dłużej jak dwie, może trzy minuty na każdą kasetę.

Spojrzałem na zegarek.

- O dziesiątej trzydzieści mam spotkanie, nie mogę się spóźnić, a nie chciałbym zostawiać tutaj...

- Potrzebne panu kopie wszystkich kaset?

- Powiedzmy, że na początek pięciu.

- Więc zajmijmy się nimi w pierwszej kolejności. Przejrzeliśmy po kilka początkowych sekund zapisu na każdej taśmie, żeby wybrać tych pięć, które zawierały ujęcie czterdziestego piątego piętra. Bez przerwy spoglądałem na duży ekran stojącego pośrodku monitora, gdyż na bocznych ukazywały się jedynie zygzakowate albo falujące linie, jak na przyrządach szpitalnych w sali intensywnej terapii. Powiedziałem to na głos.

- Ma pan rację - odparła Theresa. - Można to nazwać zestawem intensywnej terapii obrazu wideo. - Wyjęła kasetę, załadowała następną i włączyła odtwarzanie. - Oho! Twierdzi pan, że to oryginalna taśma? Chyba jednak kopia.

- Skąd pani wie?

- Dostrzegam efekt rozpędzania.

Theresa pochyliła się nad swoim sprzętem i nie spuszczać wzroku z monitora kontrolnego, pokręciła kilkoma gałkami.

- Tak, to prawda - rzekł Sanders i odwrócił się do mnie. - Widzi pan, na podstawie samego obrazu trudno jest rozpoznać kopiowany zapis. W starszych magnetowidach analogowych występowała stopniowa degradacja obrazu na kolejnych kopiach, ale przy sprzęcie cyfrowym, takim jak ten, nie dostrzega się żadnych różnic. Obraz na kopii jest dokładnie taki sam, jak na oryginale.

- Więc po czym poznajecie, że to kopie.

- Theresa nie patrzy na obraz - wyjaśnił - obserwuje przebiegi impulsów. Na ich podstawie można czasami określić, czy zarejestrowany obraz pochodzi z innego magnetowidu czy z kamery.

- W jaki sposób?

- Świadczy o tym układ zarejestrowanych sygnałów w pierwszej sekundzie zapisu - odparła Theresa. - Jeśli urządzenie rejestrujące zostanie uruchomione przed magnetowidem odtwarzającym, występuje pewne zniekształcenie na początku nagrywanej ścieżki, związane z rozpędzaniem się silnika. To czysto mechaniczne ograniczenie, po prostu silnik urządzenia nie może natychmiast osiągnąć odpowiedniej szybkości. W każdym magnetowidzie, podczas

odtworzenia, minimalizuje się ten efekt na drodze elektronicznej, nie ma jednak sposobu na całkowite jego wyeliminowanie.

- I właśnie to pani stwierdziła? Skinęła głową.

- Nazywamy to efektem rozpedzania.

- Coś podobnego nie ma prawa wystąpić, jeśli sygnał pochodzi bezpośrednio z kamery, w której brak jest jakichkolwiek ruchomych części - dodał Sanders. - Obraz z kamery jest zawsze stabilny.

Zmarszczyłem brwi.

- A więc te taśmy są kopiami?

- Czy to źle?

- Nie wiem. Lecz jeśli kopiowano zapis, to może go również zmieniono, prawda?

- Teoretycznie to możliwe, ale musielibyśmy dokładnie obejrzeć całość, żeby cokolwiek stwierdzić, a i tak byłoby niezwykle trudno odkryć jakieś ślady montażu. Czy te kasety pochodzą z firmy japońskiej?

- Owszem.

- Czy nie z Nakamoto?

- Tak - przyznałem.

- W takim razie nie dziwi mnie, że dali panu kopie - powiedział Sanders. - Japończycy są bardzo ostrożni i nie ufają nikomu obcemu, a ci, którzy działają na terenie Stanów, zachowują się tak, jak my byśmy się zachowywali, prowadząc interesy w Nigerii: przeświadczeni, że otaczają nas dzikusy.

- Hej, zaraz! - wykrzyknęła Theresa.

- Przepraszam, ale chyba rozumiesz, co mam na myśli. Japończycy sądzą, że muszą się przed nami bronić, przed naszą beztroską, powolnością, głupotą i brakiem kompetencji, dlatego zabezpieczają się w każdy możliwy sposób. Więc jeśli te kasety mają dla nich jakiegokolwiek znaczenie, z pewnością nie mogli powierzyć oryginałów takiemu barbarzyńskiemu policjantowi jak pan. Udostępnili kopie, a oryginały schowali, na wypadek gdyby musieli je wykorzystać dla obrony swoich interesów. Uczynili to zresztą z głębokim przekonaniem, iż używając amerykańskiego sprzętu, nigdy nie uda się panu stwierdzić, że to kopie.

Zmarszczyłem brwi.

- Ile czasu by im zajęło sporządzenie kopii?

- Nie dłużej niż nam. Przy tej szybkości, którą teraz stosuje Theresa, nie więcej jak pięć minut na każdą kasetę. Japończycy zapewne mogliby to zrobić dużo szybciej, dajmy na to, w dwie minuty.

- To znaczy, że wczoraj wieczorem mieli dość czasu, żeby wykonać kopie.

Podczas rozmowy Theresa bez przerwy zmieniała kasety, włączała odtwarzanie i spoglądała na mnie. Kręciłem głową na widok ujęć z różnych kamer, aż w końcu dostrzegłem znajome wnętrze czterdziestego piątego piętra.

- To ta.

- W porządku, zaczynamy. Przegrywam ją na system VHS. Włączyła magnetowid. Taśma ruszyła z dużą szybkością, obraz zmieniał się błyskawicznie. Na bocznych monitorach krzywe tańczyły i falowały w nerwowym rytmie.

- Czy ma to coś wspólnego z popełnionym wczoraj morderstwem? - zapytała Theresa.

- Tak. Skąd pani o tym wie? Wzruszyła ramionami.

- Widziałam w dzienniku. Morderca zginął podobno w wypadku samochodowym.

- Zgadza się.

Odwróciła głowę: z profilu była także uderzająco piękna. Skojarzyłem nagle, że Eddie Sakamura był słynnym playboyem.

- Znała go pani?

- Nie - odparła, a po chwili dodała: - On był Japończykiem. Ponownie w naszym gronie zapanowała dziwna konsternacja.

Miałem wrażenie, że oboje wiedzą o czymś, co chcą zachować w tajemnicy. Nie miałem pojęcia, jak ich o to zapytać, więc tylko gapiłem się bezmyślnie w ekran.

Po raz kolejny obserwowałem, jak smuga światła słonecznego przesuwają się po podłodze. Później zapaliły się lampy, ludzie zaczęli wychodzić i w końcu sala opustoszała. Niespodziewanie pojawiła się Cheryl Austin, a potem mężczyzna. W przyspieszonym tempie zaczęli się namiętnie całować.

- Aha! - mruknął Sanders. - Czy nie chodzi o ten fragment?

- Owszem.

Ze zmarszczonym czołem zapatrzył się w ekran.

- Czyżby przebieg całej zbrodni został zarejestrowany na taśmie?

- Tak, nawet przez kilka kamer.

- Pan żartuje?

Sanders umilkł, nie mogąc oderwać wzroku od monitora. Przy tak niezwyklej szybkości odtwarzania można było dostrzec jedynie poruszające się błyskawicznie postacie.

Dwie osoby weszły do sali konferencyjnej i zwały się na krótko; mężczyzna pchnął dziewczynę plecami na stół, odskoczył i wybiegł w pośpiechu.

Żadne z nas się nie odezwało, jak urzeczeni patrzyliśmy w ekran.

Zerknąłem na Theresę. Siedziała blada, poświata monitora odbijała się w szklach jej okularów.

Eddie minął lustro na ścianie i zniknął w głębi mrocznego korytarza. Jeszcze przez jakiś czas widać było puste wnętrze, wreszcie taśma stanęła.

- Jedna gotowa. Mówi pan, że obraz rejestrowało kilka kamer? Ile ich tam rozmieszczono?

- Chyba pięć.

Theresa oznakowała kasetę z wykonaną kopią i wsunęła do odtwarzacza kolejną taśmę.

- Czy ta kopia jest dokładna? - zapytałem.

- Oczywiście.

- Więc to znaczy, że jest legalna? Sanders popatrzył na mnie.

- W jakim sensie legalna?

- Czy może być przedstawiona jako dowód w sądzie?

- Ależ nie. Żaden sąd nie uzna taśm wideo za materiał dowodowy.

- Przecież mówił pan...

- Nie o to chodzi. W sądzie nie bierze się pod uwagę żadnych form dokumentacji fotograficznej, włączając w to również zapis wideo.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Bo nie zostało to ostatecznie uregulowane - odparł Sanders. - Przepisy są dość niejasne, ale szykuje się nowelizację. Teraz każde zdjęcie zaczyna być podejrzane, gdyż jakkolwiek montaż dokonany z zastosowaniem techniki cyfrowej jest wręcz idealny. Pamięta pan, jak przed laty Rosjanie wycinali niektórych polityków ze zdjęć z uroczystości pierwszomajowych? Jakież to było toporne, zawsze dało się rozpoznać, że na fotografii wprowadzono jakieś zmiany. Jeśli nie powstawała nienaturalna przestrzeń między pozostałymi osobami, to ściana w tle miała inny odcień albo wręcz można było dostrzec ślady pędzla po retuszu. W każdym razie dość łatwo się to wyławiało, nawet gołym okiem; cała sprawa była dosłownie śmiechu warta.

- Tak, pamiętam - odparłem.- Fotografie zawsze odznaczały się pewną niezwykłą integralnością, której nie sposób zmienić. Zakładaliśmy więc, że wiernie odzwierciedlają rzeczywistość. Lecz już od pewnego czasu technika komputerowa pozwala bezkarnie

dokonywać wszelkich zmian. Na przykład kilka lat temu na okładce „National Geographic” ukazało się zdjęcie z poprzesuwanymi wielkimi piramidami Egiptu. Widocznie komuś się nie podobało ich naturalne rozmieszczenie i postanowił poprawić kompozycję. Zmiany wprowadzono w taki sposób, że niczego nie dało się zauważyć. Fotografia przestała wiernie odzwierciedlać rzeczywistość i nikt nie potrafił rozpoznać montażu.

- Zatem ktoś mógłby dokonać takich samych zmian w zapisie wideo?

- Teoretycznie każdy obraz da się zmontować. Patrzyłem na ekran, na którym powtórnie rozgrywała się scena morderstwa. Ten obraz pochodził z kamery umieszczonej w odległym końcu sali i trudno było dostrzec jakiegokolwiek szczegółu; za to później Sakamura ukazał się w zbliżeniu, kiedy podszedł bliżej obiektywu.

- Czy można by dokonać zmian w takim obrazie jak ten? - zapytałem.

Sanders zaśmiał się.

- Przy obecnej technice mógłby pan wprowadzić tu dowolne zmiany.

- A czy dałoby się zmienić rysy twarzy mordercy?

- Technicznie jest to możliwe - odparł. - Można by rozłożyć ludzką twarz na wiele odrębnych, niezależnych fragmentów, ale w praktyce byłaby to cholernie skomplikowana robota.

Nie odpowiedziałem, wszystko stało się dla mnie jasne. Główny podejrzany, Sakamura, zginął w wypadku; szef chciał jak najszybciej zamknąć śledztwo, ja także.

- Oczywiście - dodał Sanders - Japończycy opracowali najróżniejsze algorytmy rozdzielania obrazu na elementy i dokonywania trójwymiarowych transformacji. Potrafią robić takie rzeczy, o jakich nam się jeszcze nie śniło. - Nerwowo zabębnił palcami po stole. - Co się działo z tymi kasetami od wczoraj?

- Morderstwo popełniono o dwudziestej trzydzięci, tę godzinę pokazuje zegar na ścianie sali konferencyjnej. Według zeznań pracowników ochrony kasety zabrano z centrali straży około dwudziestej czterdzięci pięć. Kiedy zwróciliśmy się o ich udostępnienie, Japończycy zaczęli kręcić.

- Jak zawsze. Kiedy je wam w końcu dostarczyli?

- Przywieźli je na komisariat około pół do drugiej w nocy.

- Aha. To znaczy, że mogli nad nimi pracować między dwudziestą czterdzięci pięć a pierwszą trzydzięci.

- Zgadza się, mieli niecałe pięć godzin. Sanders zmarszczył brwi.

- Pięć kaset, ujęcia z pięciu kamer pod różnymi kątami... i tylko pięć godzin? - Pokręcił głową. - Odpada. Nie zdążyliby wprowadzić zmian, poruczniku.

- Owszem - wtrąciła Theresa. - To niemożliwe, nawet przy ich technice. Trzeba by wprowadzić olbrzymią liczbę pikseli obrazu.

- Jest pani pewna?

- Raczej tak. W krótkim czasie można by tego dokonać jedynie stosując program automatyczny, lecz nawet najbardziej wyrafinowany program wymaga monotonnego dopracowywania szczegółów. Takie efekty, jak nieodpowiednie smugi, mogłyby zniweczyć całą pracę.

- Nieodpowiednie smugi? - zapytał zdumiony. Sprawiało mi przyjemność zadawanie jej pytań, bo mogłem wtedy patrzeć na twarz Theresy.

- Chodzi o smugi będące zapisem ruchu - wyjaśnił Sanders. - Magnetowid daje trzydzieści obrazów na sekundę, a każdy z tych obrazów można rozpatrywać jak fotografię wykonaną przy czasie otwarcia migawki równym jednej trzydziestej sekundy. To bardzo długi czas, o wiele dłuższy od tego, jaki stosuje się w tradycyjnych aparatach fotograficznych. Jeśli przy tak długim naświetlaniu zrobi pan zdjęcie biegacza, to jego nogi wyjdą jako niewyraźne, zamazane smugi. Tak powstaje efekt rozmycia ruchomego obiektu i gdy ów nieostry element obrazu zmieni się elektronicznie, będzie on wyglądał źle, zbyt ostro, zbyt nienaturalnie. Uzyska się sztuczny kontrast. Tak jak w wypadku zdjęć montowanych przez Rosjan, zmiany będą widoczne na pierwszy rzut oka, bo w obrazie rzeczywistym zawsze istnieją jakieś nieostre kontury.

- Rozumiem.

- W dodatku tworzą się przekłamania barw - dodała Theresa.

- Właśnie - podjął Sanders. - W tej nieostrej smudze zawsze obserwuje się rozmycie kolorów. Proszę spojrzeć na monitor. Mężczyzna ma na sobie granatowy garnitur, a poły marynarki fruwią podczas każdego szybszego ruchu. Gdybyśmy zatrzymali taśmę i powiększyli obraz, okazałoby się, że marynarka jest granatowa. Ale wewnątrz smugi występują wszystkie odcienie błękitu, aż do jasnoniebieskiego, niemal bezbarwnego przy samym brzegu zarysu. Na podstawie powiększonego ujęcia trudno powiedzieć, gdzie kończy się ubranie człowieka, a zaczyna tło.

- Jasne... - Mogłem to sobie nawet wyobrazić.

- Jeśli na obrazie nie występuje rozmycie kolorów, świadczy to jednoznacznie, że dokonano zmian. Ale dokładna obróbka komputerowa kilkusekundowego ujęcia, nawet na profesjonalnym sprzęcie, wymaga godzin pracy. Gdyby zrobić to pobieżnie, natychmiast byśmy dostrzegli różnice. - Głośno strzelił palcami.

- Więc nawet jeśli dostarczono nam kopie, to zapis na nich nie został zmieniony?

- Na pewno nie w ciągu pięciu godzin - odparł Sanders.

- A więc oglądamy zapis tego, co się naprawdę zdarzyło?

- Nie ulega wątpliwości. Mimo wszystko, po pańskim wyjściu, poddamy ten zapis dokładnej analizie. Dobrze wiem, że Theresa chciałaby się pobawić z tymi kasetami, ja też mam na to ochotę. Proszę się z nami skontaktować po południu, powiemy wtedy, czy znaleźliśmy jakiegokolwiek ślady ingerencji. Ale powtarzam jeszcze raz: nie mieli kiedy tego uczynić, zresztą nie widać żadnych odkształceń.

7

Kiedy zajechałem na parking przed klubem Sunset Hills Country, przed wielkim, stiukowym frontonem budynku zauważyłem Connora. Ukłonił się trzem Japończykom, którzy wracali z partii golfa. Ci odклонili mu się, uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie. Connor rzucił sportową torbę na tylne siedzenie i usiadł obok mnie.

- Spóźniłeś się, *kohai*.

- Przepraszam, to zaledwie kilka minut. Zatrzymano mnie na uniwersytecie.

- Twoje spóźnienie pomieszało szyki paru osobom. Ci dobrze wychowani mężczyźni czuli się w obowiązku dotrzymać mi towarzystwa. A ludzie z ich pozycją czują się źle, czekając na parkingu... mają swoje ważne sprawy. Nie dość, że robisz złą opinię policji, to stawiasz mnie w bardzo kłopotliwej sytuacji.

- Przepraszam, nie myślałem o tym.

- Więc zacznij wreszcie myśleć, *kohai*, nie jesteś pępkiem świata. Wrzuciłem pierwszy bieg i ruszyłem. Spojrzałem we wsteczne lusterko na trzech Japończyków: pomachali nam rękoma. Nic nie wskazywało na to, żeby byli zmieszani, czy też dokądkolwiek się spieszyli.

- Z kim grałeś?

- Aoki-san jest prezesem Tokio Marine z Vancouver. Hanada-san to wicedyrektor Banku Mitsui z Londynu. Natomiast Kenichi Asaka zarządza wszystkimi filiami Toyoty w południowo-wschodniej Azji, od Kuala Lumpur do Singapuru. Ma swą siedzibę w Bangkoku.- Co oni tu robią?

- Przyjechali na wakacje - odparł Connor. - Krótka wizyta w Stanach, na golfa. Twierdzą, że świetnie wypoczywają przy naszym powolnym tempie życia.

Wyjechałem z krętego podjazdu na bulwar Zachodzącego Słońca, lecz musiałem się zatrzymać przed pierwszymi światłami.

- Dokąd jedziemy?

- Do hotelu Cztery Pory Roku. Skreśliłem w prawo, w stronę Beverly Hills.

- Z jakiego powodu tacy wielcy biznesmeni mieliby cię zapraszać na partię golfa?

- Nasze drogi nieraz się krzyżowały - rzekł. - Od lat wyświadczamy sobie nawzajem drobne przysługi. Nie jestem nikim ważnym, ale trzeba podtrzymywać znajomości. Wystarczy telefon, drobny upominek, partyjka golfa, kiedy się spotykamy. Nigdy nie wiadomo, jak bardzo mogą się przydać podobne kontakty. Znajomi to zarazem źródło informacji, wentyl bezpieczeństwa, jak i system wczesnego ostrzegania. Przynajmniej według japońskiego sposobu patrzenia na życie.

- A kto cię zaprosił na tę partię?

- Hanada-san wcześniej zarezerwował pole, ja się tylko włączyłem do gry. Chyba wiesz, że nieźle gram w golfa.

- Dlaczego ci na tym zależało?

- Bo chciałem się dowiedzieć czegoś więcej o tych sobotnich spotkaniach - rzekł Connor.

Przypomniałem sobie. Na taśmie, którą przeglądaliśmy w studiu, Sakamura chwycił Cheryl Austin za ramiona i warknął: „Nie rozumiesz... chodzi o to sobotnie spotkanie...”

- I co ci powiedzieli?

- Zaczęło się to już dość dawno temu - odparł - około roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego. Najpierw spotykali się w Century Plaża, później w Sheratonie, a ostatnio w Biltmore.

Connor spojrział w bok. Koła wozu zadudniły na nierównościach nawierzchni bulwaru.

- Przez kilka lat organizowano te spotkania regularnie. Najważniejsi japońscy przemysłowcy, którzy akurat przebywali w mieście, podejmowali nie kończącą się dyskusję na temat perspektyw działalności w Ameryce. Radzili też, w jaki sposób sterować naszą gospodarką.

- Co takiego?

- Nie inaczej.

- Przecież to straszne!

- Dlaczego? - spytał Connor.

- Dlaczego? To nasz kraj. Jak można dopuścić, żeby grupa obcokrajowców spotykała się potajemnie i ustalała, w jaki sposób rządzić państwem?

- Japończycy wcale tak nie uważają.

- Pewnie, że nie! W ich mniemaniu mają do tego pełne prawo! Connor wzruszył ramionami.

- Jeśli chodzi o ścisłość, to właśnie tak myślą. Są przekonani, że zasłużyli sobie na to, by decydować...

- Jezu!

- Dlatego, że zainwestowali ogromne fundusze w naszą gospodarkę. Pożyczyli nam mnóstwo pieniędzy, Peter. Naprawdę mnóstwo. Setki miliardów dolarów. W ciągu ostatnich piętnastu lat deficyt Stanów Zjednoczonych w handlu z Japonią sięgał miliarda dolarów na tydzień. Musieli jakoś to spożytkować. Do ich kieszeni płynie ogromna rzeka pieniędzy, ale oni nie potrzebują tej forsy. Cóż mieli zatem robić? Zdecydowali się oddać je nam w ramach pożyczek. Tak oto, rok po roku, nasz rząd powiększał deficyt budżetowy, a oni wciąż inwestowali. Jeśli nie starczało nam na świadczenia państwa, pokrywali luki budżetu. A każdą pożyczkę udzielali w zamian za odpowiednie gwarancje rządowe. Waszyngton ciągle zapewnia Japończyków, że zmniejszy deficyt; zreformuje szkolnictwo, przebuduje infrastrukturę, a nawet zwiększy podatki, jeśli zajdzie taka potrzeba. Mówiąc krótko, powinniśmy zrobić generalne porządki, bo dopiero wtedy jakiegokolwiek inwestycje w Ameryce będą miały sens.

- Aha - mruknąłem.

- Ale się na to nie zanosi. Deficyt mamy coraz większy, w dodatku zdevaluowaliśmy dolara. Jego wartość w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku spadła o połowę. Czy wiesz, jak to odebrali japońscy inwestorzy? Dostali łupnia. Każda inwestycja z osiemdziesiątego czwartego roku okazała się warta jedynie połowę pierwotnej ceny.

- O ile pamiętam - powiedziałem - chodziło o zmniejszenie deficytu handlowego i wzrost opłacalności eksportu. - Dość mgliście przypominałem sobie zamieszanie z tamtych lat.

- Tak, ale nic z tego nie wyszło. Bilans handlowy z Japonią jeszcze się pogorszył. W normalnych warunkach, jeśli obniży się wartość pieniądza o połowę, dwukrotnie wzrośnie cena każdego towaru importowanego. Ale Japończycy drastycznie obniżyli ceny takich urządzeń, jak magnetowidy czy fotokopiarki i utrzymali się na rynku. Nie zapominaj, że biznes to wojna. Jedyne, co naprawdę udało się osiągnąć, to znacznie zmniejszyć wartość ziemi i naszych fabryk, które tym bardziej pociągały Japończyków, gdyż równocześnie jen

stał się wobec dolara dwukrotnie silniejszy. Przyczyniliśmy się do tego, że największe banki świata przeszły w ich ręce, natomiast Ameryka stała się naprawdę biednym krajem.

- A co to wszystko ma wspólnego z sobotnimi spotkaniami?

- No cóż - rzekł Connor. - Załóżmy, że masz wujka pijaka, który ci wmawia, że gdy pożyczysz mu pieniądze, przestanie pić. Ale pije nadal, a ty chciałbyś odzyskać swoją forszę. Gotów byłbyś nawet ponieść pewne straty, byle tylko wycofać się z kiepskiej inwestycji. W dodatku wiesz, że twój wuj po pijanemu wszczyna awantury, może kogoś pobić, jest nieobliczalny. Koniecznie musisz więc coś zrobić. Reszta rodziny zaś urządza naradę, żeby zdecydować, co począć z tą zakałą rodu. Teraz chyba rozumiesz, czemu mają służyć te sobotnie spotkania.

- Aha - mruknąłem, ale Connor widocznie wyczuł nutę sceptycyzmu w moim głosie.

- Dobra - powiedział. - Zapomnijmy o tej całej konspiracji. Czy chciałbyś przejąć kontrolę nad Japonią? Chciałbyś rządzić ich krajem? Oczywiście, że nie. Wszyscy chcą robić korzystne interesy, mieć takie czy inne wpływy, a nie sprawować pełną kontrolę. Nikt się nie spieszy do brania na siebie odpowiedzialności, do mnożenia sobie kłopotów. Tak jak z tym wujem pijakiem: narada rodzinna jest czymś w rodzaju poszukiwania ostatniej deski ratunku.

- I Japończycy traktują to w ten sposób?

- Oni widzą jedynie swoje miliardy, *kohai*, pieniądze zainwestowane w kraju mającym poważne kłopoty; kraju zamieszkanym przez dziwacznych indywidualistów, którzy bez przerwy mówią, bez przerwy się kłócą, a nawet walczą ze sobą; ludzi nie doksztalconych, którzy niewiele wiedzą o otaczającym ich świecie, bazują na informacjach serwowanych w telewizji, nie chcą ciężko pracować, tolerują przemoc i narkomanię. Japończycy mają miliardy zamrożone w tym dziwaczny kraju i chcieliby z twarzą wycofać się ze swoich inwestycji. Ale pomimo tego, że gospodarka amerykańska przeżywa głęboki kryzys i już niedługo spadnie na trzecie miejsce w świecie, po Japonii i Wspólnocie Europejskiej, to nadal jest ważne, żeby próbować ją wydzwignąć. I to właśnie usiłują czynić.

- Tylko tyle? - zapytałem. - Po prostu robią, co w ich mocy, żeby ocalić Amerykę?

- Ktoś przecież musi się tym zająć, skoro sami nie dajemy sobie rady.

- Myślę, że jednak potrafimy.

- W ten sposób zawsze mawiali Anglicy. - Pokręcił głową. - A teraz Anglia klepie biedę. My również szybko biedniejemy.

- Jak to możliwe? - zapytałem nieco głośniejszym głosem, niż powinienem.

- Według Japończyków dzieje się tak dlatego, że trwonimy swój majątek. Zmniejszamy produkcję, wytwarzamy coraz mniej towarów. Jeśli się cokolwiek produkuje,

wartość surowca ulega zwielokrotnieniu i w ten sposób tworzy się bogactwo. My większość pieniędzy zarabiamy na manipulacjach papierami. A według Japończyków właśnie dlatego zdołali nas tak szybko doścignąć, gdyż „papierowe” dochody nie odzwierciedlają prawdziwego bogactwa. Oni uważają, że nasza fascynacja Wall Street i obrotem akcjami to istne szaleństwo.

- Iz tego powodu sądzą, że powinni przejąć sterowanie naszą gospodarką?

- Uważają, że ktoś powinien się tym zająć, chociaż woleliby, żebyśmy sami się z tym uporali.

- Jezu.

Connor poruszył się niespokojnie.

- Powściągnij swą złość, *kohai*. Zgodnie z tym, co powiedział Hanada-san, sobotnie spotkania urwały się w tysiąc dziewięćset-dziewięćdziesiątym pierwszym roku.

- Co?

- Właśnie tak. Japończycy zdecydowali wówczas, że przestaną się martwić tym, czy kiedykolwiek zrobimy porządek na swoim podwórku. Dostrzegli pozytywny aspekt takiej sytuacji: dopóki Stany trwają w letargu, można nas łatwo kupić.

- Czy to znaczy, że już się nie spotykają?

- Tylko wyjątkowo, z powodu *nichibei*, czyli obecnego kształtu stosunków amerykańsko-japońskich. Gospodarki obu krajów są tak ściśle ze sobą powiązane, że nie możemy istnieć bez siebie nawzajem, nawet gdybyśmy tego chcieli. Ale spotkania straciły na znaczeniu, mają teraz charakter głównie towarzyski. Zatem morderstwo nie mogło mieć nic wspólnego z sobotnimi spotkaniami.

- Więc jaki był motyw zbrodni?

- Moi przyjaciele sądzą, że porachunki osobiste. *Ninjozata*, czyli zabójstwo w afekcie. Wzajemne układy między piękną kobietą, *kichigai*, a zazdrosnym mężczyzną.

- I ty w to wierzysz? - No cóż, jeśli mam być szczery, byli jednomyślni. Wszyscy trzej. Oczywiście, Japończycy rzadko okazują po sobie, że dzieli ich różnica zdań, nawet w trakcie gry w golfa w niezbyt rozwiniętym kraju wieśniaków. Ja jednak wiem, że za tą obojętnością, z jaką traktowali *gdijina*, mogą się kryć tysiące grzeszków.

- Sądysz zatem, że cię okłamali?

- Niezupełnie. - Connor pokręcił głową. - Ale mam wrażenie, że chcieli mi coś przekazać poprzez swoje milczenie. Tego ranka toczyła się gra *hora no naka o misenai*. Moi przyjaciele nie byli całkiem otwarci.

Connor opisał przebieg partii golfa. Z rana grali w milczeniu. Każdy z czterech mężczyzn zachowywał się dostojnie, rzadko padały jakiegokolwiek uwagi i komentarze. Przez większość czasu gracze chodzili po polu w całkowitej ciszy.

- Przecież spotkałeś się z nimi, żeby uzyskać informacje - wtrąciłem.

- I zbierałem je - odparł.

Wyjaśnił mi jednak, że wiele informacji przekazano mu bez słów. Wzajemne zrozumienie Japończyków bazuje na budowanej od wieków jednorodnej kulturze, dlatego potrafią oni przekazywać sobie odczucia bez słów. Podobna relacja istnieje w Ameryce między rodzicami a dziećmi, które są zdolne wiele wyczytać z samego spojrzenia dorosłych. Tyle że Amerykanie z reguły nie kultywują tego niemego porozumienia, natomiast dla Japończyków nawet milczenie ma swoją wymowę.

- Nie jest to ani mistyczne, ani niezwykle - kontynuował Connor. - Sprawa polega głównie na tym, że całe ich życie jest do tego stopnia uwarunkowane zasadami etykiety i konwenansami, iż mogą znaleźć wspólny język, nie mówiąc nawet słowa. Dobrze wychowany Japończyk, jeśli chce zachować twarz, musi umieć rozpoznać sytuację i odczytać kontekst tylko z postawy i nastroju danej osoby, która po prostu nie może czegoś przekazać słowami, na przykład w okolicznościach, kiedy powiedzenie czegoś na głos byłoby niedelikatne.

- I tak właśnie wyglądało to przedpołudnie? - zapytałem. - Upływało w całkowitym milczeniu?

Connor pokręcił głową. Sądził chyba, że potrafi zrozumieć japońskich golfiarzy i zaakceptował owo nieme porozumienie.

- Dlatego, że pragnąłem ich wypytać o innych Japończyków, członków tej samej rodziny, musiałem bardzo ostrożnie formułować pytania. Tak samo, jak bym chciał się dowiedzieć od ciebie, czy twoja siostra siedziała w więzieniu, bądź musiał poruszyć jakiś inny, nieprzyjemny lub drażliwy temat. Zwraçałbym szczególną uwagę na ton twego głosu, pauzy między wyrazami, czas potrzebny na udzielenie odpowiedzi i tym podobne rzeczy. To wszystko świadczyłoby o podtekstach. Jasne?

- Tak.

- W ten właśnie sposób, intuicyjnie, odbiera się wrażenia.

- A jakie ty odebrałeś?

- Powiedzieli tak: „Nie zapominamy, że w przeszłości wyświadczyłeś nam liczne przysługi. Czujemy się w obowiązku służyć ci pomocą. Ale to morderstwo jest wyłącznie sprawą Japończyków i dlatego nie możemy ci powiedzieć wszystkiego, co wiemy. Z naszej

powściągliwości możesz wyciągnąć odpowiednie wnioski, dotyczące podłoża tej zbrodni”. Nic więcej nie mówili.

- I jakie jest to podłoże zbrodni?

- No cóż - mruknął Connor. - Kilkakrotnie wspominali o MicroConie.

- Tej spółce zajmującej się elektroniką?

- Tak, tej samej, która ma być sprzedana. Jeśli chodzi o ścisłość, jest to niewielka firma z Doliny Krzemowej, produkująca specjalistyczne systemy komputerowe. Wokół jej sprzedaży wybuchły jakieś spory polityczne, o których moi przyjaciele kilkakrotnie nadmieniali.

- Czyli to morderstwo ma coś wspólnego z MicroConem?

- Chyba tak. - Znowu poruszył się niespokojnie. - A swoją drogą, czego się dowiedziałeś na uniwersytecie o tych taśmach.

- Przede wszystkim tego, że otrzymaliśmy kopie. Connor skinął głową.

- Domyślałem się tego.

- Skąd?

- Ishigura nigdy by nam nie udostępnił oryginałów. Japończycy uważają wszystkich obcokrajowców za barbarzyńców. Dokładnie tak: za barbarzyńców, w dodatku cuchnących, wulgarnych i głupich. Nie okazują tego, gdyż dobrze wiedzą, że nic się nie poradzi na owo nieszczęście. To jednak w niczym nie zmienia ich podejścia.

Skinąłem głową. Mniej więcej to samo powiedział mi Sanders.

- Z drugiej strony - ciągnął Connor - Japończycy są niezwykle skrupulatni, nie dopuszczają do żadnych zaniedbań. Planują i harują. Nie udostępnił nam oryginałów, żeby niepodejmować najmniejszego ryzyka. Przynajmniej na razie. Czego jeszcze się dowiedziałeś? Jestem przekonany, że gdy oglądałeś je ponownie, wyłowiłeś jakiś szczegół, który...

W tym momencie przerwał nam brzęczyk telefonu.

- Kapitan Connor? - zapytał czyjś miękki, ciepły głos. - Mówi Jerry Orr z klubu Sunset Hills Country. Wychodząc zapomniał pan zabrać formularze.

- Jakie formularze?

- Kartę zgłoszenia. Musi ją pan wypełnić, kapitanie. Oczywiście to formalność. Mogę pana zapewnić, że nie będzie najmniejszych kłopotów z przyjęciem pana do grona stałych członków klubu, biorąc pod uwagę, kim są pańscy sponsorzy.

- Moi sponsorzy? - zdziwił się Connor.

- Tak, proszę pana - odparł Orr. - Proszę przyjąć moje gratulacje. Zapewne wie pan, że obecnie zdobycie członkostwa Sunset jest wręcz niemożliwe. Ale firma pana Hanady jakiś czas temu wykupiła udziały członka wspierającego, teraz zaś podjęto decyzję o wciągnięciu pańskiego nazwiska na listę. Pozwolę sobie nadmienić, że to wspaniały gest ze strony pana przyjaciół.

- Tak, to prawda - mruknął Connor, marszcząc brwi. Zerknąłem na niego.

- Oni wiedzą, jak bardzo ceni pan sobie to, że może grać w golfa w naszym klubie - kontynuował Orr. - Mam nadzieję, że zna pan warunki uczestnictwa. Hanada opłaci pańskie członkostwo na pięć lat, później zostanie ono przekazane panu na własność. Jeśli wówczas będzie chciał pan zrezygnować, bez trudu je pan odsprzeda. Mam więc pytanie: Czy wypełni pan formularze na miejscu, czy przesłać je panu pocztą?

- Panie Orr, proszę przekazać moje serdeczne podziękowanie panu Hanadzie za jego hojność. Wprost nie wiem, co mam powiedzieć. Będę musiał się jeszcze z panem skontaktować w tej sprawie.

- Znakomicie. Wystarczy nas tylko poinformować, pod jaki adres mam wysłać kwestionariusz.

- Zadzwoń do pana - odparł Connor.

Wcisnął klawisz, przerywając połączenie, i ze zmarszczonym czołem zapatrzył się w dal. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie.

- Ile warte jest takie członkostwo klubu? - zapytałem wreszcie.

- Osiemset tysięcy, może nawet milion.

- Całkiem ładny prezent od przyjaciół - stwierdziłem. Przypomniałem sobie nagle Grahama, który powtarzał, że Connor dosłownie siedzi w kieszeni u Japończyków. Teraz nie miałem już co do tego żadnych wątpliwości.

- Czegoś tu nie rozumiem. - Pokręcił głową.

- A co tu jest do rozumienia, kapitanie? Mnie tam wszystko wydaje się jasne.

- Nie, to wcale nie jest oczywiste - odparł Connor. Ponownie odezwał się brzęczyk. Tym razem telefonowano do mnie.

- Porucznik Smith? Mówi Louise Gerber. Tak się cieszę, że w końcu pana złapałam.

- Słucham. - Nie przypominałem sobie tego nazwiska.

- Jutro jest sobota. Czy znajdzie pan trochę czasu, żeby obejrzeć dom?

Nagle uzmysłowiłem sobie, z kim rozmawiam. Dzwoniła agentka handlu nieruchomościami; jakiś miesiąc temu wybrałem się z nią, żeby obejrzeć kilka domów, Michelle była coraz starsza, chciałem, aby miała własny pokój i w miarę możliwości ogródek.

Rozczarowałem się mocno. Nawet przy wszelkich zniżkach za najtańszy domek musiałbym zapłacić czterysta lub pięćset tysięcy, a z moją pensją nie stać mnie było na taki wydatek.

- To wyjątkowa okazja - powiedziała kobieta. - Pamiętałam, że pan mieszka sam z córeczką. Mam niewielki, nawet bardzo mały domek w Palms, tuż przy skrzyżowaniu, a na tyłach znajduje się uroczy ogród, pełen kwiatów i zieleni. Opłata wynosi trzysta miesięcznie. Ale pomyślałam o panu głównie dlatego, że właściciel jest gotów odstąpić prawo własności, a pan mógłby uzyskać sporą zniżkę. Czy chciałby go pan obejrzeć?

- Kto sprzedaje ten dom? - zapytałem.

- Nawet nie wiem, ale to naprawdę wyjątkowa okazja. Mieszkała tam starsza kobieta, którą przeniesiono do domu opieki, a jej syn, mieszkający na stałe w Topeka, postanowił go sprzedać. Woli jednak mieć stały dochód miesięczny niż jednorazową kwotę. Oficjalnie nie wystawił jeszcze posiadłości na sprzedaż, wiem jednak, że zależy mu na czasie. Gdyby znalazł pan jutro wolną chwilę, moglibyśmy podpisać umowę. Ten ogród jest naprawdę przeuroczy, już widzę w nim pańską córeczkę.

Tym razem Connor popatrzył na mnie uważnie.- Muszę poznać więcej szczegółów, panno Gerber. Kim jest sprzedający i temu podobne rzeczy.

- Szkoda. Myślałam, że się pan rzuci na podobną okazję. - W jej głosie wyraźnie słychać było zdumienie. - Takie sytuacje trafiają się wyjątkowo rzadko. Naprawdę nie chce pan obejrzeć tego domu?

Connor popatrzył na mnie, po chwili skinął głową i bezgłośnie powiedział: tak.

- Skontaktuję się jeszcze z panią w tej sprawie - odparłem.

- W porządku, poruczniku - rzekła z wyraźną ulgą. - Proszę do mnie zadzwonić.

- Zrobię to. Odłożyłem słuchawkę.

- Co się dzieje, do jasnej cholery? - syknąłem.

Nie miałem pojęcia, co począć z tym fantem. Obaj otrzymywaliśmy prezenty warte mnóstwo forsy. Jak dla mnie, wręcz fortunę. Connor pokręcił głową.

- Nie wiem.

- Czy to może mieć coś wspólnego z MicroConem?

- Też nie wiem. Zdawało mi się, że MicroCon to drobna firma. Nie mogę się w tym połapać. - Sprawiał wrażenie zaniepokojonego. - Cóż to za spółka, ten MicroCon?

- Myślę, że wiem, kogo o to zapytać - odparłem.

MicroCon? - mruknął Ron Levine, przypalając grube cygaro. - Pewnie, że mogę wam opowiedzieć o tej spółce. To niezwykła historia.

Siedzieliśmy w sali dalekopisów Amerykańskiej Sieci Finansowej, AFN, w nowym budynku obok lotniska. Przez okno za biurkiem Rona widać było białe dyski anten satelitarnych, które rozmieszczono na dachu przylegającego garażu. Levine wypuścił wielki kłęb dymu i uśmiechnął się szeroko. Zanim przeszedł do pracy w sieci, był reporterem finansowym „Timesa”. AFN to jedna z niewielu telewizyjnych sieci informacyjnych, w których reporterzy wygłaszają komentarze na żywo, zatrudnia się więc takich fachowców jak Ron.

- MicroCon - zaczął - został założony pięć lat temu przez konsorcjum amerykańskich producentów komputerów. Spółkę powołano do życia głównie w celu opracowania rentgenowskiego urządzenia litograficznego do produkcji układów scalonych. W tym czasie kiedy MicroCon rozpoczynał działalność, nikt w naszym kraju nie wytwarzał takich maszyn. W latach osiemdziesiątych krajowi producenci nie wytrzymali konkurencji Japończyków. MicroCon opracował nową technologię i zaczął wytwarzać takie urządzenia na rynek amerykański.

- Jasne - wtrąciłem.

- Dwa lata temu spółka została odsprzedana menedżerskiej firmie z Wirginii, Darley-Higgins. Dalej zaczyna się ciekawa historia. Darley postanowiło wystawić MicroCon na sprzedaż, jakoby po to, by wycofać zainwestowane pieniądze. Najbardziej zainteresowane kupnem było Akai Ceramics, spółka z Osaki produkująca maszyny litograficzne własnej konstrukcji. Ta bogata firma gotowa była dać za MicroCon nadzwyczaj wysoką sumę, lecz decyzją Kongresu transakcja została wstrzymana.

- Dlaczego?

- Wyprzedaż amerykańskiego przemysłu zaczyna niepokoić nawet członków Kongresu. Straciliśmy już wiele kluczowych zakładów na rzecz Japończyków. W latach sześćdziesiątych przejęli nasz przemysł stalowy i okrętowy, w latach siedemdziesiątych elektroniczny i komputerowy, w latach osiemdziesiątych sprzedaliśmy przemysł precyzyjny. Pewnego dnia ktoś się obudził i pojął, że te zakłady mają strategiczne znaczenie militarne. Utraciliśmy już zdolność produkcji wszystkich elementów naszego systemu obrony, jesteśmy całkowicie uzależnieni od Japończyków. Dlatego Kongres się zaniepokoił. Słyszałem jednak plotki, że mimo wszystko transakcja dojdzie do skutku. Jakim sposobem? Czy wy, chłopy, macie coś wspólnego z tą sprawą?

- W pewnym sensie - rzekł Connor.

- Szczęściarze - mruknął Ron, wypuszczając smugę dymu z cygara. - Jeśli jesteście zaangażowani w jakąkolwiek transakcję z udziałem Japończyków, to jakbyście wygrali los na loterii. Przy nich wszyscy się bogacą. Domyślam się, że zaproponowano wam jakieś wspaniałe, kuszące prezenty.

Connor skinął głową.

- Bardzo kuszące.

- No pewnie. Oni potrafią dbać o ludzi. Kupują dom, samochód, załatwiają groszowe finansowanie albo coś w tym rodzaju.

- Dlaczego to robią? - zapytałem. Levine zachichotał.

- A dlaczego jedzą sushi? Po prostu w ten sposób załatwiają swoje sprawy.

- Czy sprzedaż Micro Conu nie jest jedną z mniej znaczących transakcji? - spytał Connor.

- Nawet bardzo małą. Firmę wyceniono na sto milionów, Akai chce zapłacić sto pięćdziesiąt. Ponadto muszą doliczyć jakieś dwadzieścia milionów na premie dla urzędników załatwiających formalności, dziesięć dla prawników, dziesięć dla różnorodnych doradców działających w Waszyngtonie, a także z dziesięć milionów na takie prezenty, jakie wam zaoferowano. To daje w sumie dwieście milionów dolarów.

- Dwieście milionów za firmę wartą sto? - wtrąciłem. - Dlaczego chcą zapłacić więcej, niż wynosi jej oficjalna cena?

- Błąd w rozumowaniu - odparł Ron. - Z ich punktu widzenia to wyjątkowa okazja.

- Dlaczego?

- Jeżeli jesteś jedynym producentem maszyn do wytwarzania tego lub owego, w tym wypadku komputerowych układów scalonych, wtedy możesz kontrolować całą gałąź przemysłu uzależnionego od tych urządzeń. MicroCon jest kluczem do władania całym amerykańskim rynkiem komputerów. Jak zwykle wypuszczamy z rąk newralgiczne ogniwo łańcucha, tak jak to miało miejsce z przemysłem telewizyjnym czy narzędziowym.

- Co się stało z naszym przemysłem telewizyjnym? Ron zerknął na zegarek.

- Po drugiej wojnie światowej Stany Zjednoczone były największym producentem telewizorów. Dwudziestu siedmiu amerykańskich wytwórców, takich jak Zenith, RCA, GE czy Emerson, miało znaczną przewagę technologiczną nad firmami zagranicznymi. Nasze telewizory sprzedawano na całym świecie, oprócz Japonii. Rynek tego kraju był całkowicie zamknięty dla towarów importowanych, a warunkiem jego otwarcia stało się udostępnienie licencji japońskim producentom. Firmy telewizyjne przystały na to niechętnie, pod wielką

presją naszego rządu, który pragnął uczynić z Japonii swego wielkiego sprzymierzeńca przeciwko Rosji. Jasne?

- Jak najbardziej.

- Ale sprzedaż licencji okazała się błędem. Japończycy, korzystając z naszych technologii, obtanili produkcję, a ich rynek stał się nieopłacalny dla naszych eksporterów. W krótkim czasie to Japonia zaczęła wprowadzać tanie, czarno-białe telewizory na nasz rynek. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku sześćdziesiąt procent sprzedawanych u nas odbiorników czarno-białych pochodziło z importu, a cztery lata później stanowiły one już sto procent; amerykańskie firmy wstrzymały produkcję. Sporo ludzi straciło pracę. Mówiono, że to nie ma znaczenia, że rozwiniemy produkcję odbiorników kolorowych. Ale to rząd japoński jako pierwszy ogłosił program upowszechniania telewizji kolorowej. Sytuacja się powtórzyła, Japończycy kupili od nas licencje, nasycili swój rynek i wkrótce zaczęli eksportować telewizory, po raz drugi przebijając ceną naszych rodzimych wytwórców. Dokładnie ten sam schemat. W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym już tylko trzy nasze firmy produkowały jeszcze odbiorniki, a w osiemdziesiątym siódmym na placu boju pozostał osamotniony Zenith.

- Japońskie telewizory są jednak lepsze i tańsze - powiedziałem.- Możliwe, że są lepsze. Ale mają niższą cenę, gdyż sprzedaje się je poniżej kosztów produkcji, aby wyprzeć amerykańskich konkurentów. To się nazywa dumpingiem, a ten jest sprzeczny z przepisami prawa, zarówno naszego, jak i międzynarodowego.

- Więc czemu nie robimy nic, żeby ukrócić ten proceder?

- Dobre pytanie. Głównie dlatego, że dumping to tylko jeden z całej gamy nielegalnych chwytów stosowanych przez Japończyków. Na przykład narzucają ceny, utworzyli coś takiego, co się nazywa Grupą Dziesięciodniową. Japońscy menedżerowie spotykają się co dziesięć dni w jednym z tokijskich hoteli i ustalają ceny na rynek amerykański. Na nic się zdają nasze protesty. Japończycy próbują też usprawnić dystrybucję swoich towarów poprzez różnorodne układy. Wypłacają milionowe profity, na przykład takim sieciom handlowym jak Sears. Nagminnie łamią przepisy celne. A wszystko to prowadzi do zniszczenia amerykańskiego przemysłu, który nie wytrzymuje konkurencji. Oczywiście nasze przedsiębiorstwa składają protesty, domagają się ulg. Sądy federalne rozpatrują dziesiątki skarg przeciwko spółkom japońskim, którym zarzuca się dumping, defraudacje i praktyki monopolistyczne. O ile sprawy o dumping rozstrzygane są zwykle w ciągu roku, o tyle pozostałe ciągną się niemiłosiernie; nasze władze wydają się bezsilne, a Japończycy celują w opóźnianiu wszelkich rozpraw. Płacą miliony naszym politykom, żeby ci występowali w

obronie ich interesów. Niektóre sprawy sądowe trwają nawet po kilkanaście lat, a na rynku nadal toczy się wojna. Na razie krajowe firmy przegrywają na całym froncie i nic nie wskazuje na to, by sytuacja miała się zmienić.

- Twierdzisz więc, że Japończycy opanowali przemysł telewizyjny metodami nielegalnymi?

Ron wzruszył ramionami.

- Nic by nie zdziałali bez pomocy amerykańskiej - odparł. - Nasz rząd traktował Japonię jak niewielki, rozwijający się kraj i nikt nie sądził, że rodzimy przemysł będzie potrzebował pomocy rządu. W Stanach pielęgnuje się pewien rodzaj niechęci do przemysłowców, politycy nawet nie zdają sobie sprawy, jak bardzo czasy się zmieniły. Jeśli Sony wprowadza nowy typ walkmana, nikt u nas nie powie: „To wspaniałe urządzenie, ale musicie sprzedać licencję General Electric, jeśli chcecie wejść na nasz rynek”. Kiedy Japończycy szukają pośredników, nikt im nie powie: „Przykro nam, lecz amerykańskie sieci handlowe mają wieloletnie umowy z miejscowymi dostawcami, dlatego musicie rozprowadzać swoje towary za ich pośrednictwem”. Gdy chcą zgłosić jakiś patent, na pewno nie usłyszą: „Każdy patent musi być zastrzeżony osiem lat wcześniej, żeby nasze przedsiębiorstwa miały czas na rozpoznanie waszych planów, legalne skopiowanie pomysłu i opracowanie własnej wersji produktu, zanim patent nabierze mocy prawnej”. U nas nikomu nawet nie przyjdzie do głowy stosowanie takich metod, które w Japonii są czymś normalnym. Ich rynek jest zamknięty, nasz powszechnie dostępny. To gra do jednej bramki. Na dobrą sprawę to nawet nie jest gra, lecz ruch ulicą jednokierunkową.

Doszło do tego, że mamy bardzo zły klimat dla rozwoju przemysłu. Firmy amerykańskie dostały po tyłku w produkcji telewizorów czarno-białych, później dostały tak samo po tyłku w wypadku odbiorników kolorowych. Rząd amerykański odmawia jakiegokolwiek pomocy naszym przedsiębiorcom, którzy występują przeciwko nielegalnym praktykom Japończyków. Kiedy Ampex opracował nowy model magnetowidu, nawet nie próbował wprowadzać go na rynek. Od razu sprzedano licencję Japończykom. Ale wkrótce może się też okazać, że zaprzestano również badań, bo po co rozwijać nowe technologie, jeśli naszych władz nie bardzo obchodzą te wysiłki.

- Czy nie jest prawdą, że nasze przedsiębiorstwa są słabe i źle zarządzane?

- To obiegowana opinia, którą rozpowszechniają Japończycy i opłacani przez nich ludzie - rzekł Ron. - Rzadko kiedy można się przekonać, jak bezwzględnie tamci postępują. Znamienna była sprawa Houdaille. Słyszeliście o niej? Houdaille, spółka produkująca narzędzia precyzyjne, wniosła skargę do sądu, że Japończycy wykradli jej patenty i licencje.

Sąd federalny nakazał adwokatowi firmy, by udał się do Japonii i zebrał dowody, ale odmówiono mu wydania wizy.

- Żartujesz?

- A cóż mieli do stracenia? Dobrze wiedzieli, że nie posuniemy się do takich sankcji, jak cła zaporowe. Houdaille odwołało się do administracji Reagana, lecz nie przyniosło to żadnego efektu. Firma musiała się wycofać z rynku. Nikt nie wytrzyma konkurencji z producentem stosującym dumpingowe ceny.

- A czy dumping nie przynosi strat?

- Tylko przez krótki czas. Jeżeli sprzedaje się miliony artykułów, można udoskonalić produkcję i obniżyć koszty. Już po kilku latach wytwarza się ten sam towar przy znacznie mniejszych nakładach finansowych. Jednocześnie, jeśli pokona się konkurencję, można kontrolować cały rynek. Otóż Japończycy myślą strategicznie, planują daleko naprzód, przewidują sytuację na pięćdziesiąt lat z góry. Każdy amerykański producent musi się rozliczać z zysków co trzy miesiące, bo inaczej cały dział księgowy zaraz znajdzie się na ulicy. Natomiast Japończycy nie patrzą na doraźne profity, im zależy na opanowaniu całego rynku. Traktują biznes jak wojnę, zdobywanie nowych terytoriów i spychanie przeciwnika, uzyskanie całkowitej dominacji. Od trzydziestu lat nie robią nic innego. Właśnie dlatego zdołali opanować przemysł stalowy, telewizyjny, elektroniczny, komputerowy i narzędziowy: nikt nie stanął im na drodze. My nieustannie tracimy, a japońscy przemysłowcy oraz ich rząd tylko wybierają kolejne cele, które trzeba zdobyć. Systematycznie realizują swoje plany, my zaś tylko powołujemy komisje do badania wolnego rynku. Ten natomiast, kiedy mamy do czynienia z nieuczciwą konkurencją, staje się mitem. Zresztą Japończycy w ogóle nie uznają wolnego rynku. Istnieje szczególny powód, dla którego tak bardzo polubili Reagana: podczas jego prezydentury zdobyli najwięcej, dosłownie rozłożyli nas na łopatki, działając pod sztandarami wolnego rynku.

- Dlaczego Amerykanie tego nie rozumieją? - zapytałem. Connor zaśmiał się głośno.

- A dlaczego kupujemy hamburgery? Tacy już jesteśmy, *kohai*.

- Czy jest tu pan Connor?! - zawołała z sąsiedniej sali jakaś kobieta. - Telefon z hotelu

Cztery Pory Roku.

Kapitan spojrział na zegarek i wstał z krzesła.

- Wybaczcie - rzekł.

Przeszedł do drugiego pomieszczenia. Przeszklona ściana pozwalała mi dojrzeć, że rozmawia przez telefon i coś notuje.

- Chyba rozumiesz, że ten proceder trwa nadal - mówił Ron. - Dlaczego japońskie aparaty fotograficzne są tańsze w Nowym Jorku niż w Tokio? Przetransportowano je przez pół świata, opłacono cło i koszty dystrybucji, a mimo wszystko są tańsze. Jak to możliwe? Nawet japońscy turyści kupują u nas swoje towary. Równocześnie produkty amerykańskie w Japonii są o siedemdziesiąt procent droższe niż w kraju. Czemu zatem nasz rząd nie podejmuje żadnych działań? Nie wiem. Część odpowiedzi znajdziesz tu.

Wskazał stojący na biurku telewizor. Jakiś dystyngowany mężczyzna stał obok dalekopisu wypływającego wstęgę papieru i coś mówił, ale odbiornik był ściszony.

- Znasz tego faceta? To David Rawlings, wykładowca ekonomii ze Stanfordu, specjalista od spraw regionu Pacyfiku. Masz dobry przykład... Możesz zrobić głośniej? Niewykluczone, że porusza kwestię MicroConu.

Przekręciłem gałkę telewizora i doleciały mnie słowa Rawlingsa: „...sądzę, że stanowisko Amerykanów jest irracjonalne. Nie ulega wątpliwości, iż japońscy przedsiębiorcy zapewniają nowe miejsca pracy, podczas gdy rodzime firmy przenoszą się w głąb kraju, jednocześnie zwalniając pracowników. Japońscy inwestorzy nie potrafią zrozumieć stawianych im zarzutów”. Ron westchnął głośno.

- Typowe brednie - mruknął.

Profesor Rawlings mówił nieprzerwanie, jakby prowadził wykład.

„Myślę, że obywatele amerykańscy bez wdzięczności przyjmują tę pomoc, jaką służą naszemu krajowi zagraniczni inwestorzy”. Levine zaśmiał się głośno.

- Rawlings należy do tej grupy, którą nazywamy „czcicielami chryzantem”. Tworzą ją akademicy teoretycy, bezkrytycznie szerzący japońską propagandę. Na dobrą sprawę nie mają wyboru, gdyż potrzebują akceptacji Japończyków, aby kontynuować swoje prace. Gdyby zaczęli się wypowiadać krytycznie, straciliby wszelkie kontakty z Japonią, zamknięto by im drzwi przed nosem. Co więcej, tu, w Ameryce, zaczęto by szeptać odpowiednim ludziom do ucha, że danej osobie nie można ufać, iż wyznaje ona przestarzałe poglądy, albo nawet przypięto by jej łatkę rasisty. Każdy bowiem, kto krytykuje Japończyków, jest rasistą. W krótkim czasie tacy naukowcy utraciliby wszelkie kontrakty oraz stanowiska konsultantów. Wszyscy wiedzą, jaki los spotkał ich kolegów, którzy wyłamali się z szeregu; nikt nie chce popełnić tego samego błędu.

Connor wrócił z sąsiedniego pokoju.

- Czy sprzedaż MicroConu jest choć w najmniejszym stopniu nielegalna? - zapytał.

- Oczywiście, ale wszystko zależy od decyzji Waszyngtonu. Akai Ceramics opanowało nasz rynek już w sześćdziesięciu procentach, jeśli przejmą również MicroCon,

staną się monopolistą. Gdyby Akai było firmą amerykańską, rząd mógłby zablokować transakcję na podstawie ustawy antymonopolowej. Ale to spółka japońska i nie podlega naszym regulacjom prawnym. Prawdopodobnie transakcja dojdzie jednak do skutku.

- Czy dobrze rozumiem, że obce firmy mogą zmonopolizować rynek amerykański, bo przepisy dotyczą tylko przedsiębiorstw krajowych?

- Owszem - odparł Ron. - Nasze przepisy wręcz zachęcają do sprzedaży zakładów inwestorom zagranicznym. Podobnie rzecz się miała z nabyciem miasteczka filmowego Universalu przez Matsushitę. Studia Universalu wystawiono na sprzedaż kilka lat temu. Próbowano je odkupić kilka firm amerykańskich, ale bez skutku. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku zrezygnował Westinghouse, właśnie z powodu ustawy antymonopolowej. Później próbowało RCA, ale odkopano przepis o sprzeczności interesów. Kiedy zaś wpłynęła oferta Matsushity, nie było żadnych sprzeciwów. Niektóre przepisy uległy ostatnio zmianie, teraz RCA mogłoby wykupić studia, ale wtedy było to wbrew prawu. Sprawa MicroConu jest tylko jednym z wielu przykładów na to, że nasze przepisy są nieżyciowe.

- A jak odnoszą się amerykańskie firmy komputerowe do sprzedaży MicroConu? - zapytałem.

- Nikomu nie podoba się ta transakcja - odrzekł Ron - ale nikt też za bardzo nie protestuje.

- Dlaczego?

- Gdyż przedsiębiorcy amerykańscy uważają, że nawet w obecnym stanie ingerencje rządu idą zbyt daleko. Czterdzieści procent naszego eksportu komputerów znajduje się pod ścisłą kontrolą, wielu produktów nie można sprzedawać, na przykład do Europy Wschodniej. Zimna wojna dobiegła końca, ale stare przepisy pozostały. Na tamte rynki wkraczają Japończycy, nawet Niemcy, a nasi eksporterzy nie mogą się doprosić zmiany przepisów. Wiele firm, które chciałyby mieć swobodę działania, nie widzi nawet większego celu w tym, aby domagać się od rządu zablokowania sprzedaży MicroConu.

- Dla mnie takie podejście nie ma sensu - powiedziałem.

- Zgadza się. Firmy amerykańskie w ciągu kilku lat przestaną istnieć, bo gdy Japończycy staną się jedynym dostawcą urządzeń do produkcji układów scalonych, będą mogli nawet odmówić sprzedaży tych maszyn naszym przedsiębiorstwom.

- Czy to możliwe?

- Owszem, robili to już wcześniej - rzekł Levine - na przykład z implanterami domieszek i podobnymi urządzeniami przemysłu elektronicznego. Ale firmy amerykańskie

nie potrafią utworzyć wspólnego frontu, ciągle zrażają się między sobą. A tymczasem Japończycy wykupują tego typu nowoczesne zakłady, średnio w tempie jednego na dziesięć dni, i to już od sześciu lat. Obrabiają nas jak chcą, lecz rząd nie zwraca na to uwagi, gdyż mamy coś takiego jak CFIUS, czyli Komisję do spraw Inwestycji Zagranicznych w Stanach Zjednoczonych, która ma nadzorować wyprzedaż naszych przedsiębiorstw. Tyle tylko, że CFIUS nie robi zupełnie nic. Z ostatnich pięciuset transakcji wstrzymano tylko jedną. Firma za firmą przechodzi w obce ręce, a żaden z polityków nie piśnie nawet słówka. Jedynie senator Morton usiłuje protestować, ale nikt go nie słucha.

- A zatem transakcja dojdzie do skutku?

- Tak słyszałem. Japońska machina propagandowa pracuje intensywnie, zasypując frazesami uważną opinię publiczną.

Rozległo się pukanie do drzwi i do sali zajrzała jakaś blondynka.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, Ron, ale Keith odebrał właśnie telefon z Los Angeles, od reportera NHK, japońskiej telewizji państwowej, który dopytuje się, dlaczego nasz komentator obraża Japonię.

Levine zmarszczył brwi.

- Obraża Japonię...?

- Utrzymuje, że komentator powiedział przed kamerami: „Ci przekłeci Japończycy wykupują nasz kraj”.

- Bzdura - mruknął Ron. - Nikt by czegoś takiego nie powiedział przed kamerami. Kogo miał na myśli?

- Lenny'ego z Nowego Jorku. Na rozbiegu - odparła kobieta. Levine poruszył się niespokojnie.

- Aha. Kazałaś sprawdzić taśmy?

- Tak. Chłopcy jeszcze przeglądają materiał, ale zakładam, że to prawda.

- Jasna cholera!

- Co to jest „rozbieg”? - zapytałem.

- Codziennie otrzymujemy drogą satelitarną materiały z Waszyngtonu i Nowego Jorku, które odtwarzamy w naszej sieci. Na początku i końcu przekazu dajemy minutę rozbiegu, której nie puszcza się w eter. Wycinamy te kawałki. Ale każdy, kto ma antenę satelitarną i chce się bawić w przechwytywanie tych transmisji, może odbierać całość materiału. Ostrzegamy wszystkich, żeby uważali na to, co mówią przed kamerami, ale w tamtym roku, kiedy Louise na koniec rozpięła żakiet i beknęła głośno, odebraliśmy mnóstwo telefonów z całego kraju.

Na biurku Rona zadzwonił telefon. Ten podniósł słuchawkę, słuchał przez chwilę, po czym rzekł:

- W porządku, zrozumiałem. - Odłożył słuchawkę: - Sprawdzili taśmy. Przed właściwym komentarzem Lenny powiedział do Louise: „Ci przekłęci Japończycy mają zamiar wykupić cały nasz kraj, zanim się połapiemy”. Nie poszło to w eter, lecz faktycznie było w nagraniu. - Z rezygnacją pokręcił głową. - Ten reporter z NHK na pewno wie, że nie puściliśmy tego do sieci.

- Owszem, ale twierdzi, że każdy mógł odebrać całość transmisji i na tej podstawie chce złożyć protest.

- Cholera! - zaklął Levine. - To znaczy, że oni śledzą nawet nasze wewnętrzne przekazy. Jezu. Co Keith ma zamiar zrobić z tym fantem?

- Stwierdził, że ma już dość przestrzegania naszych geniuszy z Nowego Jorku i chce, żebyś ty się tym zajął.

- Chce, żebym porozmawiał z tym reporterem z NHK?

- Zdaje się na twoje wyczucie. Nie zapominaj, że mamy umowę z NHK na przekazywanie im codziennie półgodzinnego serwisu i nie warto ryzykować jej zerwania. Keith sądzi, że powinieneś przeprosić w naszym imieniu.

Ron westchnął.

- Mam przeproszać nawet za to, co nie poszło w eter. Niech to szlag trafi! - Popatrzył na nas. - Chłopcy, muszę się tym zająć. Czy macie jeszcze coś do mnie?

- Nie - odparłem. - Trzymaj się.

- Wszyscy musimy się mocno trzymać. Pewnie wiecie, że NHK wykląda miliard dolarów na uruchomienie ogólnoswiatowej sieci informacyjnej. Chcą w tym celu przejąć od Teda Turnera CNN. A jeśli historia czegoś uczy... - Wzruszył ramionami. - Pożegnamy się także z niezależną amerykańską siecią telewizyjną.

Kiedy wychodziliśmy z sali, usłyszałem, jak Ron mówi przez telefon:

- Pan Kasaka? Tu Ron Levine z AFN... Tak, proszę pana... Tak, panie Kasaka... Chciałem gorąco, serdecznie przeprosić za to, co nasz komentator powiedział w przekazie satelitarnym...

Zamknąłem drzwi.

- Dokąd teraz? - zapytałem.

Hotel Cztery Pory Roku to ulubione miejsce pobytu gwiazd i polityków. Wejście frontowe jest bardzo okazałe, lecz my zaparkowaliśmy w bocznej uliczce, przed bramą dostawczą. Przy rampie rozładunkowej stała wielka ciężarówka, z której personel kuchenny wynosił kartony mleka. Siedzieliśmy w samochodzie już od pięciu minut. Wreszcie Connor spojrzął na zegarek.

- Po co tu przyjechaliśmy? - spytałem.

- Żeby zrobić konkurencję dla Sądu Najwyższego, *kohai*.

W drzwiach pojawiła się młoda kobieta w stroju pokojówki. Rozejrzała się dokoła i pomachała ręką; Connor odpowiedział takim samym gestem. Kobieta zniknęła w środku. Kapitan wyjął portfel i odliczył kilka dwudziestek.

- Jedną z pierwszych rzeczy, jakich się nauczyłem jako detektyw - rzekł - było to, że służba hotelowa bywa czasami niezwykle pomocna. Zwłaszcza teraz, kiedy policji narzucono tak rygorystyczne przepisy. Nie wolno nam wejść do pokoju hotelowego bez nakazu, bo wtedy wszystko, co byśmy znaleźli, nie mogłoby zostać użyte jako dowód. Zgadza się?

- Dokładnie.

- Ale pokojówka może wejść do pokoju, podobnie jak boy, sprzątaczką czy kelner.

- Aha.

- Nauczyłem się więc tego, żeby wyrabiać sobie dobre stosunki z obsługą najważniejszych hoteli. - Otworzył drzwi. - Zaraz wracam.

Wbiegł na rampę i stanął przy drzwiach. Czekać zacząłem bębnić palcami po kierownicy, z mej pamięci wypłynęły słowa piosenki:

Zmieniłem zdanie, z tobą jest wspaniale, Jakbym podziwiał cudnych fajerwerków balet.

Pokojówka znów wyszła na rampę i powiedziała szybko kilka słów do Connora, a ten zapisał coś w notesie. Później wyciągnęła w jego stronę jakiś połyskujący złotawo przedmiot. Kapitan nawet go nie dotknął, obejrzał tylko i skinął głową. Kobieta schowała przedmiot do kieszeni, pospiesznie wzięła pieniądze i zniknęła w środku.

Szarpiesz moje nerwy, płaczesz wszystkie myśli, Zbyt wiele miłości zżera moje zmysły. Stałem się bezwolny, bo gdy dreszcz poczuje...

W drzwiach pojawił się z kolei boy, trzymał na wieszaku granatowy garnitur. Connor zadał mu jakieś pytanie, a tamten, zanim odpowiedział, spojrzął na zegarek. Kapitan kucnął i zaczął uważnie oglądać dolne krawędzie marynarki. Wreszcie rozpiął ją i przyjrzał się mankietom spodni.

Boy szybko odniósł garnitur, lecz zaraz wyszedł na rampę z drugim, nieco jaśniejszym, w delikatne prążki. Connor powtórnie dokonał oględzin. Widocznie znalazł coś na marynarce, gdyż pospiesznie zeszkrobał to nożykiem do torebki foliowej. W końcu zapłacił boyowi i wrócił do samochodu.

- Sprawdzasz senatora Rowe'a? - zapytałem.

- Sprawdzam wiele rzeczy - odparł. - Ale tym razem faktycznie chodzi mi o senatora.

- Wczoraj wieczorem asystent Rowe'a miał w kieszeni białe damskie majtki. Ale Cheryl nosiła czarną bieliznę.

- To prawda, sądzę jednak, że robimy postępy.

- Co masz w torebce?

Wyjął ją z kieszeni i uniósł do światła. Przez cienką folię dostrzegłem kilka ciemnych włókien.

- To chyba wełna z dywanu, tego samego koloru jak w sali konferencyjnej Nakamoto. Trzeba zrobić analizę laboratoryjną. Ale na razie musimy wyjaśnić jeszcze jedną sprawę. Ruszaj.

- Dokąd jedziemy?

- Do siedziby spółki Darley-Higgins, która jest właścicielem MicroConu.

10

W holu, za pulpitem recepcjonistki, robotnik przyczepiał na ścianie wielką tablicę ze złotymi literami: DARLEY-HIGGINS INC. Pod spodem widniało hasło: „Perfekcja zarządzania”. Inni pracownicy układali wykładzinę w korytarzu.

Pokazaliśmy swoje odznaki i Connor poprosił o spotkanie z prezesem firmy, Arthurem Greimanem.

- Pan Greiman ma zajęty cały dzień - oznajmiła z wyraźnym południowym akcentem recepcjonistka, sympatyczna dziewczyna z zadartym nosem. - Czy byli panowie umówieni?

- Chcieliśmy zadać parę pytań w sprawie sprzedaży Micro Conu.

- Zawiadomię w takim razie pana Endersa, wiceprezesa do spraw reklamy. On zwykle rozmawia z dziennikarzami w kwestii MicroConu.

- Dobrze - odparł Connor.

Usiedliśmy na sofie w holu. Na identycznej sofie pod przeciwległą ścianą czekała młoda kobieta w wąskiej spódnicy. Trzymała w ręku gruby rulon jakichś projektów. Robotnik rytmicznie uderzał młotkiem.

- Sądziłem, że spółka ma kłopoty finansowe - powiedziałem - a oni zmieniają wystrój wnętrza.

Connor tylko wzruszył ramionami.

Siedząca nie opodal sekretarka bez przerwy odbierała telefony.

- Darley-Higgins. Proszę chwilę poczekać... Darley-Higgins. Och, momentik, panie senatorze... Darley-Higgins. Tak, dziękuję bardzo... Sięgnąłem po leżącą na stoliku broszurę. Było to roczne sprawozdanie Darley-Higgins Management Group, mającej oddziały w Atlancie, Dallas, Seattle, Los Angeles i San Francisco. Znalazłem zdjęcie Arthura Greimana, który uśmiechał się szeroko, wręcz promieniał z radości. Na sąsiedniej stronie znajdował się podpisany przez niego artykuł zatytułowany: „Zobowiązanie do perfekcji”.

- Pan Enders za chwilę panów przyjmie - oznajmiła recepcjonistka.

- Dziękujemy - odparł Connor.

Wkrótce do holu wkroczyło dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach. Kobieta, ściskając zwój projektów, poderwała się na nogi.

- Dzień dobry, panie Greiman.

- Witaj, Beverly - odrzekł starszy z nich. - Zaraz do ciebie podejść.

Connor także wstał. Recepcjonistka zareagowała natychmiast:

- Panie Greiman, ci dwaj panowie...

- Chwileczkę - przerwał jej prezes i odwrócił się do towarzyszącego mu, znacznie młodszego, w przybliżeniu trzydziestoletniego mężczyzny. - I wyjaśnij wszystko Rogerowi tak, żeby nie było najmniejszych wątpliwości.

Tamten z rezygnacją pokręcił głową.

- Jemu się to nie spodoba.

- Wiem o tym, ale przekonaj go, że sześć milionów czterysta bezpośredniej kompensacji dla zarządu to absolutne minimum.

- Ależ, Arthurze...

- Wystarczy, że mu to powiesz.

- Zrobię to, Arthurze. - Młodszy mężczyzna poprawił krawat i dodał ściszone głosem: - Boję się jednak, że na posiedzeniu rady mogą paść głosy przeciwko podniesieniu tej sumy powyżej sześciu milionów, zwłaszcza teraz, kiedy zasoby firmy tak szybko maleją...

- Nie mówimy o naszych zasobach - odparł stanowczo Greiman. - Chodzi o opłaty kompensacyjne, które nie mają nic wspólnego z dochodami. Rada musi przystać na proponowany poziom kompensacji dla kadry kierowniczej. Jeśli Roger nie zdoła przekonać zarządu, wycofam się z ustaleń marcowego walnego zgromadzenia i zrezygnuję z funkcji. To także możesz mu powiedzieć.

- W porządku, Arthurze, ale...

- Zrób to. I zadzwoń do mnie wieczorem.

- Dobrze.

Uścisnęli sobie dłonie i młodszy mężczyzna odszedł ze zwieszoną głową. Recepcjonistka znów zabrała głos:

- Panie Greiman, ci dwaj panowie...

Prezes odwrócił się w naszą stronę. Connor podszedł do niego i dyskretnie pokazał odznakę.

- Och, na miłość boską! - wybuchnął prezes. - Znowu? Co za przekłete utrapienie!

- Utrapienie?

- A jak by pan to nazwał? Mieliśmy tu już komisję senacką, potem FBI, a teraz policję z Los Angeles. Nie jesteśmy przestępcami! Ta firma to nasza własność i mamy pełne prawo ją sprzedać. Gdzie jest Louis?

- Pan Enders już schodzi - odparła recepcjonistka.

- Panie Greiman - odezwał się lodowatym tonem Connor - proszę wybaczyć, że panu przeszkadzamy, ale mam tylko jedno pytanie, zajmie to najwyżej minutę.

- Co to za pytanie?

- Ile było ofert na kupno Micro Conu?

- To nie wasza sprawa - syknął prezes. - Poza tym wstępna umowa z Akai zawiera punkt, który głosi, że warunki transakcji nie zostaną podane do wiadomości publicznej.

- Czy otrzymali państwo więcej niż jedną ofertę? - nalegał Connor.

- Proszę zwrócić się z tym pytaniem do Endersa, ja jestem zajęty. - Greiman odwrócił się w stronę kobiety z rulonem projektów. - Beverly? Co masz ciekawego dla mnie?

- Przyniosłam poprawiony projekt wystroju sali posiedzeń, panie Greiman, a także próbki kafelków do łazienki. Wszystkie w przyjemnym, szarym odcieniu, jak pan sobie życzył.

- Znakomicie. - Ujął kobietę pod ramię i poprowadził ją w głąb korytarza.

- Chodź, *kohai*. Łykniemy trochę świeżego powietrza.

11

Dlaczego tak cię interesuje, czy były konkurencji - ne oferty? - zapytałem, gdy wsiedliśmy do samochodu. Bo wiąże się to z naszym podstawowym pytaniem - odparł. - Komu zależy na zrobieniu złej atmosfery wokół Nakamoto? Wiemy już, że sprzedaż Micro Conu ma znaczenie strategiczne, dlatego interweniował Kongres. Ale możemy być także pewni, że innym kręgom również nie podoba się ta transakcja.

- Japończykom?

- Właśnie.

- I od kogo chcesz się tego dowiedzieć?

- Od kierownictwa Akai.

Siedząca w recepcji Japoneczka zachichotała na widok odznaki policyjnej.

- Chcielibyśmy się zobaczyć z panem Yoshidą - rzekł Connor - z szefem firmy.

- Proszę chwilkę poczekać. - Wstała i odeszła w pośpiechu, niemal biegiem.

Akai Ceramics ma swą siedzibę na czwartym piętrze nowoczesnego biurowca w El Segundo. Z części recepcyjnej o skromnym, modernistycznym wystroju widać było całą perspektywę obszernej, nie podzielonej na pokoje sali. Ludzie pracowali przy metalowych biurkach zastawionych telefonami i komputerami, słychać było tylko miękkie postukiwanie w klawisze.

Rozejrzałem się dokoła.

- Dość skromnie - zauważyłem.

- Bo tu się pracuje - odparł Connor. - W Japonii ostentacja jest źle widziana, sugeruje bowiem, że ma się do czynienia z niesolidnym partnerem. Stary Matsushita, który był prezesem trzeciego co do wielkości konsorcjum w Japonii, latał między Tokio a Osaka komercyjnymi liniami lotniczymi. Wartość jego majątku wyceniano na pięćdziesiąt miliardów dolarów, lecz on nie korzystał z prywatnego odrzutowca.

Czekając przyglądałem się pracującym ludziom. Wszyscy mieli na sobie granatowe garnitury; byli tu niemal wyłącznie mężczyźni; większość stanowili Amerykanie, choć widziałem też paru Japończyków.

- W Japonii - rzekł Connor - jeśli jakaś firma ma kłopoty finansowe, pierwszym posunięciem zarządu jest obniżenie własnych uposażeń. Kadra kierownicza do tego stopnia utożsamia się z przedsiębiorstwem, że majątek prywatny bardzo silnie uzależnia od sytuacji przedsiębiorstwa.

Wróciła recepcjonistka i bez słowa usiadła za biurkiem. Tuż za nią pojawił się Japończyk w granatowym garniturze. Był to dystyngowany, siwowłosy mężczyzna, który nosił okulary w rogowej oprawie.

- Dzień dobry panom. Nazywam się Yoshida.

Connor przedstawił nas obu, skłoniliśmy się i wręczyliśmy nasze wizytówki. Pan Yoshida ujmował każdą z wizytówek oburącz i kłaniał się nisko. Odpowiadaliśmy w ten sam sposób. Zwróciłem uwagę, że Connor nie powiedział ani słowa po japońsku.

Yoshida poprowadził nas do swego gabinetu, którego okna wychodziły na płytę lotniska. Pokój umeblowany był po spartańsku.

- Życzą sobie panowie kawy czy herbaty?

- Nie, dziękujemy bardzo - odparł kapitan. - Przyszliśmy tu w sprawie urzędowej.

- Rozumiem. - Wskazał nam krzesła.

- Chcielibyśmy z panem porozmawiać o kupnie MicroConu.

- Ach, tak. To kłopotliwa transakcja. Nie sądziłem jednak, że interesuje się nią nawet policja.

- Bo chyba nie jest to sprawa dla policji. Czy mógłby pan nam opowiedzieć o szczegółach transakcji, o ile nie jest to objęte tajemnicą handlową?

Yoshida obrzucił nas zdumionym spojrzeniem.

- Tajemnicą? Skądże znowu. Sprawa jest absolutnie jawna i taka była od początku. We wrześniu ubiegłego roku zgłosił się do naszego zarządu pan Kobayashi, reprezentujący spółkę Darley-Higgins w Tokio. Wtedy po raz pierwszy się dowiedzieliśmy, że MicroCon ma być sprzedany. Mówiąc szczerze, zaskoczyła nas ta propozycja. Rozpoczęliśmy negocjacje na początku października, a w połowie listopada była uzgodniona wstępna wersja umowy. Kiedy negocjacje wkroczyły w decydującą fazę, Kongres, szesnastego listopada, zgłosił swoje obiekcje.

- Powiedział pan, że byliście zaskoczeni wystawieniem firmy na sprzedaż? - zapytał Connor.

- Tak, oczywiście.

- Dlaczego?

Yoshida rozłożył szeroko ręce, oparł dłonie na krawędzi biurka i rzekł powoli:

- Przypuszczaliśmy, że MicroCon jest przedsiębiorstwem państwowym, gdyż w dużej części był finansowany z funduszy rządowych. O ile dobrze pamiętam, udziały państwa wynosiły trzysta procent wartości kapitałowej. W Japonii to by wystarczyło, aby uznać firmę za państwową. Z tego powodu bardzo ostrożnie przystępowaliśmy do negocjacji,

chcieliśmy uniknąć jakichkolwiek kłopotów. Otrzymaliśmy jednak zapewnienie od naszych przedstawicieli w Waszyngtonie, że nikt nie zgłasza żadnych obiekcji co do sprzedaży.

- Rozumiem.

- Tak jak przypuszczaliśmy, dość szybko pojawiły się kłopoty. Teraz sądzę, że Amerykanie traktują tę sprzedaż jak pretekst do rozpoczęcia wojny. Niektórzy waszyngtońscy politycy się przestraszyli. My wcale tego nie chcieliśmy.

- Nie spodziewaliście się, że nasz rząd zgłosi zastrzeżenia? Yoshida z rezygnacją wzruszył ramionami.

- Oba nasze kraje bardzo się różnią. W Japonii dokładnie wiemy, czego się można spodziewać. Tutaj zawsze znajdzie się ktoś, kto ma odmienne zdanie i będzie je rozpowszechniał. Akai Ceramics nie miało zamiaru angażować opinii publicznej, ale wyszło inaczej.

Connor współczująco pokiwał głową.

- Mówi pan tak, jakbyście chcieli się wycofać.

- Zarząd nie szczędzi mi krytyki za to, że nie wzięłam pod uwagę takiego obrotu rzeczy. Nie chcę uwierzyć, że tego nie można było przewidzieć. Waszyngton nie prowadzi jasnej polityki, potrafi zmienić zdanie z dnia na dzień. - Uśmiechnął się i zaraz dodał: - Może powinienem nadmierne, że tak to wygląda z naszego punktu widzenia.

- Mimo wszystko spodziewa się pan, że transakcja dojdzie do skutku?

- Trudno powiedzieć. Niewykluczone, że krytyczne zdanie polityków waszyngtońskich weźmie górę, a wiecie, panowie, iż rządowi w Tokio bardzo zależy na przyjaznych stosunkach z Ameryką. U nas też politycy wywierają nacisk na przemysłowców, żeby unikać transakcji, które mogą być źle widziane przez Amerykanów. Sprawy Centrum Rockefellera i miasteczka filmowego Universalu wywołały wielką falę krytyki. Przykazano wszystkim, żeby postępować... *yoinbukai*. To znaczy...

- Z wyczuciem - podsunął Connor.

- Właśnie, delikatnie i ostrożnie. - Japończyk popatrzył uważnie na kapitana. - Zna pan japoński?

- Trochę.

Yoshida skinął głową. Przez chwilę jakby się zastanawiał, czy nie przejść na japoński, w końcu rzekł po angielsku:

- Chcielibyśmy zachować przyjacielskie stosunki. Uważamy, że ta fala krytyki jest przesadzona. Spółka Darley-Higgins ma poważne kłopoty finansowe, może przez złe zarządzanie, może z innych powodów, trudno powiedzieć. Ale to nie nasza wina, nie jesteśmy

za to odpowiedzialni. Poza tym nie staraliśmy się zdobyć MicroConu, zaproponowano nam kupno tej firmy. A teraz krytykuje się nas za to, że chcieliśmy pomóc w kłopotach. - Westchnął.

Za oknem wzbił się w niebo wielki odrzutowiec, aż wszystkie szyby zadzwoniły.

- A co się stało z pozostałymi ofertami? Na którym etapie zrezygnowali inni chętni?

- Nie było żadnych chętnych. - Yoshida zmarszczył brwi. - Zaoferowano nam kupno w ścisłej tajemnicy. Darley-Higgins nie chciało ujawniać swoich kłopotów finansowych, dlatego zgodziliśmy się im pomóc. Ale teraz... Dziennikarze obrzucają nas błotem, czujemy się bardzo... *kega o shita*. Związani?

- Tak, skrępowani.

- Tak to wygląda. - Japończyk wzruszył ramionami. - Mam nadzieję, że panowie zrozumieli mój słaby angielski.

Zapadło milczenie. Przez dobrą minutę nikt się nie odzywał. Connor wbijał nieruchome spojrzenie w Yoshidę, ja obserwowałem go z boku. Kolejny samolot wystartował z hukiem, znowu zadrżały szyby. Nikt nie przerywał milczenia. Yoshida westchnął ciężko, Connor skinął głową. Japończyk poruszył się niespokojnie i złożył ręce na brzuchu. Connor westchnął, a następnie odchrząknął. Yoshida odpowiedział westchnieniem. Obaj nie spuszczaali z siebie wzroku. Domyślałem się, że to wszystko ma jakieś znaczenie, że porozumiewają się intuicyjnie, bez słów, ale nic z tego do mnie nie docierało.

- Nie chciałbym, aby wynikło jakieś nieporozumienie, kapitanie - odezwał się w końcu Yoshida. - Akai Ceramics jest firmą rzetelną. Nie mamy nic wspólnego z... zaistniałymi komplikacjami. Znajdujemy się w trudnej sytuacji, ale postaram się pomóc panom, jak tylko będę potrafił.

- Jestem bardzo wdzięczny - rzekł kapitan.

- Nieprawda.

Yoshida podniósł się pierwszy; Connor także wstał, ja za nim. Skłoniliśmy się wszyscy, potem uścisnęliśmy dłoń Japończyka.

- Proszę bez wahania się ze mną skontaktować, gdybym mógł być w czymś pomocny.

- Bardzo dziękuję - rzekł Connor.

Yoshida odprowadził nas do drzwi swego gabinetu. Skłoniliśmy się jeszcze raz i wyszliśmy.

Na korytarzu czekał czterdziestoletni, rumiany Amerykanin. Rozpoznałem go od razu: to był ten sam blondyn, którego poprzedniego wieczora widziałem w samochodzie obok senatora Rowe'a. Ten sam, który nie wymienił swojego nazwiska.

- Ach, Richmond-san - rzekł Yoshida. - Dobrze się składa, że przyszedłeś. Ci panowie pytali mnie o MicroCon *baishu*. - Odwrócił się do nas. - Może chcieliby panowie porozmawiać z panem Richmondem? On znacznie lepiej mówi po angielsku i będzie mógł was poinformować o wielu szczegółach tej sprawy.

- Bob Richmond z firmy Myers, Lawson and Richmond. - W uścisku niemal zgniótł mi palce. Był mocno opalony i wyglądał na faceta, który prawie każdą wolną chwilę poświęca grze w tenisa. Uśmiechnął się szeroko. - Jaki ten świat mały, prawda?

Connor i ja wymieniliśmy swoje nazwiska.

- Czy senator Rowe bezpiecznie dotarł wczoraj do domu? - zapytałem.

- Oczywiście - odparł. - Dziękuję za pańską pomoc. - Znow się uśmiechnął. - Aż strach myśleć, jak on musiał się czuć dzisiaj rano. Sądzę jednak, że to nie pierwszy raz. - Kołysał się w przód i w tył na piętach, niczym tenisista czekający na serw przeciwnika. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego. - Muszę przyznać, że nigdy bym się nie spodziewał zastać obu panów w tym miejscu. Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć? Reprezentuję Akai w negocjacjach w sprawie MicroConu.

- Nie - odparł spokojnie Connor. - Po prostu staramy się zebrać jak najwięcej informacji.

- Czy ma to coś wspólnego z wczorajszymi wydarzeniami w Nakamoto?

- Niezupełnie. Gromadzimy informacje ogólne.

- Jeśli panowie sobie życzą, możemy porozmawiać w sali konferencyjnej.

- Niestety, spieszmy się na umówione spotkanie - rzekł Connor. - Możliwe, że będziemy jeszcze chcieli zamienić z panem kilka słów.

- Jestem tego pewien - odparł Richmond. - W takim razie do zobaczenia. Będę w swoim biurze mniej więcej za godzinę. - Wręczył nam wizytówkę.

- Znakomicie - powiedział kapitan.

Tamten jednak nie dawał za wygraną, odprowadził nas do windy.

- Pan Yoshida to człowiek starej daty - rzekł. - Jestem przekonany, że zachowywał się z godnością, mogę jednak wyznać, że całe to zamieszanie wokół MicroConu doprowadza go do furii. Zbiera tęgie baty od zarządu w Tokio, a to niesprawiedliwe, decyzje Waszyngtonu naprawdę związały mu ręce. Zapewniano, że nie będzie żadnych obiekcji co do sprzedaży MicroConu, a potem Morton nagle zaczął nam ciskać kłody pod nogi.

- Naprawdę tak było? - zapytał Connor.

- Nie ulega żadnej wątpliwości - odparł Richmond. - Nie mam pojęcia, o co faktycznie chodzi Johnowi Mortonowi, ale zadał nam cios poniżej pasa. Sprawa była już dogadana,

CFIUS nic zgłaszał żadnych sprzeciwów, do czasu kiedy negocjacje weszły w decydującą fazę. W takich warunkach nie da się robić interesów. Mam tylko nadzieję, że John w porę się opanuje i pozwoli nam dokonać transakcji. Na razie jednak wychodzi z niego rasista.

- Rasista? Naprawdę?

- Oczywiście. Tak samo było ze sprzedażą Fairchilda. Pamiętacie? W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku Fujitsu chciało wykupić Fairchild Semiconductor, ale Kongres zablokował sprzedaż, zasłaniając się sprawą bezpieczeństwa narodowego; twierdzono, że tego typu przedsiębiorstwo nie może stać się własnością spółki zagranicznej. Kilka lat później Fairchilda sprzedano Francuzom i wtedy żaden z polityków nie protestował. Okazało się, że tego typu przedsiębiorstwo można jednak sprzedać spółce zagranicznej, byle nie japońskiej. To chyba jasne, że mamy tu do czynienia z rasizmem, z niczym innym. Stanęliśmy przed drzwiami windy.

- W każdym razie proszę zadzwonić. Umówimy się na spotkanie.

- Dziękujemy - rzekł Connor.

Weszliśmy do środka, drzwi windy zasunęły się za nami.

- Dupek - mruknął Connor.

12

Jechaliśmy na północ, w kierunku Wilshire, na spotkanie z senatorem Mortonem.

- Dlaczego uważasz go za dupka? - zapytałem.

- Od roku Bob Richmond jest asystentem Amandy Marden, głównej negocjantki w transakcjach Japończyków. Poprzednio pełnił rolę doradcy i uczestniczył we wszystkich spotkaniach dotyczących strategii naszego rządu. Po roku zmienił front i zaczął pracować dla Japończyków, którzy obecnie płacą mu pięćset tysięcy rocznie plus premie od każdej transakcji. Na pewno jest tego wart, ponieważ wie wszystko, co może być przydatne przy zawieraniu umów.

- Czy to legalne?

- Oczywiście, zawsze wykorzystuje się takich ludzi. Gdyby Richmond pracował dla którejś z firm o znaczeniu strategicznym, takich jak Microsoft, musiałby przy rezygnacji podpisać zobowiązanie, że przez pięć lat nie podejmie pracy w konkurencyjnej instytucji; chodzi o to, żeby nie zdradzać tajemnic przemysłowych konkurentom. Ale nasz rząd nie stosuje takich restrykcyjnych zakazów.

- Dlaczego więc nazywasz go dupkiem?

- Z powodu tych bredni o rasizmie - parsknął Connor. - Przecież on zna prawdę, wie najlepiej, dlaczego zablokowano sprzedaż Fairchilda. Nie miało to nic wspólnego z rasizmem.

- Nie?

- Jest jeszcze coś, z czego Richmond musi sobie zdawać sprawę. Największymi rasistami na świecie są właśnie Japończycy.- Naprawdę?

- Oczywiście. Kiedy japońscy dyplomaci... Zadzwonił telefon. Wcisnąłem klawisz i powiedziałem:

- Porucznik Smith.

- Jezu, nareszcie! - rozległ się z głośnika męski głos. - Gdzieżecie się podziewali, do cholery? Chciałbym w końcu położyć się spać.

Rozpoznałem głos Freda Hoffmanna, który poprzedniego wieczoru pełnił służbę oficera dyżurnego.

- Dzięki, że się wreszcie odezwałeś, Fred - rzekł Connor.

- Szukaliście mnie?

- Owszem. Wciąż nie dają mi spokoju te telefony z Nakamoto, które wczoraj odebrałeś.

- Nie tylko ciebie, interesują się nimi chyba wszyscy w tym mieście. Co najmniej pół wydziału suszyło mi głowę w tej sprawie, a Jim Olson dosłownie przeniósł się na moje biurko i do reszty zakopał w papierach. Nie wydaje mi się jednak, żeby znalazł w tym coś niezwykłego.

- Czy mógłbyś nam opowiedzieć dokładnie przebieg wydarzeń?

- Jasne. Najpierw odebrałem wiadomość z dzielnicówki, to było pierwsze zgłoszenie. Ci z komisariatu nie mieli pojęcia, jak to zakwalifikować. Mówili, że zadzwonił do nich ktoś z silnym azjatyckim akcentem, w dodatku bardzo zdenerwowany albo naćpany. Podobno mówił o problemach ze zwłokami. Tamci nie wiedzieli, co począć z tym fantem. W każdym razie zanotowałem to zgłoszenie, była dwudziesta trzydzieści, a ponieważ dzielnicówka utrzymywała, że chodzi o zabójstwo, wysłałem na miejsce Toma Grahama i Roddy'ego Merino. To oni później zwalili mi na głowę cały ten kram.

- Aha.

- Do cholery, wysłałem właśnie ich, bo byli pierwsi na liście. Wiecie chyba dobrze, iż musimy stosować rotację detektywów, żeby uniknąć podejrzeń o tendencyjność. Takie są przepisy, ja się ich po prostu trzymałem.

- Jasne.

- W każdym razie o dwudziestej pierwszej zadzwonił Graham. Przekazał, że są pewne kłopoty i że Japończycy domagają się przydzielenia oficera łącznikowego ze służb specjalnych. Sprawdziłem na naszej liście, że dyżur SSO pełni Pete Smith. Podałem Grahamowi numer domowy, a on chyba zaraz do ciebie zadzwonił, Pete.

- Tak, zgadza się - odparłem.

- W porządku - rzekł Connor. - Co było później?

- Jakies dwie minuty po rozmowie z Grahamem, mniej więcej pięć po dziewiątej, odebrałem kolejny telefon. Dzwonił mężczyzna, mówiący z obcym akcentem, chyba też azjatyckim, ale nie mogę tego stwierdzić na pewno. Powiedział, że w imieniu Nakamoto domaga się przydzielenia do tej sprawy kapitana Connora.

- Nie przedstawił się?

- Wymienił swoje nazwisko. Zmusiłem go do tego i zanotowałem je. Nazywa się Koichi Nishi.

- I mówił w imieniu Nakamoto?

- Tak twierdził - odparł Hoffmann. - Ja tylko odbierałem telefony, skąd miałbym wiedzieć, do cholery, czy mówił prawdę? Zresztą dziś rano zarząd Nakamoto złożył oficjalny protest, że do prowadzenia śledztwa wyznaczono kapitana Connora. Stwierdzono też, że nie pracuje u nich żaden Koichi Nishi, że ktoś wprowadził nas w błąd. Mogę was jednak zapewnić, że naprawdę ten facet do mnie dzwonił, nie wysłałem sobie tego z palca.

- Przecież nikt ci tego nie zarzuca - rzekł Connor. - Twierdzisz, że rozmówca miał obcy akcent?

- Owszem. Mówił dość dobrze po angielsku, prawie płynnie, ale wyczuwało się akcent. Uderzyło mnie także, iż bardzo dużo o tobie wiedział.

- Co?

- Po pierwsze, zapytał, czy mamy twój numer telefonu, czy ma mi podyktować. Odparłem, że mamy. Pomyślałem wtedy, że tylko tego brakowało, by jakiś Japończyk dyktował mi numer telefonu oficera z naszego wydziału. Później zaś powiedział: „Wie pan, kapitan Connor nie zawsze podnosi słuchawkę, może będzie lepiej, jeśli kogoś do niego wyślecie”.

- To ciekawe - mruknął kapitan.

- Właśnie wtedy zadzwoniłem do Pete'a i poprosiłem, żeby zabrał cię po drodze. To wszystko. Domyślałem się wtedy, że w Nakamoto powstał jakiś problem natury politycznej. Wiedziałem, że Graham przeżywa ciężkie chwile, inni też miotali się jak w ukropie. Zresztą powszechnie wiadomo, że kapitan Connor ma jakieś układy z Japończykami, dlatego nie

miałem nic przeciwko tej propozycji. A potem zrobił się straszny rwetes i zaczęło mnie obrzucać błotem.

- Jaki znowu rwetes? - zapytał Connor.

- Zaczęło się już koło dwudziestej trzeciej, gdy zadzwonił szef i jął się dopytywać o Grahama. Strasznie chciał wiedzieć, dlaczego wyznaczyłem do tej sprawy właśnie Grahama. Więc mu wyjaśniłem. Ale ten nadal się wściekał. Później, pod koniec mojej służby, około piątej nad ranem, rozpętało się piekło dotyczące Connora. Skąd on się tam wziął? Kto go wysłał? Teraz doszedł jeszcze ten artykuł w „Timesie” na temat rasistowskich metod policji. Nie mam pojęcia, skąd oni wytrzasnęli te bzdury. Ciągle muszę wyjaśniać, że postępowałem zgodnie z regulaminem, punkt po punkcie. Nikt mi nie wierzy, ale taka jest prawda.

- Oczywiście - rzekł Connor. - Mam jeszcze jedno pytanie, Fred. Czy przesłuchiwałeś powtórnie taśmę z oryginalnym nagraniem zgłoszenia, które odebrali w dzielnicy?

- Pewnie, że tak. Po raz ostatni jakąś godzinę temu. Dlaczego pytasz?

- Czy głos tego faceta był podobny do głosu tamtego, który przedstawił się jako Nishi? Hoffmann zaśmiał się krótko.

- Jezu, nie umiem powiedzieć, kapitanie. Może i tak. Jak miałbym rozróżnić dwóch Azjatów mówiących przez telefon łamaną angielszczyzną? Jeśli mam być szczery, nie umiem odpowiedzieć. Ten pierwszy sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego. Może był w szoku, może naćpany? Trudno powiedzieć. Jednego jestem pewien: niezależnie od tego, jak naprawdę nazywa się Nishi, cholernie dużo wie o tobie.

- Dzięki, to bardzo ważna wiadomość. Wracaj do domu. Connor przerwał połączenie. Skręciłem z autostrady i pojechałem w stronę Wilshire. Czekало nas spotkanie z senatorem Mortonem.

13

W porządku, senatorze. Teraz proszę spojrzeć w tę stronę... jeszcze trochę... właśnie tak, silnie, po męsku. Podoba mi się... Tak, cholernie dobrze... Teraz proszę o trzy minuty przerwy. - Reżyser, krępy mężczyzna w skórzanej kurtce i czapce baseballowej, zeskoczył z siedzenia kamerzysty i mówiąc z wyraźnym brytyjskim akcentem zaczął wykrzykiwać polecenia: - Jerry, daj tu ekran, słońce jest za mocne. Czy moglibyście też podmalować mu oczy? Potrzebny mi jest większy kontrast oczu. Ellen, widzisz ten błyszczący ślad na prawym ramieniu? Zajmij się tym, złociutka. Poprawcie klapy marynarki, widać mikrofon na

krawacie. Poza tym jest za mało siwych włosów, rozjaśnijcie mu skronie. Ludzie, rozprostujcie ten chodnik, żeby senator się nie potknął. Proszę, raz dwa. Tracimy to wspaniałe oświetlenie.

Connor i ja staliśmy z boku. Przystojna asystentka producenta, dziewczyna o imieniu Debbie, która z dumą nosiła przewieszony przez piersi klaps, poinformowała nas:

- Ten reżyser to Edgar Lynn.

- Czy powinniśmy znać jego nazwisko? - zapytał Connor.

- To najdroższy i najbardziej rozchwytywany reżyser reklamówek na świecie. Jest wielkim artystą. Właśnie on robił tę fantastyczną promocję komputerów Apple w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku, później... Ach, robił mnóstwo rzeczy. Ma też na koncie głośne filmy fabularne. Edgar po prostu jest najlepszy. - Zamilkła na chwilę. - A w dodatku jeszcze całkiem normalny. Naprawdę.

Senator John Morton, stojący naprzeciwko kamery, cierpliwie znosił krzątanie czterech osób, które poprawiały mu krawat, układały klapy marynarki, rozjaśniały włosy oraz cienie pod oczyma. Miał na sobie elegancki garnitur, choć stał pod drzewem; za nim ciągnęło się pole golfowe, a w tle widoczne były drapacze chmur Beverly Hills. Ekipa filmowa rozpostarła na trawie chodnik, po którym Morton miał podejść bliżej kamery.

- A co pani myśli o senatorze? - zapytałam. Debbie pokiwała głową.

- Jest wspaniały. Myślę, że świetnie się nadaje.

- Chodzi pani o urząd prezydenta? - wtrącił Connor.

- Tak. Zwłaszcza po tym, jak Edgar błysnie talentem. Spójrzcie sami, senator Morton nie jest przecież Melem Gibsonem, prawda? Ma zbyt wydatny nos, za dużą łysinę, a te jego piegi to już prawdziwy problem, bo fatalnie wyjdą na zdjęciach. Odciągną uwagę widzów od oczu, a wyraz oczu najlepiej świadczy o kandydacie.

- Wyraz oczu... - mruknął kapitan.

- Właśnie, wielu polityków zwyciężało w wyborach dzięki swym oczom. - Wzruszyła ramionami, jakby zdziwiona, że nie wiemy tak oczywistej rzeczy. - Lecz jeśli senator zostawi wszystko w rękach Edgara... To wielki artysta, tylko dzięki niemu można zwyciężyć.

Edgar Lynn przeszedł obok nas, prowadząc pod rękę kamerzystę.

- Chryste, zlikwiduj jakoś te cienie pod oczyma - mówił do niego. - I zrób coś z brodą, spróbuj silniej podkreślić zarys dolnej szczęki.

- Dobra - odparł kamerzysta.

Asystentka przeprosiła nas i odeszła. Przyglądaliśmy się z pewnej odległości Mortonowi, wokół którego ciągle kręcili się specjaliści od charakteryzacji.

- Panowie Connor i Smith?

Odwrociłem się szybko. Za nami stał młody mężczyzna w granatowym, prążkowanym garniturze. Wyglądał na sekretarza senatora: odpicowany, ugrzeczniiony, lecz czujny.

- Nazywam się Bob Woodson, pracuję w biurze senatora Mortona. Dziękuję, że panowie przyjechali.

- Nie ma za co - odparł Connor.

- Wiem, że senator bardzo by chciał z panami porozmawiać. Proszę wybaczyć, że te zdjęcia się nieco przeciągają. Myśleliśmy, że wystarczy jedno ujęcie. - Spojrzał na zegarek. - To już nie potrwa długo, a zaraz potem senator będzie miał czas dla panów.

- Czy wie pan, o co chodzi? - zapytał kapitan. Ktoś z planu zawołał:

- Cisza, kręcimy! Bardzo proszę o ciszę!

Morton został sam przed kamerą i Woodson skierował całą swą uwagę w tamtą stronę. Edgar Lynn popatrzył przez wizjer kamery.

- Jeszcze za słabo widać siwiznę. Ellen, nie żałuj farby na skroniach.

- Mam nadzieję, że nie wyjdzie na zdjęciach zbyt staro - mruknął Woodson.

- Kamera widzi wszystko inaczej - wyjaśniła Debbie, gorliwa asystentka producenta. - Siwizna musi się wyraźnie odcinać. Zresztą Ellen poprawia tylko włosy na skroniach, przez co senator będzie wyglądał bardziej dystyngowanie.

- Nie chcę, żeby wyszedł staro. Czasami, kiedy jest przemęczony, naprawdę sprawia wrażenie starca.

- Proszę się nie martwić.

- Teraz dobrze - zawołał Lynn. - Tak, wystarczy. Senatorze? Czy jest pan gotów do drugiego ujęcia?!

- Od czego mam zacząć? - zapytał Morton.

- Od słów: „Może tak jak ja...” - przeczytała głośno sekretarka planu.

- To znaczy, że pierwszej części nie powtarzamy? - zapytał senator.

- Nie, wyszła znakomicie - odparł Lynn. - Zaczynamy od tego miejsca, kiedy stoi pan przodem do kamery, posyła w naszą stronę takie silne, stanowcze, męskie spojrzenie i mówi: „Może tak jak ja...” Jasne?

- W porządku.

- Proszę pamiętać. Niech się pan skupi na tym męskim, silnym, władczyim...

- To wyjdzie na zdjęciach? - zdziwił się Morton.

- Lynn zawali mu całą kampanię - szepnął Woodson.

- Dobra! - wrzasnął reżyser. - Kręcimy powtórkę. Proszę, jedziemy.

Senator Morton podszedł bliżej kamery.

- Może tak jak ja - zaczął - jesteście zaniepokojeni utratą naszej dominującej roli w ostatnich latach. Stany Zjednoczone nadal pozostają militarną potęgą, ale bezpieczeństwo narodowe zależy nie tylko od obronnego potencjału militarnego, lecz także od ekonomicznego. A właśnie na polu gospodarki przegrywamy wyścig. Jak bardzo? W czasie dwóch ostatnich kadencji z największego kredytodawcy staliśmy się największym kredytobiorcą na świecie. Nasz przemysł zostaje daleko w tyle za przemysłem innych krajów, nasi robotnicy są gorzej wyszkoleni. Inwestorom amerykańskim zależy tylko na szybkim zysku, przez co przedsiębiorcy nie robią żadnych planów na przyszłość. W rezultacie poziom życia obywateli zaczyna się szybko obniżać. Perspektywy dla naszych dzieci są kiepskie.

- Wreszcie ktoś miał odwagę to powiedzieć - szepnął Connor.

- Podczas gdy trwa ten ogólnonarodowy kryzys, wielu Amerykanów zaczyna niepokoić jeszcze jedno zjawisko. Wraz z utratą znaczenia naszej potęgi gospodarczej stajemy się coraz bardziej narażeni na swoistą inwazję. Coraz częściej słyszy się obawy, że wkrótce możemy być uzależnieni ekonomicznie od Japonii lub Europy. Zwłaszcza od Japonii. Japończycy przejmują nasze zakłady przemysłowe, tereny rekreacyjne, a nawet całe miasta. - Wskazał ręką widniejące za plecami pole golfowe oraz drapacze chmur. - Niektórzy się obawiają, iż Japonia dysponuje już wystarczającą potęgą, by zdeterminować i jednoznacznie określić przyszłość naszego kraju.

Morton zamilkł na chwilę. Stał w cieniu drzewa, wyglądał na zamyślonego.

- Na ile uzasadnione są te obawy o przyszłość Stanów Zjednoczonych? Czy mamy podstawy do niepokoju? Na pewno znajdują się ludzie, którzy będą wam wmawiać, że zagraniczne inwestycje są dla nas błogosławieństwem, że bardzo ich potrzebujemy. Inni reprezentują odmienny punkt widzenia i twierdzą, że wyprzedajemy za bezcen dziedzictwo narodowe. Które stanowisko jest słuszne? Które z nich powinniśmy... które mamy... Jasna cholera! Jak to szło?

- Cięcie! Cięcie! - zawołał Edgar Lynn. - Pięć minut przerwy. Muszę się jeszcze zastanowić nad paroma rzeczami i pojedziemy po raz drugi. Bardzo dobrze, senatorze. Podobało mi się.

- „Które z nich powinniśmy zająć w trosce o przyszłość Ameryki?” - odczytała sekretarka trzymająca kartki maszynopisu.

- Które z nich powinniśmy zająć w trosce... - powtórzył senator i pokręcił głową. - Za nic tego nie zapamiętam. Zmieńmy to zdanie. Margie? Wprowadź tu, proszę, jakieś poprawki. Albo nie, dajcie mi tekst. Sam to zmienię.

Ponownie zniknął, otoczony przez charakteryzatorów. Poprawiano mu makijaż, wygładzono ubranie.

- Zaczekajcie tu, panowie - rzekł Woodson. - Zobaczą, czy senator nie mógłby teraz poświęcić wam kilku minut.

Staliśmy obok huczącego wozu transmisyjnego, z którego wychodziły grube pęki kabli. Morton zrobił zaledwie parę kroków w naszą stronę, kiedy podbiegło do niego dwóch doradców z grubymi plikami wydruków komputerowych.

- John, spójrz tylko na to.

- John, musisz to wziąć pod uwagę.

- Co to jest? - spytał Morton.

- Ostatnie wyniki sondaży Gallupa i Fieldinga.

- John, a to najnowsza analiza zapatrywań wyborców, w zależności od wieku.

- I co?

- Spójrz na ten dolny wykres, John. Prezydent ma rację.

- Nie wmawiaj mi tego, bo występuję przeciwko prezydentowi.

- Zrozum, John, że on ma rację w sprawie konserwatyzmu. Nie możesz używać przed kamerami tego słowa.

- Nie wolno mi nawet wymówić słowa „konserwatyzm”?

- Nie, John.

- To byłby twój koniec, John.

- Znakomicie to widać na wykresach.

- Chcesz, żebyśmy ci je dokładnie omówili?

- Nie - warknął Morton. Spojrzał na Connora i na mnie. - Zaraz do was podejść - rzekł z uśmiechem.

- Spójrz tutaj, John.

- Tu wszystko widać, John. Konserwatyzm oznacza dalsze obniżenie poziomu życia, a ludzie już teraz bardzo na to narzekają. Nikt nie chce dalszego pogorszenia sytuacji.

- Nieprawda - powiedział senator. - To całkiem błędne rozumowanie.

- Ale wyborcy myślą właśnie w ten sposób.

- W takim razie się mylą.

- John, czy masz ochotę szkolić swoich wyborców, mówić im, co mają myśleć?

- Tak, mam ochotę to robić. Konserwatyzm wcale nie jest synonimem obniżenia poziomu życia. Oznacza prężność, siłę i swobodę. Jego zasada nie polega na tym, żeby wszystkiego robić mniej, lecz tyle samo; tak samo ogrzewać mieszkania i tak samo korzystać

z samochodów, ale zużywając mniej opału i mniej benzyny. Trzeba produkować bardziej wydajne ogrzewacze, oszczędniejsze pojazdy. Mniej spalin, więcej zdrowia. Przecież to wykonalne, zastosowały to inne kraje, chociażby Japonia.

- John, proszę.

- Nie nawiązuj tylko do Japonii.

- W ciągu ostatnich dwudziestu lat - kontynuował Morton - w Japonii obniżono koszty produkcji średnio o sześćdziesiąt procent, my nie uczyniliśmy nawet kroku w tym kierunku. W Japonii wytwarza się teraz wszystko znacznie taniej niż u nas, gdyż zainwestowano olbrzymie sumy w rozwój energooszczędnych technologii. Konserwatyzm oznacza fachowość, a my przestajemy być konkurencyjni...

- Świetnie, John. Konserwatyzm i statystyka. Nie uważasz, że to nudne?

- Kogo to zainteresuje?

- Wszystkich Amerykanów - odparł Morton.

- Na pewno nie, John.

- Nikt nie będzie chciał tego słuchać, John. Spójrz na te wykresy, zestawione w zależności od wieku ankietowanych. Zwróć uwagę na pięćdziesięciolatków, którzy stanowią najpewniejszą grupę wyborców... Żadnego konserwatyzmu. Starsi obywatele Stanów tego nie chcą.

- Ale starsi ludzie mają dzieci i wnuki, muszą myśleć o ich przyszłości.

- Oni za grosz o to nie dbają, John. Według powszechnej opinii dzieci się o nich nie troszczą, dlatego oni nie będą się martwili o swoje dzieci.

- Ale na pewno...

- Dzieci nie głosują, John.

- Proszę, John. Posłuchaj nas.

- Żadnego konserwatyzmu. Konkurencja, tak. Troska o przyszłość, tak. Zwalczenie problemów, tak. Nowy duch, tak. Ale żadnego konserwatyzmu...

- Prosimy.

- Zastanowię się nad tym, chłopcy - mruknął Morton. Obaj doradcy mieli takie miny, jak gdyby pojęli, że nic więcej nie wskórają. Złożyli wydruki komputerowe.

- Chcesz, żebyśmy wysłali Margie, aby przepisała tekst?

- Nie, jeszcze to rozważam.

- Może Margie by zmieniła kilka zdań.

- Nie.

- W porządku, John. Nie ma sprawy.

- Wiecie co? - rzekł senator za odchodzącymi doradcami. - Któregoś dnia pewien polityk amerykański zrobi to, co sam uzna za słuszne, a nie to, co mu będą podpowiadali współpracownicy. W ten sposób dokona się przełom.

Obaj doradcy odwrócili się jak na komendę.

- Daj spokój, John. Jesteś przemęczony.

- Masz za sobą długą podróż. Rozumiemy to.

- John, zaufaj nam, opieramy się na wynikach sondaży. Przekazujemy ci tylko to, co sądzi dziewięćdziesiąt pięć procent ankietowanych.

- Sam wiem aż za dobrze, co ludzie myślą. Są zmartwieni, a ja znam powód tego niepokoju. Mija już piętnaście lat od czasu, kiedy mieli przywódcę z prawdziwego zdarzenia.

- John, nie wracajmy do tej sprawy. Mamy koniec dwudziestego wieku. Dziś przywództwo polega na tym, że mówi się ludziom dokładnie to, co chcą usłyszeć.

Odeszli wreszcie.

Jak spod ziemi pojawił się Woodson z przenośnym telefonem. Otwierał już usta, lecz Morton powstrzymał go ruchem ręki.

- Nie teraz, Bob.

- Sądzę, że powinien pan wziąć...

- Nie teraz!

Woodson wycofał się, a Morton spojrział na zegarek.

- Panowie Connor i Smith, jak się domyślam.

- Tak - odparł kapitan.

- Przejdźmy się kawalek.

Ruszył powoli w stronę wzgórza u krańca pola golfowego. Był piątek i po trawie chodzili tylko nieliczni gracze. Zatrzymaliśmy się jakieś pięćdziesiąt metrów od ekipy filmowej.

- Poprosiłem panów o spotkanie - rzekł senator - ponieważ, jak rozumiem, to panowie zajmują się sprawą tego morderstwa w Nakamoto.

Chciałem już zaprotestować, że to nieprawda, że dochodzenie prowadzi Graham, ale Connor mnie uprzedził:

- Tak, prowadzimy.

- Mam kilka pytań w tej kwestii. Przypuszczam bowiem, że panowie znają już sprawcę?

- Na to wygląda.- Czy dochodzenie zostało zakończone?

- Z praktycznego punktu widzenia, tak - odparł Connor. - Szykujemy raport końcowy.

Morton skinął głową.

- Powiedziano mi, że panowie mają dość dobre rozeznanie w tutejszej społeczności japońskiej. Czy to prawda? Podobno jeden z was nawet mieszkał dość długo w Japonii.

Connor skłonił się lekko.

- Czy to pan grał dziś rano w golfa z Hanadą i Asaką?

- Jest pan bardzo dobrze poinformowany, senatorze.

- Rozmawiałem dziś z panem Hanadą. Poznaliśmy się kiedyś, w zupełnie innych okolicznościach. - Morton odwrócił się nagle i rzekł: - Mam następujące pytanie: Czy to zabójstwo w Nakamoto ma coś wspólnego z MicroConem?

- Nie rozumiem - mruknął Connor.

- Zakup MicroConu przez Japończyków był omawiany przez senacką komisję finansów, której przewodniczę. Grupa polityków z komisji nauki i techniki zwróciła się do nas z prośbą o rekomendację potrzebną do ostatecznej zgody na tę transakcję. Jak panowie zapewne wiedzą, sprzedaż wzbudza wiele kontrowersji. W przeszłości okrzyknięto mnie największym przeciwnikiem tej transakcji. Z bardzo różnych powodów. Chyba o tym słyszeliście?

- Owszem - przyznał Connor.

- Nadal spotykam się z taką opinią. Ale badania MicroConu, które doprowadziły do powstania nowoczesnej technologii, w znacznym stopniu były finansowane przez amerykańskich podatników. A ja nie mogę pogodzić się z tym, by moi rodacy płacili za badania, których efekty sprzedaje się Japończykom, bo ci niewątpliwie wykorzystają je do konkurencyjnej walki z naszymi przedsiębiorcami. Jestem dogłębnie przekonany, że musimy chronić amerykańskie zdobycze techniczne i strzec naszego bogactwa intelektualnego. Należy również ograniczać inwestycje zagraniczne w naszym przemyśle i w jednostkach badawczych. Mam jednak wrażenie, że jestem osamotniony w tych poglądach, nie mogę bowiem znaleźć wsparcia ani w senacie, ani w kręgach przemysłowców. Nie chce mi też pomóc departament gospodarki ani grono handlowców, którzy lękają się podniesienia cen ryżu. Rozumiecie?! Ryżu! Nawet Pentagon występuje przeciwko mnie. Przyszło mi więc do głowy, jako że Nakamoto reprezentuje Akai Ceramics, iż wczorajsze wydarzenia mogą mieć coś wspólnego z tą transakcją.

Zamilkł i przyglądał się nam z uwagą. Sprawiał takie wrażenie, jakby się spodziewał, że poinformujemy go o odkryciu wielkiej tajemnicy.

- Nic mi nie wiadomo o jakimkolwiek związku - odparł Connor.

- Może Nakamoto postąpiło niewłaściwie czy wręcz nieuczciwie podczas promowania transakcji?

- O tym również nic mi nie wiadomo.

- Czy formalnie zakończyliście już śledztwo?

- Tak.

- Chciałem tylko mieć pewność, jedynie po to, abym w którymś momencie nie znalazł się w klatce z lwami, jeśli nadal będę twardo sprzeciwiał się tej sprzedaży. Ktoś mógłby twierdzić, że przyjęcie w Nakamoto miało na celu przekupienie przeciwników transakcji, a w tym świetle zmiana przeze mnie stanowiska byłaby bardzo kłopotliwa. Wiecie panowie, że Kongres jest niezwykle wyczulony na podobne sprawy.

- Czy mam rozumieć, że zamierza pan zmienić stanowisko w kwestii sprzedaży MicroConu? - zapytał Connor.

Od strony planu zdjęciowego doleciał okrzyk:

- Senatorze! Jesteśmy już gotowi!

- No cóż... - Morton wzruszył ramionami. - Jeszcze się waham. Ale nikt nie chce mnie poprzeć. Czasami wydaje mi się, że mamy do czynienia z drugą sprawą Fairchilda. Gdybym wiedział, że to przegrana walka, od razu bym zrezygnował. Jest przecież tyle innych spraw, o które warto walczyć. - Wypreżył się i obciągnął marynarkę.

- Senatorze! Czekamy na pana. Reżyser chce wykorzystać dobre oświetlenie.

- Widzicie? Oni martwią się tylko o oświetlenie. - Pokręcił głową.

- Nie zatrzymujemy pana - odrzekł Connor.

- W każdym razie chciałem to od was usłyszeć. Mam więc rozumieć, że nie znaleźliście żadnego związku między zbrodnią a sprawą MicroConu. Ludzie związani z tą transakcją muszą być czyści. Nie chciałbym się dowiedzieć za miesiąc, że maczał w tym palce ktoś, kto miał zamiar promować, czy też blokować sprzedaż.

- My o niczym takim nie wiemy - zapewnił go Connor.

- Dziękuję za przybycie, panowie. - Uścisnął nam ręce, odszedł parę kroków, lecz jeszcze się odwrócił. - Doceniam też, że traktujecie naszą rozmowę jako poufną. Musimy być ostrożni. Znajdujemy się w stanie wojny z Japonią. - Uśmiechnął się chytrze. - Psst! Wróg nasłuchuje!

- Owszem - mruknął Connor. - Nie zapominamy także o Pearl Harbor.

- Chryste! Skądże znowu! - Morton pokręcił głową i dodał konfidencjonalnym szeptem: - Wiecie? Niektórzy moi koledzy są zdania, że wcześniej czy później będziemy

musieli zrzucić kolejną bombę. Sądzą, że bez tego się nie obędzie. - Uśmiechnął się. - Ale ja nie podzielam ich poglądów. Zazwyczaj.

Uśmiechając się nadal, ruszył w stronę planu zdjęciowego. Po drodze zbierała się wokół niego coraz liczniejsza grupa: najpierw sekretarka planu z maszynopisem, potem specjalista od garderoby; dźwiękowiec poprawiał mikrofon oraz baterię przymocowaną do paska spodni, charakteryzatorka dokonywała ostatniej korekty. Wreszcie senator całkiem zniknął nam z oczu, po trawie z wolna przesuwała się gromada ludzi.

14

Spodobał mi się - powiedziałem. Jechaliśmy w kierunku Hollywood. Budynki tonęły w wiszącym nisko smogu.

- Czemu miałby ci się nie spodobać? - zapytał Connor. - To polityk, jego głównym zajęciem jest zjednywanie sobie ludzi.

- W takim razie zna się na swojej robocie.

- Owszem, jest w tym chyba niezły.

Kapitan w zamyśleniu patrzył za okno. Odnosiłem wrażenie, że coś go nurtuje.

- Nie podobał ci się tekst jego przemówienia? Wyciągałeś bardzo podobne wnioski.

- Tak, to prawda.

- Więc co cię trapi?

- Nic - mruknął Connor. - Zastanawiam się tylko, co on naprawdę chciał powiedzieć.

- Wspominał Fairchilda.

- To naturalne, Morton zna wszelkie szczegóły tej sprawy. Chciałem już zapytać, o jakie szczegóły mu chodzi, ale on sam zaczął opowiadać.

- Czy słyszałeś kiedykolwiek o Seymourze Crayu? Przez wiele lat był najlepszym na świecie konstruktorem superkomputerów. Laboratoria Cray Research wytwarzały najszybsze urządzenia. Japończycy wielokrotnie usiłowali go kupić, ale nic z tego nie wyszło. Cray był na to za sprytny. Jednak w połowie lat osiemdziesiątych dumpingowe ceny japońskich układów scalonych wyparły większość naszych krajowych produktów. Cray został zmuszony do korzystania z importowanych podzespołów, w Stanach zaprzestano wytwarzania potrzebnych mu części. Natomiast japońscy dostawcy zyskali dostęp do tajnych układów scalonych. Przeciągali opracowanie produkcji tych elementów ponad rok, a tymczasem ich wytwórcy komputerów zdążyli wypuścić nowe modele. Istniało wręcz podejrzenie o kradzież

unikatowych rozwiązań technologicznych. Cray dostał szału, dobrze wiedział, że Japończycy bawią się z nim w kotka i myszkę. Postanowił zatem wejść w spółkę z którymś z krajowych producentów i wybrał Fairchild Semiconductor, chociaż ta firma przeżywała wówczas spore kłopoty finansowe. Nie mógł ufać Japończykom, musiał zatem bazować wyłącznie na współpracy z Fairchildem. Lecz gdy tylko rozpoczęto produkcję układów scalonych najnowszej generacji, wpłynęła oferta zakupu Fairchilda przez Fujitsu, największego konkurenta Craya. Ale ten był przygotowany na taką sytuację, powołał się na bezpieczeństwo narodowe i przekonał Kongres, by zablokowano transakcję.

- I co dalej?

- Blokada sprzedaży nie zlikwidowała problemów finansowych Fairchilda. Firma borykała się z poważnymi problemami i musiała zostać wystawiona na sprzedaż. Kupił ją jednak Buli; Francuzi nie byli konkurentami w produkcji superkomputerów, dlatego właśnie Kongres zgodził się na tę transakcję.

- I sądzisz, że MicroCon będzie drugim Fairchildem?

- Tak, ponieważ kupno MicroConu postawiłoby Japończyków w sytuacji monopolisty produkcji urządzeń do wytwarzania układów scalonych i mogliby wyprzeć z rynku wszystkie przedsiębiorstwa amerykańskie. Zaczynam jednak uważać, że...

Rozległ się brzęczyk telefonu. Zostawiłem go przełączonego na głośnik.

Dzwoniła Lauren, moja była żona.

- Peter?

- Cześć, Lauren.

- Chciałam cię powiadomić, Peter, że dzisiaj zamierzam nieco wcześniej zabrać Michelle. - Jej głos brzmiał trochę sztywno, formalnie.

- Wcześniej? W ogóle nie miałem pojęcia, że chcesz ją dzisiaj zabrać.

- Nie czepiaj się, Peter - odparła szybko. - To chyba oczywiste, że muszę ją zabrać.

- W porządku, nie ma sprawy. A swoją drogą, kto to jest Rick? Przez chwilę panowała cisza.

- Naprawdę... To chyba nie twoja rzecz.

- Dlaczego? Po prostu mnie to ciekawi. Michelle wymieniła dziś rano to imię, mówiła, że Rick ma czarnego mercedesa. To twój nowy przyjaciel?

- Peter, nie sądzę, żeby to miało cokolwiek wspólnego...

- Wspólnego? Z czym?

- Znowu zaczynasz - rzekła. - I tak nasza sytuacja jest dość trudna. Zadzwoiłam tylko po to, żeby ci powiedzieć, iż zabiorę wcześniej Michelle, bo mamy umówioną wizytę u lekarza.

- Idziesz z nią do lekarza? Przecież wyszła już z tego przeziębienia.

- Zabieram ją na badanie, Peter.

- Jakie badanie?

- Po prostu badanie.

- Zrozumiałem, ale...

- Zbada ją Robert Strauss. Powiedziano mi, że to najlepszy specjalista. Nie wiem, jaki będzie wynik, ale muszę ci powiedzieć, Peter, że jestem zaniepokojona, zwłaszcza biorąc pod uwagę twoją przeszłość...

- O czym ty mówisz, Lauren?

- Mówię o napastowaniu nieletnich - odparła. - O seksualnym wykorzystywaniu dzieci.

Poczułem skurcz żołądka. Kiedy dwoje ludzi zrywa ze sobą, pozostaje zwykle pewien osad goryczy, zadawnione żale i pretensje; zawsze można znaleźć jakieś rzeczy, które się wie o danej osobie i które można przeciwko niej wykorzystać. O ile komuś na tym zależy. Lauren nigdy dotąd tego nie robiła.

- Przecież wiesz dobrze, że niczego mi nie udowodniono, znasz wszelkie szczegóły tej sprawy. Byliśmy już wtedy małżeństwem...

- Wiem tylko tyle, ile mi powiedziałaś. - Jej głos brzmiał teraz obco; przyjęła ton moralizatorski, niemal sarkastyczny, jakby naśladowała swojego adwokata.

- Lauren, na miłość boską! Przecież to śmieszne. O co ci chodzi?

- Nie ma w tym nic śmiesznego. Jestem matką Michelle i ponoszę za nią odpowiedzialność.

- Wolne żarty! Do tej pory jakoś nie myślałaś o swej macierzyńskiej odpowiedzialności! A teraz nagle...- To prawda, wybrałam karierę zawodową, ale nawet przez chwilę nie ulegało wątpliwości, że córka jest dla mnie najważniejsza. Mogę powiedzieć, że głęboko, bardzo głęboko żałuję, iż moje zachowanie w przeszłości doprowadziło do tak nieprzyjemnej sytuacji. - Miałam wrażenie, jakby nie mówiła do mnie, tylko chciała sprawdzić, czy pewne sformułowania dobrze zabrzmiały przed sądem. - To chyba oczywiste, Peter, że jeśli istnieje choćby cień podejrzenia, Michelle nie może dłużej z tobą mieszkać. Nie powinna się nawet z tobą widywać.

Poczułem silne ukłucie w piersi, jakby cios nożem.

- O czym ty mówisz? Kto ci powiedział, że ja molestuję dziecko?

- Peter, nie sądzę, żebym w tej chwili musiała ci wyjaśniać moje stanowisko.

- Czy to Wilhelm? Kto cię namówił, Lauren?

- Nie roztrząsajmy tego, Peter. Po prostu zawiadamiam cię oficjalnie, że o czwartej przyjadę po Michelle. Chcę, żeby była gotowa o tej porze.

- Lauren...

- Moja sekretarka, panna Wilson, słucha przez drugi aparat i stenografuje naszą rozmowę. Jeszcze raz informuję cię oficjalnie, że chcę zabrać moją córkę i zawieźć ją na badanie lekarskie. Czy masz jakieś pytania dotyczące tej decyzji?

- Nie.

- Będę o czwartej. Dziękuję, że się na to zgadzasz. Pozwól też, że ci powiem, Peter, że szczerze żałuję, iż do tego doszło.

Odłożyła słuchawkę.

Zostałem oskarżony o napastowanie dzieci, kiedy jeszcze byłem detektywem. Doskonale wiedziałem, jak funkcjonuje ten mechanizm. Na dobrą sprawę badanie lekarskie niczego nie wyjaśnia, zawsze zostają wątpliwości. Jeśli natomiast dziecko jest wypytywane przez psychologa, który umiejętnie pokieruje rozmową, po pewnym czasie może zacząć udzielać takich odpowiedzi, które zadowolą natarczywego lekarza. Przyjęto więc, że psycholog musi rejestrować całą rozmowę na taśmie wideo, żeby uniknąć podejrzeń o zadawanie tendencyjnych pytań. Sądy zaś z reguły zajmują stanowisko konserwatywne, to znaczy takie, że gdy istnieje choćby cień podejrzenia o napastowanie, zapada wyrok o odizolowaniu dziecka od podejrzanego rodzica. W najlepszym wypadku nie dopuszcza się do kontaktów w ciągu nocy, do przebywania sam na sam z dzieckiem albo wręcz...

- Dość tego - odezwał się Connor, który siedział usztywniony obok mnie. - Wracamy.

- Przepraszam - mruknąłem. - Wkurzyła mnie.

- Rozumiem. Jest jednak coś, o czym nie powiedziałaś.

- Co takiego?

- Oskarżenie o napastowanie dzieci.

- To nic ważnego.

- *Kohai* - rzekł cicho. - Nie będę ci mógł pomóc, jeśli mi nie powiesz prawdy.

- Ta sprawa nie miała nic wspólnego z molestowaniem seksualnym - odparłem. -

Chodziło o coś zupełnie innego. Ściśle rzecz biorąc, o pieniądze.

Connor nie odezwał się, spoglądał na mnie, jakby czekał na dalsze wyjaśnienia.

- Och, do diabła! - syknąłem. I wszystko mu opowiedziałem.

Niekiedy w życiu człowieka są takie chwile, kiedy się wierzy w słusność tego, co się robi, a jednak prawda wygląda zupełnie inaczej. Dopiero później, gdy się wraca do tego myślami, wyraźnie widać popełnione błędy. Zmierza się do jakiegoś celu, a osiąga zupełnie co innego. Ale na początku każdemu się zdaje, że wszystko idzie prawidłowo.

To co mi się przytrafiło, to była miłość. Poznałem Lauren - jedną z tych zachowujących się po patrycjuszowsku dziewcząt, szczupłą i zgrabną, aż nazbyt nieśmiałą. Sprawiała wrażenie, jakby od wczesnego dzieciństwa jeździła konno. Była sporo młodsza ode mnie, no i piękna.

Od początku miałem przecucie, że nic nie wyjdzie z naszego związku, ale się starałem. Kiedy wzięliśmy ślub i zamieszkaliśmy razem, dość szybko wyniknęły pierwsze rozczarowania. A to przestało jej się podobać moje mieszkanie, a to cała dzielnica, potem skromne dochody. I tak dalej. Zaczęła też tyć, co jeszcze bardziej pogarszało jej nastrój. Wszędzie musiała mieć paczkę krakersów, w samochodzie, przy łóżku. Była tak nieszczęśliwa i zrozpaczona, że próbowałem jej jakoś pomóc. Kupowałem różne drobiazgi, robiłem prezenty. Gotowałem posiłki, sprzątałem mieszkanie. Nie żebym to specjalnie lubił, ale byłem zakochany. Starałem się sprawić jej radość.

Żyłem jednak pod ciągłą presją. Wszystkiego jej było mało, żądała więcej tego, więcej tamtego. Więcej pieniędzy. Mieliśmy też jeden poważny problem. Jej polisa ubezpieczeniowa nie obejmowała opieki w czasie ciąży i porodu; moja również nie. Nasze dochody nie pozwalały na to, by rozszerzyć ubezpieczenie. Całkowite koszty obliczyliśmy na osiem tysięcy dolarów i trzeba było jakoś zdobyć te pieniądze. Ojciec Lauren prowadził praktykę lekarską w Wirginii, ale nie chcieliśmy się do niego zwracać o pomoc, gdyż od początku był przeciwny naszemu małżeństwu. Moja rodzina w ogóle nie miała żadnych oszczędności. Tak więc nie mieliśmy pieniędzy. Lauren pracowała w biurze prokuratora, ja w policji. Ona miała spore konto bankowe i kartę MasterCard, a także kosztowny samochód. Musieliśmy jakoś zdobyć te osiem tysięcy, nie dawało nam to spokoju. Nie wiadomo było, jak się do tego zabrać, a Lauren twardo uważała, że to moje zmartwienie.

Podczas służby, pewnego sierpniowego wieczoru, odbieram nagłe wezwanie do Ladera Heights, w sprawie pobicia. Meksykańskie małżeństwo, oboje niezłe wstawieni; ona ma rozciętą wargę, on podbite oko, w sąsiednim pokoju drze się niemowlę. Dość szybko uspokajamy tę parę, a kiedy się okazuje, że nikt poważnie nie ucierpiał, zbieramy się do odjazdu. Kobieta spostrzega, że nie mamy zamiaru interweniować i podnosi wrzask, że jej mąż zabawia się z córką, to znaczy fizycznie znęca się nad dzieckiem. Facet jest tak oszołomiony, iż od razu widać, że to oskarżenie zostało wysrane z palca. Ona jednak nalega,

abyśmy obejrżeli córkę. Idę więc do dzieciennego pokoju, a tam leży mniej więcej dziewięciomiesięczne niemowlę, całe czerwone od krzyku. Odkrywam kołderkę, aby sprawdzić, czy nie ma jakichś obrażeń, i zauważam kilogramową cegłę białego proszku. W pościeli niemowlęcia.

No i masz.

Jestem w kropce, nie mam pojęcia, co robić. Kobieta nie złożyła oficjalnej skargi, nie ma dowodów przestępstwa, przeszukanie jest nieprawne, i tak dalej. Jeśli facet ma choć trochę rozgarniętego adwokata, wywinie się ze wszystkiego. Wychodzę więc i wołam go do pokoju. Dobrze wiem, że nie mogę nic zdziałać. Przychodzi mi jednak do głowy, że gdyby dzieciak wziął do buzi i przegryzł torebkę, mógłby umrzeć. Postanawiam pogadać z tym facetem, nastraszyć go trochę.

Wchodzimy więc obaj do dziecięcego pokoju, kobieta zostaje w salonie z moim partnerem. A ten Meksykanin nagle wyciąga kopertę grubości dwóch centymetrów, otwiera ją i pokazuje mi studolarowe banknoty, taki gruby plik. Mówi: „Dziękuję panu za pomoc, oficerze”.

W tej kopercie musi być jakieś dziesięć tysięcy dolarów, może więcej. Facet wyciąga forszę w moim kierunku i patrzy badawczo; spodziewa się, że ją wezmę.

Zaczynam coś gadać o tym, jak niebezpiecznie jest trzymać taki towar w dziecięcym łóżeczku, a ten bierze torebkę, rzuca ją na podłogę i kopniakiem wpycha pod łóżko. Potem mówi: „Ma pan rację, dziękuję, oficerze. Nie chciałbym, aby coś się stało mojej córce”. I cały czas wyciąga do mnie tę kopertę.

Robi się rwetes. W salonie kobieta wrzeszczy na mojego partnera, tu dziecko drze się wniebogłosy, a facet wciska mi kopertę. Uśmiecha się i kiwa zachęcająco głową. No, proszę, weź forszę, to dla ciebie. A ja myślę sobie...

Sam już nie wiem, co wtedy myślałem. Jakbym na chwilę stracił rozum.

W każdym razie wychodzę szybko do salonu i mówię, że dziecku nic się nie stało; pijana kobieta zaczyna ciskać obelgi i krzyczeć, że to ja wykorzystałem seksualnie jej córkę. Teraz oskarża mnie, a nie swego męża. Powtarza także, iż jestem w zмовie z nim, że obaj gwałcimy dzieci. Mój partner radzi jej, żeby się położyła spać, po czym odjeżdżamy. To wszystko. W samochodzie kumpel się jeszcze pyta: „Po coś wlaził do tamtego pokoju?” A ja mówię: „Musiałem sprawdzić, czy dziecku nic nie jest”. To wszystko. Następnego dnia ta kobieta zjawia się na komisariacie i składa formalną skargę, że zgwałciłem jej dziecko. Wciąż jest pijana, poza tym okazuje się, że była notowana, ale ponieważ złożono oficjalną skargę,

sprawa musi zostać rozpoznana, przynajmniej wstępnie. Oskarżenie bardzo szybko zostaje oddalone jako całkowicie bezzasadne.

To wszystko.

Tyle się wydarzyło, nic więcej.

- A co z pieniędzmi? - zapytał Connor.

- Pojechałem na weekend do Vegas. Sporo wygrałem. Musiałem wtedy zapłacić tysiąc trzysta dolarów podatku od dodatkowych dochodów.

- Czyj to był pomysł?

- Lauren, to ona wymyśliła tę wygraną.

- Zatem wie, co się naprawdę zdarzyło?

- No pewnie.

- Nie było żadnego dochodzenia? Spisano tylko raport z wstępnego rozpoznania sprawy? - Nie wiem nawet, czy sprawy zaszły aż tak daleko. Po prostu przesłuchano mnie i mojego partnera, po czym oddalono oskarżenie. Prawdopodobnie została tylko notatka w moich aktach, nie ma żadnego raportu.

- Dobra - mruknął Connor. - Teraz opowiedz mi całą resztę.

Opowiedziałem mu o Kenie Shubiku, o „Timesie” i o „Łasicy”.

Kapitan słuchał w milczeniu, ze zmarszczonym czołem. Pod koniec zaczął sykać przez zaciśnięte zęby, co u Japończyka oznacza wyraz skrajnej dezaprobaty.

- *Kohai* - odezwał się, kiedy skończyłem. - Przez ciebie moje życie stało się bardzo trudne. Teraz zapewne wyglądam strasznie głupio, choć nie mam się czego wstydzić. Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wszystkiego wcześniej?

- Bo to nie ma z tobą nic wspólnego.

- *Kohai*... - Pokręcił głową. - *Kohai*...

Znów przypomniałem sobie o mojej córce, o tym, że być może - chociaż na razie była to jedynie groźba - nie będę się mógł więcej z nią widywać, nie będę mógł nawet...

- Wiesz co? - rzekł Connor. - To może się bardzo źle dla ciebie skończyć. Uwierz mi. Niewykluczone, że czekają cię o wiele większe kłopoty, to dopiero początek. Dlatego uważam, że powinniśmy działać szybko i postarać się jak najprędzej zamknąć dochodzenie.

- Sądziłem, że już je zamknęliśmy. Connor westchnął i pokręcił głową.

- Jeszcze nie. Musimy jednak zdążyć do czwartej, przed twym spotkaniem z żoną. Pospieszmy się więc, bo mamy niewiele czasu.

Chryste, wszystko nam się kurewsko ślicznie układa - rzekł Graham. Spacerował po salonie domu Sakamury na wzgórzach Hollywood. Ostatni specjaliści ekipy technicznej pakowali swoje rzeczy.

- Nie mam pojęcia, co starego ugryzło w dupę. Dostał takiego fioła, że kazał chłopakom z laboratorium wykonać każdą analizę tu, na miejscu. Ale dzięki Bogu wszystko gra jak w zegarku. Przeszukaliśmy całe łóżko, znaleźliśmy włosy łonowe, a te pasują jak ulał do tych odkrytych na zwłokach. Wzięliśmy próbkę zaschniętej śliny ze szczoteczki do zębów. Grupa krwi i cechy genetyczne są takie same, jak w spermie znalezionej w denatce. Dobiliśmy do dziewięćdziesięciu siedmiu procent pewności. To on się z nią pieprzył, to jego włosy łonowe były na jej ciele. Najpierw ją wyruchał, potem zabił. A kiedy przyszlismy go aresztować, wpadł w panikę, spowodował wypadek i zginął. Gdzie Connor?

- Przed domem.

Ujrzałem przez okno, że kapitan stoi obok garażu i rozmawia z jednym z policjantów siedzących w czarno-białym wozie patrolowym. Connor wskazywał biegnącą nie opodal ulicę i widocznie zadawał jakieś pytania.

- Co on tam robi? - zapytał Graham.

- Nie wiem - odparłem.

- Zadzwoił do mnie godzinę temu i powiedział, żebyśmy sprawdzili, ile par okularów do czytania znajdziemy w tym domu. Sprawdziliśmy. I wiesz co? Nie ma żadnych okularów. Jest mnóstwo przeciwsłonecznych, nawet kilka par damskich, ale nic więcej. Nie wiem, do czego mu ta informacja. Dziwny facet, no nie? Czego on tam szuka, do cholery?

Spoglądał z uwagą, jak Connor chodzi niespokojnie wzdłuż wozu patrolowego, a następnie znów pokazuje na ulicę i mówi coś do policjanta rozmawiającego przez krótkofalówkę.

- Czy ty go rozumiesz? - zapytał Graham.

- Nie.

- Chyba chce odnaleźć którąś z tych dziewczyn. Chryste, dlaczego ja wtedy nie spisałem tej rudej? Teraz by się nam przydała, kiedy śledztwo obrało taki kierunek. Pewnie też się z nim pieprzyła. Moglibyśmy i od niej pobrać próbkę spermy i ostatecznie potwierdzić jego tożsamość. Zachowałem się jak dupa wołowa, gdy pozwoliłem jej odejść. Cholera, kto wtedy mógł przypuszczać, że wszystko się tak skończy. Poszło niewiarygodnie szybko. Nie

dziwię się, że facet zbaraniał, kiedy wpadliśmy między gołe dziewczuchy... Ale miały zgrabne dupcie, no nie?

- To prawda.

- A potem nie było co zbierać z Sakamury - ciągnął Graham. - Godzinę temu rozmawiałem z chłopcami z drogówki. Siedzą tam jeszcze, próbując wyciągnąć trupa z wraku. Myślę jednak, że spalił się doszczętnie. Sądówka mimo wszystko chce się podjąć identyfikacji, no i dobra. - Spoglądał z kwaśną miną za okno. - Wiesz co? Nieźle się uwinęliśmy z tą pieprzoną sprawą. Powinni być raczej zadowoleni, wykryliśmy mordercę. I zrobiliśmy to szybciotko, mucha nie siada. Słyszę jednak, że oskarża się nas o znieważanie Japończyków. Kurwa. I tak źle, i tak niedobrze.

- Aha - mruknąłem.

- Chryste, ale oni mają dojścia. Przez cały czas czułem żar przy dupie. Stary dzwonił co i rusz, żeby jak najprędzej zamykać dochodzenie. Potem dorwała mnie jakaś dziennikarka z „Timesa” i zaczęła wyciągać jakieś stare brudy; że to niby w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym byłem oskarżony o nieprawne stosowanie siły wobec Meksykanów. Nic nie było, ale ta suka usiłowała wykazać, że jestem rasista. A wiesz, skąd się to wzięło? Stąd, że wczorajszy incydent miał podłoże rasistowskie. Zrobili ze mnie przykład odradzającego się, skrajnego rasizmu. Mówię ci, Japończycy są mistrzami w takiej kreciej robocie, a to mnie strasznie wkurwia.

- Tak, wiem - odparłem.

- Do ciebie też się dobrali? Przytaknąłem ruchem głowy.

- Za co?

- Molestowanie dzieci.

- Coś ty? - warknął Graham. - Przecież masz córkę.

- No właśnie.

- Nie czujesz się wyrolowany? Aluzje i obrabianie tyłka, Petey-san. Same plotki. Ale spróbuj o tym przekonać pismaków.

- Kto to był? - zapytałem. - Ta reporterka, z którą rozmawiałeś.

- Linda Jensen, o ile dobrze zapamiętałem.

Pokiwałem głową. Linda Jensen to pupilka „Łasicy”. Ktoś kiedyś powiedział, że Linda jest wyjątkiem, bo nie musiała dawać dupy, żeby zrobić karierę: wystarczyło, że przez nią inni dawali dupy. Pisała jakieś plotkarskie artykuły w Waszyngtonie, ale na dobre odnalazła się dopiero w Los Angeles.

- Sam już nie wiem - jęknął Graham, niespokojnie przestępując z nogi na nogę. - Osobiście uważam, że z nimi się nie wygra. Chcą tu sobie urządzić drugą Japonię. Zobacz, ile osób już teraz boi się mówić. Nikt nie ma odwagi pisać choćby słowa przeciwko nim, nikt ci nie powie, co się naprawdę zdarzyło.

- Może byłoby lepiej, gdyby rząd wprowadził kilka ustaw. Graham zaśmiał się szyderczo.

- Rząd? To oni tu rządzą. Czy wiesz, ile forsy pchają co roku w Waszyngton? Czteryście pięprzonych milionów dolców. Dość, żeby opłacić kampanie wyborcze wszystkich, którzy zasiadają w Senacie oraz Izbie Reprezentantów. To naprawdę kurewsko dużo forsy. Sam powiedz: Czy łądowaliby tyle pieniędzy, rok po roku, gdyby nie mieli z tego żadnych korzyści? Pewnie, że nie. Cholera, to koniec Ameryki, chłopie. Hej, wygląda na to, że twój szef cię woła.

Wyjrzałem przez okno. Connor machał na mnie ręką.

- Lepiej już pójdę.

- Powodzenia - rzekł Graham. - Posłuchaj, możliwe, że będę musiał wyjechać na parę tygodni.

- Tak? Kiedy?

- Może jeszcze dziś. Stary coś napomknął, że powinienem zniknąć, dopóki ten zasrany „Times” będzie się czepiał mojej dupy. Chcę wyskoczyć na tydzień do Phoenix, mam tam rodzinę. Pomyślałem, że lepiej abyś wiedział o mojej nieobecności.

- W porządku. Dzięki.

Connor wciąż mnie przyzywał, niecierpliwie machając ręką. Kiedy wyszedłem przed dom, tuż przede mną zatrzymał się czarny mercedes i wysiadł z niego znajomy facet.

To był Wilhelm „Łasica”.

16

Zanim zszedłem po schodkach, „Łasica” przygotował już notatnik i magnetofon reporterski. Z kącika ust zwieszał mu się papieros.

- Poruczniku Smith - zaczął - czy mógłbym zamienić z panem kilka słów?

- Jestem zajęty.

- Ruszaj się! - zawołał Connor. - Czas ucieka. - Otworzył drzwi samochodu.

Ruszyłem w jego stronę, lecz „Łasica” nie odstępował mnie na krok. Podsunął mi pod nos mały czarny mikrofon.

- Nagrywam. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu. Po wypadku Malcolma musimy zachować ostrożność. Czy mógłby pan skomentować ewidentnie rasistowskie wypowiedzi pańskiego kolegi, detektywa Grahama, prowadzącego śledztwo w sprawie wczorajszego morderstwa w wieżowcu Nakamoto?

- Nie - odparłem, nie zwalniając kroku.

- Słyszałem, że użył określenia: „Ci pieprzeni Japonce”.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Mówił także o „żółtych kurduplach”. Czy uważa pan, że takie słownictwo przystoi oficerowi pełniącemu odpowiedzialną służbę?

- Przykro mi, ale nie skomentuję tego, Willy.

Szedł obok mnie i wyciągał mikrofon w moją stronę. Wkurzało mnie to, miałem ochotę dać mu po łapach.

- Poruczniku Smith, przygotowujemy reportaż o panu i w związku z tym mam kilka pytań dotyczących sprawy Martineza. Czy pamięta pan ten wypadek sprzed kilku lat?

- Nie mam teraz czasu, Willy - odparłem, skręcając na chodnik.

- Sprawa Martineza zakończyła się oskarżeniem pana przez Sylwię Morelię, matkę Marii Martinez, o molestowanie dzieci. Przeprowadzono wówczas wewnętrzne dochodzenie w wydziale. Czy mógłby pan to skomentować?

- Nie mógłbym.

- Już rozmawiałem z Tedem Andersonem, pańskim ówczesnym partnerem. Czy nie ma pan nic do dodania?

- Niestety, nie.

- To znaczy, że nie chce się pan wypowiadać na temat tego bardzo poważnego zarzutu przeciwko panu?

- Do tej pory jedynie ty masz przeciwko mnie jakieś zarzuty, Willy.

- No cóż, nie jest to całkiem zgodne z prawdą - rzekł, uśmiechając się do mnie. - Słyszałem, że prokurator okręgowy zarządził wznowienie dochodzenia w tej sprawie.

Nie odpowiedziałem. Zachodziłem w głowę, ile może być w tym prawdy.

- Czy w tych okolicznościach, poruczniku, nie uważa pan, że przyznanie panu przez sąd prawa opieki nad dzieckiem było błędem?

- Przykro mi, nie mam nic do powiedzenia, Willy. - Starłem się zachować spokojny ton głosu, ale po karku spływała mi już strużka potu.

- No, chodźże! Nie mamy czasu - ponaglał Connor. Wsiadłem do wozu.

- Przepraszam, synu, ale jesteśmy zajęci - powiedział kapitan do „Łasicy”. - Musimy już jechać.

Zatrzaskałem drzwi. Uruchomiłem silnik.

- Ruszamy - rzucił.

Willy wetknął jeszcze głowę przez okno.

- Czy nie sądzi pan, że pogardliwy stosunek kapitana Connora do Japończyków to jeszcze jeden dowód na to, że władze policji nie mają wyczucia przy wyznaczaniu oficerów do prowadzenia tak delikatnych spraw?

- Na razie, Willy - powiedziałem i zamknąłem okno. Ruszyłem ulicą w dół z bocza.

- Nic by się nie stało, gdybyś trochę przyspieszył - mruknął Connor.

- Jasne.

Wdepnąłem pedał gazu. Dostrzegłem we wstecznym lusterku, że „Łasica” biegnie do swego mercedesa. Wziąłem ostro zakręt, aż zapiszczały opony.

- Skąd ta gnida wiedziała, gdzie mnie szukać? Nasłuchiwał przez radio?

- Nie korzystaliśmy z radia - odparł Connor. - Dobrze wiesz, że nie lubię go używać. Możliwe, że po naszym przyjeździe ci z dzielnicy kontaktowali się przez radio. A może mamy pluskwę w wozie? Wydaje mi się jednak, że przywiodła go tu intuicja. Ten szczur ma ściśle powiązania z Japończykami, jest ich wtyczką w „Timesie”. Zwykle dobierają sobie nieco inteligentniejszych pracowników. Sądzę jednak, że on robi wszystko pod ich dyktando. Zauważyłeś, jaki ma wóz?

- Owszem, ale nie japoński.

- Zanadto by się rzucało w oczy. Jedzie za nami?

- Chyba go zgubiłem. Dokąd teraz?

- Na uniwersytet. Sanders miał dość czasu, żeby przyjrzeć się kasetom.

Zjechałem ze wzgórza i skręciłem w kierunku autostrady 101.

- A swoją drogą, o co ci chodziło z tymi okularami? - zapytałem.

- Chciałem tylko coś sprawdzić. Nie znaleźli żadnych okularów, prawda?

- Nie, tylko przeciwsłoneczne.

- Tak myślałem - mruknął Connor.

- Poza tym Graham powiadomił mnie, że jeszcze dzisiaj wyjeżdża z miasta, do Phoenix.

- Aha. - Spojrzał na mnie. - Ty też chcesz wyjechać?

- Nie.

- To dobrze.

Dotarliśmy do końca ulicy i skręciłem na autostradę, w kierunku południowym. Jeszcze niedawno droga do USC zajęłaby nie więcej jak dziesięć minut, teraz musieliśmy poświęcić pół godziny. Zwłaszcza że była godzina szczytu. Zresztą ostatnimi laty ten odcinek był ciągle zatłoczony. Pojazdy wlokły się jeden za drugim. Smog wisiał nisko, jakbyśmy jechali we mgle.

- Sądzisz, że głupio robię? - zapytałem. - Powiniennem zabrać dzieciaka i zwiewać?

- To też jakieś wyjście. - Westchnął. - Japończycy są mistrzami walki podjazdowej, wręcz instynktownie wykorzystują podobne metody. Jeśli któryś z nich byłby z ciebie niezadowolony, nigdy by ci nie powiedział tego prosto w oczy. Przekazałby swe uwagi twoim przyjaciołom, współpracownikom, szefowi w taki sposób, żeby osiągnąć zamierzony efekt. To też jeden ze sposobów pośredniego oddziaływania. Dlatego oni prowadzą tak bujne życie towarzyskie, tyle grają w golfa, spotykają się w barach *karaoke*. Bardzo potrzebują tego typu nieformalnych kontaktów, bo nie mogą wyłożyć wprost, co im leży na sercu. Szczerze mówiąc, podobne metody są piekielnie mało efektywne, pochłaniają mnóstwo czasu, wysiłków i pieniędzy. Lecz jeśli nie potrafią się zdobyć na bezpośrednią konfrontację, która byłaby dla nich niczym śmierć, nie mają innego wyjścia. Japonia to kraj ciągłego wyścigu do mety, tam nikt się nie zatrzymuje w pół drogi.

- Dobra, ale...

- Takie zachowanie, które my oceniamy jako podstępne i tchórzliwe, dla nich jest czymś najzupełniej normalnym. Nie należy się tym za bardzo przejmować. Oni w ten sposób dają ci do zrozumienia, że nie są z ciebie zadowoleni.

- Dają mi do zrozumienia? Grożąc rozprawą sądową? Tym, że mogę utracić wszelki kontakt z własnym dzieckiem? Że zniszczą całkowicie moją reputację?

- Właśnie tak. To normalne zagrywki. Groźba utraty pozycji społecznej jest zwykłym sposobem zasygnalizowania komuś swego niezadowolenia.

- Dobra, więc już tyle wiem - powiedziałem. - Nie potrafię zapomnieć o tym pieprzonym bagnie.

- Tu nie chodzi o osobiste uprzedzenia - powtórzył Connor. - To są ich normalne metody działania.

- Tak, jasne. Rozpowiadanie kłamstw.

- W pewnym sensie.

- Nie w pewnym sensie. To wszystko jest gównianym kłamstwem. Connor znowu westchnął.

- Sporo czasu mi zajęło, żeby to zrozumieć. Mnóstwo się słyszy o samurajach, wielkich feudałach, ale w głębi ducha każdy Japończyk jest wieśniakiem. Ich zachowanie opiera się na tych samych zasadach, co zachowanie chłopów pańszczyźnianych. Kiedy zamknięta wiejska społeczność jest z ciebie niezadowolona, skazuje cię na banicję. Jest to równoznaczne z wyrokiem śmierci, bo żadna inna grupa nie przyjmie do swego grona kogoś, kto przysparza problemów. Zatem musisz umrzeć. Oni w ten sposób to widzą. Oznacza to zarazem, że Japończycy są bardzo wyczuleni na reakcje otoczenia. Przede wszystkim zależy im na tym, aby żyć w zgodzie ze społecznością: nie wychylać się, nie podejmować ryzyka, nie okazywać indywidualności. A czasami oznacza to również nieobstawanie przy prawdzie. Dla Japończyka prawda nie ma zbyt wielkiego znaczenia, to dla nich pojęcie dość odległe i abstrakcyjne. Wyobraź sobie matkę, której syn jest oskarżony o ciężką zbrodnię. Dla niej nie liczy się prawda, ją obchodzi tylko los syna. Tak samo jest z Japończykami. Dla nich liczą się przede wszystkim stosunki między ludźmi i to jest ich jedyną prawdą. Gołe fakty nie mają znaczenia.

- Dobra. Dlaczego więc naciskają? O co im chodzi? Przecież wykryliśmy mordercę, prawda?

- Nie - odparł Connor.

- Jak to nie?

- Bo nie. Inaczej by nas nie naciskali. Komuś bardzo zależy na zamknięciu dochodzenia, Japończycy natomiast chcą, żebyśmy zrezygnowali.

- Dlaczego przyczepili się do Grahama i do mnie, a tobie dali spokój.

- Na mnie też wywierają presję - zaproponował Connor.

- Jak?

- Zrzucają na mnie odpowiedzialność za to, co cię czeka.

- Niby w jaki sposób...? Nie rozumiem.

- Pewnie, że nie rozumiesz. Uwierz mi jednak, żeto prawda. Patrzyłem na długie sznury aut, które pogrążone w szarej mgłę przedmieść powoli sunęły naprzód. Mijaliśmy elektroniczne tablice reklamujące Hitachi (KOMPUTER NR 1 W AMERYCE), Canon (NAJLEPSZE KOPIARKI W STANACH) czy Hondę (NAJLEPIEJ SPRZEDAWANE SAMOCHODY W USA). Jak większość japońskich świecidełek, tablice były tak skonstruowane, że dało się je odczytać z daleka przy każdej pogodzie. Wynajęcie takiej tablicy kosztowało trzydzieści tysięcy dolarów dziennie i większości amerykańskich wytwórców nie było na nie stać.

- Problem polega na tym - rzekł Connor - że Japończycy dobrze wiedzą, iż mogą cię całkowicie zniszczyć. A przez to, że robią smród wokół ciebie, nakazują mi: „załatw tę sprawę”. Widocznie są przekonani, że ja potrafię rozwiązać zagadkę i zakończyć śledztwo.

- A potrafisz?

- Tak sądzę. Chcesz, żebyśmy je zamknęli już teraz? Moglibyśmy pójść na piwo i przekonać się, jak wygląda prawda po japońsku. Czy też wolisz zgłębić tę sprawę do końca i dowiedzieć się, dlaczego zamordowano Cheryl Austin?

- Wolę ją zgłębić do końca.

- Ja też - mruknął Connor. - Więc nie zwlekajmy, *kohai*. Myślę, że w pracowni Sandersa dowiemy się czegoś interesującego, bo kluczem do zagadki są taśmy wideo.

17

Phillip Sanders miotał się jak opętany. Pracownia jest zamknięta! - wykrzyknął, bezsilnie rozkładając ręce. - Nic nie mogę dla was zrobić. Absolutnie nic.

- Kiedy to się stało? - zapytał Connor.

- Godzinę temu. Przyszła ekipa z zarządu, kazała wszystkim opuścić pomieszczenie i zamknęła wejście. Tylko tyle. Powiesili wielką kłódkę na drzwiach i koniec.

- Z jakiego powodu? - spytałem.

- Podobno wykryto pęknięcia w stropie i przebywanie w piwnicach stało się niebezpieczne. Zagrozili, że unieważnią zbiorowe ubezpieczenia i nikt nie będzie ponosił odpowiedzialności, jeśli całe sztuczne lodowisko zwali się nam na głowy. Gadali na okrągło, że przede wszystkim liczy się bezpieczeństwo studentów. Ale zamykając pracownię, zarządzili wykonanie dokładnych pomiarów i będą czekać na raport inżynierski.

- Kiedy mają to zrobić? Sanders wskazał telefon.

- Właśnie czekam na wiadomość. Może w przyszłym tygodniu, a może dopiero za miesiąc.

- Za miesiąc?

- Nie inaczej. - Przeciągnął dłonią po zmierzwionych włosach. - Próbowałem się dowiedzieć, kto wydał takie polecenie, ale w sekretariacie rektora nikt o niczym nie wiedział. Decyzję musiał podjąć ktoś z grona rady nadzorczej, która musi się liczyć ze zdaniem sponsorów wspomagających naszą działalność wielomilionowymi dotacjami. Polecenie

musiało przyjść więc z samej góry. - Sanders zachichotał. - Obecnie trudno jest utrzymać takie rzeczy w tajemnicy.

- To znaczy jakie? - zapytałem.

- Chyba wiecie, że Japończycy dążą do ścisłego podporządkowania sobie naszych uczelni, zwłaszcza technicznych. Nie jesteśmy wyjątkiem. Spółki japońskie finansują co czwartego wykładowcę na MIT, żaden inny sponsor nie może się z nimi równać. Oni świetnie zdają sobie sprawę, że kiedy skończy się ten bałagan, nie będą potrafili sami utrzymać tak wielkiego tempa rozwoju i dlatego kupują sobie naukowców.

- Kadre amerykańskich uczelni.

- Oczywiście. Na Uniwersytecie Kalifornijskim w Irvine całe dwa piętra jednego z budynków są zamknięte, można wejść tylko za okazaniem japońskiego paszportu. Prowadzi się tam prace badawcze dla Hitachi. Ten kawałek amerykańskiej uczelni jest niedostępny dla Amerykanów. - Obrócił się i wskazał ręką. - Tu natomiast, jeśli zdarzy się coś, co im nie odpowiada, wystarczy jeden telefon do rektora i nie mamy nic do gadania. Nikt się nie odważy im sprzeciwić. Dostaną wszystko, czegokolwiek sobie zażyczą.

- A co z taśmami? - zapytałem.

- Wszystko tam zostało, nie pozwolili nam nic zabrać. Działali w strasznym pośpiechu, niczym gestapo. Popychali ludzi w stronę wyjścia. Nawet sobie nie wyobrażacie, jakie przerażenie sieje w amerykańskich uczelniach perspektywa utraty finansowania. - Westchnął. - Nie wiem, może Theresa zdołała zabrać te taśmy ze sobą. Powinniście się z nią skontaktować.

- A gdzie ona jest?

- Zdaje się, że miała pojeździć na łyżwach. Zmarszczyłem brwi.

- Na łyżwach?

- Tak mi powiedziała.

Spojrzał w twarz Connorowi, w jakiś zadziwiająco znaczący sposób.

Theresa Asakuma nie jeździła na łyżwach. Na lodowisku szalała tylko jakaś trzydziestka szkrabów, a młoda opiekunka bezskutecznie usiłowała je poskromić. Ich śmiechy i okrzyki rozbrzmiewały echem pod wysokim sklepieniem toru.

Poza nimi nie było tu prawie nikogo, trybuny ziały pustką.

W jednym rogu siedziało kilku chłopców; przybierali nonszalanckie pozy i poklepywali się nawzajem po plecach. Wysoko ponad nami, w jednym z ostatnich rzędów, posuwał się woźny ze szczotką. Na samym dole, przy bandzie, stało kilkoro rodziców

patrzących z podziwem na swe pociechy. Po przeciwnej stronie samotny mężczyzna czytał gazetę.

Nigdzie nie dostrzegłem Theresy Asakumy.

Connor westchnął. Ociężale usiadł na drewnianej ławeczce i odchylił się do tyłu. Założył nogę na nogę, jakby tkwił przed telewizorem. Ja stanąłem niezdecydowany, spoglądając na niego.

- I co teraz robimy? Jej tu nie ma.

- Usiądź spokojnie.

- Przecież tak bardzo ci się spieszyło.

- Usiądź, odpocznij trochę.

Przycupnąłem obok niego. Patrzyliśmy na dzieciaki śmigające po całym obwodzie lodowiska. Opiekunka zawołała:

- Alexander! Alexander! Mówiłam ci już tyle razy! Nie popychaj nikogo! Dlaczego ją popchnąłeś?

Oparłem się o krawędź ławki. Próbowałem się rozluźnić. Connor spoglądał na maluchy i chichotał. Był wyraźnie odprężony, jakby zapomniał o całym świecie.

- Myślisz, że Sanders ma rację? - zapytałem. - Japończycy wymusili na uniwersytecie zamknięcie jego pracowni?

- Oczywiście.

- I to prawda, że starają się wykupywać amerykańskie technologie, nawet wykładowców z MIT?

- To nie jest zabronione. Wspomagając nasze szkolnictwo, zachowują się szlachetnie.

- Uważasz, że to w porządku? - Zmarszczyłem brwi.

- Nie - odparł. - Wcale nie myślę, że to jest w porządku. Jeśli utracisz kontrolę nad instytucjami państwowymi, to tak, jakbyś utracił wszystko. Generalnie: kto finansuje działalność jakiejś instytucji, ten sprawuje nad nią kontrolę. Skoro więc Japończycy są gotowi wyłożyć pieniądze, a nasz rząd i przedsiębiorcy robią to bardzo niechętnie, to oni przejmą kontrolę nad całą naszą oświatą. Chyba wiesz, że w rękach Japończyków jest już dziesięć szkół wyższych. Kupili je po to, żeby szkolić tu swoją młodzież, mieć pewność, że bez przeszkód mogą ją tu przysyłać; wielu Japończyków kształci się na naszych uczelniach. Oni, jak zawsze, planują daleko naprzód. Wiedzą, że kiedyś napotkają sprzeciw, że wcześniej czy później ktoś ich powstrzyma; bez względu na to, jak bardzo dyplomatycznie będą postępować. A na razie są jeszcze na etapie gromadzenia aktywów, więc działają niezwykle

ostrożnie. Przewidują jednak, że któregoś dnia Ameryka się ocknie, bo nikt nie lubi okupacji, czy to ekonomicznej, czy militarnej.

Spoglądałem na dzieci jeżdżące na łyżwach. Wsluchiwałem się w ich głośny śmiech. Pomyślałem o swojej córce i o spotkaniu, jakie czekało mnie o czwartej.

- Po co tu siedzimy? - zapytałem.

- Tak sobie.

Siedzieliśmy więc dalej. W końcu opiekunka zaczęła zwoływać dzieci i zganiać je z płyty lodowiska.

- Proszę do mnie! Wszyscy proszę do mnie! Alexander, to ciebie również dotyczy! Alexander!

- Chyba wiesz - rzekł Connor - że gdybyś chciał kupić firmę japońską, napotkałbyś sprzeciw. Oni uważają, że to wstyd pracować dla obcych, odebraliby to jako potwarz i uczynili wszystko, żeby do tego nie dopuścić.

- Myślałem, że jednak ostatnio znacznie zliberalizowali swoje przepisy.

Connor uśmiechnął się.

- Formalnie tak. Z punktu widzenia prawa nic nie stoi na przeszkodzie, ale praktycznie jest to niewykonalne. Jeśli chciałbyś przejąć jakąś firmę, najpierw musiałbyś dogadać się z bankiem. Ten krok jest niezbędny, a żaden japoński bank nie wydałby takiej zgody.

- Słyszałem, że General Motors wykupił Isuzu.

- General Motors posiada tylko trzecią część akcji Isuzu, a to nie jest pakiet kontrolny. Owszem, spotyka się odosobnione wypadki, generalnie jednak wielkość zagranicznych inwestycji w Japonii spadła o połowę w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Co i rusz ktoś się przekonuje, że rynek japoński jest nie do zdobycia; każdego zmęczą ciągłe wojny podjazdowe, awantury, zmowy” narzucanie cen oraz *dango*, tajne porozumienia mające na celu wyeliminowanie konkurencji. Inwestorzy, zmęczeni ciągłymi zmianami przepisów, uganianiem się za własnym cieniem, w końcu rezygnują. Po prostu się poddają. Dotyczy to nie tylko nas, Niemców, Włochów, Francuzów... wszystkich męczy najmniejsza próba zrobienia interesu w Japonii. Niezależnie od tego, co się mówi, Japonia jest zamknięta. Kilka lat temu T. Boone Pickens wykupił czwartą część akcji pewnego przedsiębiorstwa japońskiego i nawet nie został przyjęty do rady nadzorczej.

- Więc co mamy robić?

- Postępować tak samo jak Europejczycy: stosować zasadę wzajemności, wet za wet, coś za coś. Rzecz w tym, żeby znaleźć właściwy sposób. Taktyka Europejczyków jest bardzo prosta, a przede wszystkim skuteczna, przynajmniej na razie.

Na lodowisko wyjechało kilka nastolatków, zaczęły kręcić piruety i trenować jakieś skomplikowane skoki. Opiekunka prowadziła swoją gromadkę w stronę wyjścia obok nas. Kiedy podeszła bliżej, zapytała:

- Czy któryś z panów jest porucznikiem Smithem?

- To ja, proszę pani - odparłem.

- A czy ma pan pistolet? - wtrącił jeden z chłopców.

- Ta kobieta prosiła mnie, bym przekazała, że to, czego panowie szukają, znajduje się w męskiej szatni.

- Naprawdę? - zdziwiłem się.

- Czy mogę go zobaczyć? - nagabywał chłopiec.

- No, wie pan, dziewczyna o orientalnych rysach - rzekła opiekunka. - Chyba Japonka.

- Tak, dziękujemy pani - odparł Connor.

- Ja chcę zobaczyć pistolet.

- Cicho bądź, głupi - włączył się drugi chłopiec. - Czy nie rozumiesz? Oni są po tajemni.

- Chcę zobaczyć pistolet.

Connor ruszył przodem, ja za nim. Chłopcy podreptali naszym śladem, ciągle dopytując się o pistolety. Siedzący po drugiej stronie lodowiska mężczyzna spoglądał na nas uważnie znad rozłożonej gazety.

- Nie ma to jak wycofać się niepostrzeżenie - mruknął Connor.

W męskiej szatni nie było nikogo. Zacząłem kolejno zaglądać do zielonych, metalowych szafek w poszukiwaniu kaset. Connor gdzieś zniknął. Po chwili zawołał:

- Chodź tutaj!

Był w odległym końcu pomieszczenia, pod prysznicami.

- Znalazłeś taśmy?

- Nie.

Przytrzymał mi drzwi. Tylną klatką schodową zeszliśmy do piwnic. W niewielkiej sieni było dwoje drzwi. Jedne wychodziły na podziemną rampę towarową, drugie zaś na mroczny korytarz z drewnianymi ławkami pod ścianą.

- Tędy - rzekł kapitan.

Przeszliśmy korytarzem, chyląc głowy. Ponownie znajdowaliśmy się pod sztucznym lodowiskiem. Wkroczyliśmy do pomieszczenia, w którym hałasowała jakaś maszyna. Był tu cały szereg drzwi.

- Wiesz, którą mamy iść? - zapytałem.

Jedne z drzwi były uchylone. Connor otworzył je. W wielkiej sali panował półmrok, rozpoznałem jednak pracownię Sandersa. W rogu piwnicy dostrzegłem słabą poświatę włączonego monitora.

Ruszyliśmy w tamtą stronę.

18

Theresa Asakuma odchyliła się na oparcie krzesła, zsunęła okulary na czoło i przetarła palcami swoje piękne oczy.

- Nic nam nie grozi, dopóki będziemy się zachowywali cicho - rzekła. - Postawili strażnika przed głównym wejściem, nie wiem, czy on jeszcze tam jest.

- Strażnika?

- Owszem. Piekielnie im zależało na zamknięciu pracowni. Przeprowadzili spektakularną akcję, niczym obławę na handlarzy narkotyków. Wszyscy Amerykanie byli naprawdę zaskoczeni.

- A pani?

- Może nieco mniej.

Connor wskazał stojący przed nią monitor. Na ekranie widniał zatrzymany obraz obejmującej się pary, która zmierzała w kierunku stołu w sali konferencyjnej. Kilka mniejszych monitorów ukazywało ten sam widok zarejestrowany przez inne kamery. A na niektórych połyskiwały w półmroku jakieś dodatkowe, czerwone linie.

- Co panią znalazła na tych taśmach?

- Nie mam jeszcze pewności. - Theresa wskazała główny monitor. - Powinnam wykonać dokładniejsze modelowanie przestrzenne, żeby sprawdzić wymiary sali, rozmieszczenie źródeł światła oraz cienie rzucane przez wszystkie obiekty. Nie miałam na to czasu, zresztą w pracowni brak odpowiedniego sprzętu. Prawdopodobnie trzeba by zapuścić na całą noc duży komputer. Może w przyszłym tygodniu uda mi się zająć maszynę na wydziale astrofizyki, chociaż spodziewam się samych kłopotów. W każdym razie sądzę, że coś znalazłam. - Co takiego?

- Nie pasują mi cienie.

W półmroku dostrzegłem, że Connor pokiwał głową, jak gdyby się tego spodziewał.

- Które nie pasują? Ponownie wskazała ekran.

- W miarę jak ci ludzie przemierzają salę, rzucając przez nich cienie czasami się odchylają: albo padają pod innym kątem, albo zmieniają nieco kształt. Zmiany są ledwo uchwytne, lecz można je wyłowić.

- A to oznacza... Wzruszyła ramionami.

- Rzekłabym, że zapis na tych taśmach został przetworzony, poruczniku.

Przez chwilę panowała cisza.

- W jaki sposób?

- Nie wiem jeszcze, jak bardzo został zmieniony, ale zaryzykuję twierdzenie, że w tym pomieszczeniu znajdowała się jeszcze jedna osoba, przynajmniej przez jakiś czas.

- Jeszcze jedna osoba?

- Tak, ktoś się wszystkiemu przyglądał. I ta trzecia osoba została starannie wykasowana na taśmach.

- Jasna cholera! - syknąłem.

Nie chciało mi się w to wierzyć. Spojrzałem na Connora, lecz on wbijał wzrok w monitory. Zdawać by się mogło, że ta wiadomość nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

- Czyżbyś się tego spodziewał? - zapytałem.

- Tak, oczekiwałem czegoś w tym rodzaju.

- Niby skąd?

- No cóż, już na początku naszego dochodzenia miałem przecucie, że zapis na kasetach zostanie zmieniony.

- Na jakiej podstawie?

- Drobiazgi, *kohai*. - Kapitan się uśmiechnął. - Różne szczegóły, na które się zwykle nie zwraca uwagi. - Zerknął na Therese, jakby się obawiał mówić dalej w jej obecności.

- Chcę się dowiedzieć wszystkiego - powiedziałem. - Kiedy po raz pierwszy zacząłeś podejrzewać, że dokonano zmian zapisu na taśmach?

- W dyżurce ochrony budynku Nakamoto. Ta brakująca kasetka...

- Jaka brakująca kasetka? - zapytałem, lecz zaraz sobie przypomniałem, że mówił o niej już wcześniej.

- Przypomnij sobie. Strażnik w dyżurce poinformował nas, że zmienił kasetę zaraz po objęciu służby, około dwudziestej pierwszej.

- Zgadza się.

- Na każdym z magnetowidów zegar pokazywał, że nagrywanie trwa mniej więcej dwie godziny, przy czym na kolejnych urządzeniach te wskazania różniły się o jakieś piętnaście sekund. Chodzi o czas potrzebny na zmianę kasety.

- Jasne. - Pamiętałem to wszystko dokładnie.

- Pokazałem strażnikowi jeden magnetowid, którego wskazania odbiegały od reszty. Na nim taśma była rejestrowana zaledwie od pół godziny. Zapytałem więc, czy nie jest zepsuty.

- A strażnik odparł, że chyba tak.

- Właśnie, szybko podchwycił tę myśl. Sądzę jednak, iż dobrze wiedział, że magnetowid nie jest zepsuty.

- Skąd wiesz?

- To był wyraźny błąd popełniony przez Japończyków, ktoś to po prostu przeoczył. Są tak zadufani w siebie i tak ślepo wierzą w swoje urządzenia techniczne, że często popełniają tego typu błędy.

Oparłem się ramieniem o ścianę i z lekkim zakłopotaniem spojrzałem na Theresę. Wyglądała prześlicznie w słabej poświacie monitorów.

- Wybacz, ale nie rozumiem.

- To dlatego, że nie zwracasz uwagi na rzeczy oczywiste, *kohai*. Przypomnij sobie. Kiedy patrzyłeś na ten szereg magnetowidów, z których każdy pokazywał czas o kilkanaście sekund późniejszy od poprzedniego i tylko jeden wyraźnie nie pasował do tego ciągu, to co wtedy pomyślałeś?

- Ze ktoś musiał znacznie później zmienić w nim kasetę.

- Nie inaczej, tak właśnie musiało być. Zmarszczyłem brwi.

- Ale po co? Wszystkie taśmy zmieniano o dwudziestej pierwszej, więc i tak na żadnej z nich nie mógł zostać utrwalony przebieg zabójstwa.

- Zgadza się - odparł Connor.

- Więc w jakim celu zmieniono tę kasetę?

- Dobre pytanie. Sam przez dłuższy czas się nad tym zastanawiałem, ale teraz już wiem - rzekł. - Nie zapominaj o czasie. Wszystkie kasety zmieniono o dwudziestej pierwszej, a jedną z nich ponownie około dwudziestej drugiej piętnaście. Można by sądzić, że coś ważnego wydarzyło się między dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą piętnaście, co zostało zarejestrowane na tej taśmie dlatego ją powtórnie wymieniono. Głowiłem się nad tym, co też takiego mogło wtedy zajść.

Zmarszczyłem czoło, wysilając pamięć, ale w głowie miałem mętlik.

Theresa uśmiechnęła się i kiwnęła potakująco, jakby rozbawiona tą sytuacją.

- Pani już wie? - zapytałem.

- Domyślam się - odparła z uśmiechem.

- No cóż, chyba powinienem się cieszyć, że wszyscy już znają odpowiedź. Ja nie przypominam sobie niczego ważnego, co mogłoby zostać zarejestrowane na tej taśmie. O dwudziestej pierwszej sala była już zamknięta, zabezpieczono miejsce zbrodni. W odległym końcu stołu leżały zwłoki dziewczyny. Przy drzwiach windy kłębił się tłum Japończyków, a Graham wisiał na telefonie, dopraszając się, żeby przysłano mu mnie do pomocy. Nie rozpoczęto jednak żadnych działań, dopóki się tam nie zjawiliśmy, około dwudziestej drugiej. Potem były jeszcze te przepychanki z Ishigura. Nie wydaje mi się, by ktokolwiek wszedł do sali przed dwudziestą drugą trzydzieści, a już na pewno nie przed dwudziestą drugą piętnaście. Zatem na tej taśmie musiał zostać zarejestrowany jedynie obraz pustego pomieszczenia ze zwłokami leżącymi na stole. To wszystko.

- Znakomicie - powiedział Connor. - Zapomniałeś tylko o jednym drobiazgu.

- Czy na pewno nikt nie wchodził do sali? - zapytała Theresa. - Absolutnie nikt?

- Nie - odparłem. - Wejście było przegrodzone żółtą taśmą. Nikt nie miał prawa wstępu do sali oprócz... - Nagle sobie przypomniałem. - Chwileczkę! Ktoś tam jednak wszedł! Ten drobny mężczyzna z aparatem fotograficznym... Przedostał się jakoś do środka i robił zdjęcia.

- No właśnie - rzekł Connor.

- Co to za facet? - wtrąciła Theresa.

- Japończyk, robił zdjęcia. Zapytaliśmy o niego Ishigurę i ten wymienił nazwisko, ale...

- Pan Tanaka - podpowiedział kapitan.

- Zgadza się, Tanaka. Później poprosiłeś Ishigurę o zwrot filmu z aparatu tamtego... - Zamyśliłem się na chwilę. - Ale go nie otrzymaliśmy.

- Nie - przyznał Connor. - Mówiąc szczerze, nawet na to nie liczyłem.

- Twierdzicie, że ten facet robił zdjęcia? - zapytała Theresa.

- Wcale nie jestem pewien, czy on naprawdę robił zdjęcia - odrzekł Connor. - Posługiwał się którymś z automatycznych modeli firmy Canon...

- Czy nie tym, który utrwała obraz na taśmie magnetycznej zamiast na tradycyjnej błonie?

- Chyba tak. Czy można by wykorzystać ten zapis do wprowadzania zmian na kasetach?

- Oczywiście - odparła Theresa. - Można go użyć do przeniesienia rastru pikseli do komputera, co znacznie uprościłoby zmiany, gdyż te zdjęcia były już zakodowane cyfrowo.

Connor pokiwał głową.

- W takim razie może faktycznie robił zdjęcia. Od początku byłem jednak przekonany, że owo fotografowanie ma być jedynie pretekstem do sforsowania policyjnej bariery.

- Aha - mruknęła Theresa, skinąwszy głową.

- Skąd o tym wiedziałeś? - zapytałem.

- Przypomnij sobie.

Stałem obrócony twarzą do Ishigury, kiedy Graham krzyknął: „Jezu Chryste, a to co znowu?!” Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem któregoś z Japończyków za żółtą wstęgą bariery policyjnej. Widziałem tylko jego plecy. Facet fotografował miejsce zbrodni. Miał bardzo mały aparat, który bez trudu mieścił mu się w dłoni.

- Czy pamiętasz, jak on się poruszał? - zapytał Connor. - Chodził w jakiś taki bardzo dystyngowany sposób.

Takich szczegółów nie mogłem sobie przypomnieć.

Graham podszedł do wstęgi i krzyknął: „Na miłość boską, wynoś się pan stamtąd!” Powstało zamieszanie. Graham wrzeszczał na Tanakę, ale ten ani myślał zrezygnować z robienia zdjęć. Wycofywał się tyłem z sali i jeszcze pstrykał aparatem, nie zwracając uwagi na krzyki. Faktycznie zachowywał się nienormalnie, zamiast wyjść z szybko z sali, cofał się aż do taśmy, bez przerwy fotografując wewnątrz. Dopiero wtedy zanurkował pod wstęgą i wrócił do holu.

- Nawet się nie odwrócił - powiedziałem. - Cofał się, przez cały czas robiąc zdjęcia.

- Zgadza się. Jego zachowanie wzbudziło moje podejrzenia. Ale teraz chyba wiemy, dlaczego cofał się, bez przerwy fotografując.

- Wiemy?- Szedł tą samą drogą, co dziewczyna z mordercą, tyle że w odwrotnym kierunku - wyjaśniła Theresa. - W ten sposób utrwałał widoki pomieszczenia z różnej perspektywy, rejestrował rozmieszczenie cieni, żeby potem wykorzystać to przy obróbce kaset wideo.

- O to chodziło - dodał Connor.

Przypomniałem sobie, że gdy zaprotestowałem, Ishigura powiedział mi: „To nasz pracownik, pan Tanaka. Należy do kierownictwa służb ochrony Nakamoto”.

A ja odparłem: „Zabierzcie go stamtąd. Nie wolno mu robić zdjęć”.

Ishigura zaś wyjaśnił: „Ale to do naszego wewnętrznego użytku”. W tym czasie Tanaka rozpląnął się w tłumie, prawdopodobnie przecisnął się przez gromadę gapiów i wszedł do windy, „...to do naszego wewnętrznego użytku!”

- Niech to cholera! - syknąłem. - Tanaka uciekł nam, zjechał na dół, a następnie zmienił jedną kasetę, tę z utrwalonym na niej jego pobycem w sali konferencyjnej, a także z cieniami, rzuconymi przez pojedynczą sylwetkę.

- Zgadza się.

- I wykorzystał te materiały, żeby wprowadzić zmiany na oryginalnych kasetach?

- Właśnie.

Zaczynałem powoli wszystko rozumieć.

- Lecz nawet gdybyśmy potrafili udowodnić, że zapis na taśmach został zmieniony, to i tak nie będziemy ich mogli wykorzystać jako materiał dowodowy, prawda?

- Oczywiście - odparła Theresa. - Pierwszy lepszy adwokat szybko rozprawi się z takimi dowodami.

- Zatem nie mamy innego wyjścia, jak znaleźć świadka, który potwierdzi te manipulacje. Sakamura mógł o tym wiedzieć, ale on nie żyje. Musimy się jakoś dostać do pana Tanaki. Chyba najlepiej byłoby go aresztować.

- Wątpię, czy to w ogóle możliwe - rzekł kapitan.

- Dlaczego? Myślisz, że będą go chronić?

- Nie. Sądzę, że Tanaka nie żyje.

19

Connor błyskawicznie obrócił się w stronę Theresy. Czy jest pani dobrym fachowcem?

- Tak.

- Bardzo dobrym?

- Myślę, że tak.

- Mamy piekielnie mało czasu. Peter pani pomoże. Proszę spróbować coś wyciągnąć z tych kaset. *Gambatte*: zrobić wszystko, co w pani mocy. Mogę obiecać, że wynagrodzę pani te wysiłki. Ja w tym czasie zadzwonię do paru osób.

- Wychodzisz? - zapytałem.

- Tak, będzie mi potrzebny samochód. Dałem mu kluczyki.

- Dokąd chcesz jechać?

- Nie jestem twoją żoną.

- Nie wolno zapytać?

- Możesz być spokojny. Muszę się z kimś zobaczyć. - Ruszył w stronę drzwi.

- Na jakiej podstawie twierdzisz, że Tanaka nie żyje?

- Może się mylę, ale porozmawiamy o tym kiedy indziej. Musimy zakończyć sprawę przed czwartą. To nieprzekraczalny termin. Mam wrażenie, że czeka nas kilka niespodzianek, *kohai*. Powiedzmy, że podpowiada mi to *chokkan*, moja intuicja. W porządku? Gdybyś miał jakieś kłopoty albo wydarzyło się coś niezwykłego, zadzwoń pod numer aparatu w samochodzie. Powodzenia. Zostawiam cię sam na sam z tą piękną damą. *Urayamashii na!* Wyszedł. Usłyszeliśmy tylko ciche stuknięcie drzwi.

- Co on powiedział? - zwróciłem się do Theresy.

- Że panu zazdrości. - W półmroku dostrzegłem jej uśmiech. - Bierzmy się do roboty.

Szybko wcisnęła parę klawiszy, przewijając taśmę do początku tej sceny.

- Jak chce się pani do tego zabrać?

- Są trzy podstawowe elementy, na które trzeba zwracać uwagę, szukając zmian w zapisie wideo. Po pierwsze smugi i barwne obwódki wokół zarysów. Po drugie ułożenie cieni. Możemy się skupić tylko na tym, ale od dwóch godzin nie robię nic innego i niezbyt wiele osiągnęłam.

- A ten trzeci element?

- To odbicia. Nie szukałam ich do tej pory. Pokręciłem głową.

- Chodzi o zwyczajne odbicia obiektów, które stanowią integralną część zarejestrowanego obrazu. Pamięta pan tę scenę, kiedy Sakamura wychodzi z sali, a w lustrze na ścianie widać jego odbicie? Z pewnością znajdziemy inne lustrzane powierzchnie, powiedzmy: chromowaną lampę na biurku, w której mogą się pojawić zniekształcone zarysy postaci. Mamy też dużą, przeszkloną ścianę. Może uda się wychwycić jakieś odbicie w szybie okiennej. Trzeba zwracać uwagę na metalowe przyciski do papierów, szklany wazon na kwiaty, plastikowy kosz na śmieci: każdą tego typu powierzchnię, w której może się pojawić odbicie.

Obserwowałem, jak pieczołowicie ustawia wszystkie taśmy, przygotowując je do równoczesnego odtworzenia. Używając jedynie zdrowej ręki błyskawicznie programowała każdy magnetowid, nie przestając jednocześnie udzielać mi wyjaśnień. Czułem się dziwnie, stojąc tuż obok tak pięknej kobiety, jakby nieświadomej swej urody.

- Niemal na każdym obrazie można znaleźć jakieś lustrzane elementy - mówiła. - Na ulicach będą to zderzaki samochodów, mokry asfalt albo szyby w witrynach sklepów. We wnętrzach zwykle są jakieś ramy obrazów, lustra, metalowe świeczniki, chromowane części mebli... Zawsze da się coś takiego znaleźć.

- Czy nie sądzi pani, że oni mogli także zmienić te odbicia na kasetach?

- Zrobiliby to, gdyby mieli czas. Istnieją już takie programy komputerowe, za pomocą których można uzyskać rzut dowolnej bryły na jakąkolwiek powierzchnię, choćby najbardziej złożoną. Ale to wymaga czasu, miejmy więc nadzieję, że działali w pośpiechu.

Uruchomiła odtwarzanie. Pierwsze sceny, kiedy Cheryl Austin pojawia się przy drzwiach windy, były niewyraźne. Spojrzałem na Theresę i zapytałem:

- Jak pani się czuje w tej roli?

- Nie rozumiem.

- Pomagając policji.

- Chodzi panu o to, że jestem Japonką? - Popatrzyła mi w twarz, a na jej wargach wykwitł dziwny, tajemniczy uśmiech. - Nie mam złudzeń co do Japończyków. Czy wie pan, gdzie leży Sako?

- Nie.

- To miasto, a w zasadzie miścina, daleko na północy, na Hokkaido. Taka prowincjonalna dziura. Znajduje się tam amerykańska baza lotnicza. Urodziłam się w Sako, mój ojciec, *kokujin*, był mechanikiem. Wie pan, co znaczy *kokujin!* *Niguro*. Murzyn. Matka zaś pracowała w kantine dla personelu bazy. Pobrali się, lecz ojciec zginął w wypadku, kiedy miałam dwa lata. Matka dostała rentę, było za co żyć, ale później dziadek zaczął jej zabierać większość pieniędzy, twierdził bowiem, że czuje się znieważony tym, iż jestem jego wnuczką. Byłam *ainoko* oraz *niguro*. To pogardliwe określenia, a mnie właśnie tak nazywano. Matka nie chciała jednak wyjeżdżać, pragnęła zostać w Japonii. Dorastałam więc w Sako, w tej... dziurze...

Wyczuwałam silną gorycz w jej głosie.

- Czy wie pan, kto to są *burakumin*?! - zapytała. - Nie? Tak myślałam. W Japonii, w kraju, gdzie wszyscy są sobie równi, nigdy się nie mówi głośno o *burakumin*. Ale przed ślubem rodzice pana młodego zawsze dokładnie sprawdzają całą historię rodziny jego wybranki, aby się upewnić, że tamci nie są *burakumin*. Tak samo zresztą postępuje rodzina panny młodej. A jeśli tylko istnieją jakiegokolwiek wątpliwości, zrywa się zaręczyny. *Burakumin* są w Japonii nietykalni, bo to wyrzutki, najędźniejsi z nędźnych. Zsyła się ich do pracy w garbarniach i innych zakładach przemysłu skórzanego, bo według buddyizmu to nieczyste zajęcie.

- Rozumiem.

- A ja byłam jeszcze gorsza od *burakumin*, gdyż jestem zdeformowana. W Japonii kalectwo to powód do wstydu; nie żalu czy litości, lecz właśnie wstydu: nie tylko dla danego

człowieka, lecz także dla jego rodziny i całej społeczności. Ludzie na każdym kroku życzą takiemu śmierci. A jeśli w dodatku jest się jeszcze mulatem, *ainoko* zrodzonym z grubonosego Amerykanina... - Pokręciła głową. - Dzieci są bardzo okrutne, a ja wychowywałam się na prowincji...Spojrzała na ekran monitora.

- Cieszę się, że mogłam tu zostać. Wy, Amerykanie, nawet nie wiecie, co to znaczy godne życie, co to znaczy poczucie wolności, które nosi się w głębi serca. Nigdy nie pojmiecie, jak okrutne jest życie w Japonii dla kogoś, kto znalazł się na marginesie. Ale ja znam to aż za dobrze i nic mnie nie obchodzi, jeśli Japończycy dostaną po nosie, choć mogę do tego przyłożyć tylko jednej ręki.

Zerknęła na mnie, wyraz jej twarzy przypominał zastygłą maskę.

- Czy odpowiedziałam na pańskie pytanie, poruczniku?

- Tak. W zupełności.

- Kiedy przyjechałam do Stanów, uderzyło mnie, jak bardzo mylny obraz Japonii... Mniejsza z tym, mamy już początek tej sceny. Proszę się skupić na dwóch górnych monitorach, ja wezmę na siebie trzy dolne. I proszę wypatrywać wszelkich lustrzanych powierzchni. Uwaga, zaczyna się.

20

Spoglądałem na świecące w półmroku ekrany.

Theresa Asakuma z wyraźną goryczą mówiła o Japończykach, ja również nie miałem za co ich kochać. Incydent z Wilhelmem „Łasicą” pozostawił osad w mej duszy, osad wściekłości zrodzonej z lęku. Jedno wypowiedziane przez niego zdanie kołatało się w mej głowie bez końca.

„Czy w tych okolicznościach nie uważa pan, że przyznanie panu przez sąd praw opieki nad dzieckiem było błędem?”

Nie ubiegałem się o prawo opieki. W całym tym zamieszaniu po rozwodzie, kiedy Lauren pakowała się i wyprowadzała, kiedy dzieliła: to moje, a to twoje - podczas tego urwania głowy ani przez chwilę nie myślałem, żeby się ubiegać o prawo opieki nad siedmiomiesięcznym niemowlęciem. Shelly stawiała wtedy pierwsze kroki, przytrzymując się mebli w salonie, i powinna była wkrótce zacząć mówić „mama”; wszyscy od tego zaczynamy. Lecz Lauren nie chciała wziąć na siebie odpowiedzialności za dziecko, ciągle

powtarzała: „Nie umiem sobie z tym poradzić, Peter. Po prostu nie umiem”. Dlatego się podjąłem opieki nad dzieckiem. Miałem inne wyjście?

Od tamtej pory minęły prawie dwa lata, wiele się wydarzyło w moim życiu. Przede wszystkim zmieniłem pracę, a tym samym rozkład dnia. Teraz naprawdę wiedziałem, że mam córkę. Świadomość, że mogę ją utracić, była jak ostrze noża wbijającego mi się w brzuch.

„Czy w tych okolicznościach, poruczniku, nie uważa pan...”

Patrzyłem w monitor, na którym Cheryl Austin czekała w ciemnościach na przybycie kochanka. Obserwowałem, jak rozgląda się uważnie po sali.”...przyznanie przez sąd praw opieki było błędem...”

Nie! Nie było błędem. Lauren nie umiała ani nie potrafiłaby sobie z tym poradzić. Nawet nie zabierała małej do siebie na co drugi weekend. Była zbyt zajęta, żeby znaleźć czas dla Michelle. Po którymś z weekendów przywiozła małą zapłakaną. „Sama nie wiem, co jej się stało”. Sprawdziłem. Michelle miała mokre pieluchy i całe pośladki odparzone. Lauren nie zadawała sobie trudu, żeby wystarczająco często zmieniać Michelle pieluchy. A wówczas, kiedy ją przebierałem, zauważyłem u małej w pachwinie ślady nie domytej kupy. Lauren nawet nie potrafiła dokładnie wymyć swojej córki.

„Nie uważa pan, że sąd popełnił błąd?”

Wcale tak nie uważałem.

„Czy w tych okolicznościach nie uważa pan...”

- Kurwa mać! - szepnąłem.

Theresa wcisnęła klawisz i zatrzymała odtwarzanie. Na wszystkich monitorach równocześnie obrazy zamarły.

- Co się stało? Coś pan zauważył?

- Nie. Nic. Spojrzała na mnie.

- Przepraszam, zamyśliłem się.

- Nie szkodzi.

Ponownie uruchomiła magnetowidy.

Na pięciu monitorach mężczyzna obejmował Cheryl Austin ramieniem. Ujęcia z różnych kamer były odtwarzane równocześnie, odnosiłem dziwne wrażenie, mogąc obserwować przebieg wypadków ze wszystkich stron naraz - z przodu, z tyłu, z boków - jakbym patrzył na wprawione w ruch rzuty projektu architektonicznego.

Aż ciarki przechodziły po grzbiecie.

Na moich dwóch górnych monitorach był widok z odległego końca pomieszczenia oraz z góry, spod sufitu. Na jednym miałem drobnutki, odległe sylwetki Cheryl i jej kochanka, na drugim jedynie czubki ich głów. Przyglądałem się jednak uważnie.

Theresa Asakuma, która stała tuż obok mnie, oddychała powoli i regularnie: wdech, wydech. Zerknąłem na nią.

- Niech się pan nie rozprasza. Skierowałem wzrok na monitory.

Para obejmowała się czule, mężczyzna przyciskał pośladki dziewczyny do brzegu biurka, aż w końcu się położyła. Kamera z góry ukazywała jej twarz, Cheryl leżała na wznak i gapiała się w sufit. Na drugim monitorze on pochylał się z wolna nad nią.

- Teraz - powiedziałem.

Theresa zatrzymała taśmę.

- Co pan znalazł?

- Tutaj. - Wskazałem oprawione w ramkę zdjęcie. Fotografia leżała płasko na biurku, a w szkłe odbijał się niewyraźny zarys głowy mężczyzny pochylającego się nad Cheryl. Był to ledwie widoczny cień.

- Czy potrafi pani wyostrzyć rysy jego twarzy?

- Spróbuję. - Pospiesznie przebiegła dłonią po klawiaturze. - To zapis cyfrowy - wyjaśniła - wprowadziłam go teraz do pamięci komputera. Zobaczymy, czy da się z tego coś wyciągnąć.

Obraz drgnął i zaczął się skokowo przybliżać. Powiększenie odrzuconej do tyłu głowy Cheryl ukazało zastygły na jej twarzy wyraz rozkoszy. Obraz stawał się coraz bardziej ziarnisty, aż w końcu zarys ust odpłynął w bok. Na ekranie pozostał tylko kawałek ramienia Cheryl.

Na każdym kolejnym powiększeniu coraz wyraźniej było widać ziarnistą strukturę, obraz składał się jakby z drobin piasku. Miałem wrażenie, że z bardzo bliska oglądam fotografię. Później plamki jeszcze bardziej się oddzieliły, tworząc tylko rozmazane smugi szarości i po chwili nie wiedziałem już, co mam przed oczyma.

- Da się coś z tego uzyskać?

- Wątpię. Tutaj jest ramka zdjęcia, a tu cień głowy, żadnych szczegółów twarzy.

Ciekawiło mnie, jak ona to dostrzeża. Dla mnie była to już abstrakcja.

- Spróbuję poprawić kontrast.

Uderzyła w klawiaturę. Pojawiło się jedno i drugie menu komputerowe. Wreszcie obraz stał się nieco wyraźniejszy, bardziej kontrastowy. Teraz odróżniałem zarówno ramkę, jak i cień głowy.

- Jeszcze trochę. Powtórzyła operację.
- W porządku, poprawmy nieco skalę szarości...

Zarys głowy na ekranie zaczął jak gdyby wyłaniać się z mgły. Wręcz nie mogłem w to uwierzyć.

Przy takim powiększeniu ziarnistość obrazu nie pozwalała niczego dojrzeć, zamiast źrenic mieliśmy przed sobą czarne kleksy. Widać było jedynie, że mężczyzna ma otwarte oczy, a usta lekko wykrzywione, jakby z wściekłości czy pasji. Trudno jednak było rozpoznać coś poza tym.

Na dobrą sprawę zupełnie nic.

- Czy to twarz Japończyka? Theresa pokręciła głową.
- Nie wiem, za mało szczegółów.
- A nie może pani tego jeszcze poprawić?
- Mogę spróbować, ale później. Nie sądzę jednak, by cokolwiek z tego wyszło.

Jedźmy teraz dalej.

Na wszystkich ekranach z powrotem pojawiły się pierwotne obrazy. Cheryl nagle zaczęła odpychać mężczyznę, obiema dłońmi zapierając się o jego pierś. Zniknęło odbicie twarzy w leżącej fotografii.

Oglądaliśmy dalszy ciąg zapisu.

Para kochanków nagle się rozdzieliła; dziewczyna coś powiedziała, bez przerwy odpychając mężczyznę. Wyglądała na wściekłą. Teraz, kiedy miałem sposobność dojrzeć minę tego faceta, przyszło mi do głowy, że to właśnie wyraz jego twarzy mógł ją przerazić.

Oboje stali obok biurka, jakby się zastanawiając, dokąd pójść. Ona popatrzyła dokoła, on skinął głową. Cheryl wskazała ręką salę konferencyjną, on chyba zaakceptował ten wybór.

Pocałowali się i ponownie objęli ramionami. Widok pary, raz przytulającej się z czułością, kiedy indziej znów kłócącej się, nasuwał mi pewne skojarzenia.

Widocznie Theresa również zwróciła na to uwagę.

- Ona musi go dobrze znać - powiedziała.
- Owszem, mnie się też tak wydaje.

Złączeni gorącym pocałunkiem, kochankowie przesuwali się bokiem w stronę sali konferencyjnej. Kamera z drugiego końca pokazywała całe pomieszczenie, drobnutkie sylwetki ludzi przemieszczały się z wolna od prawej do lewej. Były jednak tak małe, że nie dało się niczego rozpoznać. Szli powoli między rzędami biurek, kierując się...

- Stop! - rzuciłem. - Co to było? Theresa powoli, klatka po klatce, cofnęła zapis.
- Tutaj - wskazałem na ekran. - Widzi to pani? Co to może być?

Na ujęciu z kamery, która pokazywała perspektywę całego piętra, widać było wielką tablicę pokrytą japońskimi hieroglifami, wiszącą u wejścia do windy. Na umieszczonej za szkłem tablicy przez krótką chwilę pojawił się silny refleks światła, który przyciągnął moją uwagę.

Naprawdę niezwykły rozbłysk.

Theresa zmarszczyła brwi.

- To nie jest odbicie sylwetek ludzi - powiedziała. - Przyjrzyjmy się temu.

Ponownie zaczęła programować przybliżenie. Tablica rosła w oczach, obraz znów stawał się ziarnisty. Powiększony refleks rozdzielił się na dwie części: jaśniejsza, kulista plamka odpłynęła w róg ekranu, na środku pozostał wyraźny pas, biegnący niemal przez całą długość obrazu.

- A jak to wyglądało wcześniej?

Theresa ukazywała powiększenie tego samego fragmentu na poprzednich klatkach. Obraz przesuwiał się powoli, aż wreszcie jasna smuga zniknęła. Odbicie na szkle tablicy występowało jedynie na dziesięciu sąsiednich klatkach. Za to kulisty rozbłysk w rogu ekranu widoczny był przez cały czas.

- No, no...

Dziewczyna zaprogramowała jego dalsze powiększenie. Okrągła plamka rozplynęła się i po chwili wyglądała jak gromada gwiazd na nocnym niebie. Można jednak było wyróżnić jakąś wewnętrzną organizację, miałem wręcz pewność, że dostrzegam pośrodku coś podobnego do X. Powiedziałem o tym na głos.

- Ma pan rację. Zaraz podciągnę kontrast.

Theresa uderzyła w klawisze i komputer zaczął przetwarzać dane. Beładna kupa iskier ułożyła się w coś, co przypominało liczbę zapisaną cyframi rzymskimi:

IIX:I

- Co to jest, do cholery? - zapytałem. Theresa znów uderzyła w klawisze.

- Zastosuję wyrównywanie krawędzi obiektu. Zarys cyfr rzymskich stał się o wiele wyraźniejszy:

TIX:I

Dziewczyna nie dawała za wygraną, wykorzystywała różne opcje programu. Po użyciu jednych zarysy nieco się wyostrzały, kiedy indziej znów robiły się niewyraźne. W końcu zdołaliśmy rozpoznać litery:

TIX[C99]

- To odbicie tabliczki kierującej w stronę wyjścia - powiedziała. - Gdzieś w tamtym końcu pomieszczenia, za windami, powinno się znajdować przejście na klatkę schodową. Zgadza się?

- Tak - odparłem.

- Napis informacyjny odbił się w szkłe tablicy, to wszystko. - Przesunęła obraz o kilka klatek do przodu. - Zastanawia mnie jednak ta pozioma smuga światła. Widzi pan? Pojawia się niespodziewanie i szybko znika.

Kilka razy przesunęła taśmę to w przód, to w tył. Nagle przyszło mi coś do głowy.

- Faktycznie w tamtym końcu znajdują się schody pożarowe. To musi być odbicie światła z klatki schodowej, jak gdyby ktoś otworzył drzwi i zamknął je szybko.

- Sądzi pan, że ktoś dostał się na to piętro? - zapytała. - Schodami pożarowymi?

- Tak.

- To ciekawe. Jedźmy dalej, może uda się dostrzec tę osobę. Znowu uruchomiła odtwarzanie. Przy tym powiększeniu grube ziarna obrazu zaczęły migotać niczym fajerwerki na niebie, jak gdyby każda cząstka żyła własnym życiem i ruszyła do zwariowanego tańca, nie mającego nic wspólnego z pierwotnym obrazem. Ciężko było na to patrzeć. Potarłem oczy palcami.

- Jezu...

- Już. Tutaj.

Spojrzałem na ekran. Theresa zatrzymała taśmę, ale nie widziałem nic poza mozaiką czarnych i białych plamek. Miałem tylko niejasne wrażenie, że dostrzegam jakiś cień ale trudno było powiedzieć, co to takiego. Obraz przypominał mi sonogram, jaki widziałem podczas badania USG ciężarnej Laurbn. Lekarz wtedy wyjaśniał: tutaj jest głowa, a tu brzuszek płodu... Ja jednak nie mogłem niczego rozpoznać, dla mnie to była abstrakcja. Podobnie jak sam fakt, że w łonie matki rozwija się moja córka.

Lekarz zapytał: „Widzicie? Właśnie zgięta paluszki. Widzicie, jak bije serduszko dziecka?”

To przynajmniej dostrzegałem: zarys żeber w malutkiej klatce piersiowej, drgającej w rytm szybkich uderzeń serca.

„Czy w tych okolicznościach, poruczniku, nie uważa...”

- Widzi pan? - zapytała Theresa. - To jego ramię, a tu zarys głowy. Ten człowiek się poruszał, bo jego cień wyraźnie rósł, ale teraz przystanął w głębi korytarza, jakby wyglądał zza rogu. Skradał się. Przez chwilę, kiedy odwracał głowę, można było zauważyć jego profil. Widzi pan? Jestem tego pewna. Proszę patrzeć uważnie. Teraz obserwuje tę parę.

Nagle i ja dostrzegłem zarys człowieka, plamki ułożyły się w moich oczach we właściwy kształt. W korytarzu, przy tylnym wyjściu, faktycznie ktoś stał.

Patrzył na parę kochanków.

Ci zaś, w głębi sali konferencyjnej, pogrążeni byli w żarliwym pocałunku i zapewne nie zwracali uwagi na obecność intruza.

Dreszcz przebiegł mi po karku, kiedy uświadomiłem sobie, że ktoś ich podglądał.

- Czy może pani wyostrzyć sylwetkę tego człowieka? Pokręciła głową.

- To niemożliwe. Wyciągnęłam z tych urządzeń, ile się tylko dało. Nie można rozpoznać ani oczu, ani ust, żadnego szczegółu.

- To jedźmy dalej.

Wszystkie taśmy ruszyły jednocześnie z normalną szybkością. Nagły powrót do obrazu zwykłej wielkości szarpnęła moimi nerwami. I znów patrzyłem na kochanków, którzy całując się namiętnie szli w kierunku sali konferencyjnej.

- Wiemy przynajmniej, od którego momentu ich obserwowano - powiedziała Theresa.

- Ciekawe, kim była ta dziewczyna.

- O ile pamiętam, takie jak ona określa się mianem *torigaru onnai*.

- Co? Była łatwa w ptaku? *Toń...* i jak dalej?

- Nieważne. Chciałem powiedzieć, że była kobietą lekkich obyczajów.

Theresa pokręciła głową.

- Dlaczego mężczyźni zawsze trywializują sprawy. Ja odnoszę wrażenie, że kochała tego faceta...

Kochankowie stanęli przed wejściem do sali konferencyjnej, Cheryl wyrwała się nagle z objęć mężczyzny i odskoczyła w bok.

- Nawet jeśli go kochała, to okazywała to raczej w dość dziwny sposób - zauważyłem.

- Widocznie coś wyczuła.

- Co?

- Skąd mam wiedzieć? Może coś usłyszała, choćby tamtego mężczyznę? Nie wiem.

Z jakiegoś powodu Cheryl zaczęła się mocować z kochankiem, który z całej siły obejmował ją w pasie i wciągał do środka. Raz i drugi szarpnęła się w stronę wyjścia, ale facet ciągnął ją dalej.

- To niezłe ujęcie - rzekła Theresa. Obraz zastygł na ekranie.

Wszystkie ściany sali konferencyjnej były ze szkła. Poprzez okna wychodzące na zewnątrz wpadały światła miasta. Ale w przepierzeniu, za którym znajdowało się atrium, szkło było na tyle ciemne, że odbijało wewnątrz sali niczym przydymione lustro. Szamocząca

się para stała dość blisko tej wewnętrznej ścianki i w szybach wyraźnie odbijały się sylwetki Cheryl oraz jej kochanka. Theresa znów zaczęła przeglądać taśmę klatka po klatce, szukając jakiegoś podejrzanego cienia. Od czasu do czasu powiększała któryś fragment, lecz zaraz wracała do pełnego ujęcia. Trudno było cokolwiek wyłapać. Kochankowie poruszali się szybko, ich sylwetki często się rozmazywały. Kiedy indziej znów światła sąsiednich drapaczy chmur mąciły klarowny obraz.

Mieliśmy trudne zadanie.

A do tego żmudne.

Stop. Powiększenie. Przepatrywanie różnych fragmentów ujęcia w poszukiwaniu jakiegoś szczegółu. Nic z tego. Znowu dalej, klatka po klatce. Znowu zatrzymanie.

Wreszcie Theresa westchnęła głośno.

- Fatalnie. Odbicia w tym szkłe są niewidoczne.

- W takim razie jedźmy dalej.

Patrzyłem, jak Cheryl kurczowo czepia się framugi, żeby nie zostać wciągnięta w głąb sali konferencyjnej. Mężczyzna w końcu poradził sobie i pociągnął dziewczynę tyłem. Na jej twarzy malowało się przerażenie. Wyrzuciła nagle ręce nad głowę, chcąc zapewne uderzyć tamtego. Jej torebka poleciała daleko. Oboje byli już w środku, szamotali się nadal.

Mężczyzna pchnął ją na stół i twarz Cheryl pojawiła się na ujęciu z kamery obejmującej spod sufitu całą salę. Krótkie blond włosy kontrastowały na tle ciemnej powierzchni drewna. Dziewczyna przestała się opierać, jak gdyby nagle zmieniła zdanie. Sprawiała teraz wrażenie podnieconej. Oblizwała wargi. Patrzyła z uwagą na pochylającego się nad nią mężczyznę. Ten po chwili zadarł jej spódnice.

Cheryl uśmiechnęła się, wydeła wargi, szepnęła mu coś do ucha. Mężczyzna szybkim ruchem ściągnął jej majtki. Uśmiech dziewczyny stał się nieco wymuszony. Prócz podniecenia z jej miny można było wyczytać lęk.

Jak gdyby własny strach jeszcze silniej ją pobudzał. Kochanek zaczął pieścić dłońmi jej szyję.

21

Staliśmy w ciemnej pracowni. Nad naszymi głowami rozlegały się zgrzyty łyżew, tnących powierzchnię lodu, a my po raz kolejny patrzyliśmy na ten końcowy akt tragedii, odtwarzany na pięciu monitorach, w różnych ujęciach. Cheryl zarzuciła nogi na ramiona

mężczyzny, ten pochylił się nad nią i zaczął grzebać przy rozporoku. Teraz wyląwałem szczegóły, na które wcześniej nie zwróciłem uwagi - chociażby sposób, w jaki zsunęła się na krawędź stołu i zaczęła kołysać biodrami, a on wygiął się dziwnie, łącząc z nią. Jej tajemniczy, koci uśmiech uległ zmianie: teraz jakby coś kalkulowała. Mówiła też, może go poganiała; zarzuciła mu ręce na szyję i wodziła nimi po plecach. Potem kolejna odmiana: błysk wściekłości w oczach Cheryl, wymierzony niespodziewanie policzek. Najpierw opierała mu się chyba tylko po to, żeby go podniecić, ale teraz wyglądało to inaczej, jakby coś było nie w porządku. Spoglądała rozszerzonymi oczyma, sprawiała wrażenie zaniepokojonej. Odpychając ręce mężczyzny, podciągnęła mu rękawy marynarki; dostrzegłem odbicia światła w metalowych spinkach do mankietów. Błyszczał też zegarek na jej przegubie. W końcu ręka Cheryl opadła, rozwarta dłoń tworzyła kontrast na tle ciemnego stołu. Palce zadrżały spazmatycznie i zamarły w bezruchu.

Mężczyzna zastygł; widocznie pojął, że coś się stało. Przez chwilę stał nieruchomo, wreszcie ujął w dłonie jej głowę, potrząsnął nią, jakby chciał dziewczynę obudzić, w końcu odskoczył. Nawet patrząc na plecy mężczyzny, można było wyczuć jego przerażenie. Ruszał się powoli, niczym w transie. Zaczął chodzić po sali drobnymi kroczkami, to w jedną, to w drugą stronę; widocznie nie mógł się zdecydować, co robić. Za każdym razem, kiedy oglądałem te sceny, odczuwałem coś zupełnie innego: na początku tylko napięcie i jakąś dziwną, wręcz niezdrową ekscytację podglądacza; niemal podniecenie seksualne. Dopiero później mogłem się zdobyć na bezstronność, spojrzeć zawodowym okiem analityka, oderwać się od hipnotycznej magii samego ekranu. Teraz natomiast ten sam obraz jakby rozdzielił się w mych oczach na poszczególne elementy, ciała bohaterów całkowicie zatraciły swój ludzki charakter, stały się czymś bliżej nie określonym, ruchomymi elementami dekoracji rozmieszczonej w mrocznym wnętrzu sali.

- Ta dziewczyna źle się czuła - powiedziała Theresa.

- Na to wygląda.

- Nie została zamordowana, w każdym razie nie przez niego.

- To możliwe.

Patrzyliśmy jeszcze, chociaż wydawało mi się to bezcelowe.

- Spróbujmy pojechać dalej - zaproponowałem w końcu. Magnetowidy były tak zaprogramowane, że przy określonym stanie licznika przewijały taśmy i zaczynały odtwarzanie od początku. Oglądaliśmy więc te same sceny po raz któryś z rzędu, ale tylko do pewnego momentu. Teraz, kiedy przeskoczyliśmy tę granicę, od razu spostrzegłem coś

niezwykłego. Mężczyzna przystanął nagle i szybko obejrzał się w bok. Jak gdyby kogoś dostrzegł albo usłyszał.

- Zauważył tego drugiego? - zapytałem.

- Możliwe. - Theresa wskazała ręką monitory. - Tu zaczyna się ten fragment zapisów, gdzie nie pasuje mi rozkład cieni. Teraz już wiemy dlaczego.

Cofnęła nieco taśmy. Na monitorze ukazującym widok z boku dostrzegłem, że mężczyzna spogląda uważnie w kierunku wyjścia. Wszystko wskazywało na to, że coś obudziło jego czujność. Nie był jednak przestraszony.

Theresa zaprogramowała powiększenie, postać mężczyzny się rozmyła.

- Widzi pani coś ciekawego?

- Nie, tylko jego profil.

- I nic więcej?

- Zarys jego szczęki... Zaraz. Widzi pan? On porusza ustami. Coś mówi.

- Do tego drugiego?

- Albo do siebie. Wyraźnie jednak spogląda w tamtą stronę. Proszę, nagle zaczął się szybciej poruszać.

Mężczyzna energicznym krokiem przemierzał salę konferencyjną, jak gdyby szedł w jakimś określonym celu. Przypomniałem sobie, że zastanowiło mnie to już wczoraj wieczorem, kiedy oglądałem ten zapis na komendzie. Mając przed sobą ujęcia z pięciu kamer, mogłem teraz dostrzec bez trudu, co on robi. Schylił się szybko i podniósł majtki z podłogi.

Następnie pochylił się nad martwą dziewczyną i ściągnął jej zegarek z ręki.

- Aha! On zabiera jej zegarek - mruknąłem.

Przyszło mi do głowy, że powód mógł być tylko jeden: zegarek pewnie miał wygrawerowany jakiś napis. Mężczyzna wcisnął go razem z majtkami do kieszeni i już się odwracał, kiedy obraz nagle zamarł. Theresa zatrzymała urządzenia.

- Co się stało? Wskazała jeden z monitorów.

- Tam - powiedziała.

Na ekranie był widok z góry, z kamery umieszczonej pod sufitem. Salę konferencyjną widzieliśmy przez szklane przepierzenie oddzielające ją od atrium. Dostrzegałem sylwetkę dziewczyny leżącej na stole oraz postać mężczyzny, który stał blisko wyjścia z sali.

- Nic nie widzę.

- Tam - wskazała. - Zapomnieli to wykasować.

W samym rogu ekranu zauważyłem ciemny zarys. Światło padało pod takim kątem, że widzieliśmy wyraźne odbicie człowieka w szklanej ścianie. To był mężczyzna.

Ten trzeci.

Musiał podejść bliżej i stał teraz pośrodku atrium, spoglądając na salę konferencyjną i zabójcę. Bez trudu dało się rozróżnić jego sylwetkę, niemniej było to tylko odbicie w szybie.

- Może pani to powiększyć i wyostrzyć? - zapytałem.

- Spróbuję.

Obraz się przybliżył, począł rozpadać na ziarna. Theresa zaprogramowała zwiększenie kontrastu i wyostrenie. Później się całkiem rozsypał w mozaikę plam, lecz dziewczyna bez większego trudu i z tym sobie poradziła. Cień był coraz większy i wyraźniejszy. Nie mogłem oderwać od niego oczu. Błądziłem wzrokiem po ekranie, chcąc jak najszybciej rozpoznać rysy mężczyzny.

Wciąż jednak było to tylko niewyraźne odbicie w szkle.

- Zastosuję wyrównywanie krawędzi.

Obraz na ekranie zmieniał się dość szybko. Stopniowo zanikała ziarnistość, ginęły smugi szarości. I oto nagle ujrzałem znajome rysy.

- Jasna cholera! - zakląłem.

- Wie pan, kto to jest?

- Tak - odparłem. - To Eddie Sakamura.

22

Teraz praca poszła nam znacznie szybciej. Nie mieliśmy już żadnych wątpliwości, że zapis na taśmach został zmontowany, by uniemożliwić nam identyfikację mordercy. Spoglądaliśmy z Theresa, jak mężczyzna wychodzi z sali konferencyjnej i zmierza w kierunku schodów, raz tylko obejrzawszy się z żalem na zwłoki dziewczyny.

- Jak to możliwe, żeby zdołali zmienić na wszystkich taśmach twarz mordercy w ciągu zaledwie kilku godzin? - zapytałem.

- Dysponują najnowszymi programami komputerowymi do obróbki obrazu - wyjaśniła Theresa. - Są w tej dziedzinie chyba najbardziej zaawansowani. Japończycy przykładają coraz większą wagę do softwaru, wkrótce i na tym polu prześcigną Amerykanów.

- To znaczy, że dysponują programami lepszymi od naszych?

- Owszem, lecz nawet mając takie programy narażali się na ogromne ryzyko. A ponieważ Japończycy nie lubią ryzyka, musiało to być dla nich stosunkowo proste zadanie. Morderca przez większość czasu stoi albo tyłem do kamery, albo w głębokim cieniu, trudno

więc dojrzeć jego twarz. Przypuszczam, iż wpadli na ten pomysł dość późno, dopiero po obejrzeniu zapisów, kiedy się przekonali, że trzeba zmienić tylko ten fragment... Właśnie tu, gdy mężczyzna przechodzi obok lustra.

Na ekranie ujrzałem wyraźne odbicie Eddiego Sakamury w lustrze. Na jego dłoni, którą sunął po ścianie, dostrzegłem dużą bliznę.

- Sam pan widzi - odezwała się Theresa - że jeśli przegrać tylko tę część zapisu, reszta może pozostać bez zmian. Wykorzystali tę dogodną sytuację, że nawet przy rejestracji obrazu z pięciu kamer jedynie ten fragment pozwala bez trudu zidentyfikować sprawcę. Tak sądzę.

Eddie Sakamura minął lustro i zniknął w cieniu korytarza. Theresa cofnęła taśmy.

- Przyjrzyjmy się temu.

Zatrzymała obraz mężczyzny przechodzącego obok lustra i zaczęła powiększać jego odbicie, aż rozłożyło się na grube ziarna.

- Aha, proszę zwrócić uwagę na rozkład piksli. Widzi pan tę regularność? Ktoś tu ingerował w zapis cyfrowy. Proszę spojrzeć na kość policzkową, na cień pod okiem. Zwykle granica między dwoma obszarami różniącymi się odcieniem szarości jest nieregularna. A ta linia była retuszowana, zmieniono rysy twarzy. Spróbujmy...

Obraz przesunął się w bok.

- Proszę, tu także.

Miałem przed oczyma mozaikę plam, nie wiedziałem nawet, jaka to część obrazu.

- Co to jest?

- Blizna na prawej dłoni. Widzi pan? Została dodana. Świadczy o tym rozkład piksli.

Nie umiałem tego dostrzec, ale wierzyłem jej na słowo.

- Kto więc był mordercą?

- To nie takie proste. - Theresa pokręciła głową. - Szukaliśmy wyraźnych odbić i nie znaleźliśmy ich. Została nam ostatnia metoda, której dotychczas nie próbowałam: choć jest najprostsza, to wykorzystuje te części obrazu, które najłatwiej można zmienić. Mówię o wydobywaniu szczegółów ciemnych miejsc zapisu.

- Ciemnych miejsc?

- Tak. Możemy spróbować odtworzyć rysy twarzy z jakiegoś fragmentu, na którym zabójca znajdował się w cieniu.

Mówiła to wyraźnie bez przekonania.

- Nie sądzi pani jednak, aby coś z tego wyszło? Wzruszyła ramionami.

- Nie, ale możemy spróbować. Tylko to nam pozostało.

- W porządku, bierzmy się do roboty.

Theresa zaczęła cofać taśmy. Na ekranach Eddie Sakamura tyłem minął lustro, idąc w stronę sali konferencyjnej.

- Chwileczkę - powiedziałem. - A co się dzieje potem, jak on mija lustro? Nie oglądaliśmy tamtej części zapisu.

- Robiłam to wcześniej. On wchodzi w głąb korytarza i znika w wyjściu.- Obejrzyjmy to jednak.

- W porządku.

Obraz ruszył do przodu, Eddie Sakamura szybkim krokiem znów szedł w kierunku wyjścia. Minął lustro, w którym mignęło odbicie jego twarzy. Stwierdziłem, że im częściej oglądam tę scenę, tym wyraźniej wyławiam szczegóły zmian. Miałem nawet wrażenie, że w jego ruchach wystąpiła jakaś drobna przerwa, ledwie zauważalne opóźnienie, jak gdyby ktoś celowo na moment spowolnił zapis, aby umożliwić nam identyfikację mordercy.

Mężczyzna wszedł w zaciemniony, wąski korytarz prowadzący ku schodom. Wyjście znajdowało się gdzieś za rogiem, poza polem widzenia kamery. Ale ściana zamykająca korytarz była jasno oświetlona i postać zabójcy ostro odcinała się na jej tle. Tworzyła jednak ciemny zarys sylwetki, nie dało się rozpoznać żadnych szczegółów.

- Nie - powiedziała Theresa. - Pamiętam tę część zapisu. Nic tu nie znajdziemy, jest za ciemno. *Kuronbo*. I mnie tak nazywano w Japonii: czarnuchem.

- Przecież mówiła pani o wyławianiu szczegółów z ciemnych miejsc zapisu.

- Owszem, ale nie z tego. Poza tym jestem przekonana, że ta część także została zmieniona. Tamci dobrze wiedzieli, że będziemy dokładnie badać ten fragment, przed i po przejściu obok lustra. Zdawali sobie sprawę, że poddamy analizie klatkę po klatce, niemal pod mikroskopem badając rozkład pikseli. Zatem z pewnością tę część wyretuszowali bardzo starannie, a wszystkie połączenie musieli jeszcze przyciemnić.

- Zgoda, ale pomimo to...

- Zaraz! - wykrzyknęła. - A co to było? Obraz znieruchomiał.

Odwrócony plecami morderca znajdował się już blisko białej ściany, nad głową miał tablicę z napisem: EXIT.

- To tylko zarys postaci.

- Tak, ale coś mi się tu nie zgadza.

Bardzo powoli cofnęła taśmę. Wbiiałem wzrok w ekran.

- *Machigai no umi oshete kudasai* - powiedziałem. To zdanie pochodziło z jednej z pierwszych lekcji japońskiego.

W półmroku dostrzegłem uśmiech Theresy.

- Będę się musiała zająć pańskim japońskim, poruczniku. Chciał pan zapytać, czy wyłowiliśmy coś niezwykłego?

- Tak.

- To słowo brzmi *umu*, a nie *umi*. *Umi* to ocean, *umu* zaś oznacza prośbę o konkretną odpowiedź, tak lub nie. Jestem przekonana, że znalazłam błąd w zapisie.

Taśma cofała się powoli, mężczyzna wracał w naszą stronę.

- Tak, tu popełnili błąd. Aż nie chce mi się wierzyć. Widział pan to?

Ponownie puściła taśmę do przodu. Uważnie wpatrywałem się w ciemny zarys odwróconego tyłem mordercy.

- Tutaj, widział pan?

- Przykro mi, ale nie.

- Proszę się skupić - rzuciła nieco poirytowana. - Niech pan patrzy na zarys ramion mężczyzny. Unoszą się i opadają rytmicznie przy każdym kroku, a w pewnym momencie... Tutaj! Widział pan?

Wreszcie to zauważyłem.

- Jego sylwetka jakby nagle urosła, stała się większa.

- Tak, właśnie. Stała się większa. - Pokręciła jedną z gałek. - Dość wyraźnie większa, poruczniku. Próbowali to zamaskować, wprowadzając zmianę podczas uniesienia ramion przy kolejnym kroku, żeby tak bardzo nie rzucało się w oczy. Ale błąd jest zauważalny.

- I cóż to oznacza?

- Że nas lekceważą - syknęła z wściekłością. Zaskoczył mnie ton jej głosu, poprosiłem o wyjaśnienie.

- Mają nas gdzieś - rzekła, przebiegając szybko palcami po klawiaturze i programując kolejne powiększenia. - Zakładali bowiem, że przyjmimy ten obraz bez zastrzeżeń, nie wykazemy się inteligencją i nie będziemy go analizować. Krótko mówiąc, że nie podejmiemy do niego tak, jak Japończycy.

- Ale...

- Jak ja ich nienawidzę.

Obraz przesuwał się z wolna, a na ekranach mieliśmy teraz jedynie zarys głowy mężczyzny.

- Słyszał pan o Takeshicie Noboru?

- O tym przemysłowcu?

- Nie, Takeshita był premierem. Kilka lat temu zażartował publicznie na temat amerykańskich marynarzy z floty wojennej. Powiedział, że Ameryka jest już tak biedna, iż

chłopcy z marynarki nie chcą nawet schodzić na ląd, żeby nacieszyć się życiem w Japonii, gdyż wszystko dla nich jest za drogie. Stwierdził, że wolą pozostać na pokładzie statku i zarażać się nawzajem AIDS. To była próbka japońskiego poczucia humoru.- Naprawdę tak powiedział? Przytaknęła ruchem głowy.

- Na miejscu Amerykanów natychmiast bym kazała wycofać okręty i odparła, żeby Japończycy pocałowali się w dupę i od tej chwili sami ponosili koszty obrony kraju. To była dość głośna sprawa, nie słyszał pan o tym?

- Nie.

Pokręciła ze zdumieniem głową.

- No tak, amerykański serwis informacyjny...

Działała z niezwykłą furją, gorączkowo uderzając w klawisze komputera. W pewnej chwili obraz przybliżył się jeszcze bardziej i na ekranie została tylko nierozróżnialna kasza.

- Do dupy...

- Uspokój się, Theresa.

- Niech mi pan nie pieprzy o spokoju. Zaraz będziemy ich mieli.

Ponownie wyodrębniła zarys głowy mężczyzny i zaczęła powolutku przesuwając taśmę. Teraz bez kłopotu dostrzegłem miejsce, w którym następowała wyraźna zmiana wielkości sylwetki zabójcy.

- Tu jest ten ich błąd - wyjaśniła. - Od tego momentu zaprogramowany komputerowo obraz z powrotem ustępuje miejsca pierwotnemu zapisowi. Teraz patrzemy na oryginalny obraz, mamy przed sobą sylwetkę rzeczywistego zabójcy.

Mężczyzna powoli zbliżał się do końca korytarza. Theresa nadal przesuwiała taśmę klatka po klatce, aż w końcu ciemny zarys głowy zaczął się zmieniać.

- W porządku, chciałam znaleźć właśnie to miejsce.

- Które?

- On się odwraca, po raz ostatni spogląda w kierunku sali konferencyjnej. Widzi pan? Obraca głowę. Na ciemnej sylwetce pojawia się zarys nosa, który zaraz zginie, kiedy mężczyzna popatrzy za siebie. No, teraz spogląda prosto w kamerę.

Nadal widziałem tylko czarny kontur głowy.

- Niewiele nam z tego przyjdzie.

- Zobaczymy. Uderzyła w klawisze.

- Zaraz będą widoczne szczegóły - powiedziała. - To tak, jak z odtwarzaniem detali na prześwietlonym filmie. Zostały utrwalone na taśmie, choć nie możemy ich chwilowo zobaczyć... Dobra, jeszcze jedno powiększenie... A teraz spróbujemy rozjaśnić... Proszę!

Niespodziewanie obraz zaczął się robić wyraźniejszy. Biała ściana w tle zapłonęła oślepiająco, tworząc jakby aureolę wokół głowy mężczyzny. Ciemny owal twarzy pojaśniał i już po chwili mogliśmy dostrzec wyraźnie rysy twarzy mordercy.

- Och, to nie jest Japończyk! - W jej głosie wyczułem rozczarowanie.

- Wielkie nieba! - mruknąłem.

- Wie pan, kto to jest?

- Tak - odparłem.

Na twarzy zabójcy malowało się napięcie, zaciśnięte wargi tworzyły grymas wściekłości. Bez trudu jednak potrafiłem rozpoznać tego człowieka.

Patrzyłem na oblicze senatora Johna Mortona.

23

Usiadłem, spoglądając na nieruchomy obraz. Docierał do mnie przytłumiony szum jakichś urządzeń oraz odgłosy kropel wody, które spadały w głębi ciemnej pracowni, tworząc na podłodze kałuże. Theresa oddychała szybko, niczym biegacz tuż za metą.

Nie mogłem oderwać wzroku od ekranu. Wszystko zaczynało mi pasować, jak gdyby kawałeczki układanki same odnalazły swoje miejsca i utworzyły logiczną całość.

Julia Young: Ona ma teraz przyjaciela, który dużo podróżuje. Nosi ją po świecie, do Nowego Jorku, Waszyngtonu, Seattle... na spotkania z nim. Jest nieprzytomnie zakochana w tym facecie.

Jenny w studiu telewizyjnym: Ale taki idealny to on chyba nie jest, bo słyszałam, że ma młodą przyjaciółkę.

Eddie: Ona lubi robić na złość. Lubi namieszać.

Jenny: Od jakichś dziewięciu miesięcy widuję tę dziewczynę na przyjęciach, w towarzystwie różnych typków z Waszyngtonu.

Eddie: Ona była chora. Rajcował ją ból.

Jenny: Morton zasiada w senackiej komisji finansów. Tej, która prowadzi przesłuchania w sprawie sprzedaży MicroConu.

Cole, strażnik ze służby ochrony, podczas rozmowy w barze: Oni mają w kieszeni różnych ważniaków. Możemy im naskoczyć.

Connor: Komuś bardzo zależy na szybkim zakończeniu tego śledztwa. Chcą, żebyśmy się poddali.

Morton: Czy wasze dochodzenie zostało już formalnie zamknięte?

- Cholera - zakląłem.

- Kto to jest?

- Jeden z senatorów.

Theresa aż gwizdnęła. Spojrzała na ekran.

- Z jakiego powodu go chronią?

- Ten człowiek zajmuje bardzo wysokie stanowisko i, jak sądzę, tylko od niego zależy, czy Japończycy uzyskają zgodę na zakup pewnej firmy. Niewykluczone, że są także inne powody.

Pokiwała głową.

- Czy możemy to wydrukować? - zapytałem.

- Nie mamy odpowiedniego sprzętu, żeby przelać ten obraz na papier. Nie stać nas na to.

- Więc co możemy zrobić? Muszę mieć jakiś namacalny dowód.

- Zrobię kilka zdjęć z polaroida. Powinny być wystarczająco czytelne.

Odeszła w głąb ciemnego pomieszczenia, usłyszałem stukot szuflad. Po chwili wróciła z aparatem. Stała blisko monitora i zrobiła parę fotografii.

Wystawiliśmy je na działanie błękitnawego światła ekranów i czekaliśmy, aż ukaze się obraz.

- Bardzo dziękuję za pomoc - powiedziałem.

- Nic wielkiego. Trochę mi tylko żal.

- Z jakiego powodu?

- Wiem, że spodziewali się panowie, iż zabójcą jest Japończyk. Domyśliłem się, że mówi za siebie, i nie odpowiedziałem.

Zdjęcia powoli ciemniały, były bardzo wyraźne, czytelne. Kiedy chowałem je do kieszeni, wyczułem w mej coś twardego. Wyciągnąłem to.

- Ma pan japoński paszport? - zapytała Theresa.

- To nie mój, lecz Eddiego. - Wsunąłem go z powrotem do kieszeni. - Pójdę już. Muszę poszukać kapitana Connora.

- Oczywiście. - Odwróciła się z powrotem w stronę komputera.

- Co pani ma zamiar teraz robić? - zapytałem.

- Popracuję jeszcze nad tym.

Zostawiłem ją samą. Wyszedłem tylnymi drzwiami na korytarz biegnący przez podziemia.

Oślepiło mnie światło słoneczne. Z budki telefonicznej zadzwoniłem do Connora. Był w samochodzie. - Gdzie jesteś? - zapytałem. - Przed hotelem.

- Jakim hotelem?

- Cztery Pory Roku - odparł Connor. - Mieszka tu senator Morton.

- Na co czekasz? Czy wiesz, że...

- *Kohai!* - przerwał mi. - Nie zapominaj, że to linia publiczna. Sprowadź sobie taksówkę, spotkamy się na Westwood Boulevard, pod numerem 1430. Będę tam za dwadzieścia minut.

- Ale jak...

- Żadnych pytań. Odłożył słuchawkę.

Obrzuciłem wzrokiem budynek przy Westwood Boulevard 1430. Był to niewielki dom pomalowany na brązowo, na drzwiach widniał duży numer. Obok znajdował się punkt naprawy zegarków, a po drugiej stronie francuska księgarnia.

Podszedłem do drzwi i zapukałem. Zwróciłem uwagę, że na tabliczce pod numerem wyryte są japońskie hieroglify.

Nikt nie odpowiedział, więc nacisnąłem klamkę. Wszedłem do maleńkiego, lecz wytwornego baru sushi. Przed kontuarem stały zaledwie cztery stołki. Connor był jedynym klientem, siedział w najdalszym końcu lokalu. Pomachał mi ręką.

- Przywitaj się z Imae, nikt tak jak on nie przyrządza sushi w Los Angeles. Imae-san, Sumisu-san.

Szef powitał mnie ukłonem i z uśmiechem postawił na ladzie talerzyk.

- *Kore o dozo, Sumisu-san.* Usiadłem przy kontuarze.

- *Dorno, Imae-san.*

- *Hai.*

Spojrzałem na sushi. Była to porcja różowawej ikry, na której wierzchu spoczywało pomarańczowe, surowe żółtko jaja. Poczułem nagły skurcz żołądka.

Obróciłem się w stronę Connora.

- *Kore o tabetakoto arukai?* - zapytał. Pokręciłem głową.

- Przykro mi, ale nie rozumiem.

- Będziemy musieli popracować nad twoim japońskim, żebyś mógł się dogadać ze swoją nową dziewczyną.

- Jaką nową dziewczyną?

- Myślę, iż powinieneś mi podziękować za to, że zostawiłem wam tak dużo czasu.

- Chodzi ci o Therese? Uśmiechnął się.

- Potrafisz być straszny, *kohai*. Pewnie dlatego w przeszłości ci się nie układało. W każdym razie pytałem, czy wiesz, co to jest.

- Nie mam pojęcia.

- Ikra łososia z jajkiem przepiórki - odparł. - Mnóstwo protein, żywa energia. Będziesz tego potrzebował.

- Na pewno?

- Trzeba mieć dużo siły dla dziewczyny - wtrącił Imae i zachichotał. Rzekł coś szybko po japońsku do Connora.

Ten mu odpowiedział i obaj wybuchnęli śmiechem.

- Co w tym zabawnego? - spytałem.

Poczułem się nieco zakłopotany i spróbowałem trochę sushi. Jeśli nie liczyć tego, iż żółtko rozmazywało się po języku, potrawa była wyśmienita.

- Dobre? - zapytał Imae.

- Bardzo smaczne - odparłem. Zjadłem jeszcze trochę i zwróciłem się do Connora: - Czy wiesz, co odkryliśmy na kasetach? To wprost niewiarygodne.

Kapitan powstrzymał mnie uniesioną dłonią.

- Proszę. Musisz się nauczyć odpoczywać na wzór Japończyków. Wszystko w swoim czasie. *Oaiso onegai shimasu*.

- *Hai, Connor-san*.

Właściciel baru wypisał rachunek, Connor odliczył pieniądze i uklonił się. Nastąpiła jeszcze krótka wymiana zdań po japońsku.

- Wychodzimy stąd?

- Tak. Ja już jadłem, a ty, przyjacielu, nie możesz się przecież spóźnić na spotkanie.

- Jakie znów spotkanie?

- Ze swoją byłą żoną, zapomniałeś? Jedźmy już, może ona tam czeka.

Zmierzałem w kierunku swojego mieszkania, Connor wyglądał przez okno.

- Skąd wiedziałeś, że to był Morton?

- Nie wiedziałem - odparł. - Nabrałem podejrzeń dopiero dziś rano. Ale już wczoraj wieczorem byłem przekonany, że zapis na kasetach został zmieniony. Pomyślałem, że niepotrzebnie zmarnowaliśmy z Theresa tyle czasu na przeszukiwanie kaset, programowanie zbliżeń i analizowanie obrazu.

- Chcesz mi powiedzieć, że wystarczyło ci zaledwie rzucić okiem na ekran i już wiedziałeś o wprowadzonych zmianach?

- Właśnie.

- Jak to możliwe?

- Uderzył mnie jeden podstawowy błąd. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy z Eddie'm na przyjęciu? Miał wielką bliznę na dłoni.

- Tak. Wyglądała jak ślad po rozległym oparzeniu.

- Na której dłoni miał bliznę?

- Na której? - Zmarszczyłem brwi.

Wróciłem pamięcią do wczorajszego spotkania. Eddie stał w ogródku kaktusowym, palił papierosy i pstrykał niedopałkami; gestykulował i poruszał się nerwowo. Przypomniałem sobie, jak wyciągał te papierosy. Miał bliznę...

- Na lewej - odparłem.

- No właśnie.

- Ale mężczyzna na taśmie wideo także ma bliznę. Widać to wyraźnie, kiedy przechodzi obok lustra. Przez chwilę wodzi dłonią po ścianie...

Urwałem.

Na filmie zabójca sunął po ścianie prawą dłonią.

- Jezu - syknąłem.

- Sam widzisz, popełnili błąd. Może ktoś się pomylił i potraktował ten obraz jako odbicie lustrzane albo działali w pośpiechu i nie pamiętali, na której ręce Eddie miał bliznę.

- Więc już wczoraj, kiedy zauważyłeś, że ten mężczyzna ma bliznę na drugiej dłoni...

- Od razu się domyśliłem, że zapis na taśmach został zmieniony - odrzekł Connor. - Ale chciałem, żebyś dzisiaj rano dokładnie przeanalizował zdjęcia. Dlatego wysłałem cię do WNB po adresy laboratoriów, w których by można dokonać takiej analizy. A sam poszedłem spać.

- Dlaczego w takim razie nie sprzeciwiłeś się aresztowaniu Eddiego? Wiedziałeś już wtedy, że to nie on jest mordercą.

- Czasami warto zostawić pewne rzeczy ich naturalnemu biegowi. Miałem już pewność, że komuś bardzo zależy, byśmy uznali Eddiego za mordercę. Dlatego się nie wtrącałem.

- I w ten sposób przyczyniłeś się do śmierci niewinnego człowieka.

- Nie nazwałbym go niewinnym - odrzekł Connor. - Eddie siedział w tym bagnie po uszy.

- A senator Morton? Skąd wiedziałeś, że to on?

- Nie wiedziałem, dopóki dziś rano nie poprosił nas o spotkanie. W ten sposób się zdradził.

- Czym?

- Był za bardzo ugrzeczniony. Przypomnij sobie dokładnie, co powiedział. Pomijając wszystkie puste słowa, aż trzy razy pytał nas, czy formalnie zakończyliśmy śledztwo. Poza tym bardzo chciał wiedzieć, czy połączyliśmy sprawę zabójstwa ze sprzedażą MicroConu. Gdybyś się nad tym dobrze zastanowił, sam doszedłbyś do wniosku, że to bardzo dziwne pytanie.

- Dlaczego? Przecież senator rozmawiał z Hanadą i z innymi ludźmi. Sam to przyznał.

- Nie. - Connor pokręcił głową. - Jeśli oddzielisz cały niepotrzebny bełkot, na podstawie jego wypowiedzi można prześledzić wyraźny tok myślowy: najpierw zapytał, czy zamknęliśmy dochodzenie, potem, czy znaleźliśmy powiązania ze sprzedażą MicroConu. Wynikało stąd jednoznacznie, że w najbliższym czasie ma zamiar zmienić stanowisko w sprawie tej transakcji.

- Dobra, załóżmy...

- Nie wyjaśnił jednak rzeczy zasadniczej: z jakiego powodu ma zamiar zmienić stanowisko w kwestii MicroConu.

- Nieprawda - zaoponowałem. - Powiedział, że czuje się osamotniony, że nikt go nie popiera.

Connor podsunął mi odbitkę kserograficzną. Ujrzałem kopię jakiegoś artykułu z gazety.

- Teraz prowadzę. Powiedz mi, o co chodzi.

- To wywiad senatora Mortona dla „Washington Post”. Wyjaśnia tu swoje stanowisko w sprawie MicroConu. Twierdzi, że transakcja godzi w interesy obronności kraju i obraża dumę narodową. Klasyczny bełkot. Wyprzedaż naszych technologii i uzależnienie przyszłości Stanów Zjednoczonych od Japończyków. Identyczne ble ble. Tak było jeszcze w czwartek rano. Natomiast w czwartek wieczorem senator bierze udział w osławionym przyjęciu i już w piątek rano błyskawicznie zmienia stanowisko w sprawie MicroConu. Teraz nic mu nie przeszkadza. Nie wiesz przypadkiem dlaczego?

- Jezu! - mruknąłem. - I co my teraz zrobimy?

- Wszystko w swoim czasie - odparł Connor. - Tutaj mieszkasz? Przy krawężniku stały telewizyjne wozy transmisyjne. W kilku autach dostrzegłem za przednią szybą tabliczki z napisem: PRASA. Przed drzwiami kamienicy, w której mieszkałem, kłębił się na chodniku tłum reporterów. Dostrzegłem wśród nich Wilhelma „Łasicę”, stał oparty o maskę samochodu. Nigdzie nie widziałem jednak mojej byłej żony.

- Jedź dalej, *kohai* - rzekł Connor. - Przy najbliższym skrzyżowaniu skreć w prawo.

- Po co?

- Pozwoliłem sobie wcześniej zadzwonić do biura prokuratora okręgowego. Przeniosłem miejsce twego spotkania z żoną do pobliskiego parku.

- Naprawdę?

- Sądziłem, że tak będzie dla wszystkich lepiej.

Skręciłem w przecznicę. Hampton Park otacza szkołę podstawową, o tej porze dzieciaki grały na boisku w baseball. Zwolniłem, szukając miejsca do zaparkowania. W pewnej chwili minąłem samochód, w którym siedziało dwoje ludzi. Mężczyzna palił papierosa, a kobieta za kierownicą nerwowo bębniła palcami o deskę rozdzielczą. Rozpoznałem Lauren.

Zatrzymałem wóz.

- Zaczekam tutaj - rzekł Connor. - Powodzenia.

24

Lauren zawsze preferowała stonowane kolory. Miała na sobie beżowy zakiet, a pod nim kremową jedwabną bluzkę. Jasne włosy zaczesiała do tyłu, nie nosiła żadnej biżuterii. Wyglądała na osobę kompetentną, a zarazem była pociągająca, udawało jej się to wyjątkowo dobrze.

Poszliśmy chodnikiem wzdłuż parku, patrząc na chłopców trenujących baseball. Żadne z nas nie odezwało się słowem. Mężczyzna, który jej towarzyszył, został w samochodzie. Ze skrzyżowania można było dostrzec gromadę reporterów czekających przed moim domem.

Lauren zerknęła na mnie i odezwała się w końcu:

- Wielkie nieba, Peter. Sama nie mogę w to uwierzyć. Naprawdę. Ale to bardzo poważna sprawa i może zagrozić mojej karierze.

- Kto ich zawiadomił? - spytałem.

- Nie ja.

- Ktoś jednak przekazał dziennikarzom, że mamy się tu spotkać o czwartej.

- Uwierz mi, że to nie ja.

- Aha. I tylko przypadkiem się tak wystroiłaś?

- Byłam rano w sądzie.

- Dobra, załóżmy.

- Odpieprz się, Peter.
- Powiedziałem: załóżmy.
- Dupa z ciebie, a nie detektyw.

Odwróciła się i ruszyła wzdłuż parku. Gromadę reporterów mieliśmy teraz za plecami. Lauren westchnęła.

- Posłuchaj. Spróbujmy się zachowywać jak cywilizowani ludzie.
- W porządku.

- Nie mam pojęcia, jak wdepnąłeś w to bagno, Peter. Przykro mi, ale wniosę sprawę o pozbawienie cię prawa opieki. Nie mogę pozwolić, żeby moją córkę wychowywał jakiś podejrzany osobnik. Po prostu nie mogę do tego dopuścić. Muszę myśleć o karierze, o reputacji w biurze.

Lauren zawsze zwracała uwagę na to, co o niej mówią.

- A czemuż to miałbym być podejrzany osobnikiem?
- Czemu? Molestowanie nieletnich to bardzo poważne oskarżenie, Peter.
- Nikt mnie jeszcze nie oskarżył.
- Podejrzewano cię w przeszłości, a ja muszę to brać pod uwagę.
- Wiesz wszystko na temat tego wydarzenia - odparłem. - Byliśmy już małżeństwem,

niczego przed tobą nie ukrywałem.

Wydęła pogardliwie wargi.

- Michelle musi przejść badania.
- Dobra, wynik i tak będzie negatywny.
- Mówiąc szczerze, nie obchodzi mnie, jaki będzie wynik. To nas przerosło, Peter.

Muszę ci odebrać prawo opieki. Dla spokoju sumienia.

- Dla spokoju sumienia?

- Nie inaczej.

- A co ty wiesz o wychowywaniu dzieci? Musiałabyś poświęcić wiele czasu, zaniedbać swoją karierę.

- Nie mam wyboru, Peter. To ty nie dajesz mi wyboru - rzekła zboląłym głosem. Odgrywanie roli pokrzywdzonej zawsze jej świetnie wychodziło.

- Lauren, wiesz dobrze, iż tamto oskarżenie było lipne. Odgrzebujesz stare sprawy tylko dlatego, że skontaktował się z tobą Wilhelm.

- On nie ze mną się kontaktował, lecz z zastępcą prokuratora, z moim szefem.

- Lauren...

- Przykro mi, Peter. Sam to sobie ściągnąłeś na głowę.

- Lauren...

- Mówię poważnie.

- Lauren, to bardzo niebezpieczna gra.

Zaśmiała się gardłowo.

- Co ty powiesz? Wydaje ci się, Peter, że ja o tym nie wiem? Rzykuję wszystko.

- O czym ty mówisz?

- A jak ci się wydaje, ty sukinsynu?! - rzuciła z furją. - Mówię o Las Vegas!

Milczałem, gdyż nie bardzo pojmowałem, do czego ona zmierza.

- Zastanów się! Ile razy byłeś w Las Vegas?

- Tylko raz.

- I już przy pierwszym podejściu zdobyłeś wielką wygraną?

- Lauren, przecież wiesz, jak to było...

- Owszem, aż za dobrze. A ile czasu minęło od tej historii do twej podróży do Las Vegas? Tydzień? Dwa?

Zrozumiałem wreszcie. Bała się, że ktoś połączy ze sobą te dwie rzeczy i jakimś sposobem dowie się prawdy. A ona miała w tym swój udział.

- Powinieneś był pojechać jeszcze raz, w ubiegłym roku.

- Miałem mnóstwo pracy.

- O ile pamiętasz, Peter, namawiałam cię, żebyś jeździł do Vegas co rok, wówczas nikt nie mógłby się niczego domyślić.

- Byłem zajęty. Nie zapominaj, że mam dziecko na utrzymaniu. Pokręciła głową.

- Aha. No to masz rezultat.

- O co ci chodzi? Nikt się nigdy nie dowie... Dopiero teraz wywołałem jej wściekłość.

- Nikt się nie dowie? - wybuchnęła. - Oni się już dowiedzieli! Oni wszystko wiedzą, Peter! Jestem pewna, że ktoś już odnalazł Martinezów, Hernandezów, czy jak tam się oni nazywali...

- Ależ to niemożliwe...

- Na miłość boską! Jak sądzisz, dlaczego dostałeś pracę łącznika? Jak ci się udało zdobyć to stanowisko?

Zmarszczyłem brwi, próbując sobie przypomnieć zdarzenia sprzed roku.

- Przeczytałem ogłoszenie w naszym wydziale. Sporządzono listę kandydatów...

- A co potem?

Zawahałem się. Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, jak to wyglądało od strony formalnej. Ktoś tam uznał, że się nadaję do tej roboty i zostałem wciągnięty na listę.

Mieliśmy wtedy mnóstwo pracy, robota w dziale rzecznika prasowego komendy to straszna harówka.- Więc ja ci powiem, jak to było - odezwała się Lauren. - Szef Wydziału Służb Specjalnych zaakceptował poszczególnych kandydatów, ale wybór został dokonany w porozumieniu z przedstawicielami społeczności azjatyckiej.

- No cóż, może i tak było. Nie rozumiem jednak...

- A wiesz, jak długo przedstawiciele społeczności azjatyckiej sprawdzali listę kandydatów? Trzy miesiące. Mieli dość czasu, żeby się dowiedzieć o każdym z was wszystkiego. Absolutnie wszystkiego. Począwszy od numeru kołnierzyka, a skończywszy na wielkości konta bankowego. Możesz mi wierzyć, że z pewnością sprawdzali te zarzuty o molestowanie dzieci. Dowiedzieli się też o twojej podróży do Las Vegas i skojarzyli oba te fakty. To wcale nie takie trudne.

Miałem już zaprotestować, kiedy przypomniałem sobie, co Ron powiedział dziś rano: „Teraz będą sprawdzać każdy dzień twego życia”.

- Czyżbyś chciał nadal utrzymywać, że nic nie wiesz o mechanizmach, które tu rządzą? Że nic cię nie obchodzi, co nas czeka? Na Boga, Peter! Ocknij się. Oboje wiemy, z jakiego powodu zmieniłeś pracę: potrzebowałeś pieniędzy. Liczyłeś na wyższe zarobki, tak jak wszyscy, którzy wchodzą w układy z Japończykami. Wiesz dobrze, jak oni załatwiają takie sprawy. Każdemu coś kapnie. Ty zyskałeś, ale zyskał również twój wydział. Szef także coś dostał. O każdego trzeba odpowiednio zadbać, jeśli chce się mieć za łącznika tego a nie innego kandydata. Japończycy już wtedy musieli mieć na ciebie haka. Teraz mają również haka na mnie. Wszystko dlatego, że w ubiegłym roku nie pojechałeś ponownie do Las Vegas.

- I właśnie dlatego uważasz, że musisz mi odebrać prawo do opieki nad Michelle?

Westchnęła.

- W tej chwili musimy po prostu grać wyznaczone nam role. Zerknęła na zegarek i obejrzała się na reporterów. Domyśliłem się, że chce jak najprędzej z tym skończyć, stanąć przed kamerami i wygłosić mowę, którą zapewne przygotowała wcześniej. Lauren lubowała się w tego typu dramatycznych wystąpieniach.

- Tylko czy jesteś pewna swojej roli, Lauren? W ciągu kilku godzin wokół tej sprawy zrobi się wielki szum, chcesz być w to zamieszana?

- Już jestem zamieszana.

- Jeszcze nie.

Wyjąłem z kieszeni zdjęcie i pokazałem jej.

- Co to jest?

- Fragment obrazu zarejestrowanego wczoraj wieczorem na taśmie wideo przez służby ochrony Nakamoto. Wtedy gdy zamordowano Cheryl Austin.

- Żartujesz? - Oczy jej się rozszerzyły.

- Ani trochę.

- I chcesz to ujawnić?

- Będę musiał.

- Masz zamiar aresztować senatora Mortona? Chyba ci się całkiem poprzewracało w tym twoim zakutym łbie.

- Możliwe.

- Nie zobaczysz już światła dziennego, Peter.

- Możliwe.

- Zakopią cię tak szybko i tak głęboko, że nawet się nie zorientujesz.

- Możliwe.

- Nie wolno ci tego robić i świetnie wiesz dlaczego. Ostatecznie najbardziej by na tym ucierpiała Michelle.

Nie odpowiedziałem. Chyba z każdą chwilą brzydziłem się nią coraz bardziej. Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu, Lauren stuknęła obcasami o chodnik.

- Peter - rzekła w końcu. - Jeśli się upierasz, że trzeba doprowadzić tę zwariowaną sprawę do końca, nic na to nie mogę poradzić. Po przyjacielsku radziłabym ci jednak zrezygnować, inaczej nie zdołam ci w żaden sposób pomóc.

Wciąż się nie odzywałem. Patrzyłem na nią uważnie. W ostrym słońcu dostrzegłem na jej twarzy pierwsze zmarszczki, a na zębach ślady szminki. Lauren zdjęła ciemne okulary i spojrzała na mnie, jak gdyby zaniepokojona. Znów się odwróciła i popatrzyła w stronę reporterów. Nerwowo postukała okularami w wierzch dłoni.

- Jeśli tak sprawy wyglądają, Peter, to chyba lepiej się wstrzymam na dzień lub dwa i zobaczę, co z tego wyjdzie.

- Rozumiem.

- Doszłam jednak do wniosku, że nie należy łączyć kwestii opieki nad Michelle z tamtym oskarżeniem. - Z powrotem włożyła okulary. - Żal mi cię, Peter. Mówię szczerze. Miałaś niezłe perspektywy, dowiedziałam się ostatnio, że rozpatrywano twoją kandydaturę na stanowisko zastępcy szefa wydziału. Ta sprawa ci jednak nie pomoże.

Skwitowałem to uśmiechem.

- Co z tego?

- Czy masz jakikolwiek dowód poza tą fotografią?- Nie wiem, czy powinienem ci zdradzać szczegóły.

- Jeśli dysponujesz tylko tą fotografią, nic nie wskórasz. Zdjęcia nie mogą być użyte jako dowód w sądzie, zbyt łatwo je podrobić.

- Zobaczymy.

- Stawiasz wszystko na jedną kartę: swoją pracę, karierę zawodową, przyszłość dziecka... Absolutnie wszystko. Ocknij się. Co ci z tego przyjdzie?

Ruszyła z powrotem w stronę samochodu, poszedłem za nią. Milczeliśmy oboje. Myślałem, że przynajmniej zapyta, jak się czuje Michelle, lecz jej nie to było w głowie. Nie zdziwiłem się za bardzo. Zawsze miała jakieś ważniejsze sprawy.

Zatrzymałem się na chodniku, ona obeszła maskę i chciała już otworzyć drzwi od strony kierowcy.

- Lauren.

Spojrzała na mnie ponad dachem samochodu.

- Zatrzymaj tę informację tylko dla siebie, co najmniej przez dobę, zgoda? Żadnych poufnych telefonów.

- Nie martw się - odparła. - O niczym nie wiem. Szczerze mówiąc, zaczynam w ogóle żałować, że cię kiedykolwiek spotkałam.

Wsiadła i odjechała. Poczulem się nagle rozluźniony, napięcie minęło. Ulżyło mi nie tylko z tego powodu, że zdołałem namówić Lauren do wycofania oskarżenia, przynajmniej na jakiś czas. Było coś jeszcze, co sprawiło, że poczułem się tak, jakby mi ktoś zdjął wielki ciężar z barków.

25

Wraz z Connorem weszliśmy tylnymi drzwiami do mego domu, unikając spotkania z reporterami. Zrelacjonowałem mu wszystko, lecz tylko wzruszył ramionami.

- To cię zaskoczyło? Mówię o sposobie wyboru oficera łącznikowego.

- Trochę. Nigdy się tym nie interesowałem. Pokiwał głową.

- Właśnie tak to się odbywa. Japończycy są mistrzami w tworzeniu tego, co nazywają systemem zachęty. Na początku w wydziale było sporo obiekcji w kwestii dopuszczenia obcych do głosu przy wyborze łącznika. Ale Japończycy argumentowali, że ich rekomendacje

w żaden sposób nie będą wiążące, nie ukrywali jednak, iż wybór odpowiedniej osoby na to stanowisko ma dla nich ogromne znaczenie.

- Aha.

- Chcąc wykazać, że mają dobre intencje, zaproponowali spory wkład do naszego funduszu emerytalnego.

- Jaka to była suma?

- Chyba pół miliona. Później zaproszono szefa do Tokio na konsultacje w sprawie nowego systemu ewidencji kryminalistów. Trzytygodniowa wycieczka, z czego tydzień na Hawajach. Najlepsze hotele, pełen luksus. Wiesz, jak stary to lubi.

Minęliśmy podest pierwszego piętra.

- No i kiedy szef wrócił, okazało się, że wydział w zasadzie nie ma prawa ignorować rekomendacji społeczności azjatyckiej. Zbyt wiele było do stracenia.- Czuję się jak podrzutek.

- Zawsze możesz zrezygnować - rzekł Connor. - Czy udało ci się nakłonić żonę do wycofania oskarżeń?

- Byłą żonę. Lauren doskonale potrafi wyczuć sytuację, jest znakomicie wyszkolonym pieskiem polityków. Ale musiałem jej zdradzić, kto jest mordercą.

Wzruszył ramionami.

- Nie będzie mogła wykorzystać tej informacji, przynajmniej w najbliższym czasie.

- A co ze zdjęciami? Powiedziała, że nie możemy ich przedstawić w sądzie. Sanders mówił to samo. Czy mamy inne dowody?

- Pracuję nad tym - odparł Connor. - Myślę, że coś zdobędziemy.

- Jak?

Ponownie wzruszył ramionami.

Stanęliśmy przed drzwiami mego mieszkania. Otworzyłem je i weszliśmy do kuchni. Nie było tu nikogo. Minąłem przedpokój i zacząłem nasłuchiwać przed wyjściem na klatkę, ale na zewnątrz panowała cisza. Drzwi do salonu były zamknięte. Poczulem delikatny zapach dymu z papierosów.

Elaine, moja gosposia, stała w pokoju przy oknie i wyglądała na gromadę reporterów czekających na chodniku. Odwróciła się szybko na dźwięk moich kroków. Sprawiała wrażenie przestraszonej.

- Z Michelle wszystko w porządku?

- Tak.

- Gdzie ona jest?

- Bawi się w salonie. Odwróciłem się.

- Poruczniku! - zawołała za mną Elaine. - Chcę panu wpierw coś powiedzieć.

- Nieważne - rzekł Connor. - Już wszystko wiemy. Elaine i kapitan ruszyli za mną.

Otworzyłem drzwi salonu.

I wtedy przeżyłem największy szok w moim życiu.

26

John Morton siedział na krzeselku przed lustrem w studiu telewizyjnym, z zawiązaną pod brodą serwetką, a charakteryzatorka pudrowała mu czoło. Jego doradca, Woodson, podszedł do niego i rzekł:

- Doradzają panu w ten sposób załatwić tę sprawę. Wręczył mu wydruk z telefaksu.

- Podstawą jest twierdzenie - dodał - że inwestycje zagraniczne ożywiają gospodarkę amerykańską, dopływ obcego kapitału pozwala zachować naszą pozycję, a także to, że wiele możemy się nauczyć od Japończyków.

- A jednak nauki idą w las - zauważył posepnie Morton.

- To zdanie też można wykorzystać - podchwycił Woodson. - Podejrzewam, że wywiąże się dyskusja, ale Marjorie tak zredagowała odpowiedzi, żeby nie wyglądało to na zmianę stanowiska, tylko pewną korektę twojej linii, John. Trzymaj się tego, a może nie będzie większych kłopotów.

- Czy to pytanie ma zostać zadane wprost?

- Chyba tak. Mówiłem dziennikarzom, że jesteś gotów rozmawiać o korekcie swojego stanowiska w sprawie sprzedaży MicroConu.

- Kto ma je zadać?

- Prawdopodobnie Frank Pierce z „Timesa”. Morton skinął głową.

- On jest w porządku.

- Tak, świetnie się orientuje w zagadnieniach gospodarki. Możesz śmiało mówić o wolnym rynku, uczciwej konkurencji, ale nie poruszaj kwestii bezpieczeństwa narodowego. To wszystko. Charakteryzatorka skończyła i Morton podniósł się z krzesła.

- Proszę wybaczyć, że panu przeszkadzam, senatorze, ale czy mogłabym pana prosić o autograf? To dla mojego syna.

- Jasne.

- John, mamy już gotową pierwszą wersję twojego nagrania dla telewizji ogólnokrajowej - wtrącił Woodson. - Powinieneś to obejrzeć, może będziesz miał jakieś wskazówki co do ostatecznej formy wystąpienia.

- Ile mam czasu?

- Dziewięć minut.

- Dobra.

Morton ruszył w stronę drzwi i wtedy nas dostrzegł.

- Dzień dobry, panowie. Czym mogę służyć?

- Chcieliśmy prosić o krótką rozmowę, senatorze - powiedział Connor.

- Muszę najpierw przejrzeć tę taśmę, później chyba znajdę trochę czasu, ale za kilka minut zaczynamy konferencję.

- To wystarczy - rzekł kapitan.

Poszliśmy za nim do sąsiedniej reżyserki, skąd roztaczał się widok na obszerne studio, gdzie pod wielkim napisem PRASA siedziało na składanych brązowych krzesłach trzech dziennikarzy. Ekipa techniczna rozstawiała mikrofony. Morton zajął miejsce przed monitorem, a Woodson wsunął kasetę do odtwarzacza.

To był ten sam program, który kręcono przed południem. Na dole ekranu pojawił się odczyt zegara i po chwili ujrzeliśmy senatora spacerującego z zasepioną miną po polu golfowym.

Morton mówił:

„Najwyższa pora, żebyśmy wszyscy się pogodzili. Politycy waszyngtońscy muszą znaleźć wspólny język z przedstawicielami świata biznesu oraz robotnikami, nauczyciele z dziećmi, mężowie z żonami. Musimy płacić swoje należności i pomagać rządowi zmniejszać deficyt, musimy gromadzić fundusze, żeby mieć lepsze drogi, czy usprawnić szkolnictwo, musimy pomagać we wszelkich działaniach zmierzających do oszczędności energii, bo to unowocześni nasz przemysł, doda zdrowia naszym dzieciom, a jednocześnie pozwoli odzyskać traconą pozycję ekonomicznej potęgi”.

Kamera wykonała najazd, w monitorze ukazało się zbliżenie twarzy Mortona.

„Niektórzy twierdzą, iż wkraczamy w epokę gospodarki ogólnoświatowej, że przestaje mieć znaczenie, w którym kraju mieszczą się zarządy firm i gdzie produkuje się dane towary. Mówią, że pojęcie gospodarki kraju wychodzi z użycia i powinno być przeniesione do lamusa. Tym właśnie ludziom mogę powiedzieć jedno: Japończycy wcale nie myślą w ten sposób. Niemcy także. W wysoko rozwiniętych krajach świata kładzie się szczególny nacisk na oszczędność energii, na ścisłą kontrolę importu oraz promowanie eksportu; wspomaga się

rodzimy przemysł i chroni go przed nieuczciwymi konkurentami z zagranicy. Finansiści i politycy ściśle współpracują, mając na uwadze dobro całego społeczeństwa. W takich właśnie krajach żyje się lepiej niż w Ameryce, gdyż tam polityka ekonomiczna stąpa twardo po ziemi. W przeciwieństwie do naszych działają różne przepisy. Nie żyjemy przecież w idealnym świecie, zatem władze powinny realnie patrzeć na to, co nas otacza. Powinniśmy zatem spróbować rozwinąć nasz własny model hardego, nieustępliwego nacjonalizmu ekonomicznego; musimy zatroszczyć się o przyszłość Amerykanów, bo nikt za nas tego nie zrobi.

Chciałbym postawić sprawę jasno: takie przemysłowe potęgi, jak Niemcy czy Japonia, nie są powodem naszych problemów. One tylko rzucają nam wyzwanie w nowych realiach. Nie mamy innego wyjścia, jak zmierzyć się z tymi realiami i przyjąć owo wyzwanie. Tylko w ten sposób da się wprowadzić nasz kraj w okres nieporównywalnej z niczym prosperity. Bo jeśli będziemy dalej działali, hołdując przestarzałym wartościom gospodarki wolnorynkowej, czeka nas klęska. Wybór zależy wyłącznie od nas. Przyłączcie się do mnie i spójrzcie uważnie na nowe realia tego świata, a wspólnie zbudujemy ekonomiczną przyszłość narodu amerykańskiego”.

Ekran pociemniał.

Morton odchylił się na oparcie krzesła.

- Kiedy to ma pójść?

- Za dziewięć tygodni. Na początku w Chicago oraz w Minneapolis i Saint Paul. Zbierzemy grupy specjalistów, wprowadzimy ewentualne poprawki, a w lipcu wyemitujemy to w sieci ogólnokrajowej.

- Długo po tym, jak MicroCon...

- Och, tak.

- To dobrze. Mnie się podoba.

Woodson wziął kasetę i wyszedł z reżyserki. Senator odwrócił się w naszą stronę.

- Słucham. Czym mogę panom służyć?

Connor zaczekał, aż Woodson zamknie za sobą drzwi.

- Senatorze - rzekł wreszcie. - Co pan nam może powiedzieć o Cheryl Austin? Zapadło milczenie. Morton z kamienną twarzą spoglądał to na mnie, to na kapitana.

- O Cheryl Austin?

- Tak, panie senatorze.

- Nie przypominam sobie tego nazwiska...

- Zna je pan - przerwał mu Connor.

Pokazał Mortonowi zegarek: złotego, damskiego rolexa.

- Skąd pan to ma? - zapytał Morton lodowatym, opanowanym głosem.

Do reżyserki zajrzała jakaś kobieta.

- Sześć minut, senatorze - powiedziała i zamknęła drzwi.

- Skąd pan to ma? - powtórzył Morton.

- Nie wie pan? Nawet pan nie spojrział na kopertę, na widniejącą tam dedykację.

- Skąd pan to ma?

- Chcielibyśmy z panem porozmawiać o tej kobiecie, senatorze - rzekł Connor.

Wyjął z kieszeni foliową torebkę i położył ją na pulpicie przed Mortonem. W środku znajdowała się para damskich, czarnych majtek.

- Nie mam panom nic do powiedzenia - oznajmił senator. - Absolutnie nic.

Connor z drugiej kieszeni wyciągnął kasetę wideo i też położył ją na pulpicie.

- Na tej taśmie został utrwalony widok z jednej z pięciu kamer, które zarejestrowały przebieg wydarzeń na czterdziestym piątym piętrze. Zapis został zmieniony, lecz mimo to można rozpoznać, kto przebywał w sali konferencyjnej wraz z Cheryl Austin.

- Nie mam nic do powiedzenia - powtórzył Morton. - Zapis na taśmach wideo można zmieniać do woli, to żaden dowód. Posługuje się pan kłamstwami i nie potwierdzonymi zarzutami.

- Przykro mi, senatorze - powiedział kapitan. Morton wstał z krzesła i zaczął chodzić tam i z powrotem.

- Ta kasetka została zarejestrowana przez firmę japońską, która dąży do uzyskania jak największego wpływu na moje stanowisko. Można to bez trudu udowodnić. W związku z powyższym, bez względu na to, co zawiera kasetka, nie może ona zostać wykorzystana jako dowód. Opinia publiczna zrozumie natychmiast, że jest to tylko próba oczernienia jednego z niewielu polityków amerykańskich, którzy mają odwagę głośno mówić o zagrożeniu ze strony Japończyków. Z mojego punktu widzenia, jesteście obaj marionetkami w rękach wrogich nam środowisk. Chyba nie pojmujecie konsekwencji swego postępowania, wysuwając tak poważne zarzuty bez niepodważalnych dowodów...

- Senatorze! - przerwał mu Connor stanowczym tonem. - Zanim pan powie coś, czego mógłby pan później żałować, niech pan lepiej popatrzy na ludzi zebranych w studiu. Jest tam ktoś, kto bardzo by chciał pana zobaczyć.

- Jak mam to rozumieć?

- Niech pan tylko wyjrzy, senatorze.

Kipiąc wściekłością, Morton podszedł do okna i popatrzył na rozciągające się pod nami studio. Ja też wyjrzałem. Dziennikarze wiercili się na krzesłach i chichotali z opowiadanych sobie nawzajem dowcipów, czekając na rozpoczęcie konferencji. Prowadzący poprawiał sobie krawat, starannie przypinając mikrofon. Jakiś technik pucował mokrą ścierką do połysku błyszczący napis PRASA. A w rogu, dokładnie tam, gdzie poleciliśmy mu zająć miejsce, stał mężczyzna, z rękoma w kieszeniach, i gapił się na okno reżyserki.

Był to Eddie Sakamura.

27

Oczywiście to wszystko zaaranżował Connor. Kiedy otworzyłem drzwi do salonu w moim mieszkaniu i ujrzałem Michelle, która na dywanie układała klocki razem z Eddiem Sakamura, kapitan nie mrugnął nawet okiem. Rzekł tylko:

- Cześć, Eddie. Ciekaw byłem, czy zdążyłeś już przyjechać.

- Siedzę tu prawie od rana - mruknął cicho, jakby speszony, Japończyk. - A wy nie przychodzicie. Czekam i czekam. Zjadłem śniadanie razem z Shelly, przygotowałem jej kanapki z masłem orzechowym i dżemem. Ma pan bardzo miłą córkę, poruczniku. Niezwykle grzeczną.

- Eddie jest śmieszny - powiedziała Michelle. - Ale on pali, tatusiu.

- Zauważyłem. - Czułem się strasznie głupio. Wciąż nie mogłem zrozumieć, jak to możliwe.

Shelly podbiegła do mnie i wyciągnęła rączki w górę.

- Podnieś mnie, tatusiu. Wziąłem ją na ręce.

- Bardzo miła dziewczynka - powtórzył Eddie. - Widzicie? Zbudowaliśmy wiatrak. - Zakręcił ramionami wiatraka poskładanego z plastikowych klocków. - Jak prawdziwy.

- Myślałem, że nie żyjesz - mruknąłem.

- Ja? - Zaśmiał się głośno. - Nic mi nie jest. To Tanaka nie żyje. Dokumentnie rozwalil mój samochód. - Wzruszył ramionami. - Nigdy nie miałem szczęścia do ferrari.

- Podobnie jak Tanaka - wtrącił Connor.

- Więc to był on?

- Tatusiu, czy mogę obejrzeć „Kopciuszka”? - zapytała Michelle.

- Nie teraz - odparłem. - Co Tanaka robił w twoim samochodzie?

- To bardzo nerwowy facet i tchórz. Może czuł się winny? A może tylko się przestraszył? Nie wiem.

- Pomagałeś Tanace podmienić kasetę? - zapytał Connor.

- No pewnie. Zaraz po tym wszystkim Ishigura rozkazał Tanace: „Zabieraj taśmy!” Ten poleciał po kasety, a ja poszedłem za nim. Zabrał je do jakiegoś laboratorium.

Connor skinął głową.

- A kto był w Imperial Arms?

- Wiem, że Ishigura wysłał tam kogoś, żeby zatrzeć ślady, ale nie wiem kogo.

- A ty poszedłeś do restauracji?

- Tak, jasne. A później na przyjęcie. To znaczy przyjęcie Roda.

- A co się stało z taśmami, Eddie?

- Już mówiłem. Tanaka je zabrał, ale nie wiem dokąd. Zniknął. On pracował dla Ishigury, dla Nakamoto.

- Rozumiem - rzekł kapitan. - Nie zabrał jednak ze sobą wszystkich taśm, prawda?

- No, no. - Eddie uśmiechnął się chytrze.

- Zatrzymałeś kilka.

- Tylko jedną. Przez pomyłkę, rozumiecie. Zaplątała się w mojej kieszeni. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Tatusiu, a mogę sobie włączyć Disneya? - odezwała się Michelle.

- Oczywiście. - Postawiłem ją na podłodze. - Elaine ci pomoże.

Mała wyszła z pokoju. Connor dalej rozmawiał z Eddiem, a ja powoli zaczynałem rozumieć, co się zdarzyło. Tanaka odjechał z taśmami, ale widocznie później się połapał, że jednej brakuje. Pojechał po nią do mieszkania Eddiego, wpadł w sam środek przyjęcia z nagimi dziewczynami i zaczął domagać się zwrotu kasety.

- Wtedy nie byłem pewien, ale po rozmowie z tobą przekonałem się, że mnie wystawili. Musiałem zachować sobie jakiś argument przetargowy - rzekł Sakamura.

- A potem przyjechała policja z Grahamem? Eddie pokiwał głową.

- Tanaka-san narobił w gacie. To był typowy japoński śmierdziel. - Zmusiłeś go, żeby powiedział ci wszystko...

- Oczywiście, kapitanie. Co prawda w skrócie, ale...

- A ty w zamian zdradziłeś mu, gdzie jest ukryta brakująca taśma?

- Była w samochodzie. Dałem mu kluczyki, żeby sobie sam wyciągnął.

Tanaka wymknął się, żeby zabrać kasetę z garażu, ale policjant stojący przed wejściem go zatrzymał. Japończyk rzucił się do wozu i odjechał.

- Patrzyłem za nim, John. Jechał jak wariat.

Zatem to Tanaka prowadził samochód, który rozbił się na nabrzeżu. To Tanaka spalił się żywcem. Eddie powiedział, że ukrył się w krzakach za basenem kąpielowym i przeczekał, aż jego dom opustoszeje.

- Zmarzłem tam jak cholera.

- Wiedziałaś o tym? - zwróciłem się do Connora.

- Tylko podejrzewałem. W raporcie z miejsca wypadku przeczytałem, że kierowca spłonął doszczętnie, nawet stopiły się jego okulary.

- Pewnie, ja nie noszę okularów - wtrącił Eddie.

- No właśnie - mruknął Connor. - Mimo wszystko prosiłem Grahama, żeby to dzisiaj sprawdził. Nie znalazł jednak żadnych okularów w domu Eddiego. Dziś przed południem, kiedy ponownie tam byliśmy, prosiłem policjantów z drogówki, żeby sprawdzili nazwiska właścicieli wszystkich samochodów zaparkowanych przy ulicy. Wtedy zyskałem pewność. W pewnej odległości od domu stała żółta toyota, zarejestrowana na nazwisko Akiry Tanaki.

- Dobra robota - przyznał Eddie. - To było sprytne.

- A gdzie się ukrywałeś do tej pory? - zapytałem.

- W mieszkaniu Jasmine. Ona ma przytulne gniazdko.

- Kto to jest Jasmine?

- Ta rudowłosa szprycha. Piękna kobieta. Ma w domu wielką wannę wpuszczoną w podłogę.

- Po co więc tu przyszedłeś?

- Musiał - odpowiedział mi Connor. - Zabrałeś przecież jego paszport.

- Właśnie - rzekł Eddie. - Miałem pańską wizytówkę, sam mi pan ją dał. Był na niej adres i telefon. Potrzebny mi paszport, poruczniku. Muszę zwiewać. Dlatego przyszedłem i czekałem na pana. A potem zwalili się dziennikarze, pełno kamer, mikrofonów. Postanowiłem więc zostać i pobawić się z Shelly. - Nerwowym ruchem wyjął papierosa i zapalił. - I co pan powie, poruczniku? Mogę odzyskać swój paszport? *Netsutuku*. Nie zrobiłem nic złego.. Poza tym jestem trupem, prawda?

- Jeszcze nie - odparł Connor.

- Daj spokój, John.

- Eddie, musisz oddać nam pewną przysługę.

- O czym ty mówisz? Muszę zwiewać, kapitanie.

- Drobna przysługę, Eddie.

Morton wstrzymał oddech i powoli odwrócił się od okna. Podziwiałem jego opanowanie, sprawiał wrażenie zupełnie spokojnego.

- Wygląda na to - rzekł - że muszę zweryfikować swoje stanowisko.

- Tak, senatorze - mruknął Connor. Morton westchnął głośno.

- Wiecie chyba, że to był wypadek. Naprawdę. Kapitan współczująco pokiwał głową.

- Nie mam pojęcia, co jej było. Taka piękna kobieta, lecz... Mniejsza z tym. Poznaliśmy się nie tak dawno, jakieś cztery, pięć miesięcy temu. Była cudowną, przemiłą dziewczyną z Teksasu i... Tak jakoś wyszło. Nie było rady. Miała coś takiego w sposobie bycia. Nie myślałem, że można do tego stopnia stracić głowę. Bardzo szybko zaprzątnęła moje myśli, nie mogłem... Dzwoniła do mnie, kiedy tylko gdzieś wyjeżdżałem. Jakimś sposobem wiedziała, że wybieram się w podróż. Nie umiałem jej odmówić. Po prostu nie potrafiłem. Zawsze miała sporo pieniędzy, cudem zdobywała bilety lotnicze. Była niesamowita, czasami doprowadzała mnie do szaleństwa. Czułem się tak, jakbym... Sam już nie wiem. Jakby mnie coś opętało. Wszystko widziałem inaczej, kiedy ona była przy mnie. Czyste szaleństwo. Nie potrafiłem z tym walczyć. W końcu nabrałem podejrzeń, że ona pracuje dla kogoś, że ktoś ją opłaca. Sterowano każdym jej krokiem, a pośrednio także mną. Musiałem z tym skończyć. Bob mi powtarzał... Do cholery, wszyscy to mówili. Ale brakło mi sił. W końcu zdobyłem się na to. Zerwaliśmy. Lecz gdy ją spotkałem na przyjęciu... Cholera!

- Pokręcił smutno głową. - Sam nie wiem, jak to się stało. Przykro mi.

Do reżyserki zajrzała dziewczyna.

- Dwie minuty, senatorze. Wszyscy proszą, żeby zszedł pan na dół, jeśli jest pan gotów.- Pozwólcie, że załatwię jeszcze tę sprawę - rzekł Morton.

- Ależ oczywiście - powiedział Connor.

Opanowanie senatora Mortona wzbudziło mój szczerzy podziw. Przez pół godziny w całkowitym spokoju, bez cienia lęku odpowiadał na pytania trzech dziennikarzy; uśmiechał się, przekomarzał i rzucał dowcipami.

W pewnej chwili powiedział:

- Tak, to prawda, że Anglicy i Holendrzy znacznie więcej zainwestowali w naszym kraju od Japończyków. Ale nie wolno nam zapominać o bezwzględności i agresywności, które cechują Japończyków. Ich rząd wspólnie z inwestorami planuje kolejne ataki na wybrane cele naszej gospodarki. Stąd właśnie bierze się mój niepokój.

Po chwili dodał:

- Poza tym, jeśli my chcemy wykupić jakieś przedsiębiorstwo w Anglii czy Holandii, nic nie stoi na przeszkodzie. Nie możemy jednak kupić żadnej firmy japońskiej.

Konferencja prasowa przebiegała w podobnym nastroju, nikt jednak nie zapytał o MicroCon. W końcu Morton sam skierował rozmowę na te tory:

- Dlaczego Amerykanom nie wolno krytykować Japończyków, żeby nie zostać w jednej chwili okrzykniętym rasista lub oszczercą? Sprzeczności interesów to rzecz normalna w stosunkach międzynarodowych. O tym, co dzieli nas i Japonię, powinniśmy mówić bez obaw, że ktoś zaraz sięgnie po tego typu epitety. Mój sprzeciw w kwestii sprzedaży MicroConu natychmiast wyjaśniono rasizmem, chociaż rasizm nie miał tu nic do rzeczy.

Dopiero teraz jeden z dziennikarzy zdobył się na odwagę i zapytał o tę transakcję. Morton zawahał się na moment.

- Jak wiesz, George, od samego początku byłem przeciwny tej sprzedaży. Nie zmieniłem zdania. Najwyższa pora, żebyśmy podjęli pewne kroki w celu ochrony naszych skarbów narodowych; skarbów rozumianych dosłownie, jak i w przenośni: zdobyczy ekonomicznych oraz intelektualnych. Sprzedaż MicroConu to krok nie przemyślany. Dlatego z przyjemnością mogę zakomunikować, że otrzymałem właśnie wiadomość, iż Akai Ceramics wycofało swoją ofertę na kupno MicroCon Corporation. Sądzę, że to powinno wszystkich zadowolić. Muszę przekazać wyrazy uznania dla zarządu Akai za wyczucie sytuacji. Transakcja nie dojdzie do skutku i bardzo mnie to cieszy.

- Co takiego? Oferta została wycofana? - zapytałem.

- Szczerze w to wątpię - mruknął Connor.

Pod koniec konferencji Morton zupełnie się rozluźnił.

- Od dawna mówi się o mnie, że tylko krytykuję Japończyków, pozwólcie zatem, że teraz powiem o nich kilka ciepłych słów. Mają oni jedną niezwykłą cechę: wielką pogodę ducha, która przejawia się czasem w najbardziej nieoczekiwanych momentach. Prawdopodobnie wiecie, że mnisi zen muszą tuż przed śmiercią napisać wiersz pożegnalny. To bardzo stara tradycja; nawet teraz, po upływie stuleci, cytuje się utwory powstałe w takich właśnie momentach. Wyobrażacie sobie zapewne, pod jaką presją żyje każdy *roshi* zen, kiedy zbliża się moment jego śmierci, a wszyscy oczekują, że stworzy on jeszcze jakiś porywający wiersz. Całymi miesiącami nie wolno mu myśleć o niczym innym. Mój ulubiony wiersz pożegnalny został napisany przez jednego z mnichów, którego śmiertelnie znudziła cała ta niesamowita sytuacja. Pozwólcie więc, że go wam zacytuję:

Na świat przyszedł, Leż w mogile; Wierszyk mu nie pomógł, Po co krzyku tyle?

Dziennikarze wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Może więc nie powinniśmy brać wszystkich spraw związanych z Japończykami aż tak bardzo serio? - skwitował Morton. - Oto jeszcze jedna rzecz, której moglibyśmy się od nich nauczyć.

Po zakończeniu konferencji Morton pożegnał się z dziennikarzami.

Spostrzegłem, że w studiu pojawił się Ishigura. Twarz miał czerwoną i typowo po japońsku wciągał powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Ach, Ishigura-san - rzekł rozpromieniony Morton. - Widzę, że już zna pan nowiny.

Klepnął go po plecach. Chyba z całej siły. Japończyk wytrzeszczył oczy.- Jestem głęboko rozczarowany, senatorze. Sprawy przybiorą teraz bardzo zły obrót.

Rozsadzała go wściekłość.

- Hej! - zwołał Morton. - Wiesz co? Pocałuj mnie w dupę.

- Przecież się umówiliśmy - syknął Ishigura.

- Owszem, ale wy nie dotrzyмалиście warunków umowy. Senator podszedł do nas i rzekł:

- Przypuszczam, że chcieliby panowie usłyszeć moje zeznanie. Pozwólcie mi tylko zmyć tę charakterystykę.

- Oczywiście - zgodził się Connor. Morton ruszył w kierunku wyjścia ze studia. Ishigura obrócił się gwałtownie w stronę kapitana.

- *Totemo taihenna koto ni narimashita ne.*

- Zgadzam się, to będzie trudne - przyznał Connor. Ishigura syknął przez zęby.

- Ktoś zapłaci za to głową.

- Pan jest chyba pierwszy na liście - odparł kapitan. - *Sd omowa nakai.*

Senator podszedł już do schodów prowadzących na piętro, kiedy podbiegł do niego Woodson, wziął go pod rękę i szepnął coś do ucha. Morton objął go ramieniem. Przez chwilę stali razem, wreszcie senator ruszył na górę.

- *Konna hazuja nakatta no ni* - oznajmił Ishigura bezbarwnym tonem.

Connor wzruszył ramionami.

- Przykro mi, ale nie potrafię współczuć. To pan pogwałcił prawo obowiązujące w tym kraju i pan naraził się na kłopoty. *Eraikoto ni naruyo, Ishigura-san.*

- Jeszcze zobaczymy, kapitanie.

Japończyk odwrócił się i posłał Eddiemu lodowate spojrzenie. Ten wzruszył ramionami i rzekł:

- Ze mną wszystko w porządku! Wiesz, co myślę, koleś? Teraz ty masz się czym martwić. - Zaśmiał się głośno.

Podszedł do nas kierownik studia, silnie zbudowany facet, ze słuchawkami na uszach.

- Czy któryś z panów to porucznik Smith?

- To ja.

- Dzwoni panna Asakuma. Może pan odebrać tutaj. - Wskazał kącik, w którym pod ścianą ozdobioną plakatem z wieczorną panoramą miasta znajdował się komplet wypoczynkowy, kanapa i dwa fotele. Na stoliku stał telefon, mrugała czerwona lampka.

Podszedłem, usiadłem w fotelu i podniosłem słuchawkę.

- Porucznik Smith.

- Cześć, mówi Theresa. - Odczułem radość, że przedstawiła się po imieniu. - Proszę posłuchać. Przeglądałam uważnie końcowe fragmenty tych taśm, ostatnie minuty zapisu. Sądzę, że możemy mieć pewne kłopoty.

- Tak? Jakie?

Nie chciałem jej mówić, że Morton już się przyznał. Senator zniknął na górze, ale Woodson, jego doradca, wciąż chodził nerwowo u stóp schodów. Był blady, miał zasepioną minę i łaził w rozpiętej marynarce, z kciukami wetkniętymi za pasek spodni.

Usłyszałem nagle okrzyk Connora:

- Jasna cholera!

Kapitan rzucił się biegiem w stronę schodów. Zdumiony poderwałem się na nogi, rzuciłem słuchawkę i pognałem za nim. Mijając Woodsona Connor wrzasnął:

- Ty skurwysynu!

Dopadłem go w kilku susach. Usłyszałem, jak bąknął coś w rodzaju:

- Musiałem...

Byłem już prawie na piętrze, gdy doleciał mnie okrzyk Connora:

- Senatorze!

Zaraz po tym usłyszałem stłumiony huk, nawet niezbyt głośny, jakby tuż obok mnie ktoś przewrócił krzesło.

Wiedziałem jednak, że był to odgłos wystrzału z pistoletu.

WIECZÓR DRUGI

1

Słońce zachodziło nad *sekitei*. Stosy kamieni rzucały głębokie cienie na regularne półkola starannie zagrabionego piasku. Patrzyłem na ten dziwny deseń. Connor siedział w środku, nadal oglądał telewizję. Nie dziwiło mnie nawet to, że w świątyni zen stoi telewizor, coraz bardziej przyzwyczajałem się do takich kontrastów.

Ja jednak dosyć się naoglądałem telewizji przez ostatnią godzinę, żeby wiedzieć, co będzie dalej. Wszystko motywowano tym, że senator Morton w ostatnim czasie przeżywał bardzo poważne stresy. Miał kłopoty rodzinne, jego syna aresztowano za prowadzenie samochodu po pijanemu i spowodowanie wypadku, w którym inny nastolatek został ciężko ranny; krążyły też plotki, że córka senatora niedawno usuwała ciążę. Pani Morton nie zgodziła się udzielić jakichkolwiek wyjaśnień i nie wychodziła ze swego domu w Arlington, wokół którego czyhali reporterzy.

Wszyscy współpracownicy senatora twierdzili zgodnie, że Morton znajdował się w ciągłym napięciu, próbując jakoś pogodzić obowiązki rodzinne z prowadzoną kampanią wyborczą. Ostatnio nie był już sobą, popadał w apatię i przygnębienie, a według słów jednego z pracowników biura, sprawiał wrażenie, „jakby dręczyły go poważne kłopoty natury osobistej”.

Nikt też nie krytykował ostatnich wystąpień Mortona, choć jeden z jego kolegów, senator Dowling, powiedział, że „Morton ostatnio z niezwykłą zaciekłością wypowiadał się przeciwko Japończykom, co może świadczyć o tym, że działał pod straszliwą presją. Stwierdzał nawet, że nie widzi możliwości dostosowania się do wymagań Japończyków, a przecież wszyscy wiemy, że musimy współżyć w zgodzie, gdyż oba nasze narody są ze sobą ściśle powiązane. Niestety, nikt nie mógł przewidzieć, że owa presja tak silnie podzielała na Johna Mortona, który był przecież jednym z nas”.

Spoglądałem na kamienie w ogrodzie oświetlane przez zachodzące słońce, najpierw na żółto, potem na czerwono. Jeden z amerykańskich mnichów zen, który przedstawił się jako Bill Harris, wyszedł ze świątyni, by zaproponować mi herbatę lub coca-colę. Odmówiłem jednak. Przez otwarte drzwi widziałem tylko zmieniającą się, błękitną poświatę telewizora. Nie dostrzegłem nigdzie kapitana.

Ponownie zapatrzyłem się na kamienie w ogrodzie.

John Morton nie zginął od razu. Kiedy Connor wywalił kopniakiem drzwi łazienki i wpadliśmy do środka, senator próbował stanąć na nogach, a z jego szyi tryskała fontanna krwi. Na nasz widok wetknął lufę pistoletu do ust.

- Nie! - wrzasnął Connor.

Drugi strzał był śmiertelny. Pistolet wypadł z dłoni Mortona i wirując poleciał po kafelkach podłogi. Zatrzymał się tuż przy moim bucie. Wszystkie ściany były zbryzgane krwią.

Na korytarzu rozległ się czyjś krzyk. Odwróciłem się i zobaczyłem w drzwiach charakteryzatorkę, która zasłaniała rękoma twarz i wrzeszczała wniebogłosy. Ucichła dopiero wtedy, gdy pielęgniarka zaaplikowała jej jakiś środek uspokajający.

Connor i ja zostaliśmy na miejscu, dopóki z wydziału nie przyjechali Bob Kapłan i Tony Marsh. To ich wyznaczono do prowadzenia tej sprawy, my byliśmy wolni. Powiedziałem Bobowi, że w każdej chwili może uzyskać nasze zeznania, po czym wyszliśmy. Zwróciłem uwagę, że w studiu nie było już ani Ishigury, ani Eddiego Sakamury.

Connor jednak się zasepił.

- Przekląty Eddie - mruknął. - Dokąd on poszedł?

- Jakie to ma znaczenie?

- Eddie może nam przysporzyć problemów.

- Niby jakich?

- Nie zauważyłeś, jak się zachowywał w obecności Ishigury? Był bardzo pewny siebie, aż za bardzo. Wydawać by się mogło, że powinien odczuwać lęk.

Wzruszyłem ramionami.

- Eddie to wariat, sam go tak nazwałeś. Można się po nim spodziewać wszystkiego.

Miałem już dość tej sprawy. Miałem też dość Connora i jego japońskich regulek. Mruknąłem, że Eddie prawdopodobnie wróci do Japonii, a może pojedzie do Meksyku, bo kiedyś nadmienił, że chciałby się tam udać.

- Mam nadzieję, że to prawda - odparł Connor.

Poprowadził w kierunku tylnego wyjścia z budynku, chciał zniknąć stamtąd, zanim zlecą się dziennikarze. Wsiadliśmy do samochodu i pojechaliśmy do świątyni zen. Byłem tu już kiedyś. Po drodze zatelefonowałem do Lauren, ale nie zastałem jej w biurze, potem do Theresy, lecz jej numer był zajęty. W końcu zadzwoniłem do domu. Elaine przekazała, że Michelle się grzecznie bawi, a dziennikarze już sobie poszli. Zapytała, czy ma zostać dłużej i przygotować małej obiad. Poprosiłem ją o to, tłumacząc, że mogę wrócić późno.

A potem przez godzinę oglądaliśmy telewizję. Wreszcie stwierdziłem, że nie mogę już na to patrzeć.

Zapadał zmrok. Piasek przybrał odcień czarno-purpurowy. Zrobiło się zimno, cały zeszywniałem. Zapiszczał mój sygnalizator: próbował się ze mną skontaktować ktoś z wydziału, a może Theresa. Wszedłem do wnętrza świątyni.

W telewizji senator Stephen Rowe cedził wyrazy współczucia dla pogrążonej w żałobie rodziny, tłumacząc zarazem, z jak silnym stresem wiązała się działalność senatora Mortona. Nie omieszkał też zaznaczyć, że oferta Akai wcale nie została wycofana i transakcja prawdopodobnie dojdzie do skutku, o ile nie napotka poważnych sprzeciwów.

- Oho! - mruknął Connor.

- Nie rezygnuję z zakupu? - spytałem.

- Chyba nigdy nie mieli takiego zamiaru - odparł posępnym tonem.

- Masz coś przeciwko tej transakcji?

- Nie, martwi mnie Eddie, zachowywał się zanadto butnie. Ciekaw jestem, co teraz zrobi Ishigura.

- Nie obchodzi mnie to.

Miałem już dość. Najpierw zginęła dziewczyna, potem Morton, a transakcja i tak miała dojść do skutku. Connor pokręcił głową.

- Nie zapominaj, że toczy się gra o bardzo wysoką stawkę. Ishigury nie obchodzi jakiegoś tam pospolite morderstwo, nie dba już nawet specjalnie o strategiczną sprawę kupna MicroConu. Teraz pochłania go wyłącznie kwestia reputacji spółki Nakamoto, która ma powiązania z wieloma firmami, a zapewne chciałaby stać się w Stanach jeszcze większą potęgą. Eddie może zniszczyć tę reputację.

- W jaki sposób? Connor wydał wargi.

- Mówiąc szczerze, nie wiem.

Mój sygnalizator odezwał się znowu. Poszedłem do telefonu i skontaktowałem się z wydziałem. Wzywał mnie Frank Ellis pełniący służbę oficera dyżurnego w okręgowej centrali łączności.

- Cześć, Pete. Potrzebna nam pomoc łącznika służb specjalnych. Sierżant Matlovsky, który zajmuje się sprawą tego wypadku drogowego, prosi o pomoc tłumacza.

- O co chodzi?

- Mówi, że ma na karku pięciu Japończyków. Domagają się szczegółowych oględzin rozbitego auta.

Zmarszczyłem brwi.

- Co to za wóz?

- Ferrari, jeden z tych najszybszych modeli. Zdaje się, że niewiele z niego zostało, w dodatku wybuchł pożar. Dziś rano chłopcom z ekipy technicznej udało się wydobyć zwłoki kierowcy. A teraz Japończycy nalegają na dokładne zbadanie wnętrza wraka. Matlovsky boi się sam podjąć decyzję. Nie mamy pewności, czy wchodzi to w zakres prowadzonego śledztwa czy nie, a on nie może się dogadać z tymi Japończykami. Jeden z nich twierdzi, że kierowca był jego krewnym. Możesz tam pojechać i załatwić sprawę?

Westchnąłem ciężko.

- Dziś moja kolej? Wczoraj miałem służbę.

- Figurujesz na liście. Wygląda na to, że zamieniłeś się z Allenem.

Z trudem sobie przypominałem, że faktycznie zgodziłem się na zamianę dyżurów z Jimem, który obiecał synowi, że zabierze go na wszystkie mecze Kingsów w finale rozgrywek hokejowych. Rozmawialiśmy tydzień temu, ale miałem wrażenie, jakby to było przed wiekami.

- W porządku, zajmę się tym.

Powiedziałem Connorowi, że muszę już jechać. Zapytał o co chodzi, a gdy wysłuchał mojej relacji, skoczył na równe nogi.

- Oczywiście! Jak mogłem o tym nie pomyśleć? Niech to szlag! - Uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Ruszamy, *kohai*.

- Na miejsce wypadku?

- Wypadku? Skądże znowu.

- To co masz zamiar robić?

- Jasna cholera! Ale ze mnie idiota! - rzucił się biegiem w stronę samochodu.

Pognałem za nim.

Nie zdążyłem jeszcze wyhamować przed domem Sakamury, gdy Connor wyskoczył z auta i popędził w stronę wejścia. Ustawiłem wóz przy krawężniku i pobiegłem za nim. Niebo miało odcień głębokiego granatu, było prawie całkiem ciemno.

Kapitan przeskoczył schodki jednym susem.

- Wstyd mi - rzekł. - Powinienem być to przewidzieć, domyślić się wszystkiego.

- Jakiego wszystkiego? - spytałem nieco zdyszany, zatrzymując się obok niego.

Connor pchnął drzwi i weszliśmy do środka. Salon wyglądał dokładnie tak samo jak podczas mojej poprzedniej wizyty, kiedy rozmawiałem tu z Grahamem.

Kapitan zaglądał do kolejnych pomieszczeń. Na łóżku w sypialni leżała otwarta walizka, a obok kilka ekskluzywnych garniturów ze sklepów Armaniego i Byblosa.

- Skończony idiota - mruknął Connor. - Nie powinien się tu w ogóle pokazywać.

Teren za domem był jasno oświetlony, na suficie sypialni kładła się zielonkawa poświata lamp. Kapitan wyszedł na zewnątrz.

Nagie zwłoki unosiły się na wodzie, mniej więcej pośrodku basenu. Dziwnie wyglądały w tym prostokącie jaskrawej zieleni. Connor znalazł tyczkę i przyciągnął je do brzegu. Wywlekliśmy Eddiego na betonowy murek.

Sine ciało zaczynało już sztywnieć.

- Na pewno zatroszczyli się o wszystkie szczegóły - mruknął kapitan.

- Jakie szczegóły?

- Żeby nie zostawić żadnych śladów. Jestem jednak pewien, że coś znajdziemy...

Wyjął z kieszeni latarkę i zajrzał w usta Eddiego. Potem dokonał oględzin sutek i genitaliów.

- Tak, zobacz. Widzisz ten rząd czerwonycy śladów w pachwinie? Drugi taki sam widać na pośladku...- Co to było? Zacisk krokodylowy?

- Aha, załatwili go wstrząsem elektrycznym. Niech to szlag! Dlaczego mi nic nie powiedział? Miał okazję, kiedy jechaliśmy od ciebie do studia telewizyjnego, żeby spotkać się z Mortonem. Powinien był mi powiedzieć całą prawdę.

- O czym?

Connor milczał. Przez chwilę tkwił zatopiony w myślach, wreszcie westchnął.

- No cóż, w końcu jesteśmy tylko *gaijin*, obcy. Nawet w obliczu zagrożenia nie umiał się nam zwierzyć. Poza tym...

Zamilkł, wpatrując się w zwłoki. Wreszcie zepchnął je z powrotem do wody.

- Niech kto inny zajmie się papierkową robotą - rzekł, podnosząc się na nogi. - Nie musimy figurować w raportach jako ci, którzy znaleźli ciało. To już nie ma znaczenia.

Zwłoki Eddiego powoli dryfowały w kierunku środka basenu. Głowa zanurzyła się z wolna i na powierzchni zostały jedynie białe pośladki.

- Lubilem go - powiedział Connor. - Wyświadczył mi kilka przysług. Poznałem nawet jego rodzinę podczas pobytu w Japonii, z wyjątkiem ojca. - Patrzył w zamyśleniu na obracające się powoli ciało. - Eddie był porządnym facetem. Muszę się dowiedzieć prawdy.

Straciłem wątek, nie miałem pojęcia, o czym on mówi. Przeczuałem jednak, że nie powinienem się w takiej chwili odzywać. Connor wyglądał na rozwścieczonego.

- Chodź - rzucił w końcu. - Musimy się pospieszyć. Trzeba sprawdzić parę rzeczy. Sprawy znowu wymknęły nam się z rąk. Lecz nawet gdyby miał to być ostatni krok w moim życiu, muszę dopaść tego skurwysyna.

- O kim mówisz?

- O Ishigurze.

2

Pojechaliśmy z powrotem do mego mieszkania. Masz dzisiaj dyżur?

- Tak, ale pojedę z tobą - odparłem.

- Nie, załatwię to sam, *kohai*. Lepiej, żebyś o niczym nie wiedział.

- O czym?

Nie odpowiedział. Nagabywałem go przez jakiś czas, aż w końcu rzekł:

- Tanaka pojechał wczoraj wieczorem do Eddiego po to, aby zabrać taśmę.

Prawdopodobnie chodziło o oryginał...

- Zgadza się.

- Chciał ją odzyskać, wywiązała się kłótnia. A kiedy przyjechałeś ty z Grahamem i rozpętało się piekło, Eddie powiedział tamtemu, że ukrył kasetę w ferrari. Zakładałem więc, że taśma spłonęła w rozbitym samochodzie.

- Aha.

- Ale to nieprawda. Eddie nie zachowywałby się tak butnie w obecności Ishigury, gdyby już jej nie miał. Potraktował kasetę jak asa ukrytego w rękawie. Nie przypuszczał jednak, że Ishigura może się posunąć aż tak daleko.

- Sądysz, że go torturowali?

- Na pewno. Lecz Eddie ich zaskoczył, nic nie powiedział.

- Skąd wiesz?

- Bo w przeciwnym wypadku nie zleciałoby się aż pięciu Japończyków, żeby w środku nocy domagać się szczegółowego przeszukania wraka.

- Uważasz, że oni nadal szukają tej taśmy?- Owszem. Albo jej szczątków. Niewykluczone, że nawet nie wiedzą, ilu taśm brakuje.

Zamyśliłem się nad tym.

- I co masz zamiar zrobić?

- Odnaleźć kasetę - odparł Connor. - To musi być coś bardzo ważnego, skoro z jej powodu zginęło tylu ludzi. Gdybyśmy odnaleźli oryginał... - Pokręcił głową. - Ishigura wpadłby w straszliwe bagno, co zresztą i tak mu się należy.

Zatrzymałem przed domem. Tak jak mówiła Elaine, reporterzy się rozeszli. Na tonącej w półmroku ulicy panował spokój.

- Nadal mam ochotę pojechać z tobą - stwierdziłem. Connor energicznie potrząsnął głową.

- Ja jestem na bezterminowym urlopie, a ty nie. Musisz myśleć o swojej przyszłości. Poza tym na pewno nie chciałbyś wiedzieć dokładnie, co zamierzam robić tej nocy.

- Wystarczy, że się domyślam. Chcesz pójść tropem Eddiego. Wiesz, że wymknął się z domu i spędził noc u tej rudej. Nie wiadomo natomiast, gdzie był poza tym...

- Posłuchaj, *kohai*. Szkoda czasu. Mam swoje kontakty, znam paru ludzi, na których można polegać. Trzymaj się z dala od tego. Jeśli będziesz mnie potrzebował, dzwoń pod numer telefonu w samochodzie, lecz tylko wtedy, kiedy będziesz musiał.

- Ale...

- Żadnych „ale”, *kohai*. Wsiadaj. Resztę wieczoru spędzisz z dzieckiem. Dobrze się spisałeś, lecz to koniec twojego zadania.

Ociągając się wysiadłem z auta.

- *Sayonara* - rzucił Connor, pomachał mi ręką i szybko odjechał.

- Tata! Tata! - Michelle podbiegła do mnie, wyciągając rączki. - Podnieś mnie, tato.

Wziąłem ją na ręce.

- Cześć, Shelly.

- Tato, czy mogę obejrzeć „Śpiącą Królownę”?

- Nie wiem. Zjadłaś już obiad?

- Zjadła dwa hot-dogi i miseczkę lodów! - zawołała Elaine. Zmywała naczynia w kuchni.

- Jezu - mruknąłem. - Przecież umówiliśmy się, że zaczynamy jeść to samo co wszyscy dorośli.

- Nie było mowy, żeby zjadła cokolwiek innego - wyjaśniła Elaine. Była poirytowana tym, że przez cały długi dzień musiała się opiekować niesfornym dwulatkiem.

- Tato, czy mogę obejrzeć „Śpiącą Królownę”?

- Poczekaj chwilę, Shelly. Rozmawiam teraz z Elaine.

- Próbowалаm jej wcisnąć zupę, ale nawet nie tknęła. Koniecznie chciała hot-doga.

- Tato, czy mogę sobie włączyć program Disneya?

- Michelle - rzekłem surowym tonem.

- Dlatego jej dałam. Stwierdziłam, że lesze to niż nic. Była wyraźnie zdenerwowana tym najściem reporterów i w ogóle.

- Tato? Czy mogę? „Śpiącą Królową”? - Wierciła mi się na rękach i klepała po policzku, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

- Możesz, Shel.

- Teraz, tatusiu?

- Teraz.

Postawiłem ją na podłodze. Pobiegnęła do salonu i włączyła telewizor. Błyskawicznie sięgnęła po pilota.

- Sądzę, że za dużo czasu spędza przed telewizorem.

- Jak wszystkie dzieci. - Elaine wzruszyła ramionami.

- Tato!

Poszedłem do salonu i włączyłem magnetowid. Przewinąłem reklamówki na początku kasety i puściłem jej film.

- Jeszcze dalej - poprosiła.

Przewinąłem więc czołówkę z odwracającymi się stronami książki, aż do początku akcji.

- Tak, tutaj, tutaj! - zawołała Michelle, klepiąc mnie po rękę. Odłożyłem pilota. Mała usadowiła się w fotelu i zaczęła ssać palec. Po chwili jednak wyjęła kciuk z buzi, uderzyła piąstką w poręcz fotela i zawołała:

- Siadaj, tatusiu!

Chciała, żebym obejrzał z nią film.

Westchnąłem. Obrzuciłem spojrzeniem bałagan w salonie: kredki i książki do kolorowania były rozrzucone po całym dywanie, a na środku stał wiatrak z klocków.

- Muszę tu zrobić trochę porządku - powiedziałem - a potem usiądę przy tobie.

Z powrotem wetknęła palec do buzi i zapatrzyła się w ekran. W jednej chwili przestałem dla niej istnieć.

Pozbierałem kredki i ułożyłem je w kartonowym pudełku. Książki z obrazkami wcisnąłem z powrotem na półkę. Poczułem się w końcu strasznie zmęczony i na chwilę przysiadłem na podłodze obok Michelle. Na ekranie trzy wróżki: czerwona, zielona i niebieska, zlatywały majestatycznie w kierunku tronu w sali balowej zamku.

- To Niezabudka. - Michelle wskazała palcem. - Ta niebieska.

Elaine zawołała z kuchni:

- Czy mam panu przygotować kanapki, poruczniku?!

- Będę bardzo wdzięczny - odparłem.

Tak dobrze mi się siedziało na dywanie, obok mojej córki. Chciałem o wszystkim zapomnieć, przynajmniej na jakiś czas. Byłem wdzięczny, że Connor pojechał dalej sam. Tępym wzrokiem wpatrywałem się w ekran.

Dopiero gdy Elaine przyniosła mi kanapki z salami, sałatą i musztardą, poczułem, jak bardzo jestem głodny. Gospodyni zerknęła na telewizor, lecz tylko pokręciła głową i wróciła do kuchni. Michelle także wzięła kilka kęsów kanapki, lubiła salami. Przyszło mi do głowy, że w kielbasie również są jakieś niezdrowe dodatki, stwierdziłem jednak, że jest ich z pewnością mniej niż w parówkach hot-dogów.

Kiedy zjadłem, poczułem się nieco lepiej. Postanowiłem skończyć porządkowanie. Sięgnąłem po wiatrak, zacząłem go rozkładać i wrzucać z powrotem klocki do grubej kartonowej tuby.

- Nie to! Nie to! - zawołała Michelle.

Myślałem, że chodzi jej o to, abym nie rozbierał wiatraka, lecz ona zakrywała rączkami oczy. Bała się postaci Diabolin, złej czarownicy. Przewinąłem więc kawałek taśmy i mała się uspokoiła.

Rozebrałem do końca wiatrak, powrzuciłem klocki do cylindra, nałożyłem metalową pokrywę i wepchnąłem tubę na swoje miejsce, na najniższej półce regału z książkami. Wszystkie zabawki układałem nisko, żeby Michelle mogła je sobie sama wziąć.

Lecz tym razem tuba z klockami spadła i potoczyła się po dywanie. Ułożyłem ją ponownie, ale coś tam leżało. Schyliłem się i ujrzałem małe szare pudełko. Od razu je rozpoznałem.

Była to ośmiomilimetrowa kasetka wideo. Na nalepce widniał japoński napis.

3

Czy jestem jeszcze panu potrzebna, poruczniku? - zapytała Elaine. Stała już w płaszczu, gotowa do wyjścia.

- Jedną minutkę.

Poszedłem do telefonu i wykręciłem numer centrali. Poprosiłem dyżurnego o połączenie z samochodem Connora. Czekałem niecierpliwie. Elaine patrzyła na mnie z ukosa.

- Jeszcze chwileczkę, dobrze?

Z głośnika telewizora doleciała znana piosenka, którą księżę śpiewał w duecie ze Śpiącą Królewną przy wtórze ćwierkania ptaków. Michelle siedziała, zapatrzona, z palcem w buzi.

- Przykro mi, ale telefon nie odpowiada - odezwał się w końcu dyżurny.

- Dobra. Czy macie może numer domowy kapitana Connora? Przez chwilę panowała cisza.

- On nie figuruje na liście pełniących służbę oficerów.

- Wiem o tym, ale czy nie zostawił swego domowego numeru?

- Nic tu nie mam, poruczniku.

- Bardzo mi zależy na tym, żeby go znaleźć.

- Proszę poczekać.

Dyżurny odłożył słuchawkę. Zakląłem pod nosem. Elaine stała w korytarzu i zaczynała się coraz bardziej niecierpliwić.

- Poruczniku? - odezwał się w końcu głos w słuchawce. - Kapitan Ellis twierdzi, że kapitan Connor wyjechał.

- Wyjechał?

- Był tu jeszcze niedawno, ale dokądś pojechał.- Mówi pan, że był w śródmieściu?

- Tak, ale już wyszedł, przykro mi.

Odłożyłem słuchawkę. Co Connor mógł robić w śródmieściu, do jasnej cholery?

Elaine spoglądała na mnie spod przymrużonych powiek.

- Poruczniku?

- Jeszcze chwileczkę, Elaine.

- Poruczniku, ja muszę...

- Powiedziałem: chwileczkę.

Zacząłem chodzić tam i z powrotem, nie miałem pojęcia, co robić. Obleciał mnie strach. Z powodu tej taśmy zginął Eddie, tamci z pewnością nie zawahają się przed zabiciem jeszcze kilku osób. Spojrzałem na córeczkę, która z kciukiem w buzi siedziała zapatrzona w telewizor.

- Gdzie zostawiła pani samochód? - zapytałem Elaine.

- W garażu.

- Dobrze, proszę posłuchać. Niech pani zabierze Michelle i... Zadzwoił telefon. Skoczyłem do niego, mając nadzieję, że to Connor.

- Słucham.

- *Moshi moshi. Connor-san desu ka?*

- Nie ma go tu - odparłem odruchowo. Zakląłem w duchu, ale było już za późno. Zdradziłem się.

- To bardzo dobrze, poruczniku - odparł rozmówca z silnym japońskim akcentem. - Bo to pan ma to, czego szukamy, prawda?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Chyba jednak tak, poruczniku.

Usłyszałem w słuchawce szum ruchu ulicznego. Korzystano z telefonu w samochodzie. Prześladowcy mogli być w dowolnej części miasta.

Nawet tuż pod moim domem.

Niech to szlag!

- Kto mówi? - zapytałem.

Ale odpowiedział mi monotony sygnał.

- Co się dzieje, poruczniku? - spytała Elaine. Podbiegłem do okna. Natychmiast zauważyłem trzy jednakowe auta zaparkowane obok siebie. Wysiadało z nich pięciu mężczyzn.

4

Starłem się zachować spokój. Elaine. Zabierz Michelle i schowajcie się w mojej sypialni. Wejdźcie pod łóżko. Nie wychodźcie pod żadnym pozorem i siedźcie cicho, bez względu na to, co się będzie działo. Rozumiesz?

- Nie, tatusiu!

- I to już, Elaine!

- Nie, tatusiu! Chcę obejrzeć do końca „Śpiącą Królową”. - Obejrzyś później.

Wyciągnąłem pistolet i sprawdziłem, czy mam pełny magazynek. Elaine patrzyła rozszerzonymi ze strachu oczyma, w końcu wzięła małą na rękę.

- Chodź, kochanie.

Michelle usiłowała się jej wyrwać.

- Nie, tatusiu!

- Michelle!

Umilkła, przerażona brzmieniem mego głosu. Elaine zaniósła ją do sypialni. Pospiesznie załadowałem drugi magazynek i wsunąłem go do kieszeni marynarki.

Wyłączyłem światła w sypialni i w dziecięcym pokoiku, zatrzymując na chwilę wzrok na łóżeczku małej, przykrytym wzorzystą kapą. Na końcu zgasilem światło w kuchni.

Wróciłem do salonu. Telewizor grał ciągle, zła czarownica instruowała swego kruka, jak ma odnaleźć Śpiącą Królową. „Jesteś moją ostatnią nadzieją, kochany. Nie możesz mnie zawieść” - powiedziała do ptaka i ten odleciał. Przykucnąłem i cofałem się powoli w stronę drzwi, kiedy znów zadzwonił telefon. Podkradłem się do niego na czworakach.

- Słucham.

- *Kohai* - odezwał się Connor. Dzwonił z samochodu, tak jak poprzednio słyszałem charakterystyczny szum.

- Gdzie jesteś? - zapytałem.

- Masz kasetę.

- Tak, mam. Gdzie jesteś?

- Na lotnisku.

- Przyjeżdżaj tu szybko. Natychmiast! Jezu Chryste! I ściągnij jakieś posiłki!

Przez drzwi wejściowe usłyszałem na korytarzu odgłos cichych kroków.

Odłożyłem słuchawkę. Cały byłem zlany potem. Jezu!

Jeśli Connor był na lotnisku, mógł się tu zjawić najwcześniej za dwadzieścia minut. Może nawet później. Na pewno później. Na razie musiałem sobie radzić sam.

Patrzyłem na drzwi i wyteżalem słuch. Ale na klatce panowała niezmacona cisza.

Z sypialni doleciał mnie stłumiony głos Michelle:

- Ja chcę obejrzeć „Śpiącą Królową”! Chcę do tatusia! Elaine szepnęła coś do niej. Mała chlipnęła.

Znów zapadła cisza. Zadzwonił telefon.

- Poruczniku - oznajmił ten sam głos z silnym akcentem - nie potrzebuje pan żadnych posiłków.

Chryste, mieli nawet na podsłuchu telefon komórkowy!

- Nie chcemy uczynić panu krzywdy, pragniemy tylko odzyskać to co nasze. Czy byłby pan tak miły i oddał nam kasetę?

- Owszem, mam ją - powiedziałem.

- Wiemy o tym.

- Możecie ją dostać z powrotem.

- To dobrze, tak będzie najlepiej.

Byłem zdany wyłącznie na siebie. Myślałem gorączkowo, a wszystkie moje rozważania skupiały się wokół tego jednego: odciągnąć ich jak najdalej od mojej córki.

- Ale nie tutaj - dodałem.

Rozległo się pukanie do drzwi frontowych. Gwałtowne, natarczywe łomotanie.

Cholera!

Miałem wrażenie, że wpadłem w pułapkę. Wszystko działo się za szybko. Zdjąłem aparat ze stolika i rozciągnąłem się na podłodze w przedpokoju. Nie chciałem, żeby mnie było widać z okna.

Pukanie się powtórzyło.

- Możecie dostać tę kasetę - rzuciłem do słuchawki - ale najpierw odwołajcie swoich ludzi.

- Nie rozumiem, proszę powtórzyć.

Kurwa! Brakowało mi tylko problemów językowych!

- Odwołajcie swoich ludzi, zabierzcie ich stąd. Nie chcę ich widzieć!

- Poruczniku, musimy dostać tę kasetę!

- Wiem. Oddam ją wam.

Przez cały czas nie spuszczałem z oczu drzwi wejściowych. Ktoś nacisnął klamkę, próbował dostać się do środka: po cichu, dyskretnie. W końcu puścił klamkę i w szparę pod drzwiami wsunął coś białego.

Wizytówkę.

- Niech pan będzie rozsądny, poruczniku. Podczołgałem się, chwyciłem wizytówkę i odczytałem: Jonathan Connor, kapitan, Departament Policji miasta Los Angeles.

- *Kohai*.

Wiedziałem, że to wybieg. Connor sam mi powiedział, że jest na lotnisku...

- Może mógłbym w czymś pomóc, *kohai*.

Zdumiały mnie te słowa. Przypomniałem sobie, że kapitan użył wcześniej tego samego zwrotu, zaraz na początku naszego dochodzenia.

- Otwórz te pieprzone drzwi, *kohai*.

To musiał być Connor. Sięgnąłem w górę i otworzyłem zamek. Kapitan wśliznął się do przedpokoju i przykucnął. Ciągnął za sobą coś niebieskiego: kamizelkę kuloodporną.

- Sądziłem, że jesteś... Pokręcił głową i szepnął:

- Domyślałem się, że tu przyjdą. Czekałem w samochodzie, w głębi ulicy. Ilu ich jest przed domem?

- Chyba pięciu, może więcej. Przytaknął ruchem głowy. Obcy głos w słuchawce zawołał:

- Poruczniku! Jest pan tam? Poruczniku!

Odsunąłem ją nieco od ucha, żeby Connor mógł wszystko słyszeć.

- Tak, jestem - odparłem.

Z telewizora popłynął głośny śmiech czarownicy.

- Kto tam jest z panem, poruczniku?

- To tylko „Śpiąca Królowa”.

- Kto? Szpica krewna? - zapytał tamten zmieszany. - O kim pan mówi?

- To telewizor - wyjaśniłem. - Film w telewizji.

W słuchawce rozległy się jakieś szept, ale zagłuszył je szum przejeżdżającego auta. Domyśliłem się, że tamci zajęli stanowiska przed wejściem do domu. Przy mojej ulicy stoją wyłącznie ciasno stłoczone kamienice, jest mnóstwo okien. Zwykle ktoś z nich wygląda, ludzie spacerują po chodnikach. Tamci musieli działać w pośpiechu.

Pewnie już byli dobrze ukryci.

Connor pociągnął mnie na rękaw i na migi kazał się rozebrać. Zsunąłem marynarkę, nie wypuszczając słuchawki z rąk.

- W porządku - rzekłem. - Co mam zrobić?

- Przynieś nam kasety.

Spojrzałem na kapitana, a ten kiwnął potakująco głową.

- Dobrze, ale proszę wpierw zabrać stąd swoich ludzi.

- Słucham?

Connor pokazał zaciśniętą pięść i zrobił skrzywioną minę. Chciał, żebym odegrał rolę rozwścieczonego. Zakrył dłonią mikrofon i szepnął mi do ucha japońskie przekleństwo.

- Słuchaj uważnie! - warknąłem do słuchawki. - *Yoku kike!* Złowiłem głośny pomruk zdumienia.

- *Hai*. Ludzie odejdą. A pan niech wyjdzie, poruczniku.

- Dobra. Już schodzę. Odłożyłem słuchawkę.

- Pół minuty - szepnął Connor i zniknął za drzwiami wejściowymi.

Pospiesznie zapinałem guziki koszuli. Kamizelka kuloodporna jest ciężka i niewygodna, w jednej chwili byłem zlany potem.

Odczekałem trzydzieści sekund, spoglądając na pełną z wolna wskazówkę zegarka. W końcu wyszedłem z mieszkania.

Ktoś zgasił światło na klatce. Potknąłem się na nieruchomym cieple. Wstałem szybko i popatrzyłem na zastygłą twarz o japońskich rysach. To był młody chłopak, jeszcze dziecko. Ale oddychał wolno, został tylko zamroczony.

Powoli ruszyłem na dół.

Na podeście drugiego piętra nie było nikogo. Poszedłem dalej. Zza którychś drzwi na pierwszym piętrze doleciał stłumiony, chórally śmiech z włączonego telewizora. Spiker zawołał: „Więc proszę nam powiedzieć, dokąd się państwo udali na swą pierwszą randkę!”

Powoli schodziłem dalej. Stałem przed oszklonymi drzwiami wejściowymi i wyrząłem na zewnątrz. Dostrzegłem tylko żywopłot, zaparkowane auta i kawałek trawnika przed budynkiem. Samochody napastników, które zauważyłem z góry, stały gdzieś dalej, na lewo od wejścia.

Wziąłem kilka głębszych oddechów. Serce waliło mi jak młotem. Strasznie się bałem wychodzić, ale w głowie wciąż kołatała się ta jedna myśl, żeby utrzymać ich jak najdalej od mojej córki, odciągnąć gdzieś...

Wyszedłem przed dom.

Nocne powietrze chłodziło moją spoconą twarz. Zrobiłem dwa kroki naprzód.

Dostrzegłem ich. Stali jakieś dziesięć metrów od wejścia, obok swoich samochodów. Naliczyłem czterech mężczyzn. Jeden z nich pomachał ręką, przywołując mnie do siebie. Zawahałem się.

Gdzie są pozostali? - przemknęło mi przez myśl.

W pobliżu, poza tymi facetami, nie było nikogo. Ponownie przywołali mnie ruchem ręki. Ruszyłem w ich stronę, gdy nagle coś walnęło mnie od tyłu i padłem twarzą w wilgotną trawę.

W pierwszej chwili nie wiedziałem, co się stało.

Strzelili mi w plecy!

Dokoła rozpętało się piekło. Zaterkotały automaty. Ognie z luf rozświetlały ciemną uliczkę niczym błyskawice. Grzechot karabinów odbił się głośnym echem od stłoczonych kamienic. Posypało się tłuczone szkło. Ze wszystkich stron dobiegały okrzyki, zagłuszane przez huk wystrzałów. Usłyszałem warkot zapuszczanego silnika i po chwili jakiś samochód przemknął obok mnie ulicą. Niemal natychmiast rozległo się wycie syren policyjnych, zapiszczały opony, rozbłyły światła wozów patrolowych. Nie miałem odwagi się poruszyć, wciskałem twarz w mokrą trawę. Zdawało mi się, że leżę tak już od godziny. Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że słyszę, wykrzykiwane, tylko angielskie słowa. Wreszcie ktoś podszedł i pochylił się nade mną.

- Proszę leżeć spokojnie, poruczniku. - Rozpoznałem głos Connora, który ostrożnie wodził dłonią po moich plecach. - Czy może się pan poruszyć?

Przekręciłem się na plecy.

Ujrzałem twarz kapitana, ostro rysującą się w snopie jaskrawego światła z reflektorów.

- Masz tylko lekkie draśnięcia - rzekł - ale jutro będą cię tak bolały plecy, że chyba nie zwleczesz się z łóżka.

Pomógł mi stanąć na nogach.

Obejrzałem się, chcąc zobaczyć tego, który do mnie strzelał. Ale nie było tam nikogo. Na trawniku, tuż obok drzwi frontowych budynku, leżało tylko kilka jaskrawożółtych łusek, które wyraźnie odcinały się na tle zieleni.

DZIEŃ TRZECI

1

Nagłówek głosił: GANG WIETNAMCZYKÓW ODPOWIEDZIALNY ZA STRZELANINĘ W WESTSIDE. W artykule pisano, że banda z Orange County, znana pod nazwą Zabójcy Dziwek, zorganizowała zamach na Petera Smitha, oficera służb specjalnych policji Los Angeles. Porucznik Smith odniósł dwie poważne rany, zanim na scenie pojawił się patrol policyjny, zmuszając młodocianych przestępców do ucieczki. Żadnego z napastników nie udało się schwytać, ale dwóch zginęło podczas strzelaniny.

Czytałem gazetę pod prysznicem, kierując strumień wody na obolałe plecy. Faktycznie miałem dwie brzydkie rany na karku, po obu stronach szyi. Odzywały się bólem przy każdym oddechu.

Wysłałem Michelle na weekend do mojej matki w San Diego. Elaine odwiozła ją jeszcze wczoraj, późnym wieczorem.

Czytałem dalej.

Według reportera, Zabójcy Dziwek byli odpowiedzialni za popełnione tydzień temu brutalne morderstwo. Młodociani gangsterzy spokojnie podeszli do dwuletniego Murzyna, Rodneya Howarda, który jeździł na trójkołowym rowerku przed domem w Inglewood, i zabili go strzałem w głowę. Tamten incydent miał być podobno aktem inicjacji nowego członka przyjmowanego do gangu. Zabójstwo wywołało wielką falę oburzenia i rozpało dyskusję na temat tego, czy policja Los Angeles jest w ogólnie zdolna poradzić sobie ze zorganizowaną przestępczością w południowej Kalifornii.

Znów dobijało się do mnie mnóstwo dziennikarzy, ale nie chciałem z nikim rozmawiać. Telefon dzwonił bez przerwy, lecz włączyłem automatyczną sekretarkę i nie zwracałem na niego uwagi. Siedziałem pod prysznicem, próbując zebrać myśli.

Dopiero po jakimś czasie zadzwoniłem do redakcji „Timesa” i poprosiłem o rozmowę z Kenem Shubikiem.

- Ciekaw byłem, kiedy się w końcu odezwiesz - powiedział. - Chyba się cieszysz?

- Z czego?

- Że uszedłeś z życiem. Ci gówniarze to bezwzględni mordercy.

- Mówisz o tym napadzie Wietnamczyków wczoraj wieczorem? - zapytałem. - To mi wyjaśnij, czemu oni mówili po japońsku.

- Nie?

- Właśnie tak, Ken.

- To znaczy, że nasz reporter coś spieprzył?

- Niezupełnie.

- Wyjaśnij mi to.

- Co mam ci wyjaśnić?

- Skąd „Łasica” wytrzasnęła tę bajeczkę? Robi się wokół niego coraz większy smród, słyszałem nawet plotki, że mają go wywalić. Nikt nic nie wie, ale u nas w zaciszu gabinetów dosłownie się gotuje. Ktoś z kierownictwa działu reportarzy podobno zaczął pluć bez ogródek na Japończyków. Słyszałem też, że mamy szykować wielki cykl artykułów o działalności firm japońskich w Stanach.

- Naprawdę?

- Oczywiście, chociaż na razie to nic pewnego. Zaglądałeś do działu ekonomicznego?

- Nie.

- Darley-Higgins ogłosiło oficjalnie nabycie MicroConu przez Akai. Jest tam cała szpalta, na czwartej stronie.

- I tym się macie zająć?

- Nie, to już przegrana sprawa, po prostu kolejne przedsiębiorstwo na liście tych, jakie sprzedano Japończykom. Sprawdziłem, od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku kupili ponad sto osiemdziesiąt naszych najnowocześniejszych firm z branży elektronicznej. Nic nowego.

- Macie jednak przygotować cykl artykułów?

- Tak słyszałem. Nie będzie to łatwe, nastroje ludzi są coraz gorsze. Zwiększa się ujemny bilans handlowy z Japończykami. Tylko z pozoru sytuacja się unormowała, bo

znacznie ograniczono import japońskich samochodów. Teraz Japończycy produkują je tu, na miejscu. Poza tym wiele części sprowadzają ze swych filii w innych krajach Azji, obciążając bilans handlowy tamtych państw, a poprawiając swój. W dodatku zamówili duże dostawy pomarańczy i drewna, chyba też tylko po to, żeby zrobić wrażenie. Generalnie rzecz biorąc, traktują nas jak kraj trzeciego świata. Kupują tylko surowce, żadnych gotowych wyrobów. Twierdzą, że nie produkujemy niczego, co byłoby im potrzebne.

- Może to i prawda, Ken.

- Wmawiaj to komu innemu. - Westchnął głośno. - Nie wiem tylko, czy opinię publiczną jeszcze cokolwiek obchodzi. Tu tkwi problem. Podobnie jak z podatkami.

Byłem z lekka otepiały.

- Jakimi podatkami?

- Jeszcze kończymy ten cykl o podatkach. Wyobraź sobie, że ktoś w Waszyngtonie w końcu zwrócił uwagę, iż Japończycy ostro działają na naszym rynku, ale płacą zaniżone podatki lub nie płacą ich wcale. Ustawiają swoje zyski, odpowiednio regulując ceny sprowadzanych z Japonii części i półproduktów. Może to dziwne, ale nigdy dotąd politycy nie reagowali tak błyskawicznie na ujawniane machlojki Japończyków. Zresztą ci nie bez powodu pchają co roku do Waszyngtonu pół miliarda dolarów, żeby wszystkim zatkać usta.

- I dlatego ciągniecie ten cykl artykułów o podatkach?

- Owszem. Dobieramy się też do Nakamoto. Według dobrze poinformowanych źródeł Nakamoto chce się dostać do ekskluzywnego grona dyktatorów cen. Dla firm japońskich oznacza to wejście do elity. Mam tu listę tych, którzy już dyktują warunki. Nintendo w roku dziewięćdziesiątym pierwszym opanowało rynek gier. Mitsubishi w ubiegłym cały przemysł telewizyjny. Panasonic w osiemdziesiątym dziewiątym, Minolta w osiemdziesiątym siódmym. Zdajesz sobie sprawę, że to załedwie czubek góry lodowej.

- Tym lepiej, że wzięliście to na warsztat. Odchrząknął.

- Czy chcesz, żebyśmy zamieścili sprostowanie o tych Wietnamczykach, którzy mówili po japońsku?

- Nie.

- Jedziemy na tym samym wózku - mruknął.

- Nie wiem tylko, czy w dobrą stronę - odparłem.

Pojechałem na lunch z Connorem do baru sushi w Culver City. Kiedy zatrzymaliśmy się przed wejściem, właściciel umieszczał na drzwiach wywieszkę ZAMKNIĘTE, ale na nasz widok odwrócił ją napisem OTWARTE.

- Znają mnie tutaj - oznajmił kapitan.

- I lubią?- To trudno powiedzieć.

- W każdym razie chcą zarobić.

- Nie sądzę, pewnie Hiroshi wolałby zamknąć lokal. Nie opłaca mu się skracać pracownikom przerwy z powodu dwóch klientów, zwłaszcza że ci są *gaijin*. Ale często tu zaglądam, a on ceni sobie stałych gości. Niewiele ma to wspólnego ani z zarobkiem, ani z sentymentem.

Wysiedliśmy z samochodu.

- Amerykanie tego nie potrafią zrozumieć. Japoński system wartości jest całkowicie różny od naszego.

- Wydaje mi się jednak, że powoli zaczynamy to rozumieć - powiedziałem.

Streściłem mu następnie rozmowę z Kenem Shubikiem na temat praktyki dyktowania cen. Connor westchnął.

- Ten tani chwyt ma udowodnić, że Japończycy postępują nieuczciwie, a to nieprawda. Oni tylko stosują inne reguły gry i tego Amerykanie nie rozumieją.

- Może i tak. Nie oznacza to jednak, że dyktowanie cen jest legalne.

- Tylko w Stanach, w Japonii to normalny proceder. Pamiętaj, *kdhai*, oni są diametralnie inni. Umowy dotyczące cen są czymś normalnym, świetnie to wyszło przy okazji głośnego skandalu Nomury. To, co dla Amerykanów jest nielegalną zмовą, Japończycy uważają za jeden ze sposobów prowadzenia interesów. Nic więcej.

Weszliśmy do baru. Po długiej ceremonii ukłonów i pozdrowień, którymi Connor sypał po japońsku, zajęliśmy miejsca, a właściciel zniknął w kuchni.

- Nie trzeba złożyć zamówienia? - spytałem.

- Nie chcesz go chyba obrazić? Hiroshi sam zdecyduje, co powinniśmy dzisiaj zjeść.

Wkrótce pojawiły się przed nami talerzyki i Hiroshi zaczął na naszych oczach porcjować rybę.

Zadzwoił telefon. Z odległego końca lokalu zawołał jakiś mężczyzna:

- *Connor-san, onna no hito ga matteru to ittemashita yo.*

- *Dorno* - odparł kapitan, kiwając głową. Odwrócił się do mnie i zsunął ze stołka. - Niestety, nie zdążymy zjeść. Pora na następne spotkanie. Masz ze sobą tę kasetę?

- Tak.

- To dobrze.

- Dokąd jedziemy?

- Do twojej przyjaciółki, panny Asakumy.

2

Wracaliśmy do miasta autostradą od strony Santa Monica. Samochód podskakiwał na nierównościach drogi. Popołudniowe niebo zszarzało, jakby zanosilo się na deszcz. Bolały mnie plecy. Connor wyglądał przez okno i nucił coś pod nosem.

W całym tym zamieszaniu zapomniałem, że Theresa dzwoniła do mnie wczoraj wieczorem. Powiedziała wtedy, że uważnie oglądała ostatnie minuty zapisu na kasetach i że możemy mieć jakieś problemy.

- Rozmawiałeś z nią? - zapytałem.

- Z Theresa? Krótko. Udzieliłem jej pewnej rady.

- Wczoraj wieczorem przekazała mi, że mogą być jakieś problemy.

- Tak? Nic mi nie mówiła.

Miałem przeczucie, że to nieprawda, ale dokuczały mi rany i potłuczenia, nie chciałem się z nim kłócić. Czasami odnosiłem wrażenie, że Connor w jakimś stopniu upodobił się do Japończyków. Nieraz zachowywał się tajemniczo, jakby z rezerwą.

- Nigdy mi nie powiedziałeś, dlaczego wyjechałeś z Japonii.

- Ach tak. - Westchnął. - Miałem dobrą robotę, pracowałem dla pewnej korporacji jako doradca służb ochrony. Ale nic z tego nie wyszło.

- Dlaczego?

- To była świetna robota, naprawdę.

- Co się zatem stało? Pokręcił głową.

- Mnóstwo osób mieszkających przez jakiś czas w Japonii ma sprzeczne odczucia. Na wiele sposobów Japończycy są wspaniali, pracowici, inteligentni, dowcipni. Naprawdę tworzą jedną wielką rodzinę. Z drugiej strony są największymi rasistami na ziemi, może właśnie z tego powodu tak często zarzucają innym rasizm. Mają wiele uprzedzeń i zakładają, że inni także muszą je mieć. Jeśli się mieszka w Japonii... Po prostu mnie to zmęczyło. Miałem już dość tego, że wieczorami na mój widok kobiety przechodzą na drugą stronę ulicy, że obok mnie miejsca w metrze niemal zawsze pozostają wolne, że stewardesa w samolocie uprzejmie pyta Japończyków, czy nie mają nic przeciwko temu, że obok nich usiądzie *gaijin*, zakładając, rzecz jasna, że nie rozumiem ani słowa po japońsku. Zmęczyło mnie to ciągle wyobcowanie, pobłażliwy stosunek współpracowników, tłumione śmiechy za moimi plecami. Traktowali mnie jak czarnucha. Po prostu... znudziło mnie to i zrezygnowałem.

- Czy mam rozumieć, że dlatego ich nie lubisz?

- Skądże, ja ich bardzo lubię. Ale nie jestem Japończykiem, i o tym nigdy nie pozwolą mi zapomnieć. - Ponownie westchnął. - Mam wielu japońskich przyjaciół, którzy pracują w Stanach. Im także jest ciężko tu mieszkać. Zbyt wielkie dzielą nas różnice. Oni również czują się wyobcowani, tu też ludzie w metrze nie siadają obok nich. Przyjaciele zawsze proszą mnie, bym patrzył na nich jak na takich samych ludzi jak ja, a dopiero później brał pod uwagę ich narodowość. Niestety, wiem z doświadczenia, że takie podejście nie zawsze jest możliwe.

- To znaczy, że niektórzy przede wszystkim są Japończykami?

- Rodzina to zawsze rodzina. - Connor wzruszył ramionami. Przez resztę drogi jechaliśmy w milczeniu.

3

Siedzieliśmy w niewielkim pokoiku na drugim piętrze akademika dla studentów zagranicznych. Theresa Asakuma wyjaśniła, że to nie jej pokój, lecz przyjaciółki, która właśnie wyjechała na praktykę do Włoch. Przygotowała na stoliku przenośny magnetowid oraz mały monitor.

- Pomyślałam, że lepiej będzie nie spotykać się w pracowni - powiedziała, przewijając kasetę. - Chciałam jednak, żeby panowie to zobaczyli. Chodzi o ostatnie fragmenty zapisu na jednej z tych kaset, które dostałam od was. Zaczyna się zaraz po tym, jak senator wychodzi z sali.

Uruchomiła odtwarzanie. Ujrzałem rozległą perspektywę czterdziestego piątego piętra Nakamoto. Nie było tu nikogo, tylko na stole konferencyjnym leżały zwłoki Cheryl Austin.

Taśma przesuwiała się powoli.

Nic się nie działo, obraz na ekranie był statyczny.

- Na co mamy patrzeć? - zapytałem.

- Jeszcze chwilę. Nadal nic się nie działo.

Nagle spostrzegłem wyraźnie, że dziewczyna poruszyła nogą.

- Co to było?

- Skurcz?

- Nie jestem pewien.

Po chwili Cheryl poruszyła ręką, wyraźnie odcinając się na tle ciemnego stołu. Nie miałem co do tego wątpliwości. Zaciśnęła palce, potem znów rozwarła dłoni.

- Ona jeszcze żyła! Theresa pokiwała głową.

- Wszystko na to wskazuje. Proszę zwrócić uwagę na zegar.

Wskazówki na tarczy ściennego zegara pokazywały 8:36. Wbijałem wzrok w monitor. Znowu nic się nie działo. Minęły kolejne dwie minuty.

Connor głośno wciągnął powietrze.

- Zegar się zatrzymał.

- Nie - odparła Theresa. - Oglądałam to z bliska, na powiększeniu. Zauważalne jest delikatne migotanie piksli.

- Co to oznacza?

- Nazywamy to rock and roilem. Maskuje się w ten sposób zatrzymanie obrazu. Jeśli zwyczajnie zastopuje pań taśmę, jest to natychmiast widoczne, gdyż wszystkie punkty na ekranie zamierają w bezruchu. Natomiast na statycznym obrazie przy normalnym odtwarzaniu zawsze występuje drobne migotanie piksli, choćby z powodu szumów zapisu. Żeby zamaskować nagrywanie obrazu zatrzymanego, stosuje się tak zwany rock and roli. Wystarczy wybrać choćby sekundę zapisu i odtwarzać ją w kółko, wtedy wystąpi migotanie piksli, co zamaskuje montaż.

- Wynika stąd, że zapis na kasetach został zatrzymany o dwudziestej trzydzięści sześć.

- Tak, a o tej porze dziewczyna z pewnością jeszcze żyła. No, może nie jest to całkiem pewne, ale wszystko na to wskazuje.

Connor pokiwał głową.

- A więc dlatego oryginały są aż tak ważne.

- Jakie oryginały? - zapytała Theresa.

Wyjąłem z kieszeni kasetę, którą wczoraj wieczorem znalazłem w swoim mieszkaniu.

- Proszę to puścić.

Na ekranie ponownie ujrzeliśmy widok czterdziestego piątego piętra. Ten zapis pochodził z kamery umieszczonej z boku, mieliśmy świetną perspektywę całej sali konferencyjnej. Kiedy doszliśmy do sceny zabójstwa, okazało się, że faktycznie jest to oryginalna taśma. Bez trudu rozpoznaliśmy Mortona oddalającego się od dziewczyny leżącej nieruchomo na stole.

Spoglądałem na ekran, wpatrując się w Cheryl Austin.

- A gdzie jest zegar?

- Nie widać go w tym ujęciu.

- Jak pani sądzi, ile czasu minęło?

Theresa pokręciła głową.

- Trudno powiedzieć. Kilka minut.

Ponownie patrzyłem, jak dziewczyna poruszyła się na stole. Zaciśnięta pięść i po chwili poruszyła głowę. Z pewnością żyła jeszcze, nie ulegało to wątpliwości.

W szklanej ścianie sali konferencyjnej pojawiło się nagle czyjeś odbicie. Mężczyzna ruszył szybko i zaraz wszedł w pole widzenia kamery. Zbliżył się do stołu i rozejrzał na boki, jakby chciał sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje. To był Ishigura. Ostrożnie podszedł do dziewczyny. Wreszcie zaciśnął palce na jej szyi i zaczął ją dusić.

- Jezu...

Trwało to dość długo. Cheryl Austin walczyła do końca, lecz Japończyk przyciskał ją do stołu nawet wtedy, kiedy już zastygła w bezruchu.

- Sprytnie załatwił tę sprawę.

- Aha - mruknął Connor. - Bez ryzyka.

Wreszcie Ishigura odsunął się od zwłok. Rozprostował rękawy i wygładził klapy marynarki.

- Dobra - rzekł kapitan. - Może pani zatrzymać taśmę. Dość już widzieliśmy.

Wyszliśmy na zewnątrz. Promienie słońca z trudem przebijały się przez szary smog. Na ulicy panował intensywny ruch, koła aut bębniły na dziurawej nawierzchni. Fasady budynków wydały mi się nagle jakieś obskurne, zaniedbane.

Wsiedliśmy do samochodu.

- Dokąd teraz? - zapytałem.

Connor wyciągnął w moją stronę mikrofon.

- Połącz się z centralą i powiedz, że znaleźliśmy taśmę, na której utrwalono przebieg morderstwa popełnionego przez Ishigurę. Przekaż, że jedziemy do Nakamoto, aby go aresztować.

- Myślałem, że nie lubisz korzystać z krótkofalówki.

- Zrób to. Tak czy inaczej, zamykamy sprawę.

Połączyłem się z centralą. Przekazałem dyżurnemu, dokąd jedziemy i co mamy zamiar zrobić. Zapytał, czy potrzebujemy pomocy. Connor pokręcił głową, odpowiedziałem więc, że załatwimy to sami.

Przerwałem połączenie.

- I co teraz?

- Jedziemy do Nakamoto.

Tyle razy oglądałem na ekranie perspektywę czterdziestego piątego piętra biurowca, że kiedy ponownie tam weszliśmy, poczułem się dziwnie. Choć była sobota, biuro tętniło życiem, personel pomocniczy miotał się jak w ukropie. Za dnia wszystko tu wyglądało inaczej. Światło słoneczne wpadało przez panoramiczne okna, a sąsiednie wieżowce, mimo że tonęły w smogu, wydawały się stać bardzo blisko nas.

Spojrzałem pod sufit i zauważyłem, że kamery służb ochrony zostały usunięte. W sali konferencyjnej, po prawej, gdzie zamordowano Cheryl Austin, kończono zmieniać wystrój. Zniknęły ciemne meble, robotnicy składali wielki jasny stół, pod ścianami stały już krzesła z beżowymi obiciami. Wszystko tam wyglądało inaczej.

W drugiej sali, po przeciwnej stronie atrium, trwała jakaś konferencja. Przy długim stole okrytym zielonym pluszem siedziało w przybliżeniu czterdzieści osób: Japończycy po jednej stronie, Amerykanie po drugiej. Przed każdym leżał stosik dokumentów. Wśród Amerykanów zauważyłem prawnika, Boba Richmonda. Stojący obok mnie Connor westchnął głośno.

- O co chodzi?

- No i mamy sobotnie spotkanie, *kohai*.

- Chcesz powiedzieć, że wówczas Eddie wspomniał właśnie o tej sobotniej konferencji?

Connor skinął głową.

- Tak, o spotkaniu dotyczącym sprzedaży MicroConu.

Przy wyjściu z windy siedziała za biurkiem recepcjonistka. Do tej pory przyglądała nam się w milczeniu, teraz jednak zapytała:

- Czy mogę w czymś pomóc, panowie?

- Nie, dziękujemy. Czekamy tu na kogoś. Zmarszczyłem brwi. Z tego miejsca bez trudu zauważyłem Ishigurę, który siedział w sali konferencyjnej, po stronie Japończyków, mniej więcej w połowie długości stołu, i palił papierosa. Jego sąsiad z prawej pochylił się ku niemu i szepnął coś na ucho; Ishigura uśmiechnął się i pokiwał głową. Zerknąłem na Connora.

- Na razie czekamy - mruknął.

Upłynęło kilka minut, wreszcie jakiś młody Japończyk przebiegł przez atrium i wszedł do sali. Powoli, na palcach ruszył wzdłuż rzędu krzeseł i zatrzymał się za plecami siwowłosego, dystygowanego mężczyzny siedzącego przy odległym krańcu stołu. Pochylił się i przekazał mu coś szeptem.

- Iwabuchi - rzekł kapitan.

- Kto to jest?

- Prezes Nakamoto America. Przyleciał z Nowego Jorku. Iwabuchi pokiwał głową i podniósł się z miejsca. Młody współpracownik odsunął jego krzesło. Iwabuchi ruszył powoli wzdłuż szeregu japońskich negocjatorów. Przechodząc obok, musnął palcami ramię jednego z mężczyzn. Dotarł do końca sali, otworzył przeszkłone drzwi i wyszedł na taras.

W chwilę później tamten także wstał i wyszedł.

- Moriyama - wyjaśnił Connor. - Prezes oddziału w Los Angeles.

Obaj stanęli na tarasie, w słońcu, i zapalili papierosy. Młody Japończyk wyjaśniał im coś szybko, kiwając głową. Tamci słuchali z uwagą, wreszcie odwrócili się do niego plecami. Urzędnik odsunął się o krok, lecz został na posterunku.

Po chwili Moriyama obejrzał się na niego i coś powiedział. Japończyk skłonił się i szybko wrócił do sali konferencyjnej. Podeszedł do kolejnego mężczyzny, ciemnowłosego, z bujnymi włosami, i szepnął coś do niego.

- Shirai - powiedział Connor. - Szef finansów spółki. Shirai także się podniósł i ruszył wzdłuż stołu, ale nie skręcił na taras. Minął atrium i zniknął w jednym z gabinetów w przeciwległym końcu przestronnego pomieszczenia.

W sali konferencyjnej młody pomocnik przekazał wiadomość czwartemu mężczyźnie, w którym rozpoznałem Yoshidę, szefa Akai Ceramics. Ten także wymknął się po cichu z sali i zniknął w głębi atrium.

- Co tu się dzieje? - zapytałem.- Odcinają się od tego - wyjaśnił Connor. - Nie chcą być obecni przy tym, co ma się wydarzyć.

Spojrzałem na taras. Dwaj starsi Japończycy, pogrążeni w rozmowie, zmierzali powoli w stronę drugich drzwi prowadzących do atrium.

- Na co czekamy?

- Cierpliwości, *kohai*.

Młody pomocnik także wyszedł z sali konferencyjnej, w której nieprzerwanie toczyły się negocjacje. W atrium chwycił go za ramię Yoshida i szepnął coś do niego.

Tamten wrócił do sali.

- Oho! - mruknął Connor.

Tym razem Japończyk skierował się w tę stronę, którą zajmowali Amerykanie. Podeszedł do Richmonda i przekazał mu szeptem wiadomość. Nie widziałem twarzy Richmonda, gdyż siedział do mnie tyłem, lecz odchylił się nagle w bok, jakby zdumiony. Zamienił jeszcze kilka słów z Japończykiem, aż ten w końcu przytaknął i wyszedł.

Richmond pozostał na miejscu. Z wyraźnym niedowierzaniem pokręcił głową, wyrwał kartkę z notatnika, napisał coś na niej i przekazał Ishigurze.

- To znak dla nas - powiedział Connor.

Odwrócił się do recepcjonistki, pokazał swą odznakę, po czym poprowadził szybkim krokiem przez atrium w stronę sali konferencyjnej.

Kiedy wchodziliśmy, młody Amerykanin w prążkowanym garniturze stał przy swoim miejscu i wyjaśniał:

- Jeśli więc zechcą państwo zwrócić uwagę na zestawienie C, które zawiera nasze główne...

Connor szedł pierwszy, ja postępowałem tuż za nim. Ishigura uniósł głowę i popatrzył na nas.

- Dzień dobry, panowie - rzekł z kamienną twarzą.

- Panowie, jeśli ta sprawa może poczekać... - wtrącił pospiesznie Richmond. - Omawiamy właśnie dość ważny problem...

Connor nie zwrócił na niego uwagi.

- Panie Ishigura. Jest pan aresztowany pod zarzutem zamordowania Cheryl Lynn Austin - rzekł, a następnie wyrecytował mu wszystkie prawa zatrzymanego.

Ishigura patrzył na niego bez mrugnięcia okiem. W sali zapadła napięta cisza. Przy długim stole nikt się nawet nie poruszył. Jak gdyby czas stanął w miejscu.

- Ależ to absurd - powiedział spokojnie Japończyk.

- Panie Ishigura - rzekł kapitan. - Czy mógłby pan wstać?

- Mam nadzieję, chłopcy, że zdajecie sobie sprawę, w co się pakujecie - wtrącił Richmond.

- Znam swoje prawa, panowie - oznajmił Ishigura.

- Czy mógłby pan wstać? - powtórzył Connor.

Ishigura siedział na miejscu, papieros dopalał mu się w palcach. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Wreszcie Connor odwrócił się do mnie.

- Zademonstruj im taśmę.

Pod ścianą sali konferencyjnej znajdował się stojak ze sprzętem elektronicznym; ujrzałem taki sam magnetowid jak ten, który mi wypożyczono. Podszedłem i wsunąłem kasetę, lecz na wielkim monitorze nie pojawił się żaden obraz. W zdenerwowaniu zacząłem wciskać różne klawisze, ale nic to nie dało.

Zza biurka w rogu sali wybiegła sekretarka, która opisywała przebieg posiedzenia, skłoniła się przede mną unizenie, wcisnęła odpowiednie przyciski, skłoniła się ponownie i wróciła na swoje miejsce.

- Dziękuję - powiedziałem.

Na ekranie pojawił się obraz tego piętra. Pomimo jaskrawego słońca wszystko było doskonale widać. Już wcześniej ustawiliśmy kasetę na początek tej sceny, którą oglądaliśmy w pokoju Theresy; do leżącej na stole dziewczyny podchodzi Ishigura i zaczyna ją brutalnie dusić.

- Co to jest? - zapytał Richmond.

- Fotomontaż - odparł Ishigura. - Sfabrykowany materiał.

- Na tej taśmie został utrwalony obraz czterdziestego piątego piętra tego budynku, zarejestrowany w czwartek wieczorem przez jedną z kamer służb ochrony spółki Nakamoto.

- Nieprawda, to sfabrykowany materiał - powtórzył Ishigura. Nikt go jednak nie słuchał, wszyscy wpatrywali się w ekran.

Richmond, który gapił się z otwartymi ustami, jęknął:

- Jezu!

Wydawało mi się, że cała scena trwa teraz znacznie dłużej. Ishigura wbijał wzrok w Connora.

- To nic innego, jak tani chwyt propagandowy - powiedział. - Fotomontaż, który nie ma żadnego znaczenia dowodowego.

- Jezu Chryste - powtórzył Richmond, który nie mógł oderwać wzroku od monitora.

- Ten materiał nie ma żadnej wartości w świetle prawa - oznajmił ponownie Ishigura. - To niedopuszczalne. Muszę to uznać za próbę zerwania...

Urwał nagle i powiódł spojrzeniem po sali. Chyba dopiero teraz zauważył puste miejsce Iwabuchiego.

Szybko przesunął wzrok wzdłuż stołu konferencyjnego.

Zwrócił uwagę na puste miejsca Moriyamy oraz Shiraiego.

A także Yoshidy.

Oczy mu się rozszerzyły, w zdumieniu popatrzył na Connora. Wreszcie skinął głową, mruknął gardłowo i podniósł się z krzesła. Wszyscy pozostali gapili się na ekran.

Ishigura podszedł do Connora.

- Nie chcę tego oglądać, kapitanie. Zaczekam na tarasie, aż skończy pan demonstrować tę łamigłówkę. - Zapalił kolejnego papierosa i jeszcze raz spojrział z ukosa na Connora. - Wtedy będziemy mogli porozmawiać. *Machigainaku.*

Ruszył powoli przed siebie i wyszedł na zewnątrz. Zostawił otwarte drzwi na taras.

Chciałem pójść za nim, lecz Connor posłał mi znaczące spojrzenie i pokręcił lekko głową. Zostałem na miejscu.

Spoglądałem na Ishigurę, który stanął przy poręczy. Palił papierosa, kierując twarz do słońca. Raz tylko obejrzał się na nas i z zalem pokręcił głową. Nagle wychylił się do przodu i przerzucił nogę przez poręcz tarasu.

Zebrani w sali konferencyjnej wpatrywali się w monitor. Młoda Amerykanka, chyba doradca prawny, podniosła się nagle z krzesła, z trzaskiem zamknęła swój neseser i wyszła do atrium. Pozostali siedzieli bez ruchu.

Wreszcie taśma dobiegła do końca.

Wyłączyłem magnetowid.

W sali panowała napięta cisza. Przeciąg z lekka poruszał rozłożonymi na stole dokumentami. Spojrzałem na taras. Nie było tam nikogo.

Zanim podeszliśmy do poręczy, na leżącej w dole ulicy rozbrzmiewały już syreny.

Po tej stronie wieżowca powietrze było gęste od pyłu, z ogłuszającym hukiem pracowały młoty pneumatyczne. Nakamoto dobudo-wywało tu jakieś skrzydło, trwały intensywne roboty ziemne. Na dojeździe do placu budowy czekał długi sznur betoniarek. Przepchnąłem się przez zgromadzonych Japończyków w niebieskich kombinezonach i spojrzałem w głębokie fundamenty.

Ishigura leżał pośrodku betonowanego właśnie odcinka. Spoczywał na boku, z szarej mazi wystawały jedynie głowa i jedna ręka. Wokół niego ciemniały w betonie smugi krwi. Jeden z robotników w niebieskim kasku próbował wyciągnąć ciało bambusową tyczką zakończoną sznurową pętlą, ale nic z tego nie wychodziło. Wreszcie pojawił się drugi robotnik w długich gumowcach, podszedł do zwłok i usiłował je wydobyć z tężejących fundamentów, ale też nie dał rady. Zawołał innych do pomocy.

Nasi ludzie, Fred Perry i Bob Wolfe byli już na miejscu. Wolfe dostrzegł mnie w tłumie i zbliżył się, wyciągając notatnik.

- Czy wiesz coś na temat tego wypadku, Pete?! - wrzasnął, przekrzykując łośkot młotów pneumatycznych.

- Tak.

- Wiesz, jak się nazywał?

- Kasaguro Ishigura. Wolfe się skrzywił.

- Przeliteruj.

Zacząłem mu dyktować, przekrzykując hałas. W końcu zrezygnowałem, sięgnąłem do kieszeni i podałem mu wizytówkę.

- To jego?

- Tak.

- Skąd ją masz?

- To długa historia - odparłem. - Był podejrzany o dokonanie morderstwa.

Wolfe skinął głową.

- Najpierw zabierzemy ciało, a potem pogadamy.

- Oczywiście.

W końcu trzeba było użyć dźwigu, żeby wyciągnąć ciało Ishigury. Ociekające szarą mazią zwłoki powoli wywindowano w górę i przeniesiono, wprost nad moją głową, na rozjeżdżony placyk.

Kilka kropel betonu spadło na mnie i leżącą u moich stóp, przewróconą tablicę. Napis na niej głosił: „Spółka budowlana Nakamoto”, a pod spodem, wielkimi literami: BUDUJEMY NOWE JUTRO. Na samym dole zaś: PRZEPRASZAMY ZA CHWILOWE UTRUDNIENIA.

5

Całą godzinę zajęły nam różne formalności. Potem szef zażądał, żebyśmy jeszcze dziś dostarczyli mu pełny raport. Usiedliśmy więc razem, aby odwalić papierkową robotę.

O czwartej poszliśmy do kawiarni, mieszczącej się obok sklepu Antonia ze sprzętem wędkarskim. Mieliśmy obaj dość siedzenia w biurze.

- Jak myślisz, dlaczego Ishigura z zimną krwią zamordował dziewczynę? - zapytałem.

Connor westchnął.

- Nie wiem. Najlepsze wytłumaczenie, jakie przychodzi mi do głowy, jest następujące: Eddie przez cały czas pracował dla *kaisha* swego ojca. Do jego zadań należało dostarczanie dziewczyn dla przyjeżdżających do miasta dygnitarzy. Zajmował się tym od lat. A że był towarzyski, dobrze mu się wiodło; znał wiele dziewcząt i za ich pośrednictwem utrzymywał kontakty z członkami kongresu. Cheryl podsunęła mu znakomitą okazję, nawiązując romans z senatorem Mortonem, przewodniczącym komisji finansów. Morton był na tyle ostrożny, że chciał zerwać ten związek, lecz Eddie wciąż wysyłał ją śladem jego podróży i dochodziło do „nieoczekiwanych” spotkań. Eddie także ją lubił, inaczej nie kochałby się z nią tamtego

popołudnia. I to on załatwił jej zaproszenie na przyjęcie w Nakamoto, wiedząc, że będzie tam również Morton. Chciał chyba nakłonić senatora do zablokowania transakcji MicroConu; z tego właśnie powodu był tak bardzo przejęty sobotnim spotkaniem. Pamiętasz, jak przeglądaliśmy taśmę w studiu telewizyjnym? Mówił wtedy Cheryl o *nichibei*, wzajemnych stosunkach japońsko-amerykańskich. Sądzę zatem, że to Eddie zorganizował spotkanie Cheryl z Mortonem, nie wiedział jednak o tym, co szykowano na czterdziestym piątym piętrze biurowca, i nie spodziewał się, że para kochanków właśnie tam znajdzie sobie ustronne miejsce. Widocznie podpowiedział im to któryś z pracowników Nakamoto już w trakcie przyjęcia. A powód specjalnych przygotowań na tym piętrze był bardzo prosty: gdzieś w końcu sali znajduje się ustronny gabinet z tapczanem, którego używają różni dygnitarze.

- Skąd o tym wiesz? Connor uśmiechnął się.

- Hanada-san wspomniał, że kiedyś korzystał z tej sypialni. Podobno jest luksusowo wyposażona.

- Naprawdę masz rozległe kontakty.

- Owszem. Sądzę, że z tego pokoju gościnnego korzystają również pracownicy centrali Nakamoto. Możliwe, że rozmieszczono kamery w tym celu, by zdobyć materiał do późniejszego szantażu, choć mówiono mi, że w tej sypialni nie ma żadnych kamer. Z drugiej strony fakt, że aż tyle kamer nakierowano na salę konferencyjną, potwierdza zdanie Phillipsa: ktoś chciał zastosować *kaizen* wobec pracowników spółki. Chyba nikt się nie spodziewał, że para kochanków wybierze to właśnie miejsce. W każdym razie Eddie zauważył, że Cheryl oddała się razem z Mortonem i widocznie bardzo się przestraszył. Poszedł za nimi i w ten sposób, według mnie tylko przez przypadek, stał się świadkiem morderstwa. Za wszelką cenę chciał pomóc swemu przyjacielowi, Mortonowi, dlatego odciągnął go od Cheryl, wyprowadził z sali i wrócił razem z nim na przyjęcie.

- A co z taśmami?

- Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o łapówkarstwie? Jednym z ludzi opłacanych przez Eddiego musiał być Tanaka, pracownik służb ochrony Nakamoto. Możliwe, że Eddie dostarczał mu narkotyki. W każdym razie znali się od lat. Kiedy więc Ishigura rozkazał Tanace wykraść kasety, ten powiedział o tym Eddiemu.

- I Eddie zszedł do dyżurki, żeby sam się tym zająć.

- Aha. Sądzę jednak, że poszli tam obaj.

- Przecież Phillips twierdził, że Eddie był sam.

- Kłamał, chciał osłaniać Tanakę, bo go znał. Z tego też powodu nie powiedział nic więcej, widocznie Tanaka mu tak kazał. Opowiedział nam o taśmach, ale nie wspomniał nawet słowem o swoim szefie.- A potem?

- Ishigura musiał wysłać kogoś do zrobienia porządków w mieszkaniu Cheryl, natomiast Tanaka zabrał taśmy do jakiejś pracowni, gdzie je zmontował i zrobił kopie. Eddie zaś pojechał do znajomego na przyjęcie.

- Zabierając jedną kasetę.

- Zgadza się. Zamyśliłem się na chwilę.

- Kiedy jednak rozmawialiśmy z nim podczas przyjęcia, opowiadał nam coś zupełnie innego.

Connor skinął głową.

- Kłamał.

- Nawet tobie, przyjacielowi? Kapitan wzruszył ramionami.

- Widocznie postanowił trzymać się z dala od tej sprawy.

- A Ishigura? Dlaczego udusił dziewczynę?

- Żeby mieć Mortona w garści. Udało mu się, gdyż senator szybko zmienił stanowisko w kwestii sprzedaży MicroConu. Przynajmniej przez jakiś czas miał zamiar nie wtrącać się do tej transakcji.

- Myślisz, że Ishigura zabiłby ją tylko z tego powodu? Dla utrzymania pozycji firmy?

- Nie. Sądzę, że zadziałał pod wpływem chwili. Był strasznie spięty, znajdował się pod silną presją. Miał nadzieję, że w ten sposób zyska w oczach przełożonych. Mógł wiele stracić i dlatego zachowywał się inaczej niż przeciętny Japończyk w podobnych okolicznościach. Zamordował dziewczynę, działając pod wpływem desperacji. Przypomnij sobie, jak nazwał ją kobietą nic nie znaczącą.

- Jezu.

- Myślę, że to jeszcze nie wszystko. Morton miał ambiwalentne odczucia w stosunku do Japończyków. Miałem wrażenie, że darzy ich szczególnym sentymentem. Pamiętasz te żarty na temat zrzucenia bomby i podobne stwierdzenia. Uprawiając seks na ich stole konferencyjnych chciał jakby... ich poniżyć, nie sądzisz? Możliwe, że to dodatkowo rozwścieczyło Ishigurę.

- A kto zadzwonił na komisariat?

- Eddie.

- Dlaczego?

- Żeby zrobić smród wokół Nakamoto. Najpierw dla pewności odprowadził Mortona na przyjęcie, a potem zadzwonił, może nawet z któregoś telefonu w wieżowcu. Chyba wtedy jeszcze nie wiedział, że przebieg wydarzeń został zarejestrowany na taśmie.

Kiedy Tanaka powiedział mu o kamerach służby ochrony, prawdopodobnie Eddie się przestraszył, że Ishigura będzie próbował go zrobić w morderstwo. Dlatego zadzwonił po raz drugi.

- I poprosił o przydzielenie do śledztwa swego przyjaciela, Johna Connora.

- Zgadza się.

- Więc to Eddie przedstawił się jako Koichi Nishi? Kapitan skinął głową.

- Zażartował. Koichi Nishi to znana postać z japońskiego filmu o korupcji w wielkich przedsiębiorstwach.

Connor dopił kawę i odsunął od siebie pustą filiżankę.

- A Ishigura? Dlaczego Japończycy odwrócili się od niego?

- Ishigura podjął wielkie ryzyko i przegrał. W czwartek wieczorem zadziałał zbyt gwałtownie. Oni tego nie lubią, z pewnością zarząd firmy i tak by go wkrótce zwolnił. Czekają go spędzenie reszty życia w Japonii jako *madogiwa*, urzędnik okienny; ktoś, kogo kierownictwo w ogóle nie zauważa i nie zostaje mu nic innego, jak siedzieć za biurkiem i wyglądać przez okno. Dla Japończyka równa się to wyrokowi dożywocia.

Na chwilę zapadła cisza.

- Kiedy polecieś mi skorzystać z krótkofalówki, połączyć się z centralą i przekazać, co zamierzamy... Kto nas wtedy podsłuchiwał?

- Trudno powiedzieć. - Connor spuścił głowę. - Lubilem Eddiego, byłem mu to winien. Woląłem to, niż przyglądać się bezsilnie, jak odsyłają Ishigurę do Japonii.

Po powrocie do biura zastałem czekającą na mnie jakąś starszą kobietę. Była w żałobie, przedstawiła się jako babka Cheryl Austin. Rodzice dziewczyny zginęli w wypadku samochodowym, gdy miała zaledwie cztery lata. Od tamtej pory wychowywała ją babka mieszkająca w Teksasie. Chciała mi podziękować za to, że śledztwo doprowadziło do wykrycia mordercy. Zaczęła opowiadać o dzieciństwie Cheryl.

- Była piękną dziewczyną - mówiła - zawsze miała powodzenie u chłopców. Bez przerwy kilku się koło niej kręciło, nie sposób było ich odpędzić. - Zamilkła na chwilę. - Oczywiście, zawsze uważałam, że jest trochę postrzelona. Ale imponowało jej to, że chłopcy za nią ganiają. Bardzo lubiła, kiedy się o nią bili. Pamiętam, że gdy miała siedem czy osiem lat, głośno dopingowała dwóch tarzających się po ziemi rywali, pokrzykując radośnie i klaskając w ręce. Już jako kilkunastoletnia dziewczyna specjalnie prowokowała bójki, dobrze

wiedziała, jak się do tego zabrać. Miała trochę nie po kolei w głowie. Była taka piosenka, którą puszczała bez końca, dzień i noc. Coś o utracie zmysłów, o ile pamiętam.

- Pewnie Jerry'ego Lee Lewisa.

- Tak, już pamiętam. To była ulubiona piosenka jej ojca. Kiedy była małym szkrabem, zabierał ją do miasta; sadzał na przednim siedzeniu swego kabrioletu, obejmował dziewczynkę ramieniem i nastawiał radio na cały regulator. Może przez te jazdy w pełnym słońcu miała taką piękną cerę. Była naprawdę ślicznym maleństwem, jak dwie krople wody podobnym do matki.

W końcu kobieta zaczęła szlochać. Podałem jej papierową chusteczkę, wyrażając swoje współczucie.

Później zapytała, jak to się dokładnie stało, jak zginęła Cheryl Austin.

Nie miałem pojęcia, co jej powiedzieć.

Kiedy szedłem przez plac z fontannami, w kierunku wejścia do Centrum Parkera, zatrzymał mnie Japończyk w eleganckim garniturze. Ciemnowłosa, z bujnymi wąsami, około czterdziestki. Powitał mnie grzecznie i wręczył wizytówkę. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że pan Shirai jest szefem działu finansowego spółki Nakamoto.

- Chciałem się z panem zobaczyć osobiście, Sumisu-san, żeby przekazać, jak bardzo zarząd mojej firmy żałuje tego, co uczynił pan Ishigura. Zachował się niegodnie, zapewniam, że bez wiedzy swoich przełożonych. Nakamoto jest uczciwą firmą, która nie łamie prawa. Chciałem pana zapewnić, że działał on wyłącznie na własną rękę, zapominając o zasadach prowadzenia interesów. Sądzę, że zbyt długo przebywał w Ameryce i dlatego nabrał złych obyczajów.

No i proszę, odbierałem przeprosiny połączone z wyraźną zniewagą. Nie wiedziałem, jak mam na to zareagować.

- Panie Shirai - powiedziałem w końcu. - Złożono mi pewną ofertę zakupu małego domku na niezwykle korzystnych warunkach...

- Och, tak?

- Właśnie. Zapewne słyszał pan o niej.

- Mówiąc szczerze, faktycznie coś słyszałem.

- Ciekaw jestem, co teraz ma pan zamiar zrobić z tą ofertą? Przez dłuższą chwilę Japończyk nie odpowiadał. Słyszałem jedynie chlupot wody w pobliskiej fontannie. Shirai patrzył mi prosto w oczy, jakby nie mógł się zdecydować, jak rozegrać tę sprawę.

- Sumisu-san - rzekł w końcu. - Ta oferta jest wysoce niestosowna. Oczywiście zostanie wycofana.

- Dziękuję panu, panie Shirai.

Razem z Connorem pojechaliśmy do mego mieszkania. Nie chciało nam się już rozmawiać, w milczeniu prowadziłem autostradą wiodącą do Santa Monica. Każda kierunkowa tablica informacyjna była pochlapana farbą z aerozolu przez jakąś bandę łobuzów. Zwracałem uwagę na nierówności i dziury w nawierzchni. Po prawej stronie drapacze chmur w Westwood tonęły w gęstym smogu. Wszystko tu wydawało się brudne i zapleśniałe.

- Myślisz, że prawdziwym podłożem morderstwa była rywalizacja Nakamoto i jakiejś innej japońskiej firmy? Rywalizacja o zdobycie MicroConu? - zapytałem w końcu.

Connor wzruszył ramionami.

- Mogło wchodzić w grę wiele innych rzeczy. Trudno jest rozgryźć Japończyków, a dla nich Ameryka to tylko arena współzawodnictwa. Jedno jest pewne: my, mieszkańcy tego kraju, nie mamy dla nich zbyt wielkiego znaczenia.

Wjechałem na moją ulicę. Kiedyś podobała mi się ta wąska, wysadzana drzewami uliczka, wzdłuż której ciągnęły się nowoczesne kamienice. Przy skrzyżowaniu był duży plac zabaw, na który chodziłem z Michelle. Ale teraz uzmysłowiłem sobie, że powietrze jest tu ciężkie od spalin, a domy wydają się brudne i odpychające.

Zaparkowałem samochód. Connor wysiadł i wyciągnął dłoń na pożegnanie.

- Tylko nie bądź rozczarowany.

- Właśnie jestem.

- Daj spokój. Wiem, że to poważna sprawa, ale wszystko można zmienić. Raz już odmieniłeś swe życie, możesz to uczynić ponownie.

- I chyba tak zrobię.

- Co zamierzasz? - spytał.- Nie wiem - odparłem. - Chyba przeniosę się gdzie indziej, choć jeszcze nie wiem dokąd.

Skinął głową.

- Chcesz rzucić robotę w policji?

- Może. Na pewno zrezygnuję ze służb specjalnych. To zbyt... brudne zajęcie.

Ponownie skinął głową.

- Uważaj na siebie, *kohai*. Dzięki za pomoc.

- To ja dziękuję, *sempai*.

Odczuwałem zmęczenie. Powoli wszedłem po schodach i otworzyłem drzwi. Po wyjeździe córki przywitała mnie zaskakująca cisza. Wyciągnąłem z lodówki puszkę coca-coli i poszedłem do salonu. Usiadłem w fotelu, lecz za bardzo bolały mnie plecy. Wstałem i

włączyłem telewizor. Nie mogłem się jednak skupić. Myślałem o tym, co powiedział Connor: wszyscy w Stanach zwracają uwagę na rzeczy mało istotne. Choćby w tym, co dotyczy Japończyków - bo jeśli sprzeda się im cały kraj, wszystko będzie należało do nich, czy to komuś pasuje, czy nie. A ludzie mogą robić ze swoją własnością, co im się żywnie podoba. Tak to już jest.

Poszedłem do sypialni i przebrałem się. Popatrzyłem na rozsypane na nocnym stoliku fotografie z przyjęcia urodzinowego Michelle, które przeglądałem wtedy, kiedy się to wszystko zaczęło. Pomyślałem wówczas, że już nie oddają one rzeczywistości, że Michelle wygląda teraz zupełnie inaczej. Z sąsiedniego pokoju doleciał mnie chóralny śmiech płynący z telewizora. Do tej pory wydawało mi się, że przynajmniej rzeczy najważniejsze układają się po mojej myśli. Teraz wiedziałem, że to nieprawda.

Przeszedłem do dziecięcej sypialni. Popatrzyłem na wygniecione łóżeczko, na wzorzystą kapę pokrytą deseniem wielobarwnych słoników. Ujrzałem w wyobraźni śpiącą córkę, leżącą na plecach z rączkami złożonymi pod głową. Pomyślałem o tym, z jak bezgranicznym zaufaniem Michelle przyjmuje to wszystko, co staram się dla niej zrobić. Ale pomyślałem też o świecie, w którym przyjdzie jej dorastać. Żal ścisnął mi serce. Zacząłem wygładzać pościel w jej łóżeczku.

Zapis z 15 marca (99)

PRZESŁUCHUJĄCY: W porządku, Pete. Myślę, że to nam wystarczy. Chyba że chciałbyś jeszcze coś dodać.

ZEZNAJĄCY: Nie, to wszystko.

PRZESŁUCHUJĄCY: Rozumiem zatem, że rezygnujesz z pracy w służbach specjalnych?

ZEZNAJĄCY: Zgadza się.

PRZESŁUCHUJĄCY: Wystosowałeś też memorandum do szefa służb, Olsona, w którym sugerujesz wprowadzenie zmian do zakresu obowiązków łącznika ze społecznością azjatycką oraz proponujesz ograniczenie wpływu Towarzystwa Przyjaźni Japońsko-Amerykańskiej na wybór oficera łącznikowego.

ZEZNAJĄCY: Tak.

PRZESŁUCHUJĄCY: Po co?

ZEZNAJĄCY: Jeśli departament potrzebuje specjalnie wyszkolonych oficerów, powinien opłacić ich szkolenie z własnych funduszy. To znacznie poprawi atmosferę.

PRZESŁUCHUJĄCY: Poprawi atmosferę?

ZEZNAJĄCY: Tak. Uważam, że najwyższy czas, byśmy znów zaczęli rządzić w naszym własnym kraju. Najwyższy czas uregulować wszystkie nasze długi.

PRZESŁUCHUJĄCY: Czy otrzymałeś już odpowiedź od szefa wydziału?

ZEZNAJĄCY: Jeszcze nie, wciąż czekam. *Jeśli nie chcesz, by Japończycy coś kupowali, nie sprzedawaj tego.*

Akio Morka

Posłowie

„Ludzie nie godzą się z rzeczywistością, próbują walczyć z uczuciami, które wywołują realne okoliczności. Tworzą wyimaginowane światy na podstawie swoich wyobrażeń, tego, co powinno być i co mogłoby być. Autentyczne zmiany można wprowadzić dopiero wtedy, kiedy się uzmysłowi sobie i zaakceptuje rzeczywistość. Dopiero wtedy możliwe jest jakiegokolwiek realne działanie”.

To słowa Davida Reynoldsa, amerykańskiego zwolennika japońskiej szkoły psychoterapii Mority. Dotyczą one zachowań ludzi, lecz z łatwością można je także odnieść do ekonomicznych uwarunkowań całej nacji.

Wcześniej czy później Stany Zjednoczone muszą zająć jakiegokolwiek stanowisko wobec faktu, że Japonia stała się najbardziej uprzemysłowionym krajem, a Japończycy najbardziej długowiecznym narodem świata. Mają najmniejszą liczbę bezrobotnych, najmniej analfabetów i najmniejszą przepaść między bogatymi a biednymi. Produkują towary najwyższej jakości, spożywają najzdrowszą żywność, a trzeba brać pod uwagę, że choć jest to kraj w przybliżeniu równy wielkością stanowi Montana, o liczbie ludności równej połowie liczby mieszkańców USA, potencjałem gospodarczym dorównuje Stanom Zjednoczonym.

Powodem sukcesu Japończyków wcale nie jest przejęcie naszych metod; ich kraj w niczym nie przypomina typowego uprzemysłowionego państwa kultury zachodniej. To prawda, że rozwinęli nowe metody handlu - są agresywni, traktują biznes jak wojnę, nie cofają się przed niczym, chcąc wyprzeć konkurencję. Amerykanie nie potrafili tego zrozumieć przez wiele lat, zmuszali Japończyków, by podporządkowali się ich zasadom. Lecz coraz częściej w odpowiedzi słyszy się pytanie: „Dlaczego to my mielibyśmy się zmienić? Przecież nam wszystko wychodzi lepiej”. Niestety, to prawda.

Jak zatem powinniśmy zareagować? Absurdem jest obwiniać Japończyków za to, że im się powiodło, czy też proponować im zmniejszenie tempa rozwoju. Oni uważają, że Amerykanie reagują dziecinnie. I mają rację. Chyba najwyższa pora, żebyśmy się ocknęli, spojrzeli na Japonię we właściwym świetle i odpowiednio zareagowali.

Ostatecznie doprowadzi to do wielkich zmian w Stanach Zjednoczonych, bo trudno sobie wyobrazić, by słabszy partner żądał od silniejszego dostosowania swoich wymogów do jego możliwości. A nikt chyba nie wątpi, że pod względem ekonomicznym USA już teraz jest słabszym partnerem w jakichkolwiek pertraktacjach gospodarczych z Japonią.

Sto lat temu, kiedy amerykańska flota admirała Perry'ego przecierała szlaki do brzegów Japonii, mieszkańcy wysp tworzyli prymitywne feudalne społeczeństwo. Dość szybko jednak pojęli, że muszą zmienić styl życia, i dokonali tego. Począwszy od roku 1860

zaczęli sprowadzać tysiące specjalistów z Zachodu, którzy radzili im, jak należy rządzić krajem i jak rozwijać przemysł. Cały naród przeżył wielką rewolucję. Następnym wstrząsem, równie silnym, była dla Japończyków druga wojna światowa.

Jednak w obu tych wypadkach ludzie z uniesionym czołem przyjęli wyzwanie. Nikt nie machnął ręką i nie powiedział: niech Amerykanie kupują naszą ziemię i nasze przedsiębiorstwa, może nauczymy się od nich lepiej gospodarować. Nic podobnego. Japończycy ponownie zaprosili tysiące ekspertów, a później odesłali ich do domów. My także moglibyśmy wiele zyskać, postępując w ten sam sposób. Japończycy nie są naszymi wybawcami, lecz rywalami. Nie wolno nam o tym zapominać.

Podziękowanie

Za wszelką pomoc i radę w moich poszukiwaniach pragnę wyrazić swą wdzięczność Ninie Easton, Jamesowi Flaniganowi, Kenowi Reichowi i Davidowi Shaw z redakcji „Los Angeles Times”; Steve’owi Clemonsowi z południowokalifornijskiego oddziału Towarzystwa Przyjaźni Japońsko-Amerykańskiej; senatorowi Albertowi Gore; Jimowi Wilsonowi z Laboratorium Napędu Odrzutowego; Kevinowi O’Connorowi z firmy Hewlett-Packard; porucznikowi Fredowi Nixonowi z Departamentu Policji Los Angeles; Ronowi Insanie z CNBC/FNN oraz Keithowi Manasco. Za różne sugestie i korektę manuskryptu na wszystkich etapach jego powstawania pragnę podziękować Mike’owi Backesowi, Douglasowi Crichtonowi, Jamesowi Fallowsowi, Kareł van Wolferen i Sonny Mehta. Valery Wright przeprowadzał nie kończące się redakcje manuskryptu, Shinoi Osuka służył pomocą w formułowaniu wyrażeń japońskich, natomiast Roger McPeek przybliżył mi zagadnienie techniki wideo oraz nowoczesnych systemów ochrony.

Stosunki japońsko-amerykańskie są tematem niezwykle drażliwym. Chciałbym podkreślić z całą mocą, że poglądy prezentowane w tej powieści są wyłącznie poglądami autora i nie mogą być przypisywane którejkolwiek z wymienionych wyżej osób.

„KB”